



ANDRZEJ W.
SAWICKI

PIERWSZY GLINA

LITERATE

Żołnierze

miłujący

Spis treści

Strona tytułowa

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

Synowie mojeszowi

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
XXVIII
XXIX
XXX
XXXI
XXXII
XXXIII
XXXIV
XXXV

I

Warszawa, grudzień 1807 roku

Zimowy dzień szybko się skończył i miasto pogrążyło się w ciemnościach. Nadwiślańska dzielnica o francuskiej nazwie Joli Bord – przez miejscowych spolszczonej na Żoliborz – ze swoimi błotnistymi drogami i przysadzistymi dworkami, które były otoczone polami lub obszernymi ogrodami, sprawiała wrażenie bogatej wsi, a nie części znaczącego miasta. Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy rezydował tu Napoleon Wielki, Warszawa piastowała funkcję stolicy imperium rozciągającego się na niemal całą Europę. Nocą jednak dzielnice otaczające Stare i Nowe Miasto zamieniały się w małe, przytulne wioski. Przynamniej pozornie.

Pomiędzy lichymi chałupami i budami biedoty, sąsiadującymi ze szlacheckimi dworkami i pałacami arystokracji, przemykały pochylone postaci. Odkąd francuski rezydent-gubernator twardą ręką ukrocił pijackie rajdy po mieście swoich rodaków, warszawiacy mogli czuć się bezpieczniej. Wojsko zapanowało nad żołnierzami grasantami, ale nie interesowało się licznymi rabusiami działającymi pod osłoną nocy.

Trzech obwiesi w chłopskich kapotach i baranich czapach przemknęło wzdłuż grząskiej drogi, przeskoczyło nad rzeczką pełniącą funkcję rynsztoka i przycupnęło przy drewnianym płocie otaczającym niewielki pałacyk. Letnia rezydencja jednego z warszawskich bogaczy powinna być zimą zamknięta na trzy spusty i pilnowana jedynie przez stróża siedzącego w szopie na tyłach. Mimo to z wysokich okien parterowego budynku bił blask płonących świec. Obfita iluminacja oznaczała, że przygotowano pałacyk na przyjazd znacznego gościa. Faktycznie, z boku dziedzińca stała bogato zdobiona karetka. Dwa zaprzężone do niej konie miały pióropusze na łbach, a tkwiący sztywno na koźle stangret ubrany był we frak i pudrowaną perukę.

– Walim w łeb woźnicę i czyścim karetę? – spytał Jaśko, najmłodszy z przyczajonych nożowników.

– Żebyś ja cię w łeb nie walnął – burknął Kolba, rosły przywódca bandytów. – Trza wpierw sprawdzić, kto jest w pałacu. Czuję, że to jakiś jaśniepan przyjechał na schadzkę. Może z kurwą, może z jaką damą. Na jedno idzie. Widzi mi się, że jegomość przybył bez służby, jeno z woźnicą. Jeśli i dama przyjedzie ino ze stangretem, dostaniem na tacy dwa gołąbki. Wiecie, ile ci jaśniepaństwo mogą mieć przy sobie złota?

– A kurwa może być cała w klejnotach – rozmarzył się Jaśko i natychmiast zaliczył klepięcie w tył głowy, aż czapa nasunęła mu się na oczy.

– Oni będą się gzić, a my wpierw zrobimy woźniców, a potem ciach jaśniepaństwo po gardłach. – Kolba przedstawił krótki plan napaści, który został w milczeniu zaakceptowany przez Chromego, ostatniego z grasantów. Na Jaśka żaden z nich nie spojrział.

Kolejno przesadzili płot i podpełzli wzdłuż bocznej ściany budynku. Przycupnęli na rogu, by widzieć dziedziniec z kareta. Już po paru minutach z mroku wynurzyły się dwie kobyły ciągnące kanciąstą remizę – tani powóz z budą, który można było wynająć w mieście. Na koźle siedział woźnica opatulony w kapotę z postawionym kołnierzem. Koła remizy zaryły się w błocie przed pałacykiem, a powóz się zatrzymał. Powożący nie kwapił się, by otworzyć drzwiczki pasażerowi. Te zostały pchnięte od środka, a z powozu energicznie wyskoczyła młoda kobieta w prostej sukience i zarzuconym na ramiona płaszczu z jasnego atlasu. Blask bijący z okien pałacu oświetlił jej okoloną modnymi loczkami młodą twarz o łagodnych, idealnie symetrycznych rysach.

Trzej bandyci zastygli w podziw. Dziewczę było wyjątkowo urodziwe, nawet jak na słynące z urody warszawianki. Panna rzuciła woźnicy monetę, ten złapał ją w locie, uchylił czapę na pożegnanie i trzasnął lejcami, zmuszając wychudzone kobyły do wyciągnięcia remizy z błota. Powóz ze zgrzytem kół znikł w ciemnościach. Dziewczyna stała chwilę na tle jasnych okien, zwrócona w kierunku karety. Patrzyła na nią – zdawałoby się – wyzywająco, a potem skierowała się do pałacyku i weszła przez uchylone drzwi.

– Ha, mówiłem, że jakiś jaśniepan będzie miał tu schadzkę – ucieszył się Kolba. – Miałem nosa, nie ma co! Ze mną nie zginiecie, chlopy!

Wyciągnął zza pazuchy obdrapany bandolet, pamiętający chyba jeszcze czasy króla Augusta III. W garści Chromego pojawił się toporny buzdygan, a w ręku Jaśka rzeźnicki nóż. Młody bandzior poderwał się, ale ciężka ręka Kolby opadła mu na ramię i zatrzymała go w miejscu, gdyż wydarzyło się coś niespodziewanego.

Z karety wysiadło dwóch mężczyzn. Pierwszy był francuskim oficerem w mundurze z ciężkimi epoletami i dwurożnym kapeluszem na głowie. Kolba z radością zauważył, że żołnierz nie jest uzbrojony. Jeszcze ciekawszy był drugi z pasażerów – wysoki starszy pan w białej peruce. Nosił co prawda polski kozuch, ale na pierwszy rzut oka znać w nim było obcokrajowca. „Ani chybi francuski oficjalista” – domyślił się Kolba. Bogaty jak Radziwiłł, z ciężką sakiewką i w stroju wartym więcej pieniędzy niż grasant widział przez całe życie.

Mężczyźni stanęli przed kareta i zaczęli rozmawiać. Wyraźnie im się nie spieszyło. Peruka uśmiechał się z zadowoleniem, spoglądając na pałacyk. Oficer stał sztywno,

sprawiając wrażenie spiętego. Tłumaczył coś oficjaliście, gestykulując dłonią w skórzanej rękawiczce. Kolba zaczął się niecierpliwić.

– We dwóch będą ją chędożyć? – mruknął Jaśko.

– Niechby i tam – burknął herszt złoczyńców, który zaczął się zastanawiać, czy nie zaatakować jegomościów już teraz, nie czekając, aż zdecydują się, który pierwszy będzie ujeżdżał dziewczę. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować. Lepiej cierpliwie poczekać.

– Zostań tu, Jaśko, i nie spuszczaaj ich z oka – zdecydował po kolejnych kilku minutach oczekiwania. – Ja z Chromym pójdziem sprawdzić drzwi wychodzące na tył pałacyku. Może tamtędy wejdziem do środka, załatwim dziwkę i wewnątrz zacząim się na gagatków.

Młodzieniec próbował protestować, że znów zostawia się go na czatach i po raz kolejny ominie go to, co najciekawsze, ale dostał kolejny potężny cios otwartą dłonią w potylicę, więc pokornie nie ruszył się z miejsca. Przywarł do ściany w oczekiwaniu. Dwaj jego kompani rozplłynęli się w mroku.

Tymczasem dyskusja dwóch jegomościów zmieniła się w kłótnię. Oficjalista miał chyba dość wykładów oficera, bo zaczął mówić do niego podniesionym głosem. Jasiek był ciekaw, czy żołnierz strzeli upudrowanego dziadka w pysk, ale mundurowy położył uszy po sobie, a nawet uklonił się i zaczął przeproszać perukę. Ten machnął ręką i ruszył w kierunku budynku. Wreszcie! Młody bandyta schował nóż i zahuczał w złęczone dłonie, naśladowując sowę. Oficjalista szedł wężykiem, omijając kałuże, mimo to w połowie drogi ugrzązł w błocie. Aż po kostki zapadł się w breję. Oficer doskoczył do niego i wyciągnął pomocną rękę.

„Teraz można ich zaszlachtować jak dzieci” – pomyślał Jaśko.

Biały błysk rozdarł ciemności, jakby z nieba uderzył piorun. Dziedziniec był przez chwilę skąpany w ognistym blasku. Zaraz potem potężny, basowy huk wstrząsnął światem. Szyby pałacyku rozbryznęły się na miliony odłamków, zmieszanych z drzazgami z rozerwanych okien. Strzępy bryznęły na wszystkie strony razem ze strugami ognia, wyrzuconymi z budynku potężną eksplozją. Dwaj Francuzi runęli w błoto, ciśnięci wybuchem niczym zabawki. Konie wierzgnęły z kwikiem, sztywny stangret spadł z kozła na ziemię, łapiąc się za głowę.

Zaczajony grasant przywarł do ziemi, wbił w nią palce, wczepił się w błoto, jakby bojąc się, że wybuch, który już przebrzmiał, poderwie go w powietrze. Dopiero po dłuższej chwili odważył się unieść głowę i rozejrzeć. Francuzi gramolili się z błota, wokół nich leżała masa płonących odłamków. Z okien budynku waliły kłęby dymu, czuć było paloną siarką.

Młody bandyta leżał parę chwil bez ruchu, zbierając się na odwagę. Jego dwaj kompani, jeśli dostali się do środka, zamienili się w rozrzucone wokół krwawe strzępy, a za chwilę zlecą się tu ciekawscy z okolicy. Wybuch z pewnością postawił na nogi pół miasta. Jaśko poderwał się z ziemi, rzucił do panicznej ucieczki, przesadził jednym susem płot i pognął w ciemność.

II

Oś dawnej jurydyki miejskiej, Bielina, stanowiła szeroka, choć niebrukowana ulica Marszałkowska. Mróz, który przyszedł nocą, nie zdążył porządnie ścierać błota, więc trakt, jak przez niemal całą jesień, był zupełnie rozjeżdżony kołami wozów, których odciski pokryły ulicę siecią bruzd i wypełnionych wodą zagłębień. Końskie łajno, które powinno zostać usunięte przez stróżów i służbę leżących wzdłuż arterii domów, mieszało się z błotem w jedną śmierdzącą breję. Liczni o poranku przechodnie z braku chodnika przemykali wzdłuż budynków, starając się zbliżyć do nich jak najbardziej, by nie zostać obryzgni przez przebijające się przez bagno liczne wozy. Marszałkowska zawsze była ruchliwa, wszak prowadziła do rogatek Mokotowskich, gdzie łączyła się z traktem Czerskim i Krakowskim, więc mimo paskudnej pogody tętniła życiem. Nieustannie ciągnęły nią wozy kupieckie, chłopskie i wojskowe – z aprowizacją – które przybywały do miasta z południowych rejonów Księstwa.

Przez ciżbę, starając się omijać błoto, szedł różnym krokiem postawny mężczyzna w sięgającej ziemi pelerynie z taniego płótna i w modnym, pluszowym cylindrze na głowie. Nic sobie nie robił z niedogodności, wszak jego ubranie i tak nosiło już liczne ślady intensywnego używania. Michał Ilnicki dobiegał trzydziestki, ale pełne gwałtownych doznań życie oznaczyło jego pociągłą twarz kilkoma bliznami i licznymi zmarszczkami, dodając mu i wieku, i powagi. Spodnie miał pocerowane, a drewniane podeszwy ledwo trzymały się butów na mocno porwanej szewskiej dratwie. W każdej chwili mogły zostać w błocie, pozbawiając ubogiego szlachcica jedynej osłony nóg. O zakupie nowego obuwia nie było mowy, bo pugilares pana Michała od dawna świecił pustkami.

Ilnicki, udając, że poprawia cylinder, obejrzał się przez ramię. Jakiś czas temu spostrzegł jegomościa w eleganckim fraku, podpierającego się laseczką, który szedł za nim aż od domu, w którym pan Michał pomieszkiwał kątem, korzystając z gościnności bratowej. Osobnik nadal go śledził, zdawałoby się niespiesznie idąc drugą stroną ulicy. Nie wyglądał na osiłka, którego mógł wysłać jeden z wierzycieli Ilnickiego. Po prostu elegancki jegomość w kwiecie wieku o skroniach całkiem wybielonych siwizną – żadne niebezpieczeństwo dla doświadczonego wojaka, mimo to jego uporczywa obecność budziła niepokój. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, pana Michała zmroziło przenikliwe spojrzenie jasných, bardzo bystrych oczu. Szpicel? Ale czego chciał od oficera artylerii w

stanie spoczynku, który w Warszawie przebywał raptem od trzech miesięcy i jedyne, co zdążył zrobić, to przejąć długi po swoim świętej pamięci starszym bracie?

Ilnicki szedł po schodach do drzwi sutereny w jednej z kamienic. W środku znajdował się lombard kierowany przez bardzo grzecznego żydowskiego lichwiarza. Weteran rozsznurował pelerynę i odpiął od pasa szablę wraz z blaszaną pochwą, pokrytą grawerunkiem o roślinnym ornamentem. Szabla pochodziła z mediolańskiego warsztatu mistrza Barisioniego, który wykonał ją z włoskiej, naprawdę porządnej stali. Miała solidną, choć pozbawioną ozdób rękojeść, za to pyszniła się pięknym kłębkiem. Stan ostrza, mimo wielokrotnego używania w boju, był całkiem przyzwoity. Po długich targach, które kosztowały pana Michała sporo nerwów, zastawił swoją ostatnią ceną ruchomość za kwotę stu dwunastu czerwonych złotych i piętnastu groszy w srebrze.

Wyszedł, czując duszący ciężar na piersi, gdzie w kieszeni trzymał pugilares. Jak żywym ogniem paliła go strata broni, wstyd wypłynął na policzki rumieńcami, zrosił czoło potem. Ilnicki musiał się napić, najlepiej mocnej gorzałki. Oto on, szlachcic o bitewnym doświadczeniu bez szabli u boku i szans na powrót do służby... Całe złoto zdobyte na wojennych wozach musiał oddać na pokrycie wierzytelności brata, a i tak nie starczyło na zwrot wszystkich długów. Na co mu teraz przyjdzie? Zajmie się kupiectwem? Zostanie oficjalistą? Czyli miałby się skalać prawdziwą pracą? Wszak to nie przystoi szlachcicowi!

Oparł się plecami o ścianę kamienicy i zamknął oczy. Czuł bijące z ulicy zapachy mokrej ziemi, koni i gnoju. Dobiegał go wielkomięski gwar – przekleństwa woźniców, okrzyki przekupki stojącej w bramie, śmiechy dzieci, zgrzyt kół i mlask końskich kopyt bijących w błoto. Kiedy otworzył oczy, okazało się, że stoi przed nim siwawy pan o jasnych, bystrych oczach. Ilnicki poczuł się, jakby osobnik oglądał go niczym konia na targu, szacował wartość, krytycznie lustrując znoszone ubranie, ale przede wszystkim zagładając w głąb duszy.

– Z kim mam przyjemność, jeśli łaska? – burknął oficer.

– Nazywam się Augustyn Gliński – odparł jegomość zaskakująco łagodnym i ciepłym głosem. – Pozwoli pan ze mną, kapitanie Ilnicki. Nie będziemy rozmawiali na ulicy. Nie mamy czasu, by zjeść porządne polskie śniadanie, ale kawkę chyba możemy wypić. Chodźmy, niedaleko, na Królewskiej, zimą urzęduje cukiernia Lessla, która zwykle mieści się w altanach ogrodu Saskiego.

Gliński odwrócił się i nie czekając, ruszył przodem. Pan Michał, ku swojemu zaskoczeniu, szedł za nim krok w krok, bez dyskusji i wahania, jakby właśnie usłyszał rozkaz wyższego oficera. Siwawy pan miał prawdziwie charyzmatyczną osobowość i potrafił podporządkować sobie ludzi jednym spojrzeniem lub kilkoma słowami.

Dotarli do cukierni i zajęli miejsca przy stoliku. Służący giął się w pół przed Glińskim, zachwalał świeże pączki i biszkopty posypane cukrem rozartym z wanilią. Ilnicki rozsiadł się wygodnie, pewną miną markując zmieszanie i zaaferowanie niecodziennym spotkaniem. Po prawdzie nie miał dziś wiele do roboty, a poza spłatą długów nic go nie czekało, mógł więc wypić poranną kawę w towarzystwie jegomościa. Potem przyjdzie pora na zalanie się w trupa. Choć nie, resztę czerwieńców będzie musiał przekazać bratowej, Hani. Nie obudzi się zatem jutro z porządnym kacem, trzymając w ramionach śliczną warszawską dziwkę, ale znów wstanie trzeźwy jak niemowlę.

– Skąd pan mnie zna, drogi panie? – spytał, gdy wreszcie przyniesiono im kawę.

– Jestem policjantem, znam wszystkich w tym mieście – odparł jegomość i wbił zęby w obficie polukrowany pączek z kawałkami kandyzowanej skórki pomarańczy.

Pan Michał umoczył usta w obłądnie pachnącej kawie. Smakowała bosko, choć nie tak, jak w słonecznej Italii. Musieli dopiero co wypalić ziarna, a potem, polskim zwyczajem, wylali napar do tłustej, słodkiej śmietany. Pożywnie i zdrowo!

– Czym sobie zasłużyłem na zainteresowanie policji?

– Opinią doskonałego żołnierza, który wyróżnił się nienaganną służbą, a obecnie znalazł się w trudnej sytuacji – powiedział Gliński po otarciu ust chusteczką. – Kształcił się pan w Szkole Głównej Artyleryjskiej, a w insurekcji walczył w stopniu oberfajerwerka, między innymi na szanćach warszawskiej Pragi. Potem znalazł się pan w Legionach Polskich we Włoszech, wpierw jako porucznik artylerii u generała Aksamitowskiego. Bił się pan pod Terraciną, a w oblężeniu Mantui został kapitanem i dowódcą baterii. Niestety, wszedł pan w konflikt z dowódcą, mówi się, że poszło o kobietę. Po awanturze, w której ponoć omal nie doszło do rękoczynów, złożył pan dymisję i odszedł z armii.

– Nie jest pan dokładnie poinformowany – uśmiechnął się Ilnicki. – Doszło do rękoczynów, generał Aksamitowski dostał ode mnie w pysk. Miał jednak na tyle przyzwoitości, że nie kazał mnie rozstrzelać.

– Tym nie powinien się pan chwalić – konfidencjonalnie szepnął policjant. – Atak na przełożonego i skłonność do aktów agresji nie są okolicznościami, które mogą panu pomóc w trudnej sytuacji materialnej, w jakiej się pan znalazł. Szczególnie że droga do armii Księstwa Warszawskiego jest przed panem zamknięta właśnie przez ten nieszczęsny konflikt z generałem.

– Ten łobuz piastuje wysokie stanowisko u boku Poniatowskiego i ciągle o mnie pamięta. Przez tę świnię znalazłem się na bruku.

– Do trapiących pana problemów dochodzi nieszczęsna historia związana z pańskim bratem. – Gliński chwycił następny pączek i ugryzł solidny kęs. – Joachim Ilnicki, który

odziedziczył wasz rodowy majątek, raczył cierpieć na przykrą przypadłość: umiłowanie hazardu...

– Kiedy ja biłem się o wolną Polskę, on przetrząnął w karty naszą ojcowiznę – spokojnie odparł pan Michał, choć na wspomnienie wyczynów brata krew mu się w żyłach zagotowała. – Diabli go chyba opętali, skoro nie potrafił się powstrzymać. Nie dość, że spieniężył wsie, ziemię, folwarki i tartaki, a złoto przehulał, to jeszcze narobił potwornych długów. Potem strzelił sobie w łeb.

– Większość długów pan spłacił – zauważył policjant – a mógł machnąć ręką i pozostać za granicą. Co pana powstrzymało przed tym, by wstąpić do armii francuskiej i kontynuować karierę?

– Jak to co? Brat zostawił żonę i trójkę dzieci. Ktoś musiał się nimi zająć, nikogo innego nie mają. Ale co to, u diabła, pana obchodzi? Coś się pan wpakował z kopytami w moje życie? Na co panu informacje o moich kłopotach rodzinnych i finansowych?!

Jegomość uśmiechnął się, dopił kawę, mlasnął z zadowoleniem i otarł usta jedwabną chusteczką ze złotym monogramem. Ilnicki w jednej chwili ochłonał. Spokój rozmówcy nieco go zmieszał.

– Porzucił pan szansę na karierę w armii, wygodne życie, by zająć się sierotami i dopełnić rodzinnych zobowiązań. Jesteś pan człowiekiem honoru, do tego uczciwym i po prostu przyzwoitym. Znasz się pan na wojennej robocie, jesteś wykształcony, posiadasz znajomość kilku języków, masz znajomości w armii i obycie. Właśnie kogoś takiego szukałem! – oświadczył policjant. – Wybierałem spośród kilku kandydatów, ale okoliczności zmusiły mnie do przyspieszenia naboru. Niniejszym chcę panu zaproponować pracę...

– Proszę? – Oficer pochylił się, patrząc na Glińskiego z niedowierzaniem. – Znaczy, mam nocą patrolować ulice czy pilnować aresztantów w ratuszu? Wiesz pan chyba, że jestem szlachcicem?

– Raczy pan wybaczyć, ale cóż dziś znaczy szlachectwo? Większość szlacheckich klejnotów dawno straciła blask. Mnóstwo herbowej młodzieży przybywa do Warszawy i szuka jakiegokolwiek roboty. Zatrudniają się jako sekretarze, guwernanci, błagają o posadę w magistracie, choćby jako chłopcy do ostrzenia piór i napełniania kałamarzy. Nawet arystokracja wzięła się do zarobkowania. Zamoyscy i Potoccy budują kamienice czynszowe, inwestują w manufaktury, garbarnie i młyny. Dziś praca nie hańbi nawet tych najbardziej szlachetnych. Proponuję panu służbę w polskim urzędzie, jednym z najbardziej kluczowych dla sprawnego funkcjonowania państwa. Nie będziesz pan pilnował złapanych obwiesi, ale musisz być gotowym na zanurzenie się w świecie zbrodni i najgorszego plugastwa. Na służbę ciężką i nieustanną, ale za to szlachetną. Na walkę ze złem.

Siwawy mężczyzna przerwał, patrząc na pana Michała wyczekująco. Ten siedział sztywno wyprostowany i coraz bardziej zainteresowany nietypową ofertą pracy.

– Proszę kontynuować – bąknął. – Na czym polegałyby moje obowiązki?

– Policja Krajowa dopiero się rodzi, i to w ciężkich bólach. Przyznaję, że formując oddziały, działamy w pośpiechu, by zapanować nad zamieszaniem zostawionym nam przez Francuzów. Dotychczas pieczę nad służbami porządkowymi sprawował cesarski rezydent, dopiero kilka miesięcy temu utworzono polski rząd, a w jego składzie powołano do istnienia Ministerstwo Policji. Naszym bezpośrednim przełożonym jest minister Adam Potocki. Razem z hrabią Ledóchowskim pomagamy mu uformować szarżę, tworzymy skomplikowaną administrację, bo policja to nie tylko strażnicy więzienni, ale też rozbudowane struktury urzędnicze, nadzorujące dziesiątki zagadnień umożliwiających funkcjonowanie całemu państwu. Pan wybaczy, odbiegłem od tematu. Otóż uznałem za stosowne uformowanie w naszych strukturach Wydziału Policji Śledczej, przeznaczonej do tropienia sprawców najbardziej zagadkowych i poważnych zbrodni. Funkcjonariusze tego oddziału działają wtopieni w struktury miejskie, przenikają do środowiska przestępczego. Proponuję panu stanowisko śledczego, dowódcy formacji. Pana obowiązkiem będzie prowadzenie śledztwa przy wykorzystaniu powierzonych agentów i raportowanie mi postępów na bieżąco. Rozumie pan, jestem kimś w rodzaju generała, który potrzebuje zdolnego oficera liniowego. Chcę, by pan nim został.

Ilnicki siedział dłuższą chwilę w milczeniu. Właściwie oferta Glińskiego była niczym dar niebios. Co prawda nie padły żadne obietnice finansowe, ale stanowisko oficera policji z pewnością gwarantowało konkretne wpływy i dawało stabilizację finansową, której tak bardzo potrzebował. Poza tym służba w mundurowej formacji podobna była do służby w armii i nie należała do zajęć hańbiących szlachcica.

– Kiedy zacznę? – spytał krótko.

– Natychmiast. – Pan Augustyn wstał od stolika i skinął na służącego. – Dziś w nocy miała miejsce niezwykła zbrodnia. Byłem na miejscu jeszcze przed świtem i kazałem postawić na miejscu warty. Powinni już tam dotrzeć pozostali śledczy, pańscy podwładni. Chodźmy dokonać oględzin, przekażę panu śledztwo, kapitanie.

Nie kłopotał się regulowaniem należności, widocznie miał tu otwarty rachunek. Służący, zgięty w pas, otworzył im drzwi i życząc miłego dnia, wypuścił na zewnątrz.

– Kim pan właściwie jest w policji, panie Gliński? Jak mam się do pana zwracać?

– Piastuję stanowisko sekretarza generalnego Dyrekcji Policji Krajowej. Chłopcy często tytułują mnie szefem, ci bardziej oficjalni – waszą ekscelencją, natomiast warszawiacy, szczególnie młodzi i pochodzący z nizin społecznych, nadali mi przydomek od nazwiska.

– Jaki, jeśli można spytać?

– Glina.

III

Jazda odkrytym powozem o tej porze roku nie należała do przyjemności, a należący do magistratu pojazd Glińskiego pozbawiony był chroniącej przed wiatrem budy. Ilnicki musiał momentami trzymać cylinder, by ten nie odleciał w dal. Jego przełożony nic sobie nie robił z porywów wiatru.

– Byle tylko nie zaczął sypać śnieg, bo zakryje wszelkie ślady na miejscu zbrodni – odezwał się pan Michał.

– Ech, tym pan się martwić nie musi. Nocą na teren posiadłości wdarł się cały tłum gapiów, którzy zupełnie rozdeptali ślady mogące należeć do przestępców. Do pałacu dostała się kupa ludzi, niby po to, by gasić pożar. Moi chłopcy złapali kilku gagatków, próbujących wynosić ocalałe z wybuchu bibeloty.

– Hm. Wiemy przynajmniej, kto padł ofiarą?

– Jeszcze nie. Trudno było się doliczyć. Rozumie pan, wybuch zrobił tam prawdziwą jatkę.

Powóz zwolnił przed bramą zdewastowanej posiadłości na Żoliborzu. Gliński pozdrowił machnięciem ręki pilnującego wjazdu mężczyznę w mundurze z niebieskimi spodniami, po których odróżniano warszawskich policjantów od żołnierzy. Wjechali na dziedziniec przed zniszczonym pałacykiem. Budynek przetrwał wybuch w jednym kawałku, nawet dach się nie spalił. Ilnicki doszedł do wniosku, że ocalały go wysokie okna, przez które uwolniła się siła eksplozji, nie naruszając konstrukcji. Teraz otwory okienne ziały czernią niczym oczodoły w okaleczonej twarzy.

Pan Michał wyskoczył z powozu jako pierwszy, niecierpliwie pragnąc jak najszybciej dokonać oględzin. Po miesiącach beczynności aktywność, jakże miło kojarząca się z bojową, bardzo dobrze mu robiła. Znów poczuł się potrzebny i na swoim miejscu. Mógł działać – co więcej, dla dobra społeczności. Ruszył rażno, sadząc susy nad kałużami, ale zatrzymał się już po kilku krokach, bo drogę zastąpiły mu dwa wielkie psiska. Bestie stanęły kilka kroków przed nim i choć nawet nie warczały, ich postawa i napięte mięśnie nie wróżyły niczego dobrego. Jeden ziewnął nerwowo, prezentując imponujący zestaw zębisk, mogących jednym chapnięciem rozerwać gardło jeleniowi lub zadusić dzika. Strach pomyśleć, co mogły zrobić z człowiekiem.

Świeżo upieczony policjant wyciągnął przed siebie dłonie w uspokajającym geście. Wiedział, że nie powinien patrzeć w ślepią potworów, bo sprowokuje je do ataku.

Zaczął mamrotać pod nosem:

– Dobre pieski, dobre. Chodźcie do mnie, powąchajcie mnie, jestem porządnym człowiekiem.

Gliński stanął obok niego i z kieszeni fraka wyciągnął fajeczkę oraz woreczek z tytoniem. Spokojnie zaczął nabijać cybuch.

– Gdzie wasz pan, pchlarze? – zwrócił się do psów. – Szaja! Chodź no tu, człowieku! Zabierz te bydłeta!

Zza rogu pałacyku wyszedł wysoki mężczyzna w rozpiętym chałacie. Nosił niewielką owalną czapkę i krótką, starannie przystrzyżoną bródkę oraz długie pejsy. W garści ścisnął zwinięte rzemieńne smycze. Na widok przybyłych uśmiechnął się i uchylił jarmułka.

– Poznaj, kapitanie, swego pierwszego śledczego, Szaję Appenzlaka. Dawniej pracował jako szkolnik żydowskiego syndyka. Dobry tropiciel, do tego zna wszystkich sklepikarzy i kramarzy w mieście.

Żyd trzepnięciem rzemieni o udo odwołał psy, które natychmiast zignorowały przybyłych i merdając ogonami, pobiegły między drzewa okalające dziedziniec. Ilnicki wyciągnął rękę i uściśnął żylastą dłoń Szai, zaskakująco silną, a do tego czystą. Pan Michał słyszał co nieco o szkolnikach – żydowskich policjantach, którzy jeszcze za króla Stanisława działali w mieście. Zajmowali się ściganiem i łapaniem Żydów pozostających na terenie Warszawy bez pozwolenia, a przy okazji polowali na wszelkiego autoramentu złodziejów i rzezimieszków. Słynęli ze skuteczności i sprawności, ale ich formację zlikwidowano już jakiś czas temu, kiedy pozwolono wreszcie Żydom legalnie osiedlać się w obrębie miasta.

– Coś znalazłeś? – bez zbędnych wstępów spytał sekretarz generalny.

– Aj waj. Setki śladów, jakby tędy przemaszerował cały Żoliborz. – Tropiciel wzruszył ramionami. – Ale za to z błota wygrzebałem coś takiego. Skórzana rękawiczka. Porządna robota, z delikatnej, cielejącej skórki, ale wcale nie damska. Nie wiem, czy który kuśnierz w Warszawie umie zrobić coś tak ładnego.

Wręczył rękawiczkę Glińskiemu, a ten przekazał ją panu Michałowi. Kapitan obejrzał uwalaną błotem część garderoby. Musiała należeć do majątnego jegomościa, nic więcej wywnioskować z jej oględzin nie umiał.

– Psy ją obwąchały, ale nie chwyciły tropu – dodał Szaja. – Poza tym nic ciekawego nie znalazłem, w błocie walają się jeno odłamki.

– Proszę je zebrać i zgromadzić w jednym miejscu. Chcę wszystkie obejrzeć – rozkazał Ilnicki.

Żyd nie dyskutował z głupim, wydawałoby się, rozkazem. Bo co może być ciekawego w nadpalonych i potrzaskanych kawałkach okiennych framug? Skinął tylko głową i

oddalił się bez słowa.

– A niech to, nie mam czym przypalić fajeczki. Ech, nieważne. – Schował nabitą fajkę do kieszeni. – Podsumujmy, co na razie mamy. Koło północy okolicą wstrząsnął silny wybuch. Kiedy na miejsce przybyli policjanci z komendy cyrkułu, zastali ludzi przyglądających się płonącemu pałacykowi. Pożar szybko ugaszono, nie zajęły się zabudowania gospodarcze ani dach. Wewnątrz i częściowo na dziedzińcu znaleziono fragmenty rozerwanych nieszczęśników lub jednego nieszczęśnika, w środku zaś jeszcze dwóch gagatków. Do tej pory nie udało się ich zidentyfikować. Nie znaleźliśmy też ani jednego żywego świadka wybuchu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

– Wezwano właściciela pałacyku lub jego rodzinę? Może ci rozpoznają zabitych?

– Otóż w tym cały szkopał, drogi panie Ilnicki! Posiadłość należała do pewnego bogatego kupca, który zmarł bezpotomnie pięć lat temu. Zgodnie z testamentem nieruchomości przejął magistrat miejski. Jako że podczas panowania pruskiego Warszawa mocno się wyludniła, pałacyk stał pusty i niszczał, jak wiele podobnych mu rezydencji, a ogród spokojnie porastał chwastami. Dopiero gdy do Warszawy ściągnął cesarz Napoleon ze swoją armią, budynek znalazł zastosowanie. Nie było pana wtedy w Polsce, ale pewnie pan słyszałeś, że nasze niemal wymarłe miasto zmieniło się z dnia na dzień w Paryż Północy. Z cesarzem zważyło się nam na głowy sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a do tego tłumy oficjeli, jakich to miasto jeszcze nie widziało. Wszystkie wolne nieruchomości zajęło wojsko, a te bardziej wystawne przekazaliśmy do dyspozycji sztabu Wielkiej Armii. W pałacyku mieszkali prawdopodobnie oficerowie. Nawet kiedy Napoleon wyjechał z Warszawy i sytuacja nieco się uspokoiła, posiadłość pozostała we francuskich rękach. Nie wiemy, kto i kiedy z niej korzystał, a nawet nie sposób tego ustalić. Jeszcze dziś zwrócę się w tej sprawie do sztabu marszałka Davouta, ale czy będzie łaskaw nam odpowiedzieć, trudno zgadnąć.

– Czy możliwe, że ofiarami są Francuzi? – zapytał Ilnicki.

– Wtedy już mielibyśmy tu tłumek zabojadów, a na razie żaden się nie pojawił. Szybko jednak zorientują się, że w ich posiadłości wydarzyło się coś dziwnego, dlatego jak najprędzej musimy dowiedzieć się, co tu się stało. Dlaczego, pyta pan? Gdyż kiedy rezydent francuski zapyta o to ministra policji, ten musi znać odpowiedź. Rozumiesz pan, kapitanie? To sprawa polityczna. Wtedy udowodnimy naszym gościom, że jesteśmy w stanie sami sobą rządzić i panować nad porządkiem we własnej stolicy. Jeśli ten wybuch miał być atakiem na Francuzów, musimy znaleźć sprawców jako pierwsi. My, warszawska policja.

– Rozumiem, panie Gliński. Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

Weszli do budynku głównymi drzwiami i znaleźli się w sieni, której podłoga zdeptana została dziesiątkami ubłoconych butów. Przeszli krótkim korytarzykiem, by znaleźć się

w głównym salonie. Pan Michał z wrażenia wciągnął głęboko powietrze. Jeszcze dwie godziny temu myślał, że spędzi spokojny, nudny dzień na włóczędździe po mieście, a teraz stał w środku krwawego poboju. Jakby w jednej chwili z sennej cukierni przeniósł się na pole bitwy.

Dzienne światło wpadało przez wielkie dziury, które kiedyś były oknami, doskonale oświetlając wszystkie szczegóły masakry. Ściany poharatane zostały odłamkami i obficie zbryzgane krwawymi szczątkami, do tego osmalone późniejszym pożarem. W wielu miejscach tynk odpadł całymi płatami, na podłodze razem z gruzem walały się potrzaskane, częściowo spalone meble. Ściana naprzeciw okna oberwała najbardziej, w kilku miejscach przecinały ją wyraźne pęknięcia i ziała w niej dziura, przez którą widać było korytarz. Do tego wszystkiego w powietrzu unosił się odór spalenizny, w którym dominował smród spalonego mięsa i siarki. Trupy i proch – aromaty typowe dla pola bitwy.

Ilnickiemu rzucił się w oczy kominek, w którego palenisko wybuch wbił jakiegoś pechowca. Ciało zapaliło się od płonących bierwion i częściowo spłonęło. Zostały po nim poczerniały kadłub i niemal zupełnie nietknięte pożarem nogi z brudnymi bosymi stopami. Przy szczątkach kucał chudy jegomość w wieku pana Michała, ubrany w czarny frak. Kiedy odwrócił się w stronę przybyłych, okazało się, że nosi opaskę podtrzymującą przy jednym oku urządzenie optyczne z kilkoma rozsuwanymi szklami powiększającymi. Było czymś w rodzaju rozbudowanego monokla, umożliwiającego zmianę soczewek. Mężczyzna – o chorobliwie bladej skórze, z jednym okiem nienaturalnie powiększonym przez szkło i umazany na czole krwią i sadzą – wyglądał wręcz upiornie.

Kilka kroków obok rozgarniał nogą rupiecie wielkolud z dziobatą gębą pokrytą bliznami po ospie i czyrakach. Ten nosił się z polską, na ramionach miał jasną chłopską kapotę, a na głowie przekrzywioną czerwoną konfederatkę obszytą czarnym barankiem. Wyglądał niczym kosynier Kościuszki.

– To pozostali śledczy, kapitanie. – Pan Augustyn zaprezentował policjantów. – Doktor Tytus Ritter, warszawski Niemiec, w czasie panowania pruskiego funkcjonariusz gestapo, oraz Roch Gogiel – za insurekcji kościuszkowskiej służył dzielnie w milicji magistrackiej.

Były gestapowiec odłożył trzymane w dłoni szczypce, którymi dłubał w szczątkach zabitego, i podał rękę. Ilnicki skinął mu głową i uśmiechnął się lekko, ale po powitaniu z trudem powstrzymał się przed wytarciem dłoni o spodnie. Ritter wydał mu się oślizły i odrażający. Przykre wrażenie potęgowały jego wąskie, zaciśnięte usta, na których chyba nigdy nie gościł uśmiech. Pan Michał ciekaw był, jakim cudem Niemiec ocalał z pogromów, które warszawiacy urządzili pruskim funkcjonariuszom po wygnaniu szkopów z miasta. Ponoć większość pruskich policjantów i szpicli zadyndała na

gałęziach oraz szubienicach lub zaliczyła nóż pod zebro. Pewnie Ritter znalazł się pod opieką sekretarza generalnego, który z jakiegoś powodu nie dość, że go ochronił, to w dodatku zdecydował się zatrudnić w polskiej policji.

Gogiel mimo paskudnej gęby budził znacznie więcej sympatii. Kipiał energią i radością życia widocznymi w błyszczących, wesołych oczach. Ścisnął mocno dłoń kapitana i potrząsnął nią energicznie, a przy tym uśmiechnął się szeroko, prezentując imponujący zestaw zepsutych zębów. Ilnicki pamiętał, że milicja magistracka pełniła funkcje porządkowe i śledcze w czasie powstania kościuszkowskiego, a wywodziła się z miejskiej biedoty. Jej funkcjonariusze słynęli z deprawacji i braku dyscypliny, ale za to walczyli jak stado diabłów i podczas obrony miasta okazali niezwykle bohaterstwo.

– Wiemy coś więcej niż o świcie? – spytał krótko Gliński.

– Pewno, szefie. – Roch potrząsnął głową. – Było tu trzech ludzi. Jednego rozerwało na kawałeczki, mniejsze niż skrawki mięsa w zupie rumfordzkiej. Drugi wylądował w kominku, a ostatni – wbity w szafę.

Wskazał na potrzaskany, osmalony mebel, z którego faktycznie wystawały gołe nogi jakiegoś człowieka.

– Czemu tych dwóch było na bosaka? – zainteresował się pan Augustyn. – Przyleźli tu w zimę bez jakichkolwiek łapci? Czy może obrobili ich ludzie „ratujący” dobytek z pożaru?

– To akurat jestem w stanie wyjaśnić – odezwał się Ilnicki, podchodząc do ostatniego trupa. – Ludzie poderwani i ciśnięci siłą eksplozji mają w zwyczaju wypadać z obuwia. Nawet ze sznurowanych lub mocno obcisłych, sięgających za kolana i przeznaczonych do konnej jazdy botów. Często w czasie ostrzału, gdy znaleźliśmy się pod ogniem wrogiej artylerii, zdarzało się, że kanonierzy po prostu znikali, ale zwykle w miejscu, w którym stali, zostawały po nich buty. Zupełnie nietknięte.

– Co pan powie... – Gliński pokręcił głową. – Zdziwiający zjawisko, ale skoro twierdzi pan, że to niemal prawidłowość...

– Ta informacja stawia to znalezisko w ciekawym świetle – odezwał się Ritter i sięgnął po leżący w kącie worek. – Mam tu co ciekawsze eksponaty, które udało mi się wydobyć z ciał i znaleźć w pomieszczeniu. Myślałem jednak, że te buciki po prostu wypadły z szafy i co najwyżej mogły dać nam jakąś informację o osobach zamieszkujących pałacyk. Stały o, tutaj, jeśli dobrze pamiętam.

Ułożył dwa damskie botki z cienkiej skórki niemal na środku pomieszczenia, naprzeciw dziury ziejącej w ścianie. Czubki obuwia skierował w stronę okien.

– Oho, tego się obawiałem – westchnął szef. – Jedną z zabitych była kobieta. To tłumaczy porozrzucane jasne skrawki, które pewnie były jej suknią. Rochu, weźmiesz

buty i obejdiesz z nimi co lepszych szewców. Spróbuj ustalić, w jakim warsztacie zostały wykonane. Może uda się dowiedzieć, do kogo należały.

– Ha! Pójdę od razu do Kilińskiego – zadudnił wielkolud, biorąc buciki i pakując je do kieszeni. – On zna wszystkich majstrów szewskich w mieście.

Ilnicki pochylił się nad trupem w szafie. Zabity miał okrwawioną, mocno pokiereszowaną odłamkami pierś. Z podartego ubrania sterczały kawałki połamanych zeber i wbitych w ciało drzazg. Tak jak osobnik w kominku, przetrwał w jednym kawałku, ale tylko on z uszkodzonych miał niemal nieuszkodzoną twarz. Rękę zaciskał na rękojeści starego bandoletu.

– Nie dajcie mi, łaskawi panowie, skończyć meldunku. – Roch podszedł do trupa. – Wiem, kto to jest, szefie. To Kolba, syn złodzieja z Nowego Miasta. Stary łachudra i złodziej. Za młodu chodziliśmy razem na robotę, a potem żeśmy służyli w milicji. Rzucił jednak ten fach, kiedy nie pozwolili nam rabować trupów w czasie bojów o miasto. Znikł mi ostatnio z oczu. Myślałem, że już dawno go powiesili albo dostał w łeb, jak to wśród andrusów bywa.

– Po spodniach sądząc, ten spalony był podobnej mu proveniencji – zauważył Gliński. – Mamy zatem dwóch warszawskich bandziorów i kobietę w butach mogących należeć zarówno do szlachcianki, jak i aksamitki spod barbakanu. Dlaczego wszakże kobietę rozerwało na maleńkie kawałeczki, a tych dwóch nie?

– Wydaje mi się, że to znalezisko może nam coś powiedzieć – powiedział doktor Ritter i z worka z dowodami wyciągnął kawał wygiętego żelastwa. – Niech pan kapitan łaskawie spojrzy, bo wydaje mi się, że to kawałek armatniej kuli.

Ilnicki wziął do ręki znalezisko. Żeliwo pokryte było czarnym śluzem, jak się szybko okazało – krwią lub wnętrznościami. Pan Michał domyślił się, że Prusak wyciągnął je z trupa. Doktor natychmiast się zreflektował i mamrocząc po niemiecku przeprosiny, podał oficerowi szmatkę do wytarcia rąk.

– Jeśli panowie pozwolą, przedstawię swoją wizję wydarzeń, do których tu doszło – powiedział gestapowiec. – Kobieta stała na środku pomieszczenia, przy stole, z którego nic nie zostało prócz śladu po nogach w podłodze. Dwaj obwiesie znajdowali się po dwóch stronach salonu. Jeden wszedł tymi drzwiami i stanął przed kominkiem, drugi wszedł drugimi. Skąd takie indywidua się tu wzięły? Może byli opiekunami dziwki, którą tu właśnie wprowadzili?

– Francuzi sprowadzili sobie dziewczynkę z rynsztoków Starego Miasta? – prychnął Roch. – Bajdurzysz pan, doktorku. Ci, co mieszkają w pałacach, nie takie dzierlatki ryćkają.

– Nie przeczę, mogę się wszak mylić, stawiam jedynie hipotezy. – Prusak wzruszył ramionami. Zdjął z twarzy uprząż z soczewkami i mechanicznie zaczął je przecierać

szmatką odebraną z rąk Ilnickiego. – Nie wiem, skąd i po co się tu wzięli, odłóżmy to na razie. Wracając do wydarzeń, dziewczyna stała w tym miejscu, tyłem do stołu, zwrócona do okien. W tym momencie padł strzał. Armatni. Kula wleciała przez okno i trafiła prosto w kobietę lub minęła ją i eksplodowała za jej plecami, na ścianie. To mogła być bomba zapalająca lub granat z kartaczami, prawda, panie kapitanie? Większą część energii wybuchu przyjęło ciało kobiety, dlatego uległo całkowitemu zniszczeniu.

Gliński spojrzał pytająco na pana Michała.

– Co pan na to?

– Niewykluczone. – Oficer pokiwał głową i uniósł odłamek. – To żeliwo faktycznie pochodzi ze specjalnej amunicji artyleryjskiej – z kuli, która była wypełniona ładunkiem, czyli z granatu. Sądząc po rozmiarze, musiała pochodzić co najmniej z armaty dwunastofuntowej lub z obłężniczego moździerza. W drugim przypadku trafienie przez okno byłoby niemożliwe, bo moździerze służą do strzałów pod dużym kątem, ich kule przelatują ponad murami i spadają. W pierwszym przypadku w okolicy musiałyby pojawić się kilkunastu artylerzystów do obsługi armaty, łącznie z zaprzęgiem sześciu koni do jej ciągnięcia. Poza tym podejrzewam, że tak potężne działo ugrzęzłoby w błocie.

– Mhm. – Sekretarz generalny skinął głową. – Do tego wszystkiego musieliby strzelać z dziedzińca lub z ulicy przez otwartą bramę. Po co ktoś miałby robić coś takiego? To bez sensu.

– Skąd zatem rozerwana kula? – spytał Ritter.

– Ktoś ją tu przyniósł – spokojnie odparł Ilnicki. – Leżała na stole, pomiędzy kobietą a ścianą. Tylko nie jestem pewien, czy jeden pocisk mógł wyrządzić aż tak duże szkody. Może granatów było kilka?

– Ale dlaczego wybuchły? – dociekał doktor.

– Kobieta mogła podpalić lont zapalnika któregoś z nich. Odwróciła się i zrobiła krok w kierunku okna. Granat eksplodował i *arrivederci*. – Pan Michał uniósł cylinder i podrapał się po głowie. – Nie wiemy tylko, dlaczego to zrobiła.

W dziurze okna pojawiła się brodata twarz Szai. Żyd wskoczył do środka. W wyciągniętym ręku, niczym trofeum, trzymał worek.

– Ta joj! Zebrałem co się dało, kapitanie – oświadczył. – I w samą porę, bo przy bramie pojawili się francuscy kirasjerzy. Franek pewno zaraz ich wpuści, musicie się pospieszyć z oględzinami.

– Bierz fanty i znikaj.

Stateczny pan Gliński w jednej chwili zaczął się ruszać żwawo jak młodziak. Zabrał z ręki Ilnickiego odłamek, wrzucił go do worka, w którym zgromadził dowody doktor Ritter, i podał sakwę Szai. Żyd schował obydwie tłumoki pod połami chałatu, ale nadal

go nie zapinał, chyba po to, by nie krępować sobie ruchów. Ukłonił się obecnym i ruszył chyłkiem do tylnego wyjścia.

Niemal w tej samej chwili od głównych drzwi dobiegło łomotanie wojskowych buciorów. Do środka wpadło kilku kirasjerów w hełmach z imponującymi pióropuszcami i w charakterystycznych, błyszczących półpancerzach chroniących piersi. Prowadził ich oficer w dwurożnym kapeluszu i mundurze z ciężkimi epoletami oraz sztywno postawionym kołnierzem, niemal wbijającym się w policzki. Na oko dobiegał czterdziestki, za to miał młodzieńczo błyszczące oczy.

– Witam – powiedział po francusku. Obrzucił zgromadzonych uważnym spojrzeniem, szukając dowodzącego policjantami. Oględziny trwały dwa uderzenia serca, potem żołnierz zwracał się już tylko do Glińskiego, ignorując pozostałych. – Jestem generał Charles Morand. Przejmuję budynek i wszystko, co się w nim znajduje. Nie muszą już panowie kłopotać się tym incydentem, sprawą zajmie się Wielka Armia.

– Miło pana poznać, generale. – Siwowłosa ukłonił się nieznacznie, jednak panowie nie podali sobie rąk. Oficer nie zamierzał kłaść honoru pospolitowaniem się ze stróżem prawa. – Jestem prawnikiem i urzędnikiem w zarządzie policji, chciałbym zatem nalegać na możliwość uczestniczenia w wyjaśnieniu tego dziwnego zdarzenia. Polskie prawo gościnności zostało tu złamane, ktoś zaatakował naszych drogich przyjaciół pod warszawskim dachem. Wydaje się, że udział polskiej policji w śledztwie jest nieodzowny.

– Doprawdy, jesteśmy wdzięczni, a ja osobiście wręcz wzruszony waszym zaangażowaniem i gotowością do działania. – Francuz uśmiechnął się szeroko i, zdawałoby się, szczerze. – Niestety, musimy potraktować ten wypadek jako wewnętrzną sprawę Wielkiej Armii. Przywykliśmy do prania własnych brudów samodzielnie, pan rozumie, armia ma swój kodeks i przepisy. Proszę odwołać ludzi i opuścić teren.

– Nie wydaje mi się, by była to tylko wasza wewnętrzna sprawa. – Gliński odpowiedział uśmiechem. – Zginęły tu trzy osoby, z których jedną udało nam się już rozpoznać. Odkrycie tożsamości pozostałych to kwestia czasu, a wygląda na to, że cała trójka była obywatelami Warszawy. Łącznie z zabitą kobietą...

Generał spoważniał, jego twarz ściągnął grymas gniewu, a może bólu, Ilnicki nie był w stanie tego stwierdzić. Na wszelki wypadek stanął u boku zwierzchnika, by dodać mu otuchy. Ritter starał się wtopić w ścianę i niemal mu się to udało, natomiast nierozumiejący rozmowy, ale widzący zmianę w zachowaniu Francuza Gogiel przesunął się i ustawił z drugiej strony szefa. Na tę demonstrację poparcia jeden z kirasjerów położył dłoń na rękojęści rapiera, groźnie strzygąc wąsiskami.

– Gdzie jest jej ciało? – zimno spytał Morand.

– Obawiam się niestety, że wszędzie. Znalazła się pod wpływem głównej fali wybuchu.

Oficer w jednej chwili się rozluźnił. Jeszcze raz obrzucił pomieszczenie wzrokiem, nie spoglądając na policjantów.

– Mieszkańcy Warszawy są obywatelami sprzymierzonego z Francją księstwa, a zatem możemy ich traktować jako podopiecznych cesarza. Zależy nam na ich bezpieczeństwie i znalezieniu winnych ich niefortunnej śmierci – przemówił. – I dopilnujemy, by incydent został wyjaśniony, obiecuję to panu. Policja dostanie od nas stosowny raport ze śledztwa. A teraz proszę opuścić teren, natychmiast.

Gliński skłonił się i ruszył do wyjścia, a za nim jego trzech śledczy.

– Dziękuję za służbę, panowie. – Uśmiechnął się do nich, gdy stanęli przed jego powozem. – Zabierzcie kapitana Ilnickiego do warsztatów, niech się rozgości. Ja muszę wracać do pałacu Saskiego, do pracy urzędniczej. Prześlę posłańcem dokumenty dla pana, Ilnicki, razem z kwotą z funduszu mundurowego i służbową bronią. Aha! Proszę kupić sobie buty.

Pan Michał spojrział na swoje wysłużone obuwie. Podeszwa prawego właśnie ostatecznie się oderwała i but ział rozwartą paszczą.

– Chyba udam się z Rochem do szewca Kilińskiego. – Kapitan skinął głową.

– Dobrze. Obawiam się, że dziś już się nie zobaczymy, bo wieczorem mam kolację u pana Bogusławskiego, dla którego tłumaczę sztukę. A potem, oczywiście, wizytę w teatrze, rzecz nieodzowną – dodał pan Augustyn, ładując się do powozu.

Zmarznięty woźnica zaciął konie i powóz ruszył, z mlaskiem tnąc kołami błoto. Glina pomachał swoim śledczym na pożegnanie i pogrążył się w rozmyślaniach.

IV

Pracownia Jana Kilińskiego, mistrza cechu szewskiego, a także dawnego pułkownika w armii Kościuszki, nie była małym zakładzikiem w ciemnej norze, tylko przyzwoitą manufakturą. Dom, stojący przy ulicy Szeroki Dunaj, szczycił się zajmującym cały parter sklepem z butami. W oficynach na tyłach budynku huczała robota w warsztatach, nad którymi znajdowały się mieszkania czeladników. Była to prawdziwa perła Starego Miasta, przez które przeprowadził pana Michała rozgadany Gogiel. Wielkolud mieszkał tu od urodzenia, znał każdy dom i uliczkę, a także – jak się zdawało Ilnickiemu – każdego oberwańca i proszalnego dziada. Do zakładu szewskiego wprowadził kapitana jak do siebie, złapał za kołnierz najbliższego czeladnika i zażądał widzenia z mistrzem Kilińskim.

Po kilku minutach sławny patriota zaprosił przedstawicieli władzy do siebie, do domu. Przyjął ich w zagraconym sprzętami salonie. Ubrany był w granatową czamarkę, a siedział w masywnym fotelu wykonanym w stylu empire. Na stoliku przed nim stała czara z naparem i leżały rozłożone papiery z tabelkami przychodów i rozchodów. Sam Kiliński dobiegał pięćdziesiątki, ale lata spędzone w twierdzy Pietropawłowskiej dały mu mocno w kość i postarzyły o kilka lat.

– Wybaczcie, panowie, że nie wstanę, by was powitać, ale reumatyzm mi dokucza. Pamiątka po łasce carycy Katarzyny, wyniesiona z jej mokrych i zimnych lochów. – Mówiąc to, podwinął poły czamarki, by ukazać stojącą na podłodze blaszaną miskę z gorącym ziołowym naparem, w którym moczył stopy.

– Ależ proszę się nami nie kłopotać, pułkowniku. – Ilnicki wyprężył się na baczność, a potem z namaszczeniem przedstawił najpierw siebie, a potem swego towarzysza. – To dla mnie zaszczyt spotkać i poznać pana.

Kiliński uśmiechnął się, a potem wsadził w usta dwa palce i zagwizdał. Niemal natychmiast do pomieszczenia wpadło młode dziewczę. Mistrz kazał dziewczynie przynieść kubki dla gości i garniec węgryzna zagrzanego z korzeniami. Pan Michał dostrzegł w rysach twarzy nastolatki podobieństwo do szewca. Polecenie ojca wykonała błyskawicznie, widocznie w kuchni grzał się cały gar przysmaku dla niedomagającego na zdrowiu staruszka.

– Doskonale robi na zmarznięte gnaty, szczególnie w taki ziąb. – Gospodarz przepił do gości. – A do tego poprawia humor i sprowadza błogie sny. Proszę się rozgościć,

panowie, siadajcie. Mam, jak widzicie, nowe umeblowanie salonu, trza wypróbować te francuskie rupiecie. Przyznać muszę, że wyglądają solidnie, a i są całkiem wygodne.

Policjanci przysiedli na wskazanej kanapie. Gogiel uśmiechał się szeroko, zadowolony z przyjęcia. Wychylił swój kubek dwoma głębokimi łykami i otarł usta rękawem, gospodarz nic sobie jednak nie robił z jego barbarzyńskiego zachowania, sam wszak wyrósł z miejskiej biedoty. Ośmielony tym Ilnicki darował sobie grzeczności, rozmowy o pogodzie i zdrowiu dzieci, od razu przeszedł do rzeczy. Poprosił mistrza o ekspertyzę damskich bucików, nie wdając się jednak w szczegóły sprawy. Kiliński zgodził się i z zaciekawieniem obejrzał obuwie.

– Mocno znoszone, na piętach skóra nieco już się przeciera – zauważył. – Przydałoby się poprawić kołeczki w podeszwach i przesyć przy piętach.

– Kołeczki? – burknął Gogiel.

– Podeszwy są klejone z kilku warstw skóry i nabite drewnianymi kołeczkami, zupełnie jak wojskowe obuwie. Nie użyto żelaznych gwoździków, znaczy, że to tańszy wyrób.

– Ale to nie jest obuwie biedoty, prawda? – spytał pan Michał.

– Nie, skąd, podeszwa nie jest drewniana, tylko skórzana, wygodna i miękka. Skóra licowa, ładnie błyszcząca, była często tłuszczona. Buty należały do kobiety niezbyt zamożnej, ale dbającej o siebie i swoje stroje. Hm, powiedziałbym, że właścicielka pochodzi z ubogiej szlachty. Stopę ma wąską i dość długą. Wysoka, może mieć nawet trzy łokcie wzrostu, ale jest szczupłej i delikatnej budowy. Stąpa lekko, zwiewnie, z pewnością dobrze tańczy.

– Nimfa – mruknął Gogiel. – Raczej nie pasuje na kurwę.

– Czy jest pan w stanie oszacować, kto wyprodukował i sprzedał te buty? – spytał oficer.

– Na pewno nie ja. Znam każdą parę pochodzącą z moich warsztatów – mruknął gospodarz. – Nie ma znaku cechowego wewnątrz, o proszę, niech sam pan spojrzy. Nie ma też inicjałów mistrza. Zrobił je ktoś niezrzeszony i pozbawiony rzemieślniczych tytułów. W mieście nie ma już takich szewców, ale na prowincji jest ich pełno. Niektórzy są naprawdę świetnymi fachowcami, ale żyją w ciemnocie, w jakiejś zapadłej wsi lub zapomnianym miasteczku.

– Zatem obuwie nie pochodzi z Warszawy – westchnął pan Michał i schował buty do kieszeni. – Musimy poszukać niezamożnej rodziny pochodzącej spoza miasta, w której córka lub matka, wysoka i szczupła kobieta, nie wróciła dziś wieczorem do domu. Dziękuję, panie pułkowniku.

– Nie ma za co. Zawsze z największą radością służę ojczyźnie. Czy to w boju, czy ciężką pracą, czy choćby pomocą policji. – Kiliński skinął głową. – Proszę się nie

krępować i przychodzić, kiedy tylko panowie sobie życzą. A teraz może jeszcze wychylimy po kubeczku?

Gogiel z uśmiechem napełnił naczynie gospodarza, ale gdy próbował nalać wino do swego kubka, Ilnicki odwrócił go do góry dnem.

– Dziękujemy za gościnę, ale jesteśmy na służbie. Mam tylko jeszcze jedną prośbę, prywatną. Nie byłoby nietaktem, gdybym przy okazji spytał, czy nie znalazłby pan w swoim sklepie czegoś dla mnie?

– Ależ skąd, dobioreę panu buty z prawdziwą przyjemnością – powiedział Kiliński i wstał, ciągle mając nogi w misce. Znów włożył dwa palce w usta i gwizdnął przeciągle. – Agnieszko, proszę o ręcznik!

V

Wyszli z królestwa mistrza szewskiego po godzinie z okładem. Zadowolony z zakupu Ilnicki maszerował sprężysto, po raz pierwszy od wielu tygodni stawiając nogi pewnie i bez obawy, że zgubi podeszwy. Stare Miasto było jedyną częścią miasta całkowicie wybrukowaną, kapitan mógł więc kroczyć bez obawy o utonięcie w błocie. Sięgające niemal kolan, wykonane na wojskową modłę buty z weluru kosztowały sporo, ale pan Michał miał nadzieję, że pokryje wydatek z obiecanego funduszu mundurowego.

Czuł się coraz lepiej. Właściwie po raz pierwszy od powrotu do Warszawy nie zadreślał się myślami o długach ani fatalnej pozycji rodziny. Otrząsnął się z marazmu i pozerającej go melancholii. W żyłach krew krążyła coraz żwawiej, umysł pracował z każdą chwilą sprawniej. Wdychał głęboko zapachy miasta, dopiero teraz naprawdę je smakując. Wreszcie miał wrażenie, że po latach tułaczki zaczyna wracać do domu. Na swoje miejsce.

– Dużośmy się od szewca nie dowiedzieli – mruknął Roch. – Nic to, tera pójde do siedliscza ohydy i zepsucia popytać o Kolbę i jego kompanię. Może tam coś wyniucham. Pan kapitan miał iść do pracowni, może powiem gdzie to i się, na razie, rozstaniemy.

– Dzień młody, zdążę i pójść z tobą, i potem, jeszcze przy dziennym świetle, obejrzeć dowody. – Pan Michał machnął ręką. – Prowadź do tego siedliska ohydy.

– Nie będziesz pan zachwycony. – Gogiel spojrzał na przełożonego z boku. – To nora, w której zbierają się szumowiny tego miasta.

– Nie wiesz, w jak plugawych miejscach byłem w czasie swoich wojaży – uśmiechnął się oficer. – Warszawskie zbójnickie kloaki mi niestraszne. Prowadź.

– Boję się, że będą kłopoty, jeśli wejdzie tam ktoś obcy.

Po raz pierwszy olbrzym zrobił niepewną minę, ale i ona nie wywarła najmniejszego wrażenia na kapitanie. Potrzebował przygody, by rozruszać mięśnie i przypomnieć sobie, jak to jest być człowiekiem czynu. Dawnemu milicjantowi nie pozostało zatem nic innego, jak zaprowadzić nowego szefa do jednej z bardziej plugawych karczm w mieście.

Zeszli przy murze barbakanu wąską ścieżką w dół, w kierunku Wisły. Po paru minutach marszu znaleźli się w dawnej jurydyce zwanej Mariensztatem, zabudowanej ciasno kamieniczkami, w których podwórkach mieściły się warsztaty rzemieślników najróżniejszego autoramentu. Im bliżej rzeki, tym domy stały coraz rzadziej, wreszcie

kamienice ustąpiły drewnianym budom i samotnie stojącym chałupom. Pomiędzy nimi tkwiła stara karczma – duży dwór z poddaszem. Ściany z sosnowych bali całkiem poczerniały ze starości i rozeschły się, tworząc przerwy, które przez lata łatanosmołowanymi pakułami.

Policjanci weszli przez krótką sień do ciemnej, przestronnej sali. Przez małe okienka z szybami z mętnego szkła leniwie sączyło się dzienne światło. Pod sufitem tkwiły kandelabry zrobione z kół od wozów, gęsto naszpikowane łożówkami. Przy podłużnym stole w kącie karczmy, mimo wczesnej pory, siedziało kilku ponurych typów w towarzystwie dwóch podstarzałych dziwek. Całość wyglądała jak przeniesiona z siedemnastego wieku. W takich miejscach czas zatrzymał się dawno temu.

Gogiel podszedł do karczmarza, chudego mężczyzny w nieokreślonym wieku z mocnym rozbieżnym zezem. Ilnicki spokojnie kroczył za wielkoludem. Widząc naprawdę paskudne gęby klientów przybytku, którzy nie spuszczały wzroku, poczuł się nieswojo. Czy nie przesadził z euforią i ochotą do pchania się w kabałę? Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma swojej szabli ani żadnej innej broni.

– Witajcie, panie Kolecki. – Roch skinął głową karczmarzowi. – Dawnośmy się nie widzieli.

– I Bogu dzięki, jakoś nie tęskniłem – burknął zezowaty, opierając się oburącz o stół. – Nie potrzeba nam tu szpicli i salcesonów. Czego pan chcesz?

– Przyszedłem się spotkać z moim starym druhem, Kolbą. Nie widzieliście go ostatnio? Nie wiecie, z kim chodzi na robotę i gdzie ma melinę? Może u was trzyma fanty? – Gogiel kątem oka obserwował obwiesi zgromadzonych w kącie. Dziwki wstały i przeszły w drugi koniec pomieszczenia, czyli zanosiło się na rozróbę, w której nie chciały brać udziału.

– Kolba? Nie znam – wyzywająco warknął szynkarz.

Ilnickiemu od początku nie podobał się ten brudny typ, na milę śmierdziało od niego stręczycielstwem, paserstwem i przemytnictwem. W dodatku nie dało się powiedzieć, gdzie właściwie patrzył albo czy mrugając, nie dawał znaków typom w kącie.

– Czegou tu szukasz, Dziobaty? – spytał jeden z bandziorów, obrzucając Rocha nielubianym przez niego przezwiskiem z dawnych czasów. – Przyprowadziłeś nową dziewczynę? Twoja narzeczona? Ali chcesz byśmy ją wypróbowali? Niech ściąga galoty i się wypnie.

Wszyscy zgodnie zarechotali, patrząc wyzywająco na kapitana. Śmiał się też karczmarz, za nic mając powagę urzędu, którą reprezentowali przybyli. Oficer szybkim ruchem chwycił go za tłuste, rzadkie kłaki na czubku głowy i pociągnął w dół. Ręce zezowatego się rozjechały, a twarz trzasnęła w masywny blat stołu. Chrupnął miażdżony nos.

Mężczyzna wrzasnął z bólu. Pan Michał pchnął zakrwawionego szynkarza i założył ręce na piersi.

– Może trzeba odświeżyć ci pamięć, chłystku? Gadaj, co wiesz o Kolbie, i to szybko!

Karczmarz, zgięty w pół, wył z bólu, oburącz trzymając się za krwawiący nos. Bandziory poderwały się od stołu, w ich łapach pojawiły się noże i krótkie pałki.

– Pewnie i tak byśmy tego nie uniknęli – westchnął Gogiel, a potem wyszczerzył się w szerokim uśmiechu do zwierzchnika.

Ilnicki odpowiedział uśmiechem i złapał najbliższą ławę. Chciał unieść ją nad głowę i cisnąć w przeciwników. Niestety, wszystkie meble zostały przybite gwoździami do podłogi, by uniknąć wykorzystania w podobnych sytuacjach. Grasanci znów zarechotali.

– Ściągaj spodnie, salceson – parsknął pryszczaty typ, który pierwszy zaczepił policjantów. – Szykuj dupę, zobaczymy, czy da się z ciebie zrobić dziewczkę.

Roch jednym ruchem rozwiązał sznur, którym związana była jego kapota, i rozsunął jej poły. Sięgnął do niewidocznej dotychczas pochwy u pasa i wyciągnął z niej tasak pruskiej piechoty – krótką szabelkę o ostrzu długim na łokieć. Ryknął basowo i ruszył naprzeciw bandziorem. Dał susa na ławę, z niej wskoczył na stół i wymierzył kopniaka w głowę najbliższemu przeciwnikowi. Zasłonił się ostrzem przed cięciem nożem i natychmiast zaatakował, tnąc napastnika w ramię.

Ilnicki skoczył z gołymi rękoma na mężczyznę, który próbował zająć Gogiela z tyłu. Pryszczaty drab odwrócił się do kapitana i splunął mu w twarz, po czym runął na niego, wymachując pałką, z której końca sterczały wbite pod różnymi kątami żelazne hufnale. Kapitan wygiął się w tył. Pałka świsnęła przed jego twarzą. Pan Michał wyprostował się i błyskawicznie, niczym atakujący wąż, trzepnął pięścią w bok głowy przeciwnika. Bandzior jęknął i zatoczył się, tracąc równowagę. Oficer znów zrobił rozpaczliwy unik. Tym razem z boku ktoś próbował go dźgnąć nożem. To jedna z dziwek. Zdradziecka suka! Złapał wyciągniętą rękę za nadgarstek i szarpnął ją do siebie. Trzasnął czołem w twarz prostytutki, aż zadudniło. Wykręcił jej rękę i wyrwał nóż. Kobieta usiadła na ziemi, a po sekundzie zwała się bezwładnie na bok.

Tymczasem olbrzym przyjął główne siły wroga na siebie. Rąbał i ciął znad głowy jak oszalały. Zmusił złoczyńców do cofnięcia się, obficie zraszając ich krwią ściany i podłogę karczmy. Wprawdzie większość z nich broczyła z płytkich ran na ramionach i nikt nie sprawiał wrażenia ciężko rannego, ale w błyszczących oczach obwiesi płonęła żądza mordy. Dwaj policjanci podpisali na siebie wyrok.

– Ja wam dam, skurwysyny – wybełkotał przez łyzy zakrwawiony szynkarz.

Sięgnął za stojącą przy drzwiach do kuchni beczkę i wydobył stary muszkiet z odpiłowaną w połowie lufą. Odciągnął kurek i uniósł broń. Kapitan, który stał dwa

kroki od niego, ze zgrozą zauważył, że panewka broni była obficie podsypana prochem. Kolecki cały czas trzymał obrzyna gotowego do strzału!

Nie zastanawiając się ani chwili, oficer rzucił się na karczmarza i podbił ręką lufę. Zezowaty zadziwiająco sprawnie wymierzył mu cios kolbą, ale chybił. Ilnicki już się z nim zwał i przystawił ostrze zdobycznego noża do gardła.

– Spokój! – ryknął. – Spokój, bo urznę mu łeb!

Bandyty zastygli w bezruchu. Druga z panienek klęknęła przy towarzyszyce i próbowała ją ocucić. Pryszczaty, ciągle oszołomiony ciosem kapitana, wyraźnie stracił animusz. Rzucił pałkę na podłogę i usiadł na najbliższej ławie.

– Odpowiesz wreszcie na pytanie, gdzie urzęduje Kolba? – cicho spytał rozdygotanego karczmarza Ilnicki. – Czy mam urznąć ci ucho w ramach poprawiania pamięci?

– Robi teraz z młodym Jaśkiem i Chromym. Mieszkają u tego pierwszego, w chałupie na Powiślu. Szara buda z zarwanym dachem na wprost wylotu Drewnianej. Naprzeciw kapliczki.

– Z jakim Jaśkiem? – sprecyzował Gogiel.

– Cholera wie, czy ma jakieś nazwisko. Syn niedawno zmarłego piaskarza, nowy w fachu.

– Przesiaduje zwykle z kompanami u starej Mańki – niespodziewanie odezwała się dziwka cucąca towarzyszkę. – Tu przychodzą tylko upłynnić fanty. Idźcie już, panowie policjanty, nic więcej się nie dowiecie.

Ilnicki pchnął szynkarza, aż ten usiadł na podłodze. Wyrwał mu z ręki muszkiet i wyciągnął z kurka krzemień, zabezpieczając w ten sposób broń. Skinął na Rocha i jako pierwszy wyszedł na zewnątrz.

– Nie spodziewałem się, że z pana taki chojrak – powiedział Gogiel, gdy odeszli kawałek od karczmy.

– To tylko rozgrzewka, panie śledczy – uśmiechnął się kapitan. – Coraz bardziej jestem ciekawy, kto i po co wysadził w powietrze kobietę w pałacu. Podejrzewam, że rozwalimy jeszcze niejednego łeb, zanim się tego dowiemy. Wiesz, gdzie jest melina starej Mańki?

– Pewno. Kiedyś często się tam bywało. To traktiernia na Powiślu, dla rybaków i robotników z okolicznych manufaktur.

– Prowadź zatem – krótko rozkazał pan Michał.

VI

Otoczone wysokim płotem drewniane zabudowania na ulicy Niskiej jeszcze kilkanaście lat wcześniej pełniły funkcję wojskowych laboratoriów, zajmujących się głównie fabrykacją amunicji i fajerwerków. Na skutek protestów okolicznej ludności, która bała się, że któregoś dnia warsztaty wylecą w powietrze i pożar pochłonie całą jurydykę, a może nawet i większą część miasta, produkcję przeniesiono do kuźni artylerii koronnej przy pałacu Słomińskich. Budynki przez kilka lat stały puste, jak wiele rządowych i prywatnych zabudowań w wyludnionej Warszawie czasu pruskich rządów, potem skoszarowano tu francuskie wojsko, a gdy to się wyniosło, laboratoria przejęła policja. Gliński kazał urządzić w pawilonach magazyny na zarekwirowane towary i dowody w prowadzonych śledztwach, w największym budynku zaś – mały areszt śledczy i biuro badawcze z prosektorium. To właśnie miejsce policjanci nazywali warsztatami i tu miał zjawić się kapitan Ilnicki. I zjawił się, zgodnie z poleceniem Glińskiego, ale dopiero wieczorem i w towarzystwie Gogiela, niosącego przerzuconego przez plecy nieprzytomnego chłopaka. Obaj policjanci szli rozchwianym krokiem, ale trzymali się niezłe, zważywszy na liczbę trunków, które dziś wypili.

Roch zadudnił pięścią w drewnianą bramę posesji i rozdarł się na całe gardło, wzywając Macieja, który pełnił tu funkcję stróża. Otworzył im zaskakująco szybko i ponagłająco machając ręką, wpuścił do środka. Strażnik warsztatów okazał się żwawym, chudym staruszkim z imponującymi białymi wąsiskami. W czasach augustowskich był magistrackim inwestygatorem, a pan Augustyn znalazł go kilka miesięcy temu zebrzącego pod kościołem i przywrócił do służby. Maciej skinął Ilnickiemu głową na powitanie, obrzucając go przy tym ciekawym spojrzeniem.

– Śmierdzi od was gorzałą na milę – chrypiącym głosem powiedział staruszek. – Ekscelencja nie będzie zachwycony...

– Jaki znowu ekscelencja? – spytał pan Michał.

Gogiel drgnął i zaklął ze zgrozą. Zdawał sobie sprawę, że Maciej nie dość, że kocha Glińskiego całym sercem, to jeszcze traktuje go z najwyższym możliwym szacunkiem. Jeśli już kogoś tytułował „ekscelencją”, to mogło chodzić wyłącznie o sekretarza generalnego policji.

– Jak to... ekscelencja? – jęknął wielkolud. – Przecież miał mieć kolację z dyrektorem teatru, a potem iść na przedstawienie. Sam nam mówił!

– Widocznie zmienił plany. – Ilnicki wskazał kiwnięciem na powóz stojący na placu otoczonym przez zabudowania warsztatów.

W pierwszej chwili nie zauważyli w ciemnościach odsłoniętego wozu, którym zwykle podróżował ich szef, ani kręcącego się przy pojeździe woźnicy. Obaj pomaszerowali zwawo w kierunku głównego budynku. W oknach na dole widać było światło. Ilnicki poprawił cylinder i kołnierz koszuli, Gogiel splunął tylko na ziemię i śmiało ruszył do środka. Za drzwiami natknęli się na ciężki kontuar, przy którym w przyszłości miał zasiadać dyżurny, obecnie jednak nie było nikogo. Przeszli długim, ciemnym korytarzem z dwojgiem lub trojgiem drzwi, które Roch zignorował. Zapukał dopiero w ostatnie i poprawiając przewieszzonego przez bark nieprzytomnego chłopaka, wszedł do rozjaśnionego dwoma świecznikami salonu.

Przed przysadzistym piecem kaflowym klęczał Szaja Appenszlak i pogrzebaczem poprawiał ogień w palenisku. Obok, na długim, masywnym stole, leżały rozłożone rupiecie oraz pogięte i porwane wybuchem żeliwo – dowody przywiezione z miejsca zbrodni. Przy blacie, na wysokim krześle, siedział doktor Ritter, przeglądając własnoręcznie sporządzony spis znalezisk. Gliński stał przy oknie, tyłem do sali. Kiedy drzwi się otworzyły i mężczyźni weszli do środka, odwrócił się niespiesznie, pykając z fajki.

Kapitan czuł się strasznie głupio. Wiedział, że na twarz wypłynął mu rumieniec wstydu. Nie dość, że nie posłuchał przełożonego i natychmiast nie przybył na posterunek, to jeszcze pierwszego dnia pracy urznął się jak świnia. Choć nie widział złości na twarzy oficjalisty, był przekonany, że szef musi być wściekły. Pan Michał w ostatniej chwili powstrzymał się przed zaskutkowaniem do cylindra, niezdarnym ruchem zdjął nakrycie głowy i wyprężył się na baczność.

– Widzę, że udało się wam aresztować podejrzanego – spokojnie zauważył Gliński. – Rochu, połóż tego nieszczęśnika na kozetce. Wygląda bardzo słabo.

Faktycznie, przez nienaturalną pozycję, w której podróżował, twarz chłopaka zrobiła się purpurowa. Zaczął też charczeć i jęczeć. Kiedy tylko wielkolud rzucił go na pozbawione choćby siennika łóżko, młodzieńcem wstrząsnęły wymiotne skurcze. Gogiel podsunął mu drewniane wiadro.

– Pozwoli pan, że wyjaśnię swoją nieobecność i przedstawię postępy śledztwa. – Ilnicki prężył pierś, trzymając pod pachą cylinder niczym ułan swoją rogatywkę.

– Spocznij – rozkazał pan Augustyn. – Bardzom ciekaw, co panowie robiliście przez cały boży dzień. I co skłoniło was do picia żydowskiej, podłej siwuchy. Śmierdzi od was fuzłami jak z gorzelnianej kadzi. Proszę zdjąć pelerynę, nie musi pan już stać, jakby połknął kij. Tam jest wieszak.

Oficer posłusznie zawiesił na nim pelerynę i nakrycie głowy, a potem złożył ręce za plecami i zaczął zwięźle meldować:

– W toku śledztwa udało się nam dotrzeć do współnika zabitego w zamachu bandyty o pseudonimie „Kolba”. To ten młodzieniec. Wiek mniej więcej siedemnaście lat, nazywany po prostu Jaśkiem. Nazwisko nieznane, możliwe, że nie posiada. W czasie przesłuchania zeznał, że w feralną noc, w towarzystwie Kolby i Chromego, który jest prawdopodobnie drugim zabitym, udał się na Żoliborz celem przeprowadzenia rozbójniczego napadu.

– Hersztem bandy był Kolba – wtrącił Roch. – Ten szczeniak miał stać na czatach, nie jest kosiorem z prawdziwego zdarzenia, jeszcze nie posmakował krwi.

– Przestępcy nie mieli wypatrzonego celu napaści – kontynuował pan Michał. – Parę godzin włóczyli się po okolicy, czekając na okazję. Ofiarą miał paść samotny przechodzień lub przejeżdżający powóz. Kolba jednak zdecydował się na wtargnięcie na teren pałacyku. Po przeskoczeniu płotu bandyci zatrzymali się, by wybrać dogodny moment do ataku. Dostrzegli wtedy stojącą na dziedzińcu bogato zdobioną karetę, z której wysiadło dwóch mężczyzn. Francuski oficer i dostojnik w peruce. Po chwili przed pałacyk podjechała buda, która przywiozła młodą kobietę w jasnej sukience i o blond włosach. Kobieta weszła do pałacyku, a tylnym wejściem wtargnęli tam Kosa i Chromy. Mieli obezwładnić przybyłą i zacząć się na dwóch Francuzów. Wtedy nastąpił wybuch.

– Postanowiliśmy sprawdzić, czy dziewczka była aksamitką z miasta, mającą obsłużyć zabojadów – znów wtrącił Roch, który bezczelnie rozwalił się w stojącym w kącie fotelu. – Aby nie tracić czasu, pan Ilnicki zdecydował, że odnajdziemy opiekuna zabitej, znaczy znajdziemy burdel, w którym pracowała. Kobieta była wysoka, młoda i bardzo ładna, umiała ponoć pięknie tańczyć. Tak powiedział mistrz Kiliński. Stwierdziliśmy, że właściciela takiego cukierczka z pewnością szybko odszukamy. Jeśli oczywiście panna była dziwką. Wzięliśmy więc chłopaka i ruszyliśmy na poszukiwania...

– I z każdą burdelmamą musieliście wypić kielicha? – spytał Szaja.

– Żałujesz, że cię z nami nie było? – burknął olbrzym.

– Razem ze śledczym Gogiem przeprowadziliśmy przesłuchania właścicieli domów publicznych, szczególnie w okolicach, gdzie kwitnie handel żywym towarem – formalnym tonem kontynuował Ilnicki. – Odwiedziliśmy osiem przybytków na Trębackiej, kolejnych kilka na Żabiej, dalej były Świętojańska, Wałowa i Oboźna. Darowaliśmy sobie zamtuzy stojące w okolicach koszar, jak również dziewczki uliczne, bo nasza, przynajmniej według opisu Jaśka, na równie plugawą nie wyglądała. Przyznaję, że by zachować dobre stosunki z indagowanymi, byliśmy zmuszeni w ich towarzystwie spożywać napoje serwowane w lupanarach z wyszynkiem.

Gliński wydmuchnął dym, więc wyrazu jego twarzy kapitan nie dostrzegł.

– Wie pan, że nie dalej jak trzy miesiące temu sporządziliśmy kartotekę większości aksamitek w mieście? – odezwał się znad papierów doktor Ritter. – Z opisami wyglądu i stanem zdrowia. Wydaliśmy też każdej książeczki zdrowotne. To potrzebne do utrzymania porządku zgodnie z Kodeksem Napoleona. Cała kartoteka jest w pokoju za ścianą.

– Ale co by nam dał rysopis dziwki? – burknął Roch. – Chcieliśmy się dowiedzieć, która burdelmama wysłała dziewczynki Francuzom i która z jej dziewczyn nie wróciła z nocnej roboty. Tego w pana kartotekach nie ma.

– I ustaliście tożsamość zabitej? – spytał sekretarz generalny.

– Niestety nie – odparł pan Michał. – Okazało się, że obywatele francuscy bardzo chętnie korzystają z usług warszawskich prostytutek, często bywają w lupanarach i czasem biorą dziewczyny do siebie. Także oficerowie i kanceliści, zdarza się, że bardzo wysoko postawieni. Okazuje się jednak, że z żadnego z przybytku nie zaginęła wczoraj dziewczyna.

– Mniejsza z tym – burknął Szaja, wreszcie zamykając drzwiczki pieca i podnosząc się z klęczek. – Po pierwsze, wybuch zabił dwóch bandytów i jakąś nieznaną bliżej dziwkę. Srał ich pies, i jednych, i drugich mamy w Warszawie aż nadto. Po drugie, nic się nie stało dwóm wygalantowanym Francuzom. Po trzecie, żabojady nie życzą sobie, byśmy węszyli przy tej sprawie. Roboty mamy aż nadto z wyłapywaniem przemytników zwożących do miasta angielskie towary, może więc zajmiemy się pilną robotą, a o tej sprawie jak najszybciej zapomnimy?

Zapadła cisza. Gliński zaczął przechadzać się po pomieszczeniu, niespiesznie pykając fajeczkę. Kilkakrotnie zerkał w okna.

– Mnóstwo osób życzy sobie, byśmy natychmiast zakończyli dochodzenie – odezwał się po dłuższej chwili. – Wyciągnięto mnie w tej sprawie z obiadu u pana Bogusławskiego. Zostałem postawiony przed ministrem policji, który nakazał wszelką dokumentację i zgromadzone dowody przekazać Francuzom. Skwitował całą sprawę podobnie do pana Appenzlaka, choć nie tymi słowy. Hrabia Potocki sprawiał wrażenie podenerwowanego, chyba dostał w tej sprawie polecenie z góry...

– Znaczy od kogo? – zahuczał Gogiel.

– Od premiera lub od pana Vincenta – odpowiedział Ilnicki.

– Jestem niezwykle ciekaw: czemu tak bardzo im zależy na zamknięciu tej sprawy? – uśmiechnął się pan Augustyn.

Znów zapadła cisza. Kapitan przymknął powieki, walcząc z rosnącymi zawrotami głowy. Ciepło bijące od pieca powodowało, że wódka zaczęła go rozbierać. Trunek nie należał do tych najwyższego gatunku, więc teraz do gardła podchodziła mu treść

żołądka. Miał wrażenie, że za chwilę dołączy do Jaśka, który w trakcie rozmowy zdążył już wymiotować kilka razy.

– Może najwyższa pora stwierdzić, że dziewczyna wcale nie była dziwką? – powiedział.

– Otóż to. – Gliński skinął głową. – A dwaj Francuzi wcale nie musieli być tymi, na kogo wyglądali.

– I co, szefie, zrobimy? – spytał Roch.

– Chcę się dowiedzieć, co tam zaszło. Dla zasady. Nie lubię, gdy w moim mieście dzieją się jakieś paskudne rzeczy, a policja nic o nich nie wie. Kapitan Ilnicki spróbuje doprowadzić się do ładu i jeszcze dziś obejrzy znalezione odłamki. Jutro o świcie stawi się po nie posłaniec, który w imieniu Wielkiej Armii zabierze wszystkie dowody. To polecenie ministra. Ma pan zatem czas do rana, kapitanie. Do południa chcę widzieć meldunek z ekspertyzy na moim biurku, w pałacu Saskim. Szaja zaczai się na posłańca i wysledzi, gdzie ów zanieś przejęte dowody i komu je odda. Roch zaopiekuje się tym dzieciakiem. Mam wobec niego pewne plany. A pan, doktorze, opisze ciała zabitych i przekaże je do pochowania w mogiłach biedoty, na koszt miasta. Dziękuję panom, miłej nocy.

Sekretarz generalny wysypał popiół z fajki i schował ją do kieszeni. Podeszedł do wieszaka i zdjął frak. Zakładając go, spotkał się spojrzeniem z Ilnickim.

– Panie Gliński, proszę wybaczyć mi niedyspozycję. Pragnę zapewnić, że pijaństwo w trakcie służby nie jest u mnie normą i nie będzie się więcej powtarzało.

– Nie musi się pan tłumaczyć. Rozumiem, że było to koniecznością. Jeśli będzie usprawiedliwione pozytywnymi postępami dochodzenia, nie mam nic przeciwko. Martwi mnie jedynie, by nie uległ pan deprawacji. Rozumiem, że wy, śledczy, macie bezpośredni kontakt z przestępcami, że złem i z zepsuciem, nurzacie się w nich, brudzicie dla dobra miasta, dla nas wszystkich. Wielu zdolnych policjantów, szkolników, inwestygatorów pograżyło się w mroku tak głęboko, że ten ich pochłonał. Proszę na siebie uważać, kapitanie.

Pan Augustyn założył kapelusz i wyszedł.

VII

Chrapanie Rocha zdawało się wstrząsać całym budynkiem. Ilnicki z bolesną miną spojrzął na rozwalonego na podłodze i przykrytego własną kapotą wielkoluda. Nie miał już sił złościć się na byłego milicjanta, musiał przywyknąć do dudniących odgłosów, które ten wydawał. Nie przeszkadzały one zupełnie Jaškowi, śpiącemu z upiornie bladą twarzą na służbowej kozetce. Pan Michał nawet raz sprawdził, czy chłopak żyje, ale wyglądało na to, że zatrucie wódką tylko go wymęczyło. Kapitan za to czuł się jak wyciągnięty z grobu. Wypił wszystko ze skromnych zasobów kuchni, czyli dzbanek zwietrzałego piwa i dwa kubki skwaśniałego mleka, ale i tak czuł w gardle pustynną suszę. Najgorszy był jednak upiorny ból głowy, utrudniający skupienie. Skronie ścisnęły niewidzialne imadła, a w czoło aniołowie walili niebiańskimi młotami. Ilnicki nie spodziewał się, że służba w policji może okazać się tak ciężka.

Resztkami sił zgarnął ze stołu do skrzyni pozostałe odłamki zebrane na miejscu wybuchu. Westchnął ciężko. Wrzucił do pojemnika także spis przygotowany przez doktora Rittera, po czym zakrył wieko. Ostatnia świeczka dopalała się powoli, więc za chwilę i tak musiałby skończyć robotę. Jeszcze raz spojrzął na jedyne pozostawione na blacie znaleziska, pracowicie wygrzebane z rupieci. Spośród odłamków, kawałków sprzętów i drobnych przedmiotów zwróciło jego uwagę kilkanaście kół zębatach, wyglądających jak części dużego zegara. Nie znalazł nigdzie tarczy ani wskazówek, za to do zegarowej sprężyny przymocowano trzpień z zamocowanym pistoletowym kurkiem. Czymkolwiek było to urządzenie, raczej nie służyło do pomiaru czasu.

Zebrał zagadkowe szczątki i wsunął je do płóciennego woreczka. Ten nie trafi do Francuzów, ale razem z meldunkiem kapitana zostanie rano przekazany Glińskiemu. W liście do szefa Ilnicki wyliczył na podstawie oględzin odłamków, że w pałacyku wybuchło mniej więcej sześć dwunastofuntowych granatów, tyleż sześćofuntowych, co najmniej jeden fajerbal i jeden kartacz gronowy. Całkiem okazały składzik artyleryjski ktoś zgromadził na Żoliborzu.

Przez chwilę kapitan zastanawiał się, czy nie zdrzemnąć się obok Rocha na podłodze. Dzięki kafłowemu piecowi w pomieszczeniu było bardzo ciepło i przytulnie, aż się nie chciało wychodzić na grudniową noc. Niestety, trudno byłoby zasnąć w towarzystwie chrapiącego wielkoluda, więc zerknął na dokument zostawiony przez Glińskiego, w którym stwierdzono, że „pan Michał Ilnicki został mianowany funkcjonariuszem Policji

Krajowej”. W kieszeni przyjemnie ciążył mu służbowy kawaleryjski pistolet AN VIII, nowoczesna francuska pukawka. Poza tym szef zostawił mu jeszcze, jako fundusz mundurowy, całe pięćdziesiąt czerwonych złotych. Zatem miał przy sobie sumę pozwalającą spłacić pozostałe długi brata. Miło będzie przekazać je bratowej, Hania wreszcie odetchnie.

Kapitan ubrał się i wyruszył w drogę do domu. O trzeciej nad ranem miasto pogrążone było jeszcze w głębokim śnie. Po pustych ulicach hulał wiatr, błoto ściał mróz i można było wreszcie maszerować bez obawy zapadnięcia się po kostki. Świeże, rześkie powietrze powoli stłumiło ból głowy, odeгнаło senność i zmęczenie. Ilnicki czuł się, jakby znów był żołnierzem i wracał do koszar po nocnej służbie. Gdzieś tam, w ciemnościach, za linią frontu czaił się wróg, zmuszając do wzmożonego wysiłku, ale świadomość jego obecności motywowała i dodawała sił.

Nie wiedzieć kiedy dotarł do kamienicy kupionej dawno temu przez ojca. Teraz bratowa wynajmowała większość mieszkań, sama zadowolając się trzema niewielkimi pokoikami, w których gnieździła się z trójką dzieci i gosposią. Pan Michał sypiał w najmniejszym z pomieszczeń, dotychczas należącym do służącej. Nie mógł jednak o tej porze łatwo dostać się do mieszkania. Musiał najpierw dłuższy czas łomotać w furcie bramy, by obudzić stróża, ale nie na tyle głośno, by postawić na nogi wszystkich lokatorów. Wcisnął w dłoń zaspanemu mężczyźnie w gaciach i brudnej koszuli grosz i wreszcie wśliznął się do mieszkania. Marzył o łóżku.

W przedpokoju stała Hania z zapaloną świecą w ręku. Opatuliła się szlafrokiem, spod którego wystawała sięgająca kostek nocna halka. Długie ciemne włosy spięta w niedbały, roztrzepany kok, przez który wyglądała młodo i wesoło. Figurę miała jeszcze dziewczęcą i miłą dla oka. Ilnicki poczuł falę błogości i, niespodziewanie, podniecenia, widząc ją ciepłą i potarganą, prosto z łóżka. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, rozchylić szlafrok, pocałować. Dopiero po chwili dostrzegł, że twarz kobiety ściągnięta była troską. Szeroko otwartymi, wielkimi oczyma patrzyła uważnie na Michała. W jednej chwili zrobiło mu się przykro. Czy tak samo wyczekiwała jego brata, który wracał nad ranem pijany z domu uciech, gdzie przy zielonym stoliku przegrywał majątek?

– Wszystko w porządku, Michale? Martwiłam się o ciebie – szepnęła niepewnie, jakby z obawą. – Czekaliśmy z obiadem, potem kazałam Jance zostawić dla ciebie kolację. Kasza ze skwarkami czeka na kuchni, jeszcze ciepła.

Pewnie rozeźlony przegranymi małżonek wpadał w gniew, gdy wyczekiwała go tak niczym żywy wyrzut sumienia. Bił ją? Wyzywał? Ilnicki zdjął cylinder i uśmiechnął się łagodnie.

– Wybacz, Haniu, zatrzymały mnie pewne sprawy – powiedział.

Kobieta cofnęła się o krok. Przez jej twarz przebiegł grymas strachu, może obrzydzenia. Wyczuła przetrawioną wódkę w jego oddechu, dostrzegła chwiejne ruchy. Opuściła wzrok, czekając, aż się rozbierze.

– Zostawię ci świecę – powiedziała. – Pójdę już.

– Czekaj. – Złapał ją za dłoń.

Nie wyszarpnęła ręki, ale cała zeszywniała. Spojrzała mu w oczy. Bił od niej smutek i ból, kapitan dostrzegł też strach. Mąż brał ją po pijanemu? Gwałcił? Zmuszał do ohydnych czynów? Tego samego spodziewała się po nim?

– Znalazłem zajęcie, pracę – powiedział. Wyciągnął z kieszeni kamizelki mocno wypchany pugilares i włożył go w jej dłoń. Dopiero wtedy ją puścił. – Tu jest ponad sto pięćdziesiąt czerwieńców. Razem z dwiema setkami, które mamy w kufrze, wystarczy do spłacenia ostatniego wierzyciela. Zostanie tylko hipoteka domu do pokrycia. Za rok, dwa będziemy wolni.

Patrzyła oniemiała to na niego, to na pugilares.

– Będziesz pracował? Ty?

Groźnie zmarszczył brwi.

– Nie bierz mnie za brata. Nie wszyscy Ilnicy są utracjuszami – powiedział z urazą w głosie. – Od dzisiaj jestem dowódcą Wydziału Policji Śledczej przy Biurach Policji Krajowej. Będziesz mogła żyć w spokoju, bez troski o brak środków do życia.

– Nie musisz mnie o tym zapewniać, wiem, że nas nie zostawisz. Jesteś człowiekiem honoru, udowodniłeś to, otaczając mnie i dzieci opieką – powiedziała i uśmiechnęła się po raz pierwszy od tygodni. Michał poczuł gorąco rozplywające się w piersi. Mimo że nieuczesała i niewbita w gorset, wyglądała obłudnie. Uśmiech niesamowicie ją odmładzał i dodawał jej uroku. – Cieszę się i co dzień Bogu dziękuję, że Joachim miał ciebie za brata. Wiem, jakim jesteśmy dla ciebie obciążeniem, i nie potrafię wyrazić wdzięczności za to, co dla nas robisz.

– Nie musisz mi dziękować. To nie tylko mój obowiązek, Haniu – powiedział. – Zaopiekowałbym się tobą, nawet gdybyś nie była moją bratową. Kocham was, ciebie i dzieci, jak własną rodzinę.

Hania znów się uśmiechnęła, jej oczy lśniły ognisćcie. Może zachętą, może obietnicą? Zbliżyła się do Michała, poczuł jej ciepło i zapach. Oszłamiający zapach gorącej kobiety, która dopiero co wyszła z łóżka. Wsunęła mu świecę w rękę i położyła dłoń na piersi, a potem pocałowała w usta. Tylko lekko musnęła, ale i tak mało nie zemdlął z podniecenia.

– Ależ jesteśmy rodziną – szepnęła. – I też wszyscy bardzo ciebie kochamy.

Odwróciła się i znikła w pokoju, w którym spała razem z dziećmi. Ilnicki musiał oprzeć się o ścianę i parę chwil łapać oddech, by zapanować nad chucią. Nie pamiętał

już, kiedy ostatnio miał kobietę, ale chyba minęły wieki. Potem, gdy dotarł do kuchni i szukał w niej czegoś do picia, z trudem się hamował, by nie zacząć śpiewać. Dawno nie czuł się tak szczęśliwy. Zasnął snem sprawiedliwego, pełen nadziei i zadowolenia.

Wreszcie wrócił do domu. Do swego domu.

VIII

Ministerstwo Policji było młodym i jeszcze małym urzędem. Nie zostało podzielone na wydziały, a zajmowało jedynie kilka gabinetów w pałacu Saskim. Garstka oficjalistów, kancelistów i sekretarzy od kilku miesięcy gorączkowo próbowała opanować chaos i stworzyć urząd z prawdziwego zdarzenia. Na ich barkach spoczywało nie tylko dbanie o bezpieczeństwo w Księstwie, ale też o więziennictwo, cenzurę prasy, służbę celną i wywiadowczą, łapanie włóczęgów i szpiegów, pilnowanie urzędów i budynków publicznych, walkę z fałszerzami, organizację straży pożarnej, stan dróg i wywóz nieczystości, a nawet odśnieżanie ulic.

Od ranka policyjni urzędnicy miotali się z dokumentami, gnali w tę i z powrotem po korytarzach, wrzeszczeli na siebie i toczyli heroiczny bój o opanowanie sytuacji. Porządek i cisza wracały, gdy do ministerium przychodził hrabia Potocki. Uspokoić urzędników potrafił także pan Gliński, który brał ich grzecznością i życzliwością. Nie szczędził im pochwał i chętnie rozdawał awanse oraz premie – ku niezadowoleniu skąpego ministra. Sekretarz generalny przybywał do pałacu rankiem, po drodze zahaczając o ulubioną cukiernię, gdzie wypijał kawę. Siedział w kancelarii do południa, po czym wyruszał na obiad. Wracał do pracy koło piętnastej, ale nie zawsze, czasem bowiem na mieście zatrzymywały go różne „śledztwa” i „dochodzenia”.

Tego dnia nie wytrzymał nawet do obiadu. Przestudiował kilkakrotnie meldunek od Ilnickiego i sprawozdanie z oględzin zwłok napisane przez doktora Rittera. Obejrzał kółka zębate, które tak zaintrygowały kapitana, a potem sporządził raport kończący dochodzenie dla ministra Potockiego. Nie pominął w nim wiele, wspomniał nawet o Jaśku, jedynym świadku zdarzenia. Napisał też, gdzie młodzieniec jest przetrzymywany i że gdyby nie zamykano śledztwa, można by wykorzystać chłopaka do identyfikacji podejrzanych Francuzów. Potem przekazał dokument sekretarzowi i jeszcze nim zegar ratusza wybił południe, wymknął się z pałacu Saskiego.

Tym razem nie zaszedł do żadnego z ulubionych lokali, a przez Marywil pomaszerował prosto na Stare Miasto. Wszedł w główną jego ulicę, Świętojańską, ciągnącą się na wprost Zamku Królewskiego, gdzie pewnym krokiem skierował się do jednej z kamienic. Wszedł do warsztatu zegarmistrzowskiego Franciszka Gugenmusa i zasapany oparł się o stół, przy którym pracował młody terminator.

– Powiedz mistrzowi, że przyszedłem – mruknął do eleganckiego subiekta, który natychmiast stanął za jego plecami.

– Mistrz miał właśnie wychodzić, ale może jeszcze pana przyjmie. Proszę łaskawie usiąść i poczekać.

Gliński z ulgą opadł na wskazany fotel. Poluzował ciasno zawiązany fontaż i rozejrzał się z ciekawością po sklepie. Choć był tu nie pierwszy raz, zawsze z przyjemnością oglądał dzieła Gugenmusa. Stary Niemiec szczylił się posiadaniem tytułu *horloger du roi* – zegarmistrza królewskiego, nadanego mu przez króla Stanisława. Był ostatnim warszawskim rzemieślnikiem noszącym tak nobilitujące i zaszczytne miano. A że tytuł zobowiązywał, zegary pana Franciszka, wszystkie bez wyjątku, były istnymi cackami, obficie zdobionymi w barokowe ornamenty i piękne grawerunki. Błyszczały polerowaną miedzią i złotem, lśniły szkłem i lakierowanym drewnem. W pomieszczeniu zdawały się wszystkie żyć, brzmiało nieustanne tykanie, zlewające się w jeden szum niczym brzęczenie pszczoł w ulu.

– Jakże się cieszę. Dawno nie zaszczylił mnie pan swoją wizytą, kochany panie Augustynie! – Staruszek pojawił się w drzwiach szeroko uśmiechnięty, z rozłożonymi rękoma, jakby miał wziąć policjanta w ramiona. Mówił płynną polszczyzną, bez śladu akcentu, gdyż wychował się i całe życie spędził w Polsce. – Mam dla pana kilka wspaniałych okazów. Przyszły pocztą kilka dni temu. Proszę do mnie, na górę.

Gliński uściśnął serdecznie rękę zegarmistrza, z ukosa przyglądając się jego strojowi. Sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna nosił się według mody sprzed pół wieku. Kolorowy surdut, czarne spodnie do kolan, spod których wystawały białe pończochy, trzewiki na obcasie z wielkimi srebrnymi sprzączkami, a przede wszystkim biała peruka z lokami nadawały mu wygląd dworzanina z odległych czasów.

Wprowadził policjanta do swego przestronnego gabinetu, w całości, od podłogi po sufit, wypełnionego książkami. Zbiór był imponujący, nie ograniczał się oczywiście do dzieł polskich, niemieckich i francuskich, zawierał także cenne rękopisy po łacinie. Oficjalista został usadzony przy wielkim biurku, na którym tykał zegar z tarczą otoczoną warszawskimi syrenami i z białym orłem w centrum. Gugenmus, gadając jak nakręcony, znikł na chwilę w garderobie, by wrócić z mahoniowym pudełkiem w jednym ręku i szkłem powiększającym w drugim. Wręczył przyrząd policjantowi i zaczął podawać cenne przedmioty z pudełka.

– Kilka z tych okazów z pewnością pana zadowoli, to unikaty. Proszę, oto piękny portugał Zygmunta Augusta. – Włożył w dłoń Glińskiego okazałą złotą monetę. – Do tego srebrny szóstak z tego samego okresu i nieźle zachowane dwa grosze, prawie zupełnie nieoberżnięte. Riksdaler, czyli srebrny talar szwedzki, i ten złoty luidor. Ale to

tylko na przekąskę, głównym daniem jest to. Dostałem go od przyjaciela z Italii. Wszystko blednie przy tym oto dukacie weneckim z czternastego wieku!

Sekretarz generalny aż poderwał się z krzesła i niecierpliwie zabrał się do oglądania ostatniej monety. Zaczął przy tym oblizywać usta i cmokać z zadowoleniem. Gugenmus zachichotał z radością.

– I co, podoba się panu?

– Drogi panie Franciszku, jest pan dla mnie zbyt dobry. To wyłącznie dzięki panu mam najpiękniejszą kolekcję monet w Księstwie. I te są wspaniałe, jak zwykle zresztą. Nie wątpię, że to autentyki. Biorę wszystko, cena nie gra roli.

– Wspaniale! Zapraszam zatem na obiad i piwo dubeltowe do „Kazimirusa”.

– Oczywiście – uśmiechnął się Gliński. – Pewno pan tam szedł i nieopatrznie pana zatrzymałem. Jednak nim wybierzemy się na przekąskę, mam prośbę. Czy byłby pan łaskaw przyjrzeć się tym szczątkom i określić, z jakiego urzędnika pochodzą?

Pan Augustyn odsunął monety i wysypał zawartość woreczka. Kółka zębate z brzękiem rozsypały się po blacie. Zegarmistrz zmarszczył brwi, odebrał szkło powiększające policjantowi i pochylił się nad przedmiotami. Tym razem to on zaczął oblizywać usta. Brał kółka w palce i obracał je, oglądając ze wszystkich stron, potem sprawnym ruchem posegregował, pistoletowy kurek na sprężynie odkładając na bok. Tymczasem policjant pieczołowicie włożył monety do kieszeni kamizelki.

– Mechanizm zegarowy pochodzący z francuskiej manufaktury pod Paryżem. Proszę, tu jest wybity znak cechowy i napis z numerem. Kółka wykonano z taniej blachy, coś paskudnego. Wycięto je maszynowo, rozumie pan? Świat schodzi na psy! Niedługo wszystko będzie się produkowało w fabrykach, kropka w kropkę tak samo. Tanie, tandetne wyroby przeznaczone dla tłuszczy. Za pięćdziesiąt lat byle cham będzie miał zegarek w kieszeni, a za sto będą tykały w każdej chłopskiej chałupie. Brzydkie i fatalnie wykonane. Pora kłaść się do grobu.

– Niech pan się uspokoi. – Gliński poklepał mistrza po plecach. Zaniepokoił go żal i smutek w głosie staruszka. – Więc mówi pan, że to zegar. Po co był podłączony do kurka?

– Ktoś grzebał w tym zegarze i chyba wymontował z niego główny mechanizm, a potem podłączył do kurka. Gdy odmierzony czas dobiegał końca, ten wihajster zwalniał sprężynę. Ona rozwijała się gwałtownie i kurek opadał. Może uderzał w gong? – Gospodarz zamyslił się na chwilę. – Ciekawa koncepcja, ale nie wiem, czemu miałyby służyć. Słyszałem, że na Zachodzie coraz częściej robi się zegary z pozytywkami. O pełnych godzinach wygrywają melodyjki. Mamy tu podobny sposób działania.

– Gdyby w kurku tkwił krzemień i po zwolnieniu opadał na panewkę z prochem, mógłby spowodować zapłon? – spytał siwowłosa gość.

- Oczywiście. Ale, na miłość boską, po co podłączać spust pistoletowy do zegara?
- Żeby po określonym czasie od nakręcenia spowodował wybuch. Zadziałał jako zapalnik potężnej, nowoczesnej bomby.
- Nowoczesnej? – ze zgrozą zdumiał się starzec. – Cóż to za pomysł!
- To mechanizm bomby przyszłości, panie Franciszku. Bomby zegarowej.

IX

Kapitan Ilnicki przybył do siedziby Wydziału Śledczego krótko po południu. Wyspał się za wszystkie czasy, a potem odświeżył, zażywając zimnej kąpieli. Hania kazała służącej oczyścić mu nowe buty, a sama rano pocerowała mu spodnie i pelerynę. Na śniadanie i obiad jednocześnie była wczorajsza kasza ze skwarkami, która zjedzona w towarzystwie pięknej i promiennie uśmiechniętej kobiety smakowała mu jak nigdy w życiu. Po drodze, w targowej jatce, kupił chłopakom z posterunku garniec piwa, chleb i zarżniętą kurę, a na dokładkę, od stojącej w bramie wiejskiej baby, kawał białego sera. Roch Gogiel ucieszył się z prezentu radością wielkiego dziecka. Przywitał przełożonego wylewnie, jakby znali się od lat.

– Szef nie dał jeszcze znaku życia – zameldował. – Szaja też się nie pojawił, znikł, gdy przylazł posłaniec od Francuzów. Oddałem skrzynkę z dowodami, zgodnie z poleceniem. Potem przyszedł doktor Ritter i pomogłem mu załadować trupy na wóz. Zabrał je na cmentarz za rogatkami Powązkowskimi. A Jaśka zagoniłem do zamiętania, czyszczenia pieca, a potem szorowania podłogi. Chłopak jest chętny do roboty, śmiga jak fryga, nawet go w dupę nie musiałem kopać.

Jaśko uśmiechnął się niepewnie do kapitana, odrywając sobie kawał chleba podanego mu przez Rocha.

– Napalić pod kuchnią? – spytał. – Mogię skoczyć do jednej znajomej kramarki i kupić sól, marchew, pietruszkę i cebulkę. Byśma zrobili rosół z tej kury. Potrzebowałbym ino ze dwa grosze.

– Ha! Widział go pan, spryciarza! – zahuczał były milicjant. – I będę musiał cię potem ganiać po całym mieście?

– Nie ucieknie – z pewnością w głosie oświadczył Ilnicki, patrząc chłopakowi w oczy. – Wie, że byśmy się wtedy pogniewali, a gdyby potem wpadł w nasze ręce, bardzo by nieposłuszeństwa pożałował.

– Może pan na mnie polegać, panie kapitanie! – Jaśko uderzył się pięścią w pierś, aż zadudniło. – Nigdzie nie ucieknę. Wrócę tu, przysięgam na pamięć mojego ojczulka, niech spoczywa w pokoju.

Oficer rzucił mu kilka dydek.

– Kup więcej zarcia, bo chyba posiedzimy dziś dłużej. Śmigaj, no już. – Machnął ręką, jakby odganiał muchę. – Tymczasem ty, Rochu, zaprezentuj mi łaskawie nasze

królestwo.

Policjanci ruszyli w obchód kompleksu przy Niskiej. Pan Michał przekonał się, że w głównym budynku prócz posterunku urządzono archiwum dokumentów i trzy cele aresztanckie, w oka pokoi wstawiając kraty. Sąsiedni budynek, przestronna chałupka, z której usunięto piec, pełniła funkcję prosektorium, a jej piwnica służyła za kostnicę. Podłogę posypywano często zmienianym piaskiem, by wsiąkała w niego krew, ale i tak w powietrzu unosił się trupi zapach. Ilnicki zauważył, że innym jego źródłem były wiszące przy wejściu stare fraki, które doktor Ritter stosował jako robocze ubrania.

Kolejna była stara kuźnia z piecem zaopatrzonym w miech. Potem obejrzelisi sąsiadujące z kuźnią stajnie. Obecnie puste. Większość koni w Warszawie zagrabili Francuzi, policja nie miała więc służbowych wierzchowców. W dalszych zabudowaniach, a właściwie szopach, w których niegdyś składano amunicję i fajerwerki, znajdowały się opieczętowane magazyny z zarekwirowanymi angielskimi towarami. Pilnowało ich dwóch starsuszków siedzących w szopce strażniczej.

Panowie Jakub i Roman byli w wieku nieobecnego dziś Macieja, a wyglądali jak jego bracia. Pierwszy nosił białą długą brodę, drugi golił się na gładko, prezentując paskudne blizny na pomarszczonej gębie. Sieć zmarszczek na jego twarzy nieustannie się poruszała, bo starzec ciągle żuł coś bezzębnymi dziąsłami. Obaj stróże nosili przekrzywione konfederatki, podobnie jak Gogiel, za to upiornie brudne i chyba faktycznie pamiętające czasy konfederatów barskich, od których pochodziła ich nazwa. Przywitali kapitana grzecznie, prezentując broń – masywny garłacz i zardzewiały muszkiet.

– Skąd ich Gliński wytrzasnął? – spytał Ilnicki śledczego, gdy odeszli kawałek. – Organizuje korpus weteranów i inwalidów policji czy co?

– Mniej więcej. Zatrudnia dziadów proszalnych, dawnych funkcjonariuszy lub żołnierzy, by nie pozdychali z głodu. – Roch wzruszył ramionami. – Takie ma upodobanie, wyciąga ludzi z rynsztoka.

Pan Michał nie skomentował, bo właśnie uświadomił sobie, że z nim sekretarz generalny policji postąpił właściwie tak samo. Miał dług wdzięczności wobec Glińskiego identyczny z tymi, do niedawna proszalnymi, dziadami.

W czasie gdy zwiedzali zabudowania, pojawił się doktor Ritter. Zajechał na dziedziniec warsztatów, siedząc na koźle dwukółki zaprzężonej w starą kobyłę. Prusak zeskoczył rażno z wozu i przywitał się z pozostałymi śledczymi. Na pace przywiózł kolejnego trupa, którego przekazali mu spotkani po drodze stójkowi. Był to ubrany w łachmany biedak, który prawdopodobnie zamarł ostatniej nocy po pijanemu. Medyk nie zamierzał nawet go oglądać, takich trupów było w mieście na pęczki i szkoda było na nie czasu. W czasie gdy Francuzi bili się z Prusakami i Rosjanami, po ulicach miasta

wręcz walały się trupy żołnierzy, którzy spadali z wozów wiozących rannych oraz konających. Można powiedzieć, że Warszawiacy przywykli do makabrycznych widoków porzuconych ludzkich zwłok, a policja – do ich sprząwania. Mimo to Ritter był wściekły, że stójkowi potraktowali go jak zwykłego urzędowego grabarza. Uspokoił się, dopiero gdy do bazy wrócił Jaśko, niosąc worek pełen warzyw. Pasją doktora było gotowanie i błogość spływała na niego, gdy mógł szatkować, kroić i siekać. Zamknął się więc w kuchni i zajął przygotowaniem obiadu.

– Boję się, że kiedyś z rozpędu uraczy nas smażoną wątróbką wyciągniętą z jakiegoś nieszczęśnika – westchnął Roch. – Cholera wie, co takiego robili z trupami funkcjonariusze gestapo. Całe miasto znało ich jako wyjątkowych śmierdzieli i bydlaków. Ritter jest niby inny, tak przynajmniej twierdzi szef, ale czy ja wiem? Co właściwie o nim wiadomo? Sam nic o sobie nie gada, zadziera tylko nosa. Woli siedzieć w trupiarni lub w kuchni. Dziwak.

Dla zabicia czasu i wykorzystania resztek dziennego światła Ilnicki udał się do archiwum i zabrał do studiowania kartotek prostytutek. Materiały zostały zebrane całkiem niedawno, można więc było traktować je jako aktualne. Czytał rysopisy warszawskich dziwek oraz notatki na temat miejsca ich pracy i przypadłości. Ze zgrozą skonstatował, że większość dziewczyn leczyła się lub przeszła nawet kilka kuracji na syfilis.

Odkładał na bok karty wysokich szczupłych blondynek. Zrobiło się ich jednak zaskakująco sporo. Westchnął ciężko. Nic z tego badania nie wynikało, bo jak sam już wcześniej zaczął przypuszczać, zabita w wybuchu wcale dziwką być nie musiała. Praca jednak pozwalała kapitanowi poczuć się użytecznym i potrzebnym. A nuż trafi się coś ciekawego w tych papierach? Los nagrodił wreszcie zaangażowanie pana Michała ciekawym znaleziskiem. Karta jednej z dziewcząt została przekreślona i figurował w niej dopisek czerwonym atramentem: „zmiana zawodu”, na kolejnej natomiast, identycznie skreślonej: „zmiana stanu”. Ilnicki zabrał oba dokumenty i powędrował do kuchni.

W pomieszczeniu z otwartym piecem, w którym trzeszczały polana, pachniało dymem i gotującym się rosołem. Ritter, zdjawszy frak i kamizelkę, uwijał się przy dwóch garach jedynie w samej koszuli. Chudy, blady jegomość nabrał rumieńców od gorąca, a jego czoło zrosił pot.

– Rosół będzie z lanymi kluskami, a potem wygotowana kura w sosie warzywnym z kaszą – powiedział Prusak. – Na koniec legumina chlebowa.

– Prawdziwa uczta, panie doktor. W wojsku nie karmili nas tak dobrze.

– W policji w ogóle nas nie karmią. Nie jemy, jeśli sami czegoś nie przygotowujemy – odparł Ritter, a potem wyciągnął z kieszeni monokl i przystawił go do oka, lustrując kapitana przez szkło. – Chyba nie przyszedł pan po zupe, co? Czym mogę służyć?

Oficer pokazał medykowi karty, których większość wypełnił sam Niemiec. Ten wzruszył ramionami, jakby było to coś nieistotnego.

– Ach, te dwie. Pamiętam. Pierwsza awansowała w fachu i przeszła pod skrzydła pani Kiełczakowskiej. A dziwek z wyższych sfer nie mamy prawa kontrolować. Druga dziewczyna po prostu usidliła jakiegoś osobnika i za niego wyszła. To się zdarza, choć nieczęsto. Panienki szybko się starzeją i z dobrych lupanarów trafiają na ulicę albo do obskurnych burdeli przy koszarach. W końcu umierają na choroby Wenery lub zapijają się na śmierć. Rzadko trafia się im inny los.

Ilnicki z zadumą podrapał się w brodę kartami.

– Kiełczakowska to ta burdelmama, która była dziwką za czasów króla Stanisława?

– Bardzo wpływowa osoba jeszcze za Rzeczypospolitej. – Ritter skinął głową. – Wyszła za wachmistrza policji magistrackiej, który dzięki niej zrobił szybką karierę. Stał się wysokim urzędnikiem na królewskim dworze. Po jego śmierci pani Kiełczakowska wróciła do zawodu, ale już jako stręczycielka dla wysoko urodzonych. Jej panie do towarzystwa to najwyższa klasa, przeznaczone są tylko dla arystokracji.

– Tak, słyszałem o tym. – Oficer pokiwał głową. – Więc rekrutuje swoje pracownice także spośród zwykłych ulicznic. Ciekawe, skąd jeszcze? Kim są jej dziewczęta?

– Głównie córki szlacheckie, dobrze wychowane, posiadające obycie i znajomość języków. Muszą umieć grać na instrumentach i prowadzić ciekawą konwersację po francusku. – Doktor, nie wyjmując monokla z oczodołu, odwrócił się i energicznie zamieszał bulgoczącą leguminę. – Wiem, bo za panowania pruskiego mój wydział próbował inwigilować to środowisko. Chcieliśmy z Kiełczakowskiej i jej panienek zrobić komórkę wywiadowczą, ale się nie udało. Ta baba jest zbyt pazerna i niezwykle sobie ceni niezależność.

– Wydaje mi się, że właśnie od wizyty u tej damy powinniśmy byli zacząć śledztwo – mruknął kapitan. – Co mi strzeliło do łba, by włączyć się z Rochem po tanich burdelach?!

– Myślałem, że tak po prawdzie zrobiliście to dla zabawy. – Wąskie usta Prusaka ułożyły się w zimny uśmiech. – Wystarczyło mnie zapytać. Wiem to i owo o stosunkach panujących w Warszawie. Jeszcze by się pan zdziwił, jak wiele. – Medyk zanurzył łyżkę w zupie i posiorbał trochę gorącego płynu. – Będę lał kluski i za chwilę podam obiad. Niech będzie pan tak łaskawy i poprosi chłopaków do głównego gabinetu.

Mężczyźni zebrali się w parę chwil. Jaśko został wysłany z porcjami posiłku dla leciwych wartowników, a zanim wrócił, w warsztatach pojawił się Szaja. Towarzyszyły mu dwa wielkie psiska, które na szczęście zostawił na zewnątrz. Żyd sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, radośnie wymienił się zaczepkami z Rochem, zrzucił chałat i

usiadł z mężczyznami do stołu. Dowódca pozwolił mu w spokoju zjeść przed złożeniem meldunku. Zanim jednak to się stało, do posterunku wkroczył pan Gliński.

Pan Michał poderwał się i stanął na baczność, przyzwyczajony do takiej właśnie reakcji na wejście przełożonego do pomieszczenia. Idąc jego śladem, to samo zrobił Jaśko, a po chwili konsternacji pozostali policjanci także odłożyli łyżki i wstali. Pan Augustyn machnął im niedbale ręką i kazał siadać. Odmówił też poczęstunku, tłumacząc, że przybywa prosto z karczmy. Usadowił się w jedynym fotelu, po czym wyciągnął z kieszeni zegarek.

– Czeka nas coś pilnego, szefie? – spytał Ilnicki. – Musimy się pospieszyć z posiłkiem?

– Nie, skąd – bąknął z roztargnieniem sekretarz generalny, wyraźnie zajęty swoimi myślami. – Szaja, czegoś się dowiedziałeś?

Żyd z namaszczeniem odłożył łyżkę i wytarł rękawem usta.

– Zgodnie z poleceniem waszej miłości tropiłem posłańca, który wiozł skrzynię z dowodami. Dostarczył ją do dawnych koszar Gwardii Pieszej Koronnej na Faworach. Odebrał ją podoficer francuskich grenadierów, i to właściwie byłoby na tyle. Wszak nie mogłem się kręcić i podpytywać żołnierzy w koszarach, szczególnie że nie znam francuskiego – teatralnie zawiesił głos. – Zarobiłbym jedynie kilka kopniaków albo przymknęliby mnie jako ruskiego szpiega. Zbierałem się już do powrotu, gdy dostrzegłem stajennych i woźniców krzątających się przy powozowni. Wszyscy powożący obsługujący Francuzów to nasi, więc pomyślałem, że jeśli mnie przyłapią, to jakoś się wyłgam. Przemknąłem się tam niepostrzeżenie i razem z pieskami obejrzelśmy sobie pojazdy. A że pozwoliłem sobie zabrać ową skórkową rękawiczkę, którą znalazłem w błocie przy pałacyku, dałem ją powąchać pieskom... i co?

– Chwyciły trop? – spytał Jaśko.

– Pewno! Zaprowadziły mnie do bogatej karocy: czarne pudło lakierowane, połączone ramy, mosiężne ćwieki na łączeniach, ale brak malunków z herbem.

– To ta! – ożywił się chłopak. – To z niej wysiadły Francuzy!

– Pogadałem trochę z woźnicami, musiałem ich tytoniem poczęstować, co kosztowało mnie majątek. – Żyd spojrział z boleścią na Glińskiego. – I dowiedziałem się, kto zwykle powozi tym pudłem. Nie uda się nam jednak tego gagatka podpytać, bo rankiem wysłali go karetą pocztową do Berlina. Udało mi się za to ustalić, że z powozu korzysta sztab dywizji, a najczęściej generał Morand.

– Ten sam, który wygonił nas z pałacyku – mruknął Ilnicki.

– Nie jestem zaskoczony – odparł pan Augustyn. – Nie martw się, Szaja, dostaniesz zwrot za tytoń, razem z apanażem. A nasza sprawa zaczyna powoli się klarować. Rozmawiałem dziś z Gugenmusem i dowiedziałem się od niego...

– Z zegarmistrzem Gugenmusem? To on jeszcze żyje? – zdziwił się pan Michał. – W dawnych czasach uchodził za najlepiej poinformowanego człowieka w Warszawie.

– Nic się do dziś nie zmieniło – uśmiechnął się sekretarz generalny, który nawet nie obraził się, że podwładny przerwał mu w pół słowa. – Oczywiście, o wybuchu w pałacyku też wiedział, i to więcej niż my. Co z niego wyciągnąłem? Otóż ówże budynek na Żoliborzu był oddany do wyłącznego użytku generała Moranda. Nasz przyjaciel urządzał tam przyjęcia dla wysokich oficerów. A w noc wybuchu generał wrócił na swoją kwaterę w Zamku Królewskim w całkiem ubłoconym mundurze, jakby tarzał się w rynsztoku.

– Lub jakby wybuch cisnął go w kałużę. – Ilnicki skinął głową. – Wiemy zatem, że to jego widział Jaśko przed pałacykiem. Morand przyjechał w towarzystwie jakiegoś arystokraty, by przedstawić go damie do towarzystwa.

– Generał kazał usunąć się służbie, by nie peszyć gościa – kontynuował Gliński. – Widocznie przywiózł kogoś naprawdę znacznego, komu zależało na dyskrecji. Wróg cesarstwa wykorzystał moment, by dokonać zamachu na generała lub jego towarzysza, i zostawił w pałacyku bombę zaopatrzoną w mechanizm zegarowy. Z jakiegoś powodu ładunek eksplodował zbyt wcześnie, zabijając jedynie damę lekkich obyczajów i dwóch bandziorów, którzy przypałowali się tam przypadkiem.

Wyciągnął z kieszeni fajkę i machinalnie zaczął ją nabijać, patrząc przy tym niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Mamy w Warszawie szpiega obcego mocarstwa, który chciał uśmiercić wysoko postawionego generała i jakieś książątko. Tych ostatnich jest u nas na kopy, odkąd w Warszawie bywa Napoleon. Cały czas zjeżdża do nas jakiś dygnitarz, królik lub pomniejszy władca z Niemiec czy innych stron. Jak by nasze miasto wyglądało w oczach cesarza, gdyby zamordowano tu francuskiego dowódcę i sprzymierzonego z Francją arystokratę? He?

– Morand chce wyciszyć sprawę, by nie dopuścić do skandalu. To dlatego kazano nam zamknąć dochodzenie – zauważył dowódca śledczych. – Może powinniśmy dać spokój?

Sekretarz generalny zogniskował wzrok na panu Michale. Po raz pierwszy od początku ich znajomości zmarszczył brwi, przyjmując – choć tylko w swoim mniemaniu – groźną minę.

– Zamachowcy detonują bomby w moim mieście, a ja mam puścić to płazem?! – Wymierzył ustnik fajki w kapitana. – Złapiemy konstruktora bomby, i to zanim zrobią to Francuzi. Rozumiemy się? Potraktujcie to jako wyjątkowe zadanie, od którego zależy prestiż warszawskiej policji.

– Rozkaz! – Oficer skinął głową. – W takim wypadku proponuję przesłuchać panią Kiełczakowską. To ona zaopatruje francuskie dowództwo w dziewczęta i

prawdopodobnie tylko ona wiedziała, że Morand i jego gość tej właśnie nocy odwiedzą pałacyk na Żoliborzu. Może to dawna burdelmama przekazała informację zamachowcowi?

Gliński postukał fajką w otwartą dłoń.

– Doskonale, kapitanie. Wytypował pan główną podejrzaną. Niestety, tej damy nie możemy tak po prostu aresztować. Ma zbyt wielu wpływowych przyjaciół. Musimy wy badać ją delikatnie. Tylko jak właściwie do niej dotrzeć? Hm. Nie pozostaje mi nic innego, jak poprosić o pomoc moich braci z rytu.

Ilnicki spojrzał uważnie na szefa.

– Rytu? Jest pan masonem?

– Co w tym dziwnego? Każdy człowiek o umyśle otwartym na wiedzę i postęp, a sercu czułym na potrzeby cierpiących i biednych, należy do loży. Spróbuję wykorzystać moje wpływy i załatwić na jutro wizytę u hrabiny, czy jaki teraz tytuł nosi ta kobieta. Pójdzie pan ze mną.

– A co my mamy robić, szefie? – spytał Roch.

– Roznieść po mieście plotkę, że policja ma świadka zamachu, który widział zarówno gości zmierzających do pałacyku, jak i zamachowca podkładającego bombę.

– Zrobimy z Jaśka przynętę? – domyślił się Szaja.

Chłopak patrzył kolejno w twarze policjantów szeroko otwartymi ze zgrozy oczyma. Mężczyźni spoglądali na niego bez okazywania emocji, najwyżej z zaciekawieniem.

– Jeśli nie uda nam się wyciągnąć nic z Kiełczakowskiej, może choć sprowokujemy zamachowca do ruchu – uśmiechnął się Gliński. – Dobrze, wracam teraz do domu odpocząć. Proszę, kapitanie, wyznaczyć warty. Będziecie na zmianę pilnowali Jaśka. Macie nie spuszczać go z oka.

Młodzieniec z trudem przełknął ostatnią łyżkę zupy. Nie uśmiechało mu się zostać ofiarą wariata wysadzającego w powietrze budynki. Pozostawała mu tylko nadzieja, że policjanci dopadną zamachowca jako pierwsi.

X

Glińskiemu nie udało się szybko załatwić wizyty u pani Kiełczakowskiej, mimo że wspierało go kilku braci z masońskiej loży. Pan Augustyn należał do Wielkiego Wschodu Francji, największego na świecie rytu, którego członkiem był sam cesarz, a w Warszawie – spora liczba dygnitarzy na czele z księciem Poniatowskim, ale mimo to niewiele zdziałał. Okazało się, że przez swoje związki z arystokracją stręczycielka jest nie do ruszenia, trzeba ją traktować niemal jak koronowaną głowę. Łaskawie wyznaczyła policyjnemu oficjelowi audiencję w swoim pałacu za dwa lub trzy dni, nie precyzując dokładnie, kiedy będzie gotowa go przyjąć. Ponoć i tak był to z jej strony przejaw dobrej woli i iście królewski gest.

Śledczy zajęli się więc mniej istotnymi sprawami. Appenzlak myszkował wśród Żydów, Roch zagłębił się w wąskie uliczki Starego Miasta, a doktor Ritter zamknął w prosektorium z kolejnym trupem jakiegoś łazęgi znalezionej na ulicy. Kapitan Ilnicki udał się z kolei do prochowni, by wy badać możliwości wyniesienia z niej amunicji moździerzowej, ale szybko doszedł do wniosku, że kradzież jest niemal niemożliwa i zamachowiec musiał mieć wsparcie jakiegoś oficera lub, co bardziej prawdopodobne, sam był żołnierzem.

Przy arsenale artyleryjskim pan Michał natknął się na znajomego jeszcze z legionów, który od niedawna pełnił czynną służbę w armii Księstwa Warszawskiego. Porucznik Jakub Zielnik zaprosił dawnego kompana na obiad do koszar. Tak oto dowódca śledczych niespodziewanie zasiadł przy stole w towarzystwie kilku młodszych oficerów artylerii, którzy przyjęli go z szacunkiem i prawdziwie polską gościnnością. Z rozmowy z nimi wiele się jednak nie dowiedział. Arsenał był ponoć świetnie pilnowany i niemożliwością wydawało się żołnierzom, by zginęło z niego kilka wielkokalibrowych kul. Żeliwne pociski, fajerbole i granaty należały do najdroższych narzędzi do zabijania i traktowano je z ogromną uwagą.

– Chyba że kule znikły, zanim dotarły do arsenału – zauważył Zielnik. – Raczej nie skradziono ich z transportu, bo byłaby afera. Nie zgadzałyby się stany przed wyładunkiem i po. Ale gdyby zabrano je bezpośrednio z wytwórni...

– W Warszawie fabrykuje się jeszcze amunicję do armat? – zdziwił się pan Michał. Z tego, co pamiętał, ludwisarnie i młyny prochowe zostały zniszczone przez Rosjan w czasie insurekcji kościuszkowskiej.

– Pewno, że się fabrykuje! Francuzi niechętnie nas ostatnio wyposażają, bo odkąd cesarz powołał do istnienia Księstwo, nasza armia musi radzić sobie sama – odparł któryś z młodzieńców. – Gisernię odbudowano tam, gdzie kiedyś się znajdowała. W kuźni artylerii koronnej na Muranowie.

Ilnicki nie zdążył się tam udać, bo ani się obejrzał, a krótki grudniowy dzień się skończył. Zanim wrócił do domu, gdzie czekała na niego coraz częściej uśmiechająca się i coraz miłsza Hania, zaszedł jeszcze na Niską. Skontrolował sytuację w warsztatach, gdzie Jaśko przebywał w domowym areszcie. Policjanci nie przymknęli go w celi, pozwolili mu poruszać się swobodnie po ogrodzonym terenie, ale chłopak dostał zakaz wychodzenia na zewnątrz. Na oku bez przerwy miał go któryś z trzech starszków weteranów, młodzieniec musiał się też co jakiś czas meldować przebywającemu aktualnie w zabudowaniach śledczemu. Kapitan obsztorcował go za bezproduktywne siedzenie w oknie i kazał mu wyszorować piec, oczyścić popielnik i zamieść na całym posterunku. Jako stary oficer pan Michał wychodził z założenia, że nie wolno dać podwładnemu czasu na nudę. Trzeba zawsze wymyślić mu jakieś pożyteczne zajęcie.

Następnego dnia Gliński przysłał przez posłańca rozkazy na piśmie. W związku z dużą operacją policyjną śledczy zostali na cały dzień i wieczór przesunięci do pomocy zwykłej miejskiej policji porządkowej. Najmniej ucieszył się z tego doktor Ritter, za to Roch aż palił się do wyjścia, twierdząc, że z pewnością dojdzie do ogromnej bijatyki i będzie kupa zabawy.

W południe pojawiło się w warsztatach kilkunastu stójkowych, którzy przyjechali dwoma wozami. Z magazynów wyprowadzono dwie zarekwirowane karety angielskie i załadowano je zgromadzonymi w szopach nielegalnymi towarami. Resztę rupieci zwalono na policyjne wozy i cała kawalkada pojazdów ruszyła w kierunku Starego Miasta. Śledczy, jako jedyni bez mundurów, kroczyli spokojnie w pewnym oddaleniu, stopniowo łącząc się z rosnącym tłumem ciekawskich. Zanim dojechano do placu Zamkowego, policji towarzyszyła rozgadana hałastrą oczekująca na pasjonujące widowisko.

Pan Michał bez emocji obserwował rosnące zgromadzenie. Warszawiacy nie wyglądali na wzburzonych, nie wznosili żadnych okrzyków, więc wbrew zapowiedziom Rocha nie zanosilo się na rozruchy. Na wszelki wypadek sprawdził jednak pistolet, spoczywający w jednej kieszeni, i otrzymaną od Rittera krótką drewnianą pałkę, umieszczoną w drugiej. Odszukał wzrokiem podwładnych. Gogiel z racji wzrostu wystawał ponad tłum, łatwo dał się więc zlokalizować. Gadał w najlepsze z dwoma dziewczętami wyglądającymi na córki ubogich rzemieślników. Ritter stał w bramie, u wylotu jednej z uliczek prowadzących w głąb Starego Miasta. Skinął kapitanowi na znak, że wszystko u niego w

porządku. Szaja natomiast przechadzał się, trzymając ręce w kieszeniach rozpiętego chałatu. Sytuacja na razie była pod kontrolą.

Karety, ku uciesze gawiedzi, przewrócono na bok i zwalono na nie kupę towarów. Powozy zarekwirovano, ponieważ wybito na nich napis podający jako miejsce ich wytworzenia Londyn. Najpewniej jednak pudła wykonano w którejś z rodzimych wytwórni, ale co było częste, oznaczono je jako zagraniczne, bo Polacy nie chcieli kupować pojazdów zrobionych w kraju. Tak leżące pojazdy przywalono oryginalnie angielskimi wyrobami. Na piętrzący się wysoko stos wdrapał się młody urzędnik magistratu w eleganckim fraku. Z namaszczeniem rozwinął dokument i donośnym głosem odczytał obwieszczenie.

Zgodnie z wolą Napoleona Wielkiego wszelki handel z Wielką Brytanią został surowo zakazany. Anglia, której cesarz nie mógł pokonać tradycyjnymi metodami, czyli militarnie, miała zostać zniszczona gospodarczo. Obłożono ją całkowitą blokadą, zamknięto przed brytyjskimi statkami wszystkie europejskie porty, a każdy przedmiot potencjalnie wytworzony na Wyspach podlegał konfiskacie. Księstwo Warszawskie cierpiało boleśnie na blokadzie, polskie zboże od stuleci płynęło bowiem do Anglii, a z niej przywożono do Polski najróżniejsze nowoczesne i modne wyroby. Pan Michał poczuł się niepewnie, gdyż w stercie piętrzących się zakazanych skarbów dostrzegł pluszowe cylindry, niemal identyczne z tym, który miał na głowie.

Mundurowi policjanci otaczający kordonem stos zwarli szyki. Kilku z nich zerwało lak z glinianych dzbanów i zaczęło polewać piramidę kamfiną do lamp. Lepka ciecz spłynęła po balach doskonałego płótna, zwojach jedwabnych sukien i muślinów, pakach pluszu i zamszu, a co gorsza – także po gotowych wyrobach: meblach, kapeluszach, frakach i surdutach, bryznęła na ozdobne bibeloty, umbrele do świeczników, drewniane figurki, kałamarze. Kiedy urzędnik zlął z góry, a w jego ręku pojawiła się zapalona pochodnia, dla wszystkich stało się jasne, co też stanie się ze zgromadzonymi skarbami.

Tłum gęstniał z każdą sekundą, coraz bardziej szumiał i zaczynał falować. Ilnicki spotkał się spojrzeniem z Ritterem. Błada twarz doktora ściągnęła się ze strachu lub skupienia. Warszawiaków przestało bawić przedstawienie, pojawiła się za to irytacja, szybko przeradzająca się w złość. Biedny lud nie mógł spokojnie obserwować tak kolosalnego marnotrawstwa.

Pan Michał próbował wypatrzeć prowodyrów, inicjatorów rosnącego zamieszania, ale szybko doszedł do wniosku, że tych nie było. Warszawiacy szumieli sami z siebie, zaczęli złorzeczyć całkiem spontanicznie. Najpierw na władze miejskie, a po chwili na Francuzów. Urzędnik magistracki miał to w nosie i z uśmiechem cisnął pochodnię na stos. W górę wystrzeliły płomienie i kłęby dymu. Ludzie przez chwilę z zapartym tchem patrzyli w ogień pożerający skarby, a potem ryknęli jednym głosem. Tłum ruszył i

przerwał kordon. Na nic zdała się dzielna postawa policjantów, którzy zostali po prostu obaleni na bruk. Zebrani rzucili się w płomienie i zaczęli wyciągać z nich co tylko się dało.

– Ratujcie kancelistę! Bo go rezerwą na strzępy! – wrzasnął kapitan, wyciągając pałkę.

Roch wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i młóćąc pięściami niczym rozpędzający się wiatrak, skoczył w tłum. Ilnicki ruszył za nim, piorąc pałką na lewo i prawo. Oberwał fangę w nos i cios w zębra, ale udało mu się dotrzeć do Gogiela. Wielkolud rozgarniał właśnie pochylonych nad urzędnikiem gagatków, którzy zerwali z niego surdut i spodnie. Młody kancelista twarz miał rozkwaszoną licznymi kopniakami, ale nie poddawał się. Wbił zęby w łydkę jednego z napastników, kopał i wierzgał, rozdając nieporadne ciosy na wszystkie strony.

Oficer smagnął pałką po tylnej stronie ud jednego z walczących oberwańców, zmuszając go do klęknienia. Kolejnego kopnął w tyłek, a gdy ten odwrócił się z gniewnym rykiem, trzasnął go pałką między oczy. Kątem oka zarejestrował ruch z tyłu, ale gdy się obrócił, ujrzał doktora Rittera, wykręcającego rękę jakiegoś ulicznika uzbrojonego w nóż. Niewiele brakowało, a kapitan oberwałby ostrzem w plecy.

Cherlawy Prusak poradził sobie z roslým obwiesiem zaskakująco sprawnie. Pewnym chwytem za rękę zmusił go do wygięcia się w tył, a potem drugą dłońią ścisnął za nasadę szyi. Wpił palce w splot nerwowy, a bandzior bezwładnie runął na bruk. Doktor na koniec precyzyjnie kopnął pechowca w przyrodzenie, całkiem go tym rozbrajając.

Przy walczących jak spod ziemi pojawił się Szaja. Żyd zarzucił krótki sznur na szyję kolejnego z walczących i zacisnął go gwałtownym ruchem. Jego ofiara nawet nie jęknęła. Wytrzeszczając oczy, rozrabiaka opadł na kolana i wzniósł błagalnie ręce w poddańczym geście. Appenszlak powalił go twarzą na ziemię i klęknął na nim, mocno wbijając kolano w plecy.

Młody urzędnik ocalał. Co prawda został w samych gaciach i poszarpanej koszuli, do tego krwawił z poobijanej twarzy, ale był żywy. Ukłonił się panu Michałowi, bezbłędnie wyczuwając w nim dowódcę.

– Tajna policja? Dziękuję wam, szanowni funkcjonariusze – wyjąkał, ocierając krew z twarzy. Zaskakująco szybko doszedł do siebie. – Panowie pozwolą, starszy kancelista kolegialny z Magistratu Miasta Stołecznego Warszawy, Tomasz Dangel. Jestem waszym dłużnikiem. Da Bóg, rychło się odwdzięczę, teraz jestem jednak zmuszony prosić o pomoc. Nie mogę paradować po mieście w tak nieobyczajnym stroju. Te gnoje zdarły mi nawet buty.

Został odziany w kapotę odebraną jednemu z pokonanych bandziorów. Ubrania urzędnika nie udało się odzyskać, znikło tak samo jak wszyscy rozrabiacy, którzy rozwiali się w powietrzu po interwencji gwardii z Zamku Królewskiego. Stos, częściowo

rozwalony i rozgrabiony, długo się dopalał i policja musiała zostać na miejscu, by uprzątnąć szczątki. Doktor Ritter miał ręce pełne roboty, bo wielu stójkowych zostało poturbowanych. Jakimś cudem nikt jednak nie zginął, skończyło się na drobnych potłuczeniach.

– Za miesiąc znów mamy zrobić palenie – cieszył się Roch, masując obolałe od bicia knykcie. – Wspaniała zabawa, kapitanie, prawda?

Ilnicki jeszcze raz pomacał puchnący nos, choć według Rittera jego organ powonienia nie został zgruchotany. Bijatyka faktycznie okazała się zabawą. Krew żywej popłynęła w żyłach, radość bitwy wypełniła umysł, odsuwając w niepamięć wszystkie kłopoty. Każdy mężczyzna potrzebował czasem takiej rozrywki.

– Nie mogę się doczekać kolejnej akcji. – Pan Michał uśmiechnął się szczerze.

XI

Śledczy wybrali się do warsztatów dopiero po dwóch godzinach. Towarzyszył im Tomasz Dangel, który chciał przez posłańca ściągnąć od przyjaciela godny stój, by mieć w czym wrócić do domu. Bał się reakcji ojca, znanego przedsiębiorcy i bogacza, mającego syna za nieudacznika i pozbawionego inteligencji awanturnika. Młody urzędnik nie sprawiał jednak wrażenia ani jednego, ani drugiego. Kipiał energią i – mimo przeciwności losu – dobrym humorem.

Cała piątka dotarła do bazy długo po zmroku. Przywitała ich uchylona furta w bramie, ciemność i cisza. Prowadzący grupę Ilnicki zatrzymał się w pół kroku i sięgnął po pistolet. Położył palec na ustach, nakazując ciszę.

– Co się dzieje? – bez skrępowania głośno spytał Dangel.

Ritter syknął na niego ostrzegawczo. Roch stanął obok kapitana, dobywając swój pruski tasak. Dowódca wśliznął się przez furkę, pobieżnie lustrując podwórko. W oknach głównego budynku było ciemno, jakby Jasiek poszedł wcześniej spać. Przy świetle księżycy kapitan dostrzegł czarny kształt leżący na środku placu. Wskazał go kompanom. Gogiel, nie przejmując się ostrożnością, kilkoma susami doskoczył do ciała.

– Jasna cholera, to Maciej – szepnął.

Ritter znalazł się przy leżącym nie wiedząc kiedy. W ciemnościach szybko obmacał staruszkę. Machinalnie wytarł zakrwawione ręce w spodnie.

– Poderżnięte gardło – stwierdził. – Jest już zimny i zaczyna sztywnieć, zatem załatwili go przed kilkoma godzinami.

Tymczasem pan Michał przemknął wzdłuż budynków, zaglądając w ciemne okna. Nadstawiał ucha, wzrokiem szukał śladów obecności ludzi. Wszystko wskazywało na to, że napastnik lub napastnicy już dawno opuścili warsztaty. Chyba że zaczęli się w ciemnościach. Ilnicki z impetem otworzył drzwi posterunku i natychmiast się uchylił. Żadne ostrze jednak na niego nie spadło.

– Potrzebuję światła – powiedział.

Obawiał się, że w środku natkną się jedynie na zwłoki Jaśka. Oczywistym było dla niego, że ktoś przyszedł po chłopaka, wiedząc, że wszyscy policjanci zajęci będą gdzie indziej. Co za problem zaszlachtować starca, a potem dzieciaka? Gliński powinien postarać się o lepszą ochronę niż weterani inwalidzi. Trzeba było przymknąć świadka w prawdziwym więzieniu, choćby w celach ratusza. Tam przynajmniej byłby bezpieczny.

Roch podniósł latarkę leżącą obok zabitego Macieja. Otworzył ją i sięgnął do kieszeni po krzesiwo. Po chwili mrok został rozświetlony rozchwianym ognikiem świecy wetkniętej w szklaną prostokątną latarnię.

– Wchodzimy – oznajmił krótko dowódca i jako pierwszy wszedł do wnętrza.

Znalazł tylko porozrzucane po podłodze kartki ze splądrowanej kartoteki oraz przewracane meble. Jasiak zniknął bez śladu.

XII

Centrum miasta stanowiła ulica Miodowa, raptem kilka miesięcy wcześniej przemianowana na Napoleona, i jej przedłużenie, czyli Krakowskie Przedmieście. To wzdłuż nich stały najwystawniejsze pałace, co prawda o podniszczonych i zaniedbanych fasadach, ale większość budynków w umęczonym, do niedawna wyludnionym mieście nosiło ślady upływu czasu. Obecnie Warszawa znów tętniła życiem, a najważniejsze ulice, stanowiące centrum miasta, brzmiały wielkomiejskim hałasem. Turkot kół wozów, przekleństwa woźniców, nawoływania przekupek i śmiechy dzieci cichły dopiero po zmroku. Dopiero kiedy zapadała cisza, pan Augustyn mógł w spokoju oddać się lekturze, dokończyć pisanie raportów dla ministra i poleceń dla podwładnych.

Gliński mieszkał w sercu miasta. Żył sam w odziedziczonym po ojcu domu na Krakowskim Przedmieściu pod numerem 417. Sam, nie licząc oczywiście dwóch służących i gosposi. Nie wstąpił w związek małżeński i nie założył rodziny, gdyż sprawy sercowe nigdy go nie interesowały, a wobec uroków płci pięknej pozostawał niewzruszony. Nie miał żadnych ekstrawaganckich upodobań w tych sprawach, po prostu stał ponad chuciami, nie przyjmując ich istnienia do wiadomości. Było mu dobrze mieszkać samemu i nie czuł potrzeby dzielenia życia z kim innym. Policyjnemu dygnitarzowi wystarczała praca, której zawsze pozostawał wielce oddany, i grono masonskich przyjaciół. Wieczorem, zamiast pełnić małżeńskie obowiązki, wolał posiedzieć z kubkiem gorącego mleka przy papierach, pograć w szachy z którymś kompanem lub odwiedzić teatr. A teatr był jedną z jego wielkich pasji.

Dzisiejszego wieczoru zajął się najpierw tłumaczeniem z niemieckiego komedii *Niebezpieczeństwa miłości*, co robił trochę dla zabawy, trochę z potrzeby tworzenia, a trochę, by wywiązać się z dżentelmeńskiej umowy wobec pana Bogusławskiego, dyrektora jedyne w Warszawie teatru.

Kiedy praca translatorska mu się znudziła, wezwał lokaja Anzelma i zażyczył sobie kieliszek likieru różanego, by delektując się napojem, otworzyć jedno z mahoniowych pudeł, pieczołowicie poukładanych na półce. Następnie z lupą w ręku oglądał zgromadzone wewnątrz monety. Cmokał przy tym i się oblizywał, co chwila zerkając do niemieckiego almanachu numizmatycznego, by porównując opublikowane w nim sztuchy z oryginałami, napawać się swoją kolekcją.

Przyjemność przerwało mu powtarzające się chrobotanie, które dobiegało od strony okna. Początkowo wziął je za odgłosy wydawane przez korniki buszujące w okiennej ramie, ale w końcu doszedł do wniosku, że dźwięk jest zbyt głośny. Zatrzasnął pudełko i poderwał się od biurka. Sięgnął po leżący na blacie pistolet i odciągnął jego kurek. Wyposażył się w broń identyczną z tą, którą dał kapitanowi Ilnickiemu, czyli w nowoczesny francuski pistolet kawaleryjski. Broń elegancko i pewnie leżała w dłoni – była niezbyt wielka, za to niebywale poręczna. A nade wszystko dodawała odwagi i pewności siebie.

Gliński podszedł do okna i wyrztał przez uchyloną koronkową zazdrostkę. Po to urządził gabinet na piętrze i od strony podwórka, by w pracy nie przeszkadzały mu hałasy dobiegające z ulicy, które roznosiły się po reszcie domu. Policjant spojrział na pograżony w ciemności placyk ze studnią i szopkami, w których znajdowały się także kurnik i chlewik. Gospoia Małgorzata uważała, że żadne gospodarstwo domowe nie może obyć się bez tych zwierząt. Panu Augustynowi nie przeszkadzały, nie czuł zapachów produkowanych przez trzodę, bo okna w jego gabinecie i tak się nie otwierały.

Niespodziewanie na gzymsie okiennym pojawiła się biała plama – ludzka ręka. Ktoś wspinał się mozolnie, wykorzystując pęknięcia w ścianach. Złodziej! Lub zamachowiec podkładający bomby!

Gliński przywarł do ściany obok okna, uniósł pistolet. Czekał. Niech tylko głowa bandyty pojawi się za szybą. I pojawiła się: znajoma, młodzieńcza twarz. W dodatku pobladła ze strachu i przejęcia. Jaśko podciągnął się, usiadł na parapecie i grzecznie zapukał w szybę. Pan Augustyn pokazał mu się i też popukał, ale samego siebie w czoło.

– Złaż. Okna się nie otwierają – powiedział głośno. – Zaraz każę cię wprowadzić. – Szef policji otworzył drzwi gabinetu i krzyknął: – Anzelmie! Przyprowadź tu do mnie tego młodego cymbała, którego znajdziesz na podwórku.

– Wrócił? Dobijał się kilka razy, ałem myślał, że to żebrak, i zagroziłem, że go psami poszczuję, jeśli nie pójdzie – odparł z dołu służący. – Zara go wprowadzę, jeśli jaśniepan sobie życzy. Za czasów starego pana coś takiego byłoby niemożliwe. Byle łachudra, obdrapaniec i ladaco na pańskich pokojach... Koniec świata.

Jaśko już po chwili stanął w drzwiach gabinetu, nerwowo miętosząc zdjętą czapkę. Sprawiał wrażenie przejętego, a właściwie przerażonego.

– Anzelmie! Daj mu kubek mleka! – ryknął Gliński.

– Pewno jeszcze podgrzanego? – mruknął do siebie stary lokaj, ale tak, by być słyszonym w całym domu. – Albo od razu śmietanki?

Pan Augustyn nie zwracał uwagi na służącego, przyglądał się uważnie wystraszonemu i speszonemu chłopakowi. Po chwili namysłu wskazał mu krzesło, a sam zasiadł za

biurkiem, oparł łokcie o blat i splótł dłonie, przyjmując pozę urzędnika przesłuchującego petenta. Jaśko wypił duszkiem mleko przyniesione przez naburmuszonego lokaja.

– Dlaczego nie jesteś na posterunku? – krótko spytał sekretarz generalny.

– Stało się coś strasznego, wasza ekscelencjo! Przyszli po mnie, chcieli mnie na miejscu zaszlachtować!

– Po kolei i spokojnie, bo dostaniesz czkawki – rzekł gospodarz. – Co się stało?

– Wszyscy śledczy wyszli razem z mundurowymi salcesonami na jakąś akcję. Zostałem z Maciejem, który zagonił mnie do roboty przy rąbaniu drewek na opał, a sam usiadł na pieńku i raczył historyjkami z dawnych czasów. Com ja się nasłuchał za opowieści! – Chłopak załamał ręce. – Gorszące historie o kasztelankach, które obsługiwały klientów w łaźni kasztelana Jezierskiego! O tym, jakie potrafiły sztuczki i co mógł z nimi zrobić mężczyzna mający trochę grosza w trzosie. Na przykład można było wynająć sobie pokoik z wanną gorącej wody, niby do mycia, a do tego dwie dziewczynki. Zabawiały się wpierw ze sobą, przyjmując pozy tak wyuzdane, że diabli w piekle płonęli ze wstydu. Wszystko to, by rozpalic klienta. Potem jedna brała do ust...

– Co mi za farmazony pleciesz! – huknął pan Augustyn. – Do rzeczy!

Jaśko drgnął ze strachu, zaczął mówić szybko, łykając końcówki słów:

– Kiedy się zmachałem rąbaniem drow i zrobiło się ciemno, zacząłem nosić je na posterunek. Maciej polazł zrobić obchód. Przeniosłem wszystko i zabrałem się za rozpalanie w piecu, gdy usłyszałem, że stary pierdoła z kimś rozmawia. Z ciekawości wyrząłem przez okno. To byli trzej mężczyźni, jeden w zielonym płaszczu i z czako na głowie, dwaj w ciemnych surdutach.

– Artylerzysta. Francuz czy Polak?

– Polak, bo z Maciejem gadał, a stary nie zna francuskiego. Staruszka bardzo ta rozmowa zdenerwowała, zaczął wymachiwać rękoma i wrzeszczeć. Kurwami rzucał, złorzeczył i groził im pobiciem. Pchnął mundurowego, a potem próbował szarpnąć jednego z surdutów. Ten odwinął się, błysnęło ostrze i Maciej umilkł. Na wieki. Jucha bryznęła, że nawet mimo mroku widziałem czarną strugę. Zaszlachtował go niczym prosiaka. Ciach! Jednym cięciem rąbnał. Ostry musieć miał sztylet, niczym brzytwa. Zdało mi się nawet, że słyszałem, jak ostrze zazgrzytało o kręgosłup Macieja, tak głęboko wlało.

– Nie zmyślaj! – burknął Gliński. – Co dalej?

– Drugi z surdutów zrugął nożownika, ale po francusku. Był oburzony, chyba nawet przeklinał. Ci dwaj to były zabojady. Dranie jak cholera. Zdębiałem i pomyślałem sobie, że tera na mnie kolej. Jak nic przyszli po mnie, to ludzie tych dwóch jegomościów, com ich widział przed pałacykiem. Zabili Bogu ducha winnego Macieja, to mnie co zrobią? Rozerwą żywcem! Zedrą pasy i posolą, bym nawet na tamtym świecie nikomu nie

powiedział. Pora wiać, powiedziałem sobie. Nic tu po tobie, Jaśku. Wystarczy, bym dał dyla przez któreś z okien na tyłach budynku, a potem hopsa przez płot i dawaj, biegiem na Powiśle. Tam by mnie nie znaleźli. Zwołałbym chłopaków i jeszcze zabójady zaliczyłyby kosą pod żebro albo choć cegłą w łeb. Tylko jeśli zniknę, to co powiedzą pan kapitan Ilnicki i pan generał Gliński? Jaśko, mówię sobie, nie możesz dobrodziejów swoich tak zostawić! Trza pomścić Macieja, Kolbę i Chromego! Tera ty musisz prowadzić inwigil... Śledztwo! Ty będziesz, w zastępstwie, śledczym. Takem sobie, mało skromnie, pomyślał.

– Dobrze. – Oficjalista łaskawie skinął głową, akceptując ten samozwańczy awans.

– Zamiast dać dyla, pogałem na poddasze. W ostatniej chwili tom uczynił, bo mordercy wpadli biegiem na posterunek. Mknęli szybko niczym duchy, od drzwi do drzwi, od pokoju do pokoju, gotowi zabić każdego, kogo spotkają. Staralem się stąpać tak, by podłoga nie skrzypiała. Chciałem się schować w szafie, co stoi na korytarzu, alem pomyślał, że tam mogą mnie szukać. Cały czas modliłem się do świętego Dyzmy i chyba miał mnie w opiece, bo faktycznie jeden z Francuzów wbiegł na górę i od razu zajrzał do szafy. A ja schowałem się w szparę pomiędzy nią a ścianą. Chudy jestem, wstrzymałem oddech i jakoś się wcisnąłem w ten ciemny kąt. Czułem zapach Francuza, diabelski, mówię panu, ekscelencjo. Śmierdział siarką.

– Mhm – mruknął Gliński. – I może trochę nawozem? To proch strzelniczy. Widocznie ten mężczyzna niedawno strzelał. Poznałbyś go?

– Chyba tak. Nastroszony wąsik, pociągła, diabelska gęba.

– Coś jeszcze wysledził?

– Niewiele, bo te sukinsyny rozmawiały po francusku. Tłukli się po posterunku, a Polak w mundurze plądrował archiwum. Któryś zabojad strasznie się złościł, krzyczał ciągle: „wit, wit”! Co to znaczy? Może to jakieś hasło?

– Nie, to nieistotne.

– Stałem za tą szafą i nie śmiałem głośniej oddychać, a oni ciągle przetrząsali budynek. Jeden wreszcie nawrzeszczał na artylerzystę, i to po polsku, ten nie był mu dłużny. Znaczą jednak się myliłem, tylko jeden z nich był Francuzem. Słyszałem odgłosy szamotaniny, chyba zaczęli się bić. Nagle przestali i wyszli. Wylazłem z za szafy, bo nie mogłem już tam wytrzymać, i zszedłem na dół. Zajrzałem w przelocie do archiwum i znów wspomógł mnie święty Dyzma, bo na rozrzuconych po podłodze papierach dostrzegłem coś ciemnego. Podniosłem to i wtedy jeden z nich wrócił. – Jaśko teatralnie wstrzymał głos. – Nie miałem czasu znów biec na górę, skoczyłem za uchylone ciągle drzwi i przywarłem do ściany. To był ten w zielonym mundurze. Rozglądał się po podłodze, czegoś nerwowo szukał. Zorientował się, że w szamotaninie coś zgubił, i teraz się za tym rozglądał. Ale to coś już siedziało w mojej kieszeni. Żołnierz zaklął wściekle i

wybiegł. Poczekałem jeszcze trochę i pognałem za nimi, by ich śledzić, ale chyba odjechali powozem. Znikli w ciemności. Pomyślałem, że jak najszybciej muszę kogoś powiadomić o tym, co zaszło. Nie wiem, gdzie wybrali się śledczy, słyszałem za to, że wasza miłość mieszka na Krakowskim Przedmieściu. Wystarczyło popytać stróżów w bramach i raz-dwa znalazłem waszą siedzibę.

– Pięknie. Pokaż wreszcie, co takiego zgubił ów artylerzysta.

Jaśko wyciągnął z kieszeni rękawiczkę z cienkiej skórki i podał ją policjantowi. Ten obejrzał znalezisko z ciekawością i uśmiechnął się, zadowolony. Nie musiał porównywać jej do znalezionej przez Szaję na miejscu wybuchu, wiedział, że pochodzą z tej samej pary.

– W pałacyku przed wybuchem znajdował się polski artylerzysta. A to ciekawe. – Pan Augustyn odruchowo sięgnął do kieszeni po fajkę. Wsunął ją do ust i zaczął gryźć cybuch. – Czyżby to on nastawił bombę zegarową? Ale po co, u licha? Kogo chciał zabić? Przecież nie francuskiego generała, bo ewidentnie współpracuje z Francuzami. Może mamy do czynienia z jakimiś wewnętrznymi rozgrywkami na wyższych szczeblach dowództwa Wielkiej Armii? Generał Morand, do którego należy pałacyk i który, jak wiemy, omal nie zginął w wybuchu, nie jest byle oficerem, ale liniowym generałem z bezpośredniego otoczenia marszałka Davouta. Może zamach przygotowali przeciwnicy tego dygnitarza? Marszałkowie cały czas żrą się między sobą. Książę Davout dowodzi Trzecim Korpusem Wielkiej Armii, a z pewnością jest wielu pretendentów na to stanowisko. A co, jeśli Morand sprowadził do pałacyku luksusową prostytutkę dla swojego przełożonego i zaprosił marszałka, o czym dowiedzieli się jego wrogowie?

– Nie wiem, o czym wasza łaskawość mówi, ale podejrzewam, że wsadziliśmy łapę między drzwi a framugę. Mam rację?

– Niestety, chłopcze. Żałuję, że nie posłuchałem polecenia ministra Potockiego ani rad kapitana Ilnickiego. Trzeba było zakończyć to śledztwo i jak najszybciej o nim zapomnieć. Teraz jest jednak za późno. Nie mam bladego pojęcia, jak wycofać się z tej kabały i ocalić nasze głowy.

XIII

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Tomasz Dangel, wskazując zamkniętą bramę. – Co teraz?

Młody urzędnik przyprowadził trzech śledczych pod dom w okolicach drogi Kalwaryjskiej, nazywanej coraz częściej aleją Ujazdowską. Jedna z posesji otoczonych obszernym parkiem była ponoć siedzibą carycy warszawskiej prostytutki – *madame* Kiełczakowskiej. W trakcie burzliwej dyskusji na posterunku Ilnicki zdecydował, że od razu, nie czekając na zaproszenia załatwione przez Glińskiego i łaskę jaśnie pani, wtargną do jej domu i ją przesłuchają. Chodziło o pośpiech. Jaśko znikł bez śladu i wyglądało na to, że został uprowadzony. Porwał go zamachowiec lub zamachowcy, pewnie by dowiedzieć się, ile wygadał, a potem uciszyć na wieki. Może właśnie przypiekali mu pięty lub prali ile weszło, by zaczął mówić?

Pan Michał postanowił wysłać Szaję po psy. Żyd dostał polecenie przyprowadzenia zwierząt na posterunek i użycia ich do tropienia śladów. Może po obwąchaniu pryczy, na której spał chłopak, psy złapią trop i wskażą przynajmniej kierunek, w którym ruszył porywacz z uprowadzonym. Do tego czasu nie sposób jednak było siedzieć z założonymi rękami. Kapitan nie mógł tak po prostu czekać, kiedy paliło go przekonanie, że dzieciak zostawiony pod jego opieką wpadł w łapy mordercy.

– Często bywałeś w tym burdelu? – Roch zwrócił się do Dangiela.

– Raz – odparł młodzieniec bez skrępowania. – Kiedy ojciec zabrał tu współników z Gdańska i Berlina. Towarzyszyłem im do samych drzwi, później staruszek strzelił mnie w łeb i kazał wracać do domu. Zresztą i tak niewiele bym zobaczył, bo *madame* nie prowadzi tu lupanaru, nawet nie ma w tym domu dziewcząt. Tutaj zapoznaje się tylko z klientami, niby badając ich upodobania, by pod nie dobrać damy do towarzystwa. Tak naprawdę wszakże ocenia, czy klienta stać na jej dziewczynki i co może dodatkowo na tym ugrać. W ten sposób stała się bardzo wpływową osobą. Szczerze mówiąc, nie radzę panom tak po prostu wdzierać się do środka. To tak, jakbyście zamierzali podnieść rękę na koronowaną głowę.

Ilnicki odwrócił się do kompanów. Prócz Tomasza i Rocha towarzyszył mu jeszcze Ritter. Cała czwórka stała przed bramą w ciemnościach rozprasanych jedynie przez mdłe światło latarki trzymanej przez doktora. W żółtym świetle pan Michał spojrzął kolejno w twarze policjantów.

– Panowie, wiecie, na co się narażamy – powiedział. – Jeśli jest tak, jak mówi pan Dangieli, możemy zrujnować sobie kariery, wylądować na bruku. Wystarczy, że *madame* doniesie na nas, a skończymy za kratami lub nawet na stryczkach. Nie mogę zmuszać was rozkazem do tak dużego poświęcenia. Szczególnie że chodzi tylko o nic niewarte życie jednego złodziejaska. Pójdę sam.

– Jeszcze czego – zadudnił Gogiel. – Wybacz, kapitanie, ale sam nie dotrzesz na pokoje tej starej kurwy. A jeśli nawet, to nie wiem, czy potrafiś rozmawiać z takimi jak ona. Idę z tobą. I z całym szacunkiem, ale w dupie mam karierę. Nie po to wstąpiłem na służbę, by trząść gaciami przed byle wywłoką. Idę.

Dowódca klepnął go w ramię, uśmiechając się szeroko. Wielkoluda nie dało się nie lubić.

– Ja też pójdę – cicho oznajmił Ritter. – Nie jestem tchórzem, choć może na takiego wyglądam. Poza tym umiem wyciągać z ludzi zeznania najsprawniej i najskuteczniej z was wszystkich.

Kapitan skinął głową. Oczywiście, były funkcjonariusz gestapo mógł znać metody, o których im dwóm nawet się nie śniło.

– Idę z wami! Nie umiem się bić ani torturować ludzi, ale może na coś się przydam – oznajmił Tomasz.

– Nie jesteś pan policjantem. – Ilnicki pokręcił głową. – W pana przypadku wtargnięcie do tego domu może zostać potraktowane jak rozbójnictwo. Wracaj pan lepiej do domu.

– To zaczekam na panów tutaj – oznajmił Dangieli. – I tak dziś nie zasnę z ekscytacji. Ciekawy jestem, jak to się skończy.

– Hej, czego tam?! – dobiegł ich męski głos od strony pogrążonego w ciemności domu. – Nie mata gdzie debatować? Już mi stąd, pijaki cholerne!

Z mroku wyłoniła się postać opatulonego w płaszcz stróża. Straszny mężczyzna w przekrzywionej czapce szedł w kierunku bramy, podpierając się ciężkim kijem. Dangieli wycofał się kilka kroków, a Gogiel skulił, jakby próbował pomniejszyć swoją sylwetkę. Kapitan natychmiast wszedł w rolę, zachwiał się i donośnie beknął. Oparł się ramieniem o kratę bramy i zaczął grzebać przy spodniach, mamrocząc coś pod nosem.

– Gdzie szczasz, pijane chamidło! – ryknął cieć i ruszył do ataku.

Zamachnął się kijem i próbował sieknąć nim Ilnickiego, mierząc między prętami bramy. Laga świsnęła, ale trafiła w pustkę. Pan Michał uchylił się zwinnie, złapał spadające drewno i pociągnął je mocno ku sobie. Stróż poleciał do przodu, uderzył w kraty. Roch złapał go za kapotę, przyciągnął i przycisnął mocno do bramy. Oficer odrzucił zdobyty kij i włożył ręce w kieszenie mężczyzny. Wyciągnął z prawej duży żelazny klucz. Wetknął go w zamek furty i przekręcił z chrzęstem metalu.

– Na razie dobrze idzie – uśmiechnął się Roch, wchodząc na teren posiadłości. – Co zrobimy z dziadkiem?

– Nie zabijajcie – wycharczał przerażony cieć.

– Jesteś pan aresztowany. – Ilnicki położył rękę na jego ramieniu. – Panie Dangieli, przypilnuje pan tego człowieka.

Trzej policjanci zostawili młodego urzędnika z trzęsącym się aresztantem i szybkim krokiem ruszyli w kierunku domu. Dowódca poprowadził ich na tyły budynku, bo z pewnością właśnie stamtąd, z wejścia dla służby, wyszedł stróż. Drzwi rzeczywiście były otwarte i policjanci znaleźli się w ciemnym korytarzu. Minęli pograżoną w miłych zapachach i ciepłe kuchnię, a potem kolejne drzwi składzików i pokoików, w których spali parobkowie i służące. Wyszli do przestronnego holu, podkute buty pana Michała zadzwoniły na marmurowej posadzce. Światło latarki, niesionej w uniesionym ręku przez doktora Rittera, oświetliło korytarz, misternie udrapowane, ciężkie zasłony w oknach, starożytne dzbany stojące na rzeźbionych stolikach i obrazy na ścianach. *Madame* rezydowała w prawdziwym pałacu.

– Gdzie ta cholera może spać? – szeptem zastanawiał się Gogiel.

Wielkolud zajrzał do mijanego pokoju, ale to była bawialnia ze stolikiem do stawiania pasjansa i z porzuconymi na fotelach robótkami ręcznymi. Za pokojem znajdował się kolejny, podobny, ale chyba przeznaczony do palenia tytoniu, bo w stojakach stały fajki, a w kątach mosiężne spluwaczki. Ściany i zasłony przesiąkły przyjemnym, aromatycznym dymem. Policjanci mijali kolejne pokoje bawialne, łącznie z gabinetem do wypróżniania się, w którym czekały drewniane toalety i ceramiczne nocniki. Wreszcie trafili do buduarów z szafami pełnymi strojów, stojakami na kapelusze i manekinami ubranymi w suknie. Kolejnym pomieszczeniem musiała być sypialnia pani domu. I była.

Łoże z baldachimem stało pod ścianą, naprzeciw kaflowego pieca promieniującego ciepłem. Gdy buty policjantów zastukały na podłodze, a światło ich lampy rozjaśniło pomieszczenie, z łóżka wyskoczył młody nagi mężczyzna. Dał susa w kierunku stolika, obok którego, na podłodze, leżało niedbale rzucone ubranie. Roch rzucił się ku niemu, warcząc groźnie. Młodzieniec zacharczał dziwnie ze strachu, pochylił się nad odzieniem, ale widząc zbliżającego się wielkoluda, złapał krzesło i cisnął nim w napastnika. Gogiel odbił pocisk ramieniem. Mebel załomotał o podłogę.

– Ucisz go, do cholery – warknął Ilnicki.

Roch był już przy kochanku gospodyni. Ten złapał ubranie i szamotał się z nim w poszukiwaniu broni. Wtedy na jego głowę spadła potężna pięść Gogiela, powalając go na ziemię. Były milicjant klęknął przy przeciwniku, ale ten ani drgnął. Stracił

przytomność lub nie żył. Wielkolud odebrał mu frak, z którego wyciągnął pozbawiony ozdób sztylet.

Tymczasem na łóżku usiadła starsza pani o błyszczących wściekłością oczach. Nie wpadła w panikę, tylko szczupakiem rzuciła się ku ścianie. Uwiesiła się sznura zakończonym złotym kutasem i zaczęła z wściekłością nim szarpać. Gdzieś w głębi domu rozległo się dzwonienie. Doktor Ritter podbiegł do *madame* i trzasnął ją otwartą dłonią w policzek. Złapał kobietę za włosy i szarpnął, zmuszając do puszczenia sznura dzwonka. Rzucił ją na podłogę z taką siłą, że potoczyła się niemal pod ścianę. Ilnicki spojrzał ze zdumieniem na niepozornego lekarza. Twarz Prusaka nie wyrażała żadnych emocji, tylko wąskie usta zacisnęły się w cienką szparkę.

– Nie wiecie, kim jestem – syknęła właścicielka domu. – Zapłacicie za to, skurwysyny. Moi ludzie znajdą was choćby na końcu świata.

Kapitan podszedł do niej, gestem podpatrzonym u Rittera chwycił za włosy i mocno pociągnął, stawiając kobietę na równe nogi. Przyłożył palec do ust, sugerując zachowanie ciszy. Starał się sprawiać wrażenie zdecydowanego i pozbawionego skrupułów.

– Wiemy, kim pani jest, *madame* Kiełczakowska – powiedział. – Nie chcę robić pani krzywdy. Proszę mi tylko odpowiedzieć na kilka pytań, a odejdziemy w pokoju.

– A żeby ci fiut sparszywił, gnojku! – Plunęła mu w twarz i rozczapierzonymi palcami próbowała rozorać policzek.

Oficer odepchnął ją tak mocno, że znów poleciała na podłogę.

– Dla kogo generał Morand zamówił dziewczynę? – spytał lodowatym tonem.

– Kto was przysłał? – odparła pytaniem. – Już jesteście trupami! Choćbyście się zagrzebali w Górze Gnojnej, wykopię was i każę każdemu urwać jaja, a potem je zeżreć. Lepiej od razu wyznajcie, kto was przysłał! Ta parchata kurwa z Woli, która mi podbiera dziewczyny? A może zrzuciło się całe Stare Miasto?

W głębi domu rozległy się wzburzone głosy. Służba nadchodziła. Ilnicki spojrzał przez otwarte drzwi w głąb korytarza. Gogiel dobył tasaka i mrugnął zadziornie do dowódcy.

– Zatrzymam ich – mruknął. – Wyciągnijcie coś z tej dziwki.

Wielkolud wyszedł z sypialni i zamknął za sobą drzwi. Kapitan spojrzał na siedzącą na podłodze rozgniewaną Kiełczakowską. Dyszała ze wściekłości. Nie wyglądało na to, że uda im się wydobyć z niej jakiegokolwiek informacji.

– Pan pozwoli. – Ritter skinął grzecznie Ilnickiemu i gdy ten z roztargnieniem pokiwał głową, jednym susem doskoczył do kobiety.

Złapał ją za prawą rękę i wykręcił tak, że znalazła się za plecami przesłuchiwanej. Potem wygiął najmniejszy palec. Chrupnęło, gdy wyskoczył ze stawu. Burdelmama ryknęła z bólu. Doktor wetknął w jej usta zwiniętą w kłębek chustkę. Oficer podniósł

stojącą na podłodze latarkę i pochylił się, by przyświecić śledczemu, w którego dłoni pojawiła się długa, gruba igła. Lekarz zademonstrował ją kobiecie, a potem z wprawą wbił pod paznokiec wyłamane go palca. Przesłuchiwana wierzgnęła spazmatycznie. Pan Michał zacisnął zęby. Nie spodziewał się, że jako policjant będzie przyzwalał na stosowanie takich metod. Działo się jednak tak, jak przepowiedział Gliński – walcząc ze zbrodnią, musiał zanurzyć się w mroku i ohydzie. Odetchnął głęboko i znów złapał Kiełczakowską za włosy. Potrząsnął mocno.

– Mój przyjaciel może sprawić znacznie więcej bólu. Proszę odpowiedzieć na pytania, a zostawimy panią w spokoju. Dostarczyła pani dziewczynę dla specjalnego gościa generała Moranda – powiedział, siłąc się na spokój. – Kto to taki? Nazwisko!

W korytarzu rozległy się krzyki i przekleństwa. Po chwili łomot walących się mebli. To Roch zaskoczył idących z odsieczą służących. Ilnicki miał nadzieję, że olbrzym wytrzyma wystarczająco długo. Skinął Ritterowi. Doktor wyciągnął knebel z ust kobiety.

– Fryderyk August, król saski – wycodziła, łkając z bólu i poniżenia.

Kapitan syknął przez zęby. Król Saksonii i książe warszawski, koronowana głowa, oficjalnie dzierżący władzę w polskim państwie. Wnuk króla Augusta III został mianowany przez cesarza Napoleona władcą nowo utworzonego Księstwa. Choć monarchą był marionetkowym i stale przebywał w ojczystej Saksonii, potraktował obowiązki poważnie, nauczył się polskiego i niedawno przyjechał z wizytą do Warszawy. Dwa dni temu o mało nie wyleciał w powietrze. Jego śmierć skompromitowałaby zarówno Polaków, jak i cesarza Bonapartego. Mogłaby zbuntować liczne landy niemieckie przeciw Francji, a nawet doprowadzić do kolejnego wymazania Polski z map Europy. Nic dziwnego, że Morand wolał zachować sprawę w tajemnicy i samemu przeprowadzić dochodzenie. Kto zatem porwał Jaśka? Francuski wywiad wojskowy? Możliwe, że we współpracy z saskimi służbami Fryderyka Augusta.

Ilnicki przełknął ślinę. Zatem wszystko stracone. Francuscy szpicle wyciągną z Jaśka, co chcą, i go zlikwidują. Tego nie sposób powstrzymać. Pewnie trzymają go w koszarach, do których policja nie ma wstępu. Ponadto kiedy tajniacy stwierdzą, że warszawska policja śledcza może stanowić zagrożenie dla czci i honoru cesarza oraz dla interesów Francji, po prostu wrócą na posterunek i zaszlachtują funkcjonariuszy, łącznie z Glińskim. Jediną szansą na przetrwanie było znalezienie zamachowców i użycie ich jako karty przetargowej w rozmowach z generałem Morandem. Jeśli polscy policjanci podadzą Francuzom na tacy niedoszętego królobójcę, może uda im się wybrnąć z kabały.

– Kto, prócz pani, wiedział o Fryderyku Auguście? – Oficer szybko zapanował nad paniką.

– Nikt – odparła bez zastanowienia i sekundę potem wrzasnęła z bólu. Ritter znów wbił jej igłę pod paznokiec. – Powiem, powiem! Błagam, nie! Wiedział mój współnik,

ale on nikomu nie mógł powiedzieć, jest bezgranicznie mi oddanym niewolnikiem. To ten mężczyzna. – Wskazała leżącego bez przytomności kochanka.

– Kto jeszcze?

– Nikt, przysięgam. Generał nalegał na dyskrecję, a ta jest dla mnie święta. Na niej opieram cały swój interes. Nikt nie wiedział.

– A dziewczyna?

– Ona oczywiście wiedziała, ale przecież nie żyje.

– Zanim wyleciała w powietrze, mogła powiedzieć komuś, kto wykorzystał tę informację – odparł kapitan. – Przekazał ją rosyjskim lub austriackim szpiegom. Albo sam nim jest. Kim była ta aksamitka?

– Aksamitka? Nie, ona nie była dziwką. – Kiełczakowska zastygła, by nie prowokować doktora. – Król sam sobie ją wypatrył na jednym z balów. Śliczną młódkę, z którą tańczyli oficerowie. Jako że jego wysokość ma żonę, a poza tym jest koronowaną głową, nie mógł pospolitować się zawieraniem znajomości z dziewczką z polskiej szaraczkowej szlachty. Nasz miłościwie panujący Fryderyk August lubi panny świeże, nieskalane, o białej, alabastrowej cerze i niewinności wypisanej na twarzy. Poprosił jednego z zaufanych francuskich generałów o zorganizowanie spotkania sam na sam z tym dziewczęciem. A generał Morand, rzecz jasna, zwrócił się z tym do mnie.

– Jak zmusiłaś dziewczynę do nierządu? – Ilnicki czuł rosnącą falę gniewu.

– Och, to nie było niczym nadzwyczajnym. Kazałam ją sprawdzić swoim ludziom. Okazało się, że dziewczka jest półsierotą, biedną niczym mysz kościelna. Żyła z matką w małym, zawalającym się domku na skraju miasta, a utrzymywał je brat, żołnierz, ze swego lichego żołdu. Sprawa była więc prosta. Kazałam ją przywieźć do siebie i grzecznie zagroziłam, że jeśli nie spełni mojej prośby, jej brat rychło zakończy karierę w armii, a może nawet życie. Ona zaś z matką wylądowały na bruku i jeszcze sama na kolanach do mnie przyjdzie błagać o to, by być dziwką w moim haremie. Natomiast jeśli zdecyduje się spędzić jedną noc z królem, obsypię ją złotem, a jego wysokość też może okazać łaskę. Dziewka niby płakała, opierała się, ale tylko na pokaz. Szybko zrozumiała, że właściwie wygrała los na loterii. Wystarczyłoby, aby spełniła zachcianki króla i mu się przypodobana, a może udałoby się jej wyprosić u niego wysokie stanowisko w saskiej armii dla brata. Lub w inny sposób zapewnić sobie godny los. Może Fryderyk August wskazałby ją któremuś ze swoich dworzaków jako potencjalną partię?

– Uczyniłaś jej więc przysługę? – mruknął pan Michał.

– Tylko uświadomiłam, ile może zyskać, a ile stracić. I za co? Za dziewictwo? A cóż ono warte? Jeśli jest się biedną panienką bez posagu, trzymanie wianka na nic się nie zda. Ona szybko to rozumiała. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

Łomot i krzyki przybliżyły się do drzwi sypialni. Brzęczały zderzające się ostrza, po czym śledczy poznali, że Roch toczył szermierczy pojedynek z liczniejszym przeciwnikiem. Nadeszła najwyższa pora, by zniknąć. Ilnicki doskoczył do drzwi i otworzył je, wpuszczając dyszącego ze zmęczenia Gogiela. Wielkolud spocił się, głowę miał czerwoną i nabrzmiałą z wysiłku, jego kapota nosiła ślady szarpaniny, a jeden bok miała rozpruty aż do ziemi. Policjant nie wyglądał jednak na rannego.

Za nim kłębił się tłum służby: uzbrojonych w kije i siekiery pachotków, kucharza z tasakiem w garści i trzech drabów z szablami. Wszyscy zastygli, gdy oficer wymierzył w nich pistolet. Przez kilka uderzeń serca stali w bezruchu. Nikomu nie spieszyło się jako pierwszemu rzucić na kapitana i poświęcić, przyjmując kulę na siebie. Pan Michał zatrzaskał drzwi, które Roch natychmiast zastawił masywną gotowalnią.

– Bronimy się czy wiejemy? – Gogiel wskazał okno.

W drzwi załomotały pięści i kopniaki. Ritter ciągle klęczał przy kobiecie, wykręcając jej rękę. Kiełczakowska patrzyła na Ilnickiego tym razem już bez wściekłości, a z rosnącym strachem. Mógł jednak kazać ją załatwić temu milczącemu potworowi, który ją torturował.

– Jak się nazywała ta dziewczyna?

Madame zawahał się. Od tej odpowiedzi mogło zależeć jej życie.

– Emilia Parys – odparła, zanim lekarz zdążył znów zrobić jej coś bolesnego.

Dowódca skinął na doktora i doskoczył do okna. Wybił szybę ręką pistoletu i pchnął Ritтера w kierunku otworu.

Ciężka komoda gotowalni przesuwiała się pod naporem służących. W powstałej szparze pojawiła się ręka z szablą.

Pan Michał po raz ostatni spojrział na siedzącą na podłodze, zalaną łzami i krwią Kiełczakowską.

– Proszę nas nie szukać, a najlepiej zapomnieć o tej wizycie – powiedział. – Nie chciałbym znów się narzucać, ale jeśli zostanę sprowokowany, wrócę z moim przyjacielem, który ma jeszcze wiele igieł i wie, jak je wbijać, by człowiek umierał w męczarniach.

– Idźcie do diabła – syknęła kobieta.

Ilnicki rozplynął się w ciemności.

XIV

Nad Warszawą zgromadziły się ciężkie, kłębiaste chmury i o świcie sypnął śnieg. Duże płatki opadały leniwie, ale ich warstwa błyskawicznie pokryła wielkomiejski bród nieskalaną bielą. Pod śniegiem znikły nieczystości tkwiące w rynsztokach, końskie i krowie łajno zalegające na ulicach, a dachy zarówno pałaców, jak i rozwalających się ruder stały się identyczne. Puszyste i lekkie.

Ilnicki wyszedł z domu pana Glińskiego przed południem. Śledczy dotarli tu o świcie, chcąc ostrzec przełożonego o niebezpieczeństwie. Ku swemu zdumieniu zastali w gabinecie szefa drzemiącego słodko Jaśka. Obudzony, przywitał ich ze łzami w oczach. Glina zaś tkwił przy biurku, zamyślony i z fajką w zębach. Napisał kilka listów, przez co dłonie uwalane miał atramentem, a wzrok nieobecny. Kazał służącemu zrobić kawy dla gości, potem zaprowadził całą drużynę do jadalni na śniadanie. Dopiero po posiłku uważnie wysłuchał sprawozdania pana Michała. Wiadomość, że to król saski omal nie zginął, bo chciał wykorzystać młode dziewczę, przyjął bez zdziwienia.

– Jest podobny do swego pradziadka – rzekł niedbale. – August Mocny też był nad wyraz chutliwy i nie potrafił powstrzymać swoich żądz. Kobiety, wino, nieustanne obżarstwo, to w tej rodzinie widocznie norma.

Dyskutowali jeszcze jakiś czas, rozważając, kto może być szpiegiem wrogiego mocarstwa, na dodatek tak wyszkolonym, by skonstruować bombę zegarową – rzecz, o jakiej nie słyszał wcześniej żaden z nich. Oczywiście, mogła to być cała szajka, w której skład wchodził pracownik prochowni lub giserni wojskowej, mistrz zegarmistrzostwa i ktoś blisko zaprzyjaźniony z Emilią Parys. Najwygodniej dla śledczych byłoby, gdyby okazało się, że to jedna osoba, łącząca w sobie te trzy cechy. Niestety, wieczorna napaść trzech osobników na posterunek wskazywała, że policjanci muszą się pospieszyć, bo francuski wywiad zabrał się już do zacierania śladów i lada chwila mogą posypać się głowy.

Ilnicki dostał polecenie odwiedzenia fabryki amunicji w kuźni artylerii koronnej na Muranowie i wybadania, czy bomba zegarowa nie została tam wyprodukowana. Za towarzysza miał wziąć sobie Szaję, który z psami ciągle poszukiwał tropów gdzieś na mieście. Jaśko musiał zostać chwilowo ukryty w domu pana Glińskiego. Gogiel z doktorem Ritterem mieli zabezpieczyć warsztaty policyjne na Niskiej i zacząć się w nich na wypadek kolejnego ataku. Do pomocy im sekretarz generalny oddelegował, na razie

tylko w rozkazie dla komisarza cyrkułu, kilku stójkowych. Widok mundurowych kręcących się przy bramie warsztatów powinien nieco ostudzić Francuzów.

– Ja sam zajmę się świętej pamięci panną Parys – oznajmił pan Augustyn. – Nie znam zupełnie tej rodziny, ale do wieczoru będę wiedział wszystko na jej temat. Spotkamy się po zmroku na Niskiej.

Cała trójka śledczych dostała na koniec rozkaz udania się do domów i doprowadzenia do ładu. Każdy został zobowiązany do przespania choćby trzech godzin przed podjęciem obowiązków. Gliński nie życzył sobie, by któryś popełnił błąd lub nawet poległ przez nieuwagę wynikłą ze zmęczenia.

Kapitan pożegnał się więc z kompanami i żwawym marszem ruszył w kierunku domu. Pewnie Hania znów się niepokoi. Będzie musiała przywyknąć, bo praca u Gliny okazała się niezwykle czasochłonna i męcząca, choć trzeba przyznać, że krew od niej żywiej w żyłach krążyła i człowiek angażował się w nią bez reszty. Hanna będzie musiała też przyjąć do wiadomości jego późne powroty, a czasem nawet kilkudniowe nieobecności. Obiecywał sobie, że nigdy nie dopuści do tego, by w jej oczach znów pojawił się strach, jak wtedy, kiedy wyczuła od niego wódkę. Nie będzie musiała się bać, że pobije ją po pijanemu czy wywoła awanturę, by wyładować swoją złość za niepowodzenia, jak to miał w zwyczaju czynić jego nieżyjący braciszek.

Pan Michał zaszępił się nagle. Właśnie uświadomił sobie, że coraz częściej myśli o Hani niczym o swojej kobiecie. Jakby przejął ją na własność razem z długami brata. A może raczej jakby była jego żoną? To drugie nie byłoby wcale takie złe. Na twarz kapitana wypełzł nieśmiały uśmiech. Myśl, że bratowa mogłaby go obdarzyć uczuciem, okazała się zaskakująco błoga, sprowadziła falę przyjemności. Tylko jaki byłby z niego mąż? A ojciec dla trójki pasierbów? Odnalazłby się w tej roli? Umiałby kochać ich wszystkich, dbać o nich i zapewnić im godny byt?

Rozmyślania spłynęły na niego, gdy akurat przecinał plac Zielony, na którym mimo zimna i padającego śniegu rozłożyło się kilka kramów. Kapitan przystanął przy chłopskim wozie załadowanym niewielkimi choinkami. Kupił jedno z roślejszych drzewek, a na sąsiednim straganie trzy cukrowe głowy i wianki obwarzanków, które zawiesił sobie na szyi. Zbliżały się święta, a w Warszawie już na dobre przyjął się zwyczaj dekorowania młodych sosen i ustawiania ich w domach. Była to pamiątka, którą zostawili po sobie Prusacy, jeszcze rok temu okupujący miasto. Właściwie ten dziwny niemiecki zwyczaj był jedyną dobrą rzeczą, którą po sobie zostawili.

Wszedł do mieszkania, starając się zachowywać jak najciszej, nie chciał głośnym zachowaniem wystraszyć dzieci i Hani. Postawił choinkę w sieni, powiesił na niej sznury ciastek, a cukrowe głowy postawił na podłodze. Dzieciaki wybiegły z pokoju dziennego i zastygły z szeroko otwartymi ustami, patrząc na rozbierającego się pana Michała, a

właściwie na skarby, które przyniósł. Nie śmiały okazać radości, widocznie ojciec, gdy wracał do domu, bardzo tego nie lubił. Kapitan uśmiechnął się szeroko i kolejno poczochrał starszych chłopców po czuprynach, a najmłodszą Kasię czule pogładził po policzku.

– To dla was – szepnął. – Tylko sza!

Wśliznął się do pokoju i zastygł przy drzwiach. Uśmiechnął się błogo. Hania siedziała w fotelu zwróconym w stronę okna. W dziennym świetle szyła coś zawzięcie, walczyła z igłą i grubym materiałem, nadymając usta i robiąc komiczne miny. Włosy miała spięte w pozornie niestaranny kok, z którego wymykały się kosmyki. Wyglądała wesoło i uroczo. Oficer miał ochotę wziąć ją w ramiona. Zauważyła go, dopiero gdy w przedpokoju wybuchł harmider wrzeszczących z radości dzieci.

– Och, to ty! – Poderwała się z fotela i nieporadnie próbowała schować robótki za plecami. Zrezygnowała jednak, widząc uśmiech na twarzy kapitana. Sama parsknęła śmiechem. – A niech tam! To miał być prezent dla ciebie, na Gwiazdkę. Nie patrz!

– Spodnie? Uszyłaś mi spodnie? – Pan Michał czuł jednocześnie rozbawienie i rozrzewnienie. Podejrzewał, że takie uczucie to właśnie szczęście.

– Te, które nosisz, składają się z samych łąt i szwów. Kupiłam porządne sukno, miękkie, ale bardzo mocne. Ponoć francuscy oficerowie szyją sobie z tego mundury – oznajmiła z przejęciem. – Zafarbowałam na czarno, wiem, że lubisz ten kolor jeszcze z wojska. Staralam się wykroić je na wąsko, na wojskową modłę. Jeszcze nie są skończone, ale do Wigilii będą gotowe. Będiesz w nich wyglądał jak francuski huzar!

– Elegancja i wygoda. – Obejrzał zademonstrowane ubranie. – Są wspaniałe. Nie wiem, jak się odwdzięczę.

– Nie musisz robić mi żadnych prezentów – powiedziała, spuszcżając wzrok. – Wystarczy, że jesteś.

Michał podszedł do niej i chwycił za ręce, w których trzymała spodnie, jakby się nimi zasłaniając. Uniósł jej dłonie i pocałował. Spojrzała na niego, jej oczy błyszczały radością. W tym momencie do pokoju wpadły dzieciaki obwieszone sznurami obwarzanków. Wrzeszczały jedno przez drugie o pięknej choince, którą przyniósł wujek. Hanna roześmiała się pełną piersią, wesoło i szczerze.

– Dobrze, ale przystroimy ją dopiero jutro rano – powiedziała. – Możecie gonić do Tomasza, niech wyjmie z piachu w piwnicy zalane woskiem jabłka i kilka pomarańczy. Powiesimy je na drzewku. No, biegnijcie. Tylko uważajcie na Kasię!

– Mam nadzieję, że generał policji da wam wolne w Wigilię – dodała, kiedy dzieci z wrzaskiem pognały na dół.

– Mamy trudną, bardzo pracochłonną sprawę... – Zawahał się, czy wspomnieć jej o niebezpieczeństwie, które mu grozi, ale stwierdził, że lepiej będzie, jeśli to przemilczy.

– Chciałabym, byśmy byli tego wieczoru razem, całą rodziną...

– Ja też bym chciał. – Ciągłe trzymał ją za złączone ręce. Nie potrafił się zmusić, by puścić. Dotyk był tak przyjemny. On też nie próbowała się oswobodzić, a nawet jakby sama przysunęła się do Michała.

Patrzyli sobie w oczy i milczeli. Hania uśmiechała się łagodnie.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał, zaskakując samego siebie.

– Tak – odparła bez wahania.

A potem go pocałowała.

XV

Tego ranka Gliński nie był w najlepszym humorze. Po pierwsze, całą noc nie zmrużył oka i czuł się okropnie zmęczony, po drugie zaś, nie miał czasu, by przed pójściem do urzędu posiedzieć trochę w cukierni, poczytać gazetę i porozmawiać z kimś znajomym. Zwyczajowy plan dnia diabli wzięli. Sekretarz generalny policji od razu pognął do pałacu Saskiego i wpadł do swego gabinetu. Przed wejściem czekało już trzech kancelistów z niezwykle ważnymi sprawami, których nie dało się odłożyć na później. Gliński musiał zakasać rękawy i podpisać kilka dokumentów, a następnie wystosować kolejnych kilka pism do szefów podległych mu urzędów. Praca ta była żmudna i wymagała pełnego skupienia. Nie wchodziło w grę, by na państwowym dokumencie pojawił się kleks czy błąd. Pan Augustyn musiałby wtedy wszystko pisać od początku. Na szczęście wprawę w operowaniu piórem nabrał jako student Collegium Nobilium pod surowym okiem księży pijarów, a doskonały charakter pisma wykształcił sobie w pierwszej pracy jako sekretarz marszałka wielkiego koronnego. Spędzał wtedy całe dni na starannym przepisywaniu dokumentów, dziś więc poradził sobie z tym zadaniem nad wyraz sprawnie i już po dwóch godzinach pracy ukradkiem wyszedł z gabinetu.

Przemknął korytarzem niczym cień, starannie unikając spotkań z policyjnymi kancelistami, którzy z pewnością zasypaliby go kolejnymi zaległymi sprawami. Pognął schodami na wyższe piętro, gdzie znajdowały się urzędy magistrackie, i ruszył żwawo do gabinetu znajomego referendarza, a właściwie przyjaciela z masońskiego rytu. Pocałował jednak klamkę, urzędnika dziś nie było. Nie zdobył zatem dostępu do kartotek miejskich, w których chciał sprawdzić historię rodziny Parysów. Zaczepianie pomniejszych urzędników – grzecznych, ale śmiertelnie poważnych i przekonanych o własnej wielkości oraz powadze pełnionych obowiązków – nie miało sensu. Żaden nie odważyłby się wykonać czegoś niezgodnego z przepisami, a wpuszczenie do archiwum policjanta bez upoważnienia prezydenta miasta do takich czynów właśnie należało.

Gliński oparł się o ścianę korytarza, spoglądając przez okno na ciągnący się w dal ogród Saski. Ten wyglądał dziś bajkowo, przysypany czystym, jeszcze nieskalanym sadzą z miejskich kominów śniegiem. Po ogrodowych alejkach mimo mroźnej pogody spacerowały damy, wokół których biegały rozwrzeszczane dzieciaki. W powietrzu dało się wyczuć nastrój zbliżających się świąt. A może to tylko zapachy z pokoiku stróża, który podgrzewał właśnie na piecu przyniesioną z domu zupę?

Pan Augustyn drgnął, wracając do rzeczywistości. Nie ma wyjścia, znów będzie musiał wymknąć się z pałacu Saskiego, by udać się do królewskiego zegarmistrza Gugenmusa, najlepiej poinformowanego człowieka w Warszawie. Pewnie ten wie wszystko o rodzinie Parysów – nawet takie rzeczy, o których prawie nikt poza nim nie słyszał. Trzeba dowiedzieć się, gdzie mieszka matka zabitej panny Parys, i jak najszybciej podjąć jej obserwację. Może uda się zlokalizować szpiega królobójcę, a przynajmniej trafić na jego trop. Liczne, coraz bardziej zaległe i piętrzące się sprawy urzędowe będą musiały poczekać. Oby tylko minister Potocki nie dowiedział się, czym zajmuje się jego najważniejszy urzędnik.

– Wasza ekscelencjo – zza pleców Glińskiego dobiegł młody głos. – Pan wybaczy, że przeszkadzam w rozmyślaniach, ale czy mógłby mi pan poświęcić chwilę?

Pan Augustyn odwrócił się i stanął twarzą w twarz z przystojnym mężczyzną ubranym w doskonale skrojony surdut i koszulę z nakrochmalonym na kamień kołnierzem, aż wbijającym się w policzki. Patrzący na niego bystre, błyszczące inteligencją oczy. Twarz chłopaka była pokancerowana i opuchnięta, mimo to młodzieniec z trudem powstrzymywał się przed uśmiechem, który chyba rzadko schodził z jego ust.

– Czego sobie życzysz, chłopcze? – Sekretarz generalny westchnął ciężko, domyślając się, że pewnie oto upolował go któryś z nowych kancelistów Ministerstwa Policji. Zaraz też przedstawi problem, którego rozwiązanie będzie wymagało wielogodzinnego grzebania w papierach.

– Nazywam się Tomasz Dangiela i miałem przyjemność pracować wczoraj z pańskimi podwładnymi.

– Tak?

– Z tajną policją, ze śledczymi.

– Ach, słyszałem o panu! – Pan Augustyn przypomniał sobie sprawozdanie Ilnickiego, w którym ten nie pominął młodego Dangiela. – Czy nie jest pan przypadkiem spokrewniony z producentem powozów?

– Tak, to mój ojciec – z niechęcią czy nawet ze wstydem przyznał urzędnik. – Ale ja nie zamierzam przejąć tego interesu, wybrałem sobie jako cel życiowy karierę w służbie ojczyzny. Traf chciał, że wylądowałem w administracji, jestem kancelistą w magistracie.

– Doskonałe miejsce na rozpoczęcie kariery – zauważył Gliński. – Może pan zostać nawet prezydentem miasta.

– Kiedy mnie nie marzy się pogrzebanie żywcem w papierach! Nie chcę spędzić młodości w archiwach, siedząc za biurkiem i nurzać się w atramencie. Pragnę działać dla dobra ojczyzny, ale naprawdę działać, a nie tylko pozorować działanie, siedząc na tyłku w pałacu. To dlatego na ochotnika zgłosiłem się, by poprowadzić zniszczenie

skonfiskowanych dóbr angielskich. To miała być praca w terenie, z ludźmi, choć wyszło jak wyszło. Mało co nie zostałem zlinczowany.

– Dobrze, mój panie, ale co ja mam z tym wspólnego? – zirytował się naczelny policjant Księstwa, który miał mnóstwo ważniejszych spraw na głowie niż kariera i marzenia jakiegoś młodzieńca.

– Chcę wstąpić do Policji Śledczej – pewnym głosem oznajmił Dangel. – Będę wspaniałym narybkiem. Nie dość, że potrafię pisać i czytać, znam francuski, niemiecki i rosyjski, mam ogładę i wyniesioną z domu kulturę osobistą, to do tego jestem sprawny niczym akrobata, umiem strzelać, brałem lekcje szermierki, jestem też sprytny i zwinny. Nie znajdziesz pan w całym mieście lepszego kandydata na śledczego.

Gliński uśmiechnął się smutno.

– Coś ty sobie ubzdurał, chłopcze – powiedział, kręcąc głową. – Nie wiesz, na co się porywasz. W zespole śledczym nie zrobisz takiej kariery jak w magistracie. Nie zarobisz też większych pieniędzy. Służba jest ciężka i wymagająca, a do tego preferowani są do niej ludzie z doświadczeniem zarówno życiowym, jak i bojowym. Najchętniej przyjmuję nawróconych bandytów, mężczyzn znających środowisko zbrodni, potrafiących sobie radzić w najmroczniejszych stronach miasta. Gdybym cię przyjął, skazałbym cię na paskudne i krótkie życie.

– Ale ja...

Sekretarz generalny wziął go pod ramię i ruszył z nim korytarzem w kierunku schodów.

– Najlepiej zrobisz, jeśli wrócisz grzecznie do swojej kancelarii i pilnie zabierzesz się do pracy. Kiedy znudzi ci się w urzędzie, wróć do fabryki ojca i zajmij się produkcją karet. O policji jednak zapomnij, nie potrzebujemy w niej grzecznych i odczytanych chłopców. Tylko twardych i bezwzględnych mężczyzn. Rozumiesz?

Dotarli do schodów, gdzie pan Augustyn puścił chłopaka i zaczął samemu schodzić na dół. Myślamy krążył już wokół sposobów na wymknięcie się z pałacu. Tomasz jednak kroczył za nim, najwyraźniej nie zamierzając rezygnować.

– Jest pan w błędzie, wasza ekscelencjo – oznajmił dobitnie. – Nie docenia mnie pan, z pewnością bardzo bym się wam przydał. Przecież działalność śledczych nie ogranicza się tylko do nocnych napadów na rezydencje bogaczy i torturowania podejrzanych. Myślę, że wielu pochopnych i gwałtownych czynów dokonywanych przez pana ludzi można by uniknąć, gdyby w oddziale znalazł się człowiek mający głowę na karku. Gdybym mógł tylko jakoś się przysłużyć rozwiązaniu prowadzonej przez was sprawy...

Gliński odwrócił się gwałtownie i srogo zmarszczył brwi.

– Zobowiązuję pana do zachowania dyskrecji. Proszę jak najszybciej zapomnieć o tym, co pan widział i słyszał ostatniej nocy. To dla pana własnego dobra, Dangel.

– Oczywiście, wasza ekscelencjo. Może pan na mnie polegać. – Tomasz wyprężył się na baczność. – Natomiast co się tyczy owej sprawy, mogę udowodnić swoją przydatność. W ciągu dwóch godzin dowiem się więcej o panie Emilii Parys i jej rodzinie niż wszyscy pana śledczy razem wzięci przez cały dzień. Chciałbym tylko, żeby potem jeszcze raz rozważył pan moją prośbę. Nic więcej.

Pan Augustyn spojrział na niego z ciekawością. Oferta młodzieńca była bardzo korzystna i gdyby wywiązał się z zadania, wielce ulżyłby mu w wysiłkach. Oficjel zatrzymał się po zejściu ze schodów i lekko uśmiechnął do rozmówcy.

– Najdalej w południe widzę pana w moim gabinecie – rozkazał krótko. „Do tego czasu może przekopię się przez zaległą robotę” – dodał już do siebie w myślach.

Dangiel rozpromienił się w szerokim uśmiechu i pędem ruszył z powrotem na górę. Gliński spojrział na niego z zadowoleniem. Przydałby mu się w Wydziale Śledczym taki rzutki i energiczny funkcjonariusz, ale mimo wszystko trochę byłoby go szkoda. Na całym świecie policję kryminalną tworzyło się z przestępców, morderców i wszelkiego rodzaju szumowin wyciągniętych z więzień i rysztołów. Kapitan Ilnicki nie pasował do tej charakterystyki, ale potrzebny był w wydziale jako dowódca, a któż lepiej poradziłby sobie z grupą bandziorów niż były żołnierz, człek silny i dobrze radzący sobie w trudnych sytuacjach. Natomiast młody Dangiel do tej kompanii zupełnie nie pasował. Koledzy z wydziału tylko by go zdeprawowali, a przy kontakcie z prawdziwą zbrodnią młodzieniec nie dałby rady. I pewnie poległby w czasie pierwszej poważniejszej akcji.

– Pan sekretarz generalny policji, Augustyn Gliński? – Przed oficjalistą stanął wąsaty oficer w mundurze szwoleżera-lansjera.

Gliński zamrugał, zaskoczony. Oszłołomiły go barwne wyłogi, błyszczące srebrem i złotem guziki oraz epolety na mundurze żołnierza. Ułan nosił na głowie wysoką rogatywkę z kitą i błyszczącą blachą z numerem pułku.

– Tak, o co chodzi?

– Pójdzie pan ze mną – zimno oznajmił oficer.

– Dokąd? Co to ma znaczyć?

– Zaprasza pana na śniadanie minister wojny – huknął szwoleżer.

Urzędnik posłusznie skinął głową i bez mrugnięcia okiem skierował się do swego gabinetu po płaszcz i kapelusz. Wyglądał na spokojnego, ale w środku dygotał z niepokoju. Czegóż, u licha, może od niego chcieć sam książę Józef Poniatowski?

XVI

Ilnicki wyciągnął z kieszeni dokument z wielką pieczęcią, opatrzony dodatkowo licznymi zamaszystymi podpisami i asygnujący go na stanowisko oficera policji. Wręczył papier dowódcy warty, posępnemu chudzielcowi w mundurze fizyliera. Sierżant obejrzał dokument, marszcząc brwi, ale nawet nie próbował go czytać, widocznie nie najlepiej radził sobie z tą sztuką.

– Zatem z kim chcesz się pan widzieć? – spytał z niepewnością w głosie.

– Z dowódcą placu, czy kto tam aktualnie dowodzi w kuźni – odparł kapitan.

– Komendanta nie ma o tej porze, zapytam oficera dyżurnego – mruknął sierżant i odszedł z papierem w stronę zabudowań.

Pan Michał musiał przyjść do kuźni artylerii koronnej w pojedynkę, bo Szaja nie pojawił się na posterunku. Oficer stał więc przy bramie jedynie w towarzystwie pełniących wartę dwóch fizyliarów. Byli to młodzieńcy, którym wąs się ledwie sypnął. Jednemu z nich zbyt duża rogatywka nieustannie opadała na oczy. Kapitan zastanawiał się, czy umieliby użyć muszkietów, które mieli przewieszane przez ramiona. Byli tacy jak większa część młodej armii odradzającego się państwa – zupełnie niedoświadczeni, ale z pewnością dzielni. Nie zdążył z nimi porozmawiać, bo wrócił dowódca warty, by zaprowadzić go do wartowni, w której pełnił służbę oficer dyżurny.

Ilnicki tylko w przelocie rzucił okiem na wojskową fabrykę. Na placu manewrowały wozy z drewnem opałowym, kręciło się przy nich kilku parobków. Z kominów kuźni walił dym, z daleka słychać było szum miechów i okrzyki robotników. Policjant miał nadzieję, że spotka tu jakiegoś znajomego artylerzystę, ale jedynymi żołnierzami w okolicy byli młodzi fizylierzy.

Oficer dyżurny również okazał się piechurem. Choć wyglądał na starego wygę, pan Michał niestety go nie znał. Nie wstał, by powitać przybysza, nawet nie podniósł na niego wzroku. Siedział za biurkiem, w dłoni trzymając dokument kapitana. Miał cienkie, sprawiające wrażenie zjezonych wąsiki i wklęsłą bliznę na czole. Na jego twarzy malowała się niechęć.

– Nie wydaje mi się, bym mógł wpuścić policję do kuźni – powiedział. – To teren należący do armii i wszyscy pracownicy podlegają pod administrację wojskową. Miejska policja nie ma prawa nikogo z nich aresztować.

– Ani mi to w głowie – spokojnym, wręcz pokornym tonem odparł Ilnicki. – Chcę tylko pogadać z majstrami wyrabiającymi amunicję. Zasięgnąć porady mistrzów na temat bomb artyleryjskich.

Fizylier wreszcie uniósł wzrok i zmierzył przybyłego pogardliwym spojrzeniem. Pan Michał domyślał się, o co chodzi. To przez napoleońską propagandę, która sięgnęła po wzorce antyczne i wprowadzała zwyczaje nawiązujące do rzymskich. Afirmowała wojsko, wbijała ludziom do głów, że służba w armii to najwyższy honor, a za prawdziwych obywateli i patriotów mogą się uważać jedynie ci, którzy walczą za ojczyznę. Skutkiem tego wojskowi zaczęli się mieć za lepszych od cywili i coraz częściej patrzyli na nich z góry. W Księstwie Warszawskim dało się zauważyć identyczne zmiany obyczajowości. Społeczność żołnierska wytworzyła coś w rodzaju nowego stanu, kasty uważającej się za uprzywilejowaną. Mundurowi coraz jawniej traktowali z pogardą mieszczan, a nawet szlachtę. Połączeni więzami braterstwa broni, przynależnością do żołnierskiej braci, zupełnie odizolowali się od społeczności.

– A na cóż łapaczom rzezimieszków wiedza o bombach? – prychnął fizylier. – Nie powinienes pan pilnować, by nikt nie okradał straganiarek na Starym Mieście?

– Kiedy kształciłem się w królewskiej Szkole Głównej Artyleryjskiej, uczono mnie, że oficer polskiego wojska powinien traktować funkcjonariuszy pozostałych służb państwowych z należnym im szacunkiem – głos Ilnickiego stwardniał. Kapitan wyjął dokument z rąk oficera dyżurnego, złożył go i schował do kieszeni. – Gdy biłem się w armii Naczelnika o Warszawę, razem ze mną walczyli i ginęli miejscy urzędnicy, policjanci, a nawet stróże. Żadnemu z nas, oficerów, nie przyszło wtedy do głowy, by traktować ich z wyższością. Widzę, że od czasów, gdy przeszedłem w stan spoczynku, w armii wiele się zmieniło. A może w akademii, którą kończył pan porucznik, uczono pogardy dla pozostałych służb?

Ilnicki domyślał się, że fizylier żadnej akademii nie kończył. Jak często się zdarzało w czasach wojny, otrzymał epolety za zasługi na polu bitwy. Cios okazał się celny, bo żołnierz pobladł i wstał od stołu.

– Gdyby nadal nosił pan mundur, skłonny byłbym zażądać satysfakcji za oskarżanie mnie o zachowanie niegodne oficera – powiedział. – Zważywszy jednak, że jest pan weteranem zasłużonym w insurekcji, puszczę pańskie słowa w niepamięć. Mimo wszystko nie mogę panu pozwolić na swobodne chodzenie po kuźni i wypytywanie majstrów o tajemnice służbowe. Udam się z panem i będę kontrolował przesłuchania.

Kapitan skinął tylko głową na zgodę. Naburmuszony porucznik wskazał mu drzwi i po chwili przeprowadził przez plac prosto ku kuźniom. Szedł przodem, z rękoma założonymi z tyłu.

– Czy wytapiacie także armaty? – zagaił pan Michał.

– Ależ skąd! Nie mamy tu ludwisarni – burknął fizylier. – Niby skąd mielibyśmy zdobyć materiały na brąz, skoro całą cynę zarekwirowali Francuzi? Nawet dzwony kazali z wież kościołów zdejmować. Pewnie zgromadziłoby się sporo miedzi, ale co nam po samej miedzi?

– Piękną ludwisarnię zbudował Piotr Aigner w czasie przebudowy arsenału, ale chyba nigdy jej nie uruchomiono.

– O tak, budynek długi na sto kroków. Duża fabryka – przyznał piechur. – I mają ją uruchomić, jak tylko książę Poniatowski zdobędzie materiał na armaty.

– Zatem robicie tu tylko amunicję. Żelaza na żeliwo pewnie jest sporo, a i węgla można ze Śląska nawieźć. – Ilnicki pokiwał głową, gdy zatrzymali się przed otwartymi wrotami pierwszej z kuźni.

– To nie byle węgiel, a specjalna odmiana. – Porucznik wskazał kupę czarnych kamieni zapewniającą sąsiadującą szopę.

Mężczyźni stali chwilę, patrząc w ogień huczący w otwartym piecu, do którego paleniska parobkowie pakowali grube brzozowe bale. Stapiano tu żelazo z węglem, tworząc stop odpowiedni do odlewu kul. W okolicy kręcił się majster, rozebrany do pasa i umazany węglowym pyłem niczym diabeł. Ilnicki nie palił się, by mu przeszkadzać, toczył niespieszną rozmowę z fizylierem. Okazało się, że ten doskonale zna technologię wytwarzania amunicji. W trakcie pogawędki znikło gdzieś złowrogie nastawienie obu mężczyzn. Wspólne zainteresowania błyskawicznie stopiły lody i pozwoliły im szybko zapomnieć o niedawnym spięciu.

Wreszcie porucznik przedstawił się jako Krystian Załuski. Okazało się, że w czasach insurekcji pracował jako pomocnik majstra w młynie prochowym na Gołędzinowie. To z jego magazynów młody fajerwerk Ilnicki pobierał proch do powstańczych armat. Całkiem możliwe, że spotkali się wtedy, i to niejednym razem. Później Załuski wstąpił do pruskiej armii, ale Niemcy nie chcieli Polaka w elitarnej artylerii, wylądował zatem w piechocie. Kiedy doszło do wojny Prus z Francją i pojawiły się szanse na odrodzenie Polski, natychmiast zdezerterował i wstąpił do Legii Północnej. W oblężeniu Gdańska został paletowany na oficera, a potem wylądował w Warszawie. Do tej pory żałował, że los nie pozwolił mu zostać artylerzystą.

Możliwość wyplakania się Ilnickiemu ze swoich trosk i rozczarowań podziałała na fizyliera jak najlepszy trunek. Po godzinnej rozmowie traktował pana Michała niczym starego przyjaciela i radośnie zdradzał mu wszystkie pilnie strzeżone tajemnice wojskowe, których niedawno tak heroicznie bronił. Z wielką dumą pokazał kapitanowi piec do odlewania kartaczy, jakby urządzenie było jego dzieckiem. Kiedy obeszlą wszystkie otwarte kuźnie, zaprowadził gościa do szop, w których znajdowała się szlifiernia. Przy kręcących się kamiennych kołach szlifierskich siedzieli czeladnicy.

Każdy trzymał w dłoniach surową kulę armatnią, którą przyciskał do wirującego koła. Co jakiś czas robotnicy moczyli szlifowane kule w baliach z wodą. W sufit leciały iskry, w powietrzu unosił się zapach rozgrzanego żelaza.

– To wszystko, co mogę panu pokazać, drogi panie Ilnicki – z uśmiechem oświadczył Załuski. – W tamtych budynkach znajduje się przeniesione z ulicy Niskiej Laboratorium Artyleryczne. W nim pracują wyłącznie artylerzyści, znaczy sami wojskowi. Robią tam amunicję specjalną, bomby zapalające i takie tam. W laboratorium panuje całkowity zakaz wstępu dla niepowołanych.

– Nie zrobi mi pan tego, panie poruczniku! Błagam pana, to właśnie ze specjalistami od bomb chciałem rozmawiać – gorąco poprosił kapitan. – To nie tylko czeza ciekawość z mojej strony, ta sprawa jest też ważna dla bezpieczeństwa publicznego.

– Nie wiem, mógłbym potem mieć kłopoty – zafrasował się fizylier. – Ale z drugiej strony trudno odmówić koledze weteranowi. Niech to będzie gest przyjaźni wobec dawnego żołnierza. Proszę tedy, pójdziemy do laboratorium jednego z najlepszych oficerów, a przy okazji mojego drogiego towarzysza broni. Razem walczyliśmy w oblężeniu Gdańska, a potem Torunia. To świetny młody żołnierz, a do tego wybitny uczony. Może mi wybaczy, jeśli przyprowadzę do jego pracowni dawnego oficera, a do tego znawcę sztuki wojennej. Niech pan go komplementuje, to z pewnością będzie łaskawy i odpowie na wszystkie pytania. Proszę za mną, panie Ilnicki.

Murowany przysadzisty budynek, do którego poszli, miał wysokie okna i naprawdę grube, solidne mury. Leżał w pewnym oddaleniu od szop i kuźni, a od strony miasta otaczał go wał ziemny. Kapitan domyślił się, że solidna konstrukcja miała przetrwać ewentualny niespodziewany wybuch, a okna tej wielkości służyły temu, by wyrzucić falę uderzeniową na zewnątrz bez rozrywania dachu. Wał ziemny chronił okolicę przed zasypaniem płonącymi odłamkami. Laboratorium Artyleryczne zbudowano więc nowocześnie, nie zapomniawszy o bezpieczeństwie.

Przy wejściu zatrzymało ich dwóch strażników w zielonych, artyleryjskich kurtkach i z czakami ozdobionymi orłem siedzącym na skrzyżowanych armatach. Załuski przywitał ich skinieniem głowy i oznajmił, że przyprowadził gościa do pana kapitana. Niezatrzymywani przeszli mrocznym korytarzem, mijając kilka masywnych, okutych żelazem drzwi. W powietrzu unosił się przesycony mocznikiem zapach nawozu, z którego robiono saletrę do prochu, czuć też było siarkę. Fizylier zatrzymał się przed lekko uchylonymi drzwiami i mocno w nie zapukał. Nikt nie odpowiedział, ale porucznik śmiało wszedł do środka.

Znaleźli się w sali o owalnym sklepieniu, niegdyś białym, obecnie niemal czarnym od sadzy ze świec i z lamp kamfynowych. Na dwóch długich stołach leżały sterty rupieci, wśród których Ilnicki dostrzegł w przelocie pootwierane korpusy bomb, rozsypane kulki

kartaczy, woreczki na proch, którymi wypełniano rozrywające się kule, a do tego liczne narzędzia: szczypce, młotki i młoteczki, szkła powiększające, kliny i brzeszczoty. Wśród bomb i ich części stały kałamarze i stojaki na pióra, leżały zabazgrane i upačkane woskiem ze świec kartki. Podobna rupieciarnia znajdowała się na biurku i regałach przy ścianach. Pracujący tu naukowiec nie należał do przesadnie porządných.

– Nie ma go – zauważył Załuski. – Ale zostawił otwarty gabinet, znaczy, że tylko wyszedł gdzieś na chwilę. Poczekamy, z pewnością lada moment się pojawi.

– Kim jest ów mędrzec? – spytał Ilnicki, przechadzając się między stołami.

Zauważył stojącą pod jednym z nich beczkę z prochem. Na blacie nad nią tkwił świecznik z obecnie zgaszonymi kikutami kilku łójówek. Oficer, który tu pracował, musiał lubić dreszczyk niebezpieczeństwa i sam go sobie gwarantował.

– Mędrcećm raczej bym go nie nazwał, ale bez wątpienia jest oficerem obdarzonym niezwykle wyobraźnią. – Porucznik ruszył za gościem. – Ale niech pan niczego nie rusza!

Pan Michał pochylił się właśnie nad otwartą skrzynią zawaloną pogiętymi czarnymi kawałami żeliwa. Wziął w rękę jeden z nich. To był fragment rozerwanej wybuchem kuli. Cała ich sterta bardzo przypominała te zebrane przez śledczych w pałacyku i przekazane Francuzom. Czyżby właśnie tu trafiły zarekwiirowane przez Wielką Armię odłamki?

Machnął ręką, odganiając Załuskiego jak natrętną muchę. Rzucił żeliwo z powrotem do skrzyni i rozejrzał się bardzo uważnie po pracowni. Doskoczył do biurka. Na blacie leżały rozsypane krzemienie karabinowe, obok pistolet z rozebranyćm na części zamkiem. Kapitan wysunął szufladę i aż wstrzymał oddech z wrażenia. Wewnątrz błyszcząca sterta kóćek zębatych i sprężyn. Rozebrane mechanizmy zegarowe!

– Co pan wyprawia, do stu diabłów! – oburzył się fizylier. – Jak pan śmie?!

– Kto tu pracuje? – spytał Ilnicki.

– Pan pyta o mnie? – W drzwiach stanął wysoki mężczyzna w ciemnozielonym fraku. Oстрыm, niechętnym spojrzeniem czarnych oczu świdrował intruza. – Jestem kapitan Karol Parys. Z kim mam przyjemność?

– Parys? – szepnął zaskoczony policjant. – Jak to?

– Kim pan jestećs?! Czemu grzebiesz pan w moich rzeczach?! – wybuchł artylerzysta.

– To pan podłożył bombę w pałacu na Żoliborzu – syknął kapitan. – Emilia Parys była pańską krewną? Zginęła przez przypadek?

– To policjant, były żołnierz, kapitan Ilnicki. Panowie, proszę o spokój. Chyba zaszło jakiećs nieporozumienie... – Załuski próbował załagodzić sytuację.

– Policjant? – Parys wszedł do środka, jedną ręką rozpinając frak. – I sam go tu sprowadził, Krystianie?

– Przyszedł węszyć – burknął piechur. – Wpierw chciałem go przegonić, ale potem pomyślałem, że lepiej sprawdzić, ile wie...

Ilnicki sięgnął do kieszeni po pistolet. W tej samej chwili artylerzysta wyszarpnął z pochwy u pasa szablę i runął do ataku. Policjant rzucił się w tył, przeokoziółkował przez stół, zrzucając z niego kilka rupieci. Ostrze gwizdnęło w powietrzu. Pan Michał przykucnął, znów się przeturlał, tym razem po podłodze. Szabla zadzwoniła o kamienną podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą był. Parys nacierał, ciał zamazyście raz za razem. Przeskoczył przez stół i ponownie zaatakował, tym razem śmiertelnym pchnięciem. Pióro szabli rozpruło pelerynę cofającego się śledczego, ale jego samego nie zraniło. Policjant wydobyl wreszcie pistolet i wymierzył go we wściekłego artylerzystę.

– Dość! Rzuć broń, bo cię zastrzelę! – wrzasnął.

Kątem oka zauważył ruch z boku. Skulił się, obracając jednocześnie do nowego przeciwnika. Załuski spadł na niego, w garści trzymając za lufę pistolet z rozebrany zamkiem. Okuta blachą rękojeść gruchnęła w tył głowy Ilnickiego.

Kapitanowi eksplodował przed oczami biały błysk. Tępy ból głęboko wbił się w czaszkę. Mężczyzna stracił wzrok i władzę nad ciałem. Uderzył kolanami w podłogę. Niezdarnie próbował zasłonić się przed uniesioną do kolejnego ciosu bronią. Rękojeść trzasnęła go drugi raz w bok głowy. Runął na twarz, bryzgając wokół krwią.

XVII

Gliński przez chwilę łudził się, że został zaproszony przez księcia Poniatowskiego do pałacu Pod Blachą. Budowla do niedawna słynęła jako siedziba rozpasania i rozpusty, w której książe Pepi urządzał dzikie orgie i niebywałe pijaństwa, ale ostatnimi czasy wszystko się zmieniło. Jego kompani – jeszcze kilka miesięcy temu banda obiboków i awanturników – przywdzieli mundury i stali się oficerami polskiej armii, a sam książe ich dowódcą. Urzędnicy tacy jak Gliński nigdy nie mieli wstępu na książęce salony, arystokracja jawnie pogardała mieszczanami w drogich surdutach. Wiele się jednak zmieniło, może zaproszenie na śniadanie to ciąg dalszy zmian w obyczajach na wysokich dworach? Dla pana Augustyna prawdziwym honorem byłoby wejść do słynnego pałacu i siąść do stołu w towarzystwie człowieka, w którego żyłach płynęła królewska krew, a do tego najpopularniejszego bohatera nie tylko Warszawy, ale i całego kraju.

Niestety ułan, który przyszedł po policjanta, a teraz, siedząc w siodle, pilotował jego powóz, zamiast skręcić w kierunku Zamku Królewskiego, pogalopował w przeciwną stronę. Przejechali Nowym Światem i przecięli Rozdroże Złotych Krzyży, kierując się na Ujazdów. Sekretarz generalny zaczął wiercić się na siedzeniu, coraz bardziej zaniepokojony. Jednak nie będzie wykwintnego śniadania w pałacu, szybciej książe może kazać wywlec Glinę z powozu, wychłostać i wygnać za rogatki. Pewnie ma pretensje o niezamknięte śledztwo wymierzone przeciw Francuzom. Pepi wszak słynął jako najbardziej profrancuski z polskich oficerów, do tego był zafascynowany zachodnią kulturą i obyczajowością.

Ułan skręcił w bramę rozległych koszarów ujazdowskich. Pan Augustyn ujrzał szeregi stajni i uwijających się przy koniach licznych żołnierzy w furazerkach. Mundurowi szwoleżerowie przechadzali się dumnie, z podniesionymi głowami i natchnionymi obliczami niczym średniowieczne rycerstwo, nie widząc błota ani końskiego nawozu, po którym kroczyli. Glina ze zgrozą skonstatował, że ułani księcia Józefa to zbieranina największych bufonów i egzaltowanych rycerzyków w polskiej armii. Z pewnością walczyli dzielnie jak prawdziwi rycerze, ale i z równą pogardą potraktują jakiegoś tam zakichanego policjanta. Możliwe, że śniadanie skończy się dla Glińskiego obiciem nahajkami i pogonieniem przez ulice ze spuszczonej spodniami, jeśli taka będzie fantazja uroczych przyjaciół księcia Józefa. W każdym razie na szacunek dla urzędu nie miał co liczyć. Wszystko zależało od tego, w jakim nastroju jest sam książe.

Prowadzący lansjer podniósł rękę, sygnalizując stangretowi, by zatrzymał powóz. Gliński wstał i starając się zachować dobrą minę, zszedł w zmarznięte, na szczęście, błoto. Nie musiał pytać, gdzie znajdzie księcia, nie sposób było się pomylić. Poniatowski stał przed stajnią w mundurze mniejszym generała jazdy. Otaczało go kilku roześmianych oficerów ułanów i dwóch adiutantów, z których jeden trzymał tacę zastawioną żywnością, a drugi dzban z napitkiem.

– O, jest i nasz drogi generał policji! – zakrzyknął książę na widok gościa.

Pan Augustyn nawet nie mrugnął, choć w głębi serca aż zagotował się ze zdziwienia. Nigdy nie został przedstawiony ministrowi wojny, nie był też postacią na tyle popularną, by ów dandys i arystokrata mógł go rozpoznać. Widocznie nie spodziewał się nikogo innego.

– Pan pozwoli, panie Gliński – zaprosił go, rozkładając ramiona. – Nie mogliśmy się doczekać i zaczęliśmy śniadać bez pana. Proszę się częstować, mamy tu świeżo wędzoną kiełbasę, słoninę w ziołach i słodkie bułki z mamałygą.

Glina uklonił się oficerom, zgadując, że ma do czynienia z arystokracją, okrytymi złą sławą kompanami księcia, obecnie poprzebieranymi za żołnierzy. Nie okazał też zdziwienia, widząc, że wszyscy trzymają w garści po kawałku kiełbasy lub bułki. Sam podziękował za poczęstunek i poprosił o kubek czegoś do picia. Dostał pełen głęboki kielich wina.

„Ciekawe zwyczaje ma nasz książę. Jadać śniadanie na stojąco, pod gołym niebem i w otoczeniu chędożonych przez parobków koni” – pomyślał, delektując się młodym, cierpkim napitkiem.

Po przywitaniu minister wojny zignorował go i podjął przerwany wywód o urodzie żon przebywających w Warszawie francuskich oficjeli. Gliński czuł się idiotycznie, tkwiąc w otoczeniu przystojnych i pięknych oficerów rechoczących z żartów księcia. Nie sięgał żadnemu z postawnych żołnierzy nawet do brody, dalece też odbiegał od nich bogactwem stroju. Mundury ułanów olśniewały błyszczącymi guzikami i epoletami, a uszyto je z najlepszych materiałów.

Policjant szybko otrząsnął się z zażenowania i korzystając z rzadkiej okazji, przyjrzał się z bliska legendarnemu księciu. Pepi lata świetności miał już za sobą. Nie wyglądał niczym Apollo, jak lubiły go sobie przedstawiać wielbicielki. Pod opiętym mundurem widać było obfity brzuszec, a łysinę ukrywał pod doskonale dopasowaną peruką. Liczne zmarszczki wokół oczu świadczyły o tym, że arystokrata całe życie kipiał humorem i lubił się śmiać.

Wreszcie śniadanie się skończyło, książę oddał adiutantowi kielich i pożegnał krótko oficerów, mówiąc, że musi pokazać swoje włości drogiemu generałowi. Ujął pana Augustyna pod ramię i poprowadził między ciągnącymi się zabudowaniami stajni.

– Ośmieliłem się kłopotać pana, panie Gliński, w związku z kilkoma nieoczekiwanymi spotkaniami, które miałem wczoraj po zmroku i dziś o bladym świcie. Proszę sobie wyobrazić, że wieczorny raut przerwał mi sam marszałek Davout, który wprosił się na przyjęcie i wypłoszył damy. Coś niebywałego. Przyszedł naskarżyć na warszawską policję, której funkcjonariusze ponoć nie słuchają własnego ministra i dręczą, tak, dręczą oficerów Wielkiej Armii. Prowadzicie jakieś dochodzenie przeciw naszym sprzymierzeńcom?

– Niezupełnie przeciw, raczej z nimi związane. Staram się tylko wyjaśnić...

– Dobrze, nie chcę znać szczegółów. Nudzi mnie to. – Książę machnął ręką, wykrzywiając usta z odrazą. – Żeby we własnym domu nawiedzał mnie marszałek i czynił wyrzuty! Właściwie to dał mi burę, groził nawet palcem. Musiałem w pokorze wysłuchiwać tych nudziarstw, wyrzutów i nakazów. Kazał mi zapanować nad samowolą, jaka panuje w Warszawie, albo weźmie sprawy w swoje ręce. Ech... To jednak nie koniec. Dziś rankiem miałem kolejnego gościa, który mnie obudził i zmusił do wstania bladym świtem, jakbym był jakimś chudopachołkiem karmiącym świnie. Szambelan jego wysokości Fryderyka Augusta wezwał mnie niczym do konfesjonału i bezczelnie zrugął. Że niby raczycie dręczyć osoby zaufane króla saskiego i swoim wścibstwem dążycie do narażenia dobrego imienia jego wysokości. Czy pana śledczy torturowali wczoraj w nocy kogoś przy udziale jakiegoś niemieckiego sługusa? Szambelan był bardzo oburzony. Kazał mi was wyłapać i powiesić. Król nie życzy sobie dalszego węszenia wokół jego osoby, jasne?

– Gdzieżbyśmy śmieli narażać naszego władcę na podobny afront! – Pan Augustyn uderzył się w pierś. – To nieporozumienie!

– Wiele o panu słyszałem, Gliński. – Minister nie zwracał uwagi na oburzenie policjanta. Jeszcze mocniej ścisnął jego ramię i spojrzał nań, srogo marszcząc brwi. – Jak dotychczas, wiele dobrego. Jesteś pan ponoć uczciwy i nieprzekupny, żądny prawdy i mający poczucie sprawiedliwości. Nie podoba mi się jednak, gdy sypią mi się gromy na głowę z powodu awantur wyczynianych przez śledczych. Moja duma została bardzo boleśnie urażona. Pomiatają mną Niemcy i Francuzi, traktują jak lokaja, który nie dopilnował swoich pomagierów od wynoszenia stolców oraz nocników.

– Jest mi niewymownie przykro.

– I będzie jeszcze bardziej. Hrabia Potocki od rana klęczy na dywanie w poczekalni u króla Fryderyka Augusta, pokornie czekając na audiencję. Niech się pan spodziewa, że panu za to podziękuję.

Gliński przełknął ślinę. Minister policji dostanie burę od samego króla, a to może zakończyć karierę generalnego sekretarza, o ile wcześniej ten nie da gardła – nie wiadomo jeszcze przecież, co mu szykuje książę Pepi, wszak jego duma i honor też

zostały urażone. Nie sposób było przewidzieć, co chodzi po głowach dumnych arystokratów. Jedno było pewne – nade wszystko cenili sobie poczucie własnej wielkości i nie znosili, gdy to było narażane na szwank.

Niespodziewanie książę puścił ramię policjanta i wolną ręką wykonał znajomy oficjelowi gest – tajny znak masoński. Pan Augustyn zdębiał, tym razem nie zdołał ukryć zdumienia. Wiedział oczywiście, że książę Poniatowski należy do rytu, i to do tego samego co on, ale nie spodziewał się, że minister ujawni się z tym przed byle urzędniczną. Tymczasem gest księcia miał mówić – spokojnie, bracie, jestem swój.

– Domyślam się, że chodzi o wybuch sprzed kilku dni – powiedział arystokrata już innym tonem. – Francuzi i król saski za moimi plecami knują coś w moim mieście, potem próbują to ukryć, a gdy to im się nie udaje, ukręcają łeb sprawie. Nie jestem taki jak mój stryj, nie pozwolę sobą manipulować i pomiatać, nie ważne komu – carycy, niemieckiemu królowi czy francuskiemu marszałkowi. Nie stanę się marionetką, szybciej zginę.

– Staramy się...

– Bardziej się starajcie, panie Gliński. Słuchaj, bracie w loży, masz moje pełne poparcie. Zrób co w twojej mocy, by wyjaśnić tę sprawę. Chcę mieć ją opisaną w raporcie najdalej za kilka dni. Ze wszystkimi nazwiskami i plugastwami, których się dopuścili ich właściciele. Po powrocie do gabinetu znajdziesz w nim glejt z moją pieczęcią i podpisem, który otworzy ci wrota wszystkich koszar, wojskowych archiwów i arsenałów oraz zapewni pomoc wszystkich oficerów mi podległych. I nie tylko! Jest napisany w dwóch językach, na wypadek gdyby potrzebował pan pomocy Francuzów. Znajduje się w nim prośba o pomoc skierowana do oficerów Wielkiej Armii. Idź pan teraz i pokaż tym żrącym żaby fanfaronom, że to jest nasze miasto, a nie ich.

– Tak jest, wasza wysokość – bąknął pan Augustyn.

Uklonił się i odwrócił na pięcie.

– Liczę na ciebie, Glino! – rzucił za nim książę.

XVIII

W drodze powrotnej do urzędu Glińskiego rozboleł brzuch. Picie cierpkiego, młodego wina przed obiadem i na pusty żołądek nie było najlepszym pomysłem. Policjant kazał stangretowi się zatrzymać, wygramolił się z powozu i ruszył dalej piechotą. Słyszał gdzieś, że aktywność fizyczna na świeżym powietrzu może, choć tylko w niektórych wypadkach, poprawiać stan zdrowia. Ponoć dobrze robiła na serce, ale nie wszyscy lekarze byli co do tego zgodni. Panu Augustynowi też wierzyć się nie chciało, że wysiłek może przynieść coś więcej niż zadyszkę czy zwiększyć niebezpieczeństwo przeziębienia, ale stwierdził, że lepsze to niż wytrząsanie brzucha w powozie bujającym się jak szalony na dziurawych warszawskich drogach.

Przemaszerował niespiesznym krokiem przez całą długość Nowego Świata i pod koniec przechadzki poczuł się znacznie lepiej. Zdążył się uspokoić po spotkaniu z księciem i przemyśleć kilka spraw. Niespodziewanie kiszki generalnego sekretarza rozpoczęły normalną pracę i jako że były puste, zaczęły grać marsza, rozpraszając właściciela. Ten przechodził akurat obok otwartych drzwi jakiejś niespecjalnie wykwintnej traktierni i w nozdrza uderzył go zapach ciepłych potraw. Bez zastanowienia wszedł do środka i usiadł przy stole obok mających przerwę w pracy tragarzy i pilarzy. Zażyczył sobie to samo co oni, czyli porządną michę parującego krupniku na wieprzowinie.

Siedział w towarzystwie wyrobników przeklinających głośno oraz plugawie, lecz nie zwracał na to uwagi, w spokoju delektując się niewyszukaną, ale pożywną potrawą, gęstą od kaszy i z kilkoma tłustymi kawałkami mięsa z żeberek. Zupa zadziałała niczym balsam na trzewia Glińskiego, pozwalając mu ostatecznie odzyskać siły oraz jasność umysłu. Teraz gotów był zmierzyć się ze wściekłym ministrem Potockim. Rzucił karczmarzowi kilka groszy i wyszedł na ulicę. Na rogu z Królewską wpadł na niego pędzący na oślep Jakub Dangel. Młody urzędnik wysyczał przekleństwo, ale kiedy zorientował się, z kim się zderzył, zaczął wylewnie przeproszać, kłaniając się w pas.

– Proszę dać spokój, nic się nie stało. – Policjant machnął ręką. – Gdzie pan tak gnasz?
– Woźnica powiedział, że idzie pan piechotą, postanowiłem więc wyjść naprzeciw. Odkryłem coś! – wypalił ożywiony młodzieniec.

– Chodźmy zatem w kierunku pałacu, a po drodze wszystko mi pan zreferujesz. – Pan Augustyn poklepał urzędnika po ramieniu. – Co masz, chłopcze, za rewelacje, słucham?

– Znalazłem rodzinę Parysów – odparł uradowany Daniel. – To szaraczkowa szlachta o klejnocie dawno skarłałym i pokrytym kurzem. Nie mają żadnych wpływów ani majątków w Warszawie, jedynie niewielki dom niedaleko rogatek Wolskich. Dokładnie mówiąc, to na Lesznie. Plugawa okolica, w sąsiedztwie działa kilka garbarni, które zatrują wyziewami i smrodami nie tylko powietrze, ale i okoliczne studnie. Jest tam też potężny młyn, który robi potworny hałas, a do tego fabryka maszyn żelaznych z głośnymi kuźniami i potężnymi kominami. Tamtejsze rynsztoki to siedliska paskudztwa wprost niewyobrażalnego, a domy trzęsą się od łomotu fabryk. Wokół, w rozwalających się ruderach, mieszkają głównie Żydzi i inni biedacy.

– Znaczący, państwo Parys to ludzie niezamożni, których los ulokował w wyjątkowo niekorzystnym miejscu. Cieszę się, że ustalił pan miejsce zamieszkania zabitej panny, ale czy wiesz pan coś ponadto? Kim są jej rodzice? Z kim przyjaźniła się dziewczyna? Komu mogła zwierzyć się z prób zastraszenia i stręczenia?

– Ha! Otóż to jest najlepsze. Ojciec panny Parys był pułkownikiem polskiego wojska i od kilku lat spoczywa na cmentarzu, dziewczyna mieszkała z matką, a utrzymywał je brat, żołnierz armii Księstwa Warszawskiego. Jego akt oczywiście nie mamy, podlega jednak pod jurysdykcję wojskową, nie wiem zatem, gdzie służy ani na jakim stanowisku. Sądząc jednak po niskiej pozycji tej rodziny, podejrzewam, że nie jest nikim ważnym.

– To mniej więcej zdradziła nam już pani Kiełczakowska, więc wybitnego odkrycia raczej pan nie uczyniłeś – zauważył Gliński.

– Ale to nie wszystko! – triumfalnie oświadczył Daniel. – Interesuje nas, kogo panna Parys poinformowała o schadzce z królem, kto dokonał zamachu. Tego z archiwów, rzecz jasna, nie mogłem wydobyć. Udałem się zatem do gabinetu osobistego sekretarza prezydenta miasta, Moszyńskiego, a mojego wielkiego przyjaciela, Alfonsa Czekierskiego. Ów jegomość ma słabość do arystokracji, której styl życia go fascynuje i nieodparcie pociąga. Uparcie sam pcha się na salony, choć nie jest nawet herbowy, więc jako gołodupiec nie może wbić się w towarzystwo, ale uparcie próbuje. Kto wie, może uda mu się wżenić w sfery, o ile wcześniej zgromadzi okazały majątek i usidli jakąś zubożałą hrabiankę? W każdym razie ten żalosny nieszczęśnik uwielbia grzać się w blasku wszelkiego rodzaju ekscelencji i lizać im tyłki, dzięki czemu zna wszystkie plotki dotyczące życia sfer. O panie Parys jednak w życiu nie słyszał, co znaczy, że dziewczyna faktycznie była nikim. Czegoś się jednak od niego dowiedziałem! Przyszło mi do głowy, że skoro król saski upatrzył sobie naszą wybuchową ślicznotkę na balu, to ktoś musiał ją na ten bal zaprosić i wprowadzić, tak? Otóż jego wysokość przyjmuje najwybitniejszych warszawiaków i francuskich oficjeli w Zamku Królewskim. Zabawy to są dziwne, bo nie podaje się na nich wieczerzy, a jedynie obwiecie raczy gości cukrami, chłodnikami i ciastami. Takie król ma upodobanie. Staruszek lubi sobie potaćczyć, ale uwielbia też grę

w karty, w szczególności w trysetę. W każdym razie jest ponoć na tych wieczorkach przeraźliwie nudno...

– Do rzeczy, chłopcze.

– Panna Parys nie miała szans zostać zaproszoną na królewskie salony, ale mój przyjaciel twierdzi, że Fryderyk August raz był gościem na balu urządzonym przez księcia Poniatowskiego w pałacu Pod Blachą i raz przez marszałka Davouta w teatrze warszawskim. Szczególnie bale u księcia Pepi słyną z szampańskiej zabawy i są niebywale lubiane przez warszawskie elity. Od dawna bale te organizowała kochanica księcia, pani de Vauban, ale ostatnimi czasy poszła ponoć w odstawkę, a wielką faworytą wiodącą aktualnie rej jest niejaka Anetka Tyszkiewiczówna. Ta piękna i niepozobawiona fantazji dama wybiera panny debiutujące na salonach. Mówi się, że to ona wytypowała siedemdziesiąt warszawianek, które zostały przedstawione jego cesarskiej mości, Napoleonowi.

– W tym panią Walewską?

– Tak! Wyszukuje ślicznotki, najlepsze polskie perły. I z całą pewnością to ona zaprosiła pannę Parys na bal, na którym wypatrył ją stary satyr... to jest, chciałem powiedzieć, jego wysokość Fryderyk August. – Dangiel poczerwieniał z emocji. Swoje wywody podkreślał gwałtowną gestykulacją.

– Twierdzisz, że kiedy Emilia Parys została zaszantażowana, zwierzyła się właśnie Tyszkiewiczównie? To logiczne, komuż innemu mogłaby się poskarżyć? Tylko ta wpływowa dama mogła ustrzec protegowaną przed zakusami króla. Zaraz, zaraz, czy Tyszkiewiczówna nie jest przypadkiem siostrzenicą księcia Poniatowskiego? – Gliński zatrzymał się w miejscu z wrażenia, mętnie przypominając sobie koligacje warszawskiej arystokracji.

– Mało tego, Anetka jakiś czas temu wyszła za mąż za Aleksandra Potockiego, znaczy jest teraz hrabiną Potocką i przez to bratową ministra policji, noszącego takie samo imię i nazwisko, co jej mąż.

Sekretarz generalny złapał się za głowę w dramatycznym i teatralnym geście.

– Zatem główną podejrzaną o konszachty z austriackim, pruskim lub rosyjskim wywiadem jest krewniaczka i ulubienica księcia Pepi, a jednocześnie bratowa mojego przełożonego!

– Wspaniale, prawda? – zauważył oficjalista. – Czy to nie fascynujące? Co zrobimy? Przyskrzynimy ją?

– Nie, na litość boską! – ryknął Gliński, przyciągając uwagę wszystkich spacerowiczów z placu Saskiego, na którego środku stali. – Za podobny afront z pewnością zapłaciłbym głową. Poza tym nie mamy najmniejszych dowodów jej złej woli, zupełnie nic.

– Może przesłuchać ją w podobny sposób, co Kiełczakowską? Pana śledczy doskonale sobie radzą z wyciąganiem zeznań z podejrzanych.

Pan Augustyn spojrział z ukosa na młodzieńca, podejrzewając, że ten próbuje go sprowokować. Nie mylił się, oczy chłopaka błyszczały z uciechy.

– Nie widzisz różnicy między burdelmama a hrabiną skoligaconą z najważniejszymi osobami w państwie?

– Prócz pochodzenia społecznego i sposobów działania dostrzegam wiele podo...

– Nie kończ! I wbij sobie do głowy, że nie możemy działać w ten sam sposób wobec podejrzanych pochodzących z różnych sfer. – Gliński pogroził mu palcem. – Z hrabiną będę musiał porozmawiać osobiście, a do tej rozmowy musimy się przygotować. Na razie chyba będzie lepiej, jeśli dziś nie pojawię się w urzędzie. Wolałbym nie spotykać ministra, może mieć zły humor. Mam zatem dla ciebie kolejne zadanie. Wsłizniesz się do mojego gabinetu i zabierzesz dokument, który zostawił tam posłaniec od księcia Poniatowskiego. Ten glejt, mam nadzieję, otworzy mi drzwi do pani Potockiej. Spotkamy się w warsztatach policji na Niskiej.

Wrócił piechotą do domu, gdzie przebrał się w świeżą, wykrochmaloną koszulę ze sztywnym niczym żelazo kołnierzem. Założył najlepszą, jedwabną kamizelkę, elegancki pluszowy kapelusz i odświętny frak. Do tego wzuł buty ze złotymi klamrami, a w rękę ujął laskę z błyszczącą gałką. Nie zapomniał jednak o pistolecie, który schował w wewnętrznej kieszeni, tak na wszelki wypadek. Był gotowy do akcji na wielkopańskim dworze.

Zabrał ze sobą śmiertelnie wynudzonego Jaśka, którego kazał lokajowi ubrać we w miarę schludne ubranie, zmieniające go z rzezimieszka w służącego. Do warsztatów pojechali powozem. Bramy posterunku pilnowało czterech mundurowych policjantów, w tym dwóch ze staroświeckimi halabardami nadającymi im dodatkowej powagi. Kolejny siedział za kontuarem w sieni głównego budynku. Zasalutował Glińskiemu i bez pytania wpuścił przybyłych.

W głównym, uprzętniętym już gabinecie zastali pochylonego nad tasakiem z osełką w dłoni Rocha Gogiela i pogrążonego w lekturze doktora Tytusa Rittera. Od doby nie pojawił się Szaja, znaku życia nie dał także kapitan Ilnicki. Zaniepokojony szef wydziału postanowił zaczekać na powrót policjantów, a przede wszystkim na Dangiela z otwierającym wszystkie drzwi dokumentem.

Jednak żaden z tej trójki uparcie się nie pojawiał.

XIX

Szara godzina, czyli ten okres zmroku, kiedy jeszcze nie zapalano świec i korzystano z resztek dziennego światła, w grudniu nadchodził koło piętnastej. W polskich domach poświęcano ten czas, gdy czytać ani robić niczego pożytecznego już się nie dało, modlitwie lub cichym rozmowom. Natomiast na posterunku na Niskiej Gliński zarządził partyjkę wista, modnej ostatnio gry karcianej. Jaśko nie znał tak wymagającej rozgrywki, ale błyskawicznie nauczył się reguł. Partnerował naczelnikowi wydziału, za przeciwników mając duet Rittersa z Gogiem. Roch złościł się na analizującego w milczeniu karty doktora, szczególnie że mimo obliczeń oraz rozważań medyka i tak nie mogli przewidzieć wzajemnych posunięć i tracili lewą po lewej. Jaśko chichotał za każdym razem, gdy zbierał wygrane lewe, a Gliński kiwał głową z uśmiechem zadowolenia. Wreszcie wielkolud, mieląc przekleństwo w ustach, rzucił karty i wstał, by zapalić trzy łożówki, które rozstawił na stole.

Mimo dobrej zabawy pan Augustyn nie mógł zapomnieć o zmartwieniach. Często spoglądał w okno, za którym zrobiło się już całkiem ciemno. Podwładni nadal się nie pojawiali. Najbardziej niepokoił go los młodego Dangiela. Co stało się z tym chłopakiem? Złapali go urzędnicy, gdy wchodził do gabinetu Glińskiego, i potraktowali jak złodzieja lub szpiega?

Po raz kolejny sekretarz generalny policji wyciągnął z kieszeni zegarek na łańcuszku i sprawdził godzinę. Nadeszła pora wieczery, którą zwykł jadać w domu. Ciekawe, co też przyrządziła dziś Małgorzata? Pan Augustyn lubił przed snem spożywać potrawy ciepłe, choć niezbyt obfite, by zaledwie nie obciążać żołądka, co mogłoby z kolei spowodować złe sny. Odłożył karty, bo przez nerwy i głód zaczynał robić się rozdrażniony i nie mógł się skupić. Podszedł do okna i rękawem koszuli przetarł szybę. Podwórce pogrążone było w ciemnościach, a w bramie majaczyły sylwetki dwóch wartowników. Pozostałych dwóch oraz dyżurnego z za kontuaru Glina odesłał na posterunek z rozkazem przyprowadzenia zmiany.

Niestety, warszawska policja nie dysponowała na tyle dużą liczbą funkcjonariuszy, by można nimi było dowolnie dysponować. Jutro z pewnością komisarz cyrkułu będzie się domagał zwolnienia swoich ludzi z dodatkowej służby. Gliński już dawno zwiększyłby stany liczbowe policji, ale ministerstwo nie miało na to pieniędzy. Księstwo przez to, że miało na utrzymaniu francuskie korpusy stacjonujące w Polsce i cierpiało przez blokadę

handlu z Anglią, borykało się ze sporymi kłopotami finansowymi. Poza tym priorytetem rządu było wyposażenie i utrzymanie polskiej armii, a nie zatrudnianie kolejnych policjantów. Od jutra zatem warsztaty na Niskiej znów będą pozbawione dodatkowej ochrony.

Szef śledczych oparł głowę o zimną szybę z mętnego szkła i chłonał jej przynoszący ulgę chłód. Przez chwilę starał się nie myśleć o niczym. Jutro Wigilia, ale jakoś nie czuł podniosłości bożonarodzeniowego czasu. Nie spodziewał się też, że dane mu będzie odpocząć w czasie świąt.

Nagle dostrzegł światła w bramie warsztatów. Wydało mu się, że słyszy głosy i widzi ruch. Jakby kilku ludzi szamotało się z policjantami stojącymi na warcie. Tymczasem za jego plecami Roch głośno natrząsał się z miernych umiejętności gry w karty doktora Rittera.

– Cisza! – syknął Gliński. – Coś się dzieje przy bramie.

Cała trójka poderwała się od stołu i przywarła do okien. W tej chwili huknął strzał i jedna z szyb rozbryznięta się, sypiąc odłamkami. Jaśko krzyknął ze strachu i rzucił się plackiem na podłogę. Siwowłosy oficjalista dopadł do swego eleganckiego, odświętnego fraka, który tkwił na wieszaku, i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni pistolet. Gogiel rzucił się do drzwi, jego buciory załomotały na korytarzu, gdy pędził do głównego wejścia. Puścił energicznie sztabę rygła, zamykając drzwi. Tymczasem na podwórku zaroilo się od ciemnych sylwetek. Pan Augustyn wystawił lufę przez potłuczone okno i wypalił bez celowania. Pomieszczenie wypełniła chmura dymu.

– Kto nas atakuje, do diabła? – warknął lekarz.

– Widzi mi się, że to Francuzi – odparł Jaśko, który zdążył poderwać się z podłogi i teraz wyglądał przez okno.

Gliński złapał go za ramię i siłą odciągnął na bok. W samą porę, bo szyba z brzękiem eksplodowała szkłem. Po podłodze potoczyła się cegła.

– Francuzi? – zdziwił się doktor. – Znaczą żołnierze?

– W mundurach i wysokich futrzanych czapach, w tych, jak im tam... bermycach – odparł złodziejasek. – I mają muszkiety.

– Grenadierzy – jęknął sekretarz generalny. – Już po nas. Komuś znudziła się zabawa w ciuciubabkę.

Roch przewalał coś w archiwum, wreszcie wpadł do głównej sali z garłaczem w garści. Wielkokalibrowa broń z rozszerzającą się lufą należała do jednego z emerytów-weteranów zatrudnianych jako stróże. Wczoraj pan Augustyn wysłał ich na kilkudniowy odpoczynek – do czasu aż się trochę uspokoi. Broń starsuszków została jednak na posterunku.

Wielkolud oparł kolbę o stół i zaczął sypać do lufy proch z przyniesionego woreczka. Nie próbował odmierzać porcji, sypnął na oko, tak jak chwilę później garść posiekanych zardzewiałych gwoździ – pieczołowicie przygotowaną przez weterana amunicję. Uszczelnił całość pogniecionym kawałkiem papieru wydartym z policyjnych akt i ubił wszystko stemplem. Jaśko patrzył na poczynania Rocha z otwartymi ustami. W tym czasie Gliński z Ritterem zastawili regałem jedno z wybitych okien.

– Żywcem nas nie wezmą. – Gogiel mrugnął do Jaśka. – Niechby i grenadierzy Gwardii, sram na nich. W powstaniu Kościuszki biliśmy się i z pruskimi jegrami, i z carską lejbgwardią. Da się ich zabić, uwierz mi, chłopcze. I nie stój tak, leć sprawdzić okna w kuchni.

W oknach pozostałych pomieszczeń na parterze znajdowały się kraty, większość sal przerobiono bowiem na aresztanckie cele. Drzwi wejściowe okuto żelazem i nie dało się ich po prostu wyważyć – by wejść do środka, trzeba by wysadzić je w powietrze. Policjanci przechowywali też w archiwum, z braku specjalnego magazynu, trochę broni, prochu i amunicji. Mieli ponadto nieco żywności i wody w kuchni, mogli więc w solidnym, murowanym budynku bronić się nawet kilka dni.

– Co ma znaczyć ta napaść?! – wrzasnął naczelnik wydziału, przywierając do ściany przy dużym oknie. – Jestem policyjnym oficjalistą! Przedstawicielem administracji!

– Wiemy, panie Gliński! – odpowiedział ktoś po polsku. – Siedź tam lepiej cicho, to może ujdziecie żywi. Trzeba było nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Z kim rozmawiam?

– Lepiej ci tego nie wiedzieć, Glino! Stul pysk i przestań węszyć, bo możesz wreszcie śmiertelnie zatruć się ołowiem!

Jakby na potwierdzenie tych słów zagrzmiał strzał. Kula świsnęła koło głowy pana Augustyna, przeleciała przez salę i wbiła się w ścianę. Jaśko i Roch przykucnęli, tylko doktor Ritter nie zareagował i nadal wyglądał przez szparę w szafie przed chwilą przystawionej do jednego z okien.

– Widzę go – powiedział spokojnie. – Jako jedyny ma rogatywkę na głowie. Opiera się o otwarte skrzydło bramy. Mogę sprzątnąć gada.

– Przynies broń – rozkazał pobladły z gniewu Gliński.

Prusak zniknął w archiwum, by wrócić z błyszczącym od oliwy austriackim gwintowanym karabinem. Medyk miał założoną na głowę uprząż z wymienialnymi monoklami o różnych szklach. Niósł też dziwny optyczny przyrząd, jakby lunetę opiętą klamrami. Oparł karabin o ziemię i sprawnie przykręcił do niego – za kurkiem z panewką – lunetę. Potem zabrał się do mozolnego nabijania broni.

– Czego chcecie? Mojej głowy? – znów krzyknął przez okno pan Augustyn.

– Ta kwestia jest jeszcze nierozstrzygnięta, debatują o tym ważniejsi ode mnie – odparł oficer dowodzący atakiem. – Mógłbym skrócić te dysputy i po prostu was powystrzelać, ale kazano mi się wstrzymać. Na razie wystarczy nam pańskie milczenie. Skoro nie da się pana zmusić do niego na drodze urzędowej, mam rozkaz zatrzymać pana w tym oto zaimprovizowanym areszcie. Sam więc jesteś pan sobie winien. Nie trzeba było węszyć.

Roch zaklął szpetnie, ale widząc minę Glińskiego, natychmiast przeprosił.

– Jesteśmy uwięzieni – mruknął wielkolud. – Cholera wie, na jak długo i czy nie zdecydują się tu jednak wdrzeć i nas wymordować. Stoją tam sobie, jak gdyby nigdy nic. Mogę wypalić do nich z armaty? – Potrząsnął garłaczem.

– Nie. Nie chcę zabijać Francuzów – zabronił szef. – Doktorze, jest pan gotowy?

Ritter sypnął proch na panewkę i skinął głową. Kucnął przy krawędzi okna, opierając lufę o dolną framugę. Wsunął na miejsce w aparacie jeden z monokli i przycisnął kolbę do ramienia, wpatrując się lunetę.

– W celu – zameldował.

– Nie zabijaj – rozkazał Gliński. – Nastraszyć go tylko, niech sobie nie myśli, że zadarł z byle kim.

Doktor nie odpowiedział, tylko wolno i delikatnie pociągnął za spust. Kurek trzasnął w panewkę, krzesząc iskrę. Błysnęło i karabin huknął ogłuszająco. Stojący w bramie porucznik Załuski poczuł uderzenie i szarpnięcie pod brodą. Pasek podtrzymujący rogatywkę zsunął mu się, zahaczając boleśnie o nos, wysoka czapka poleciała w śnieg. Stojący obok grenadierzy zarechotali głośno i bez szacunku. Fyzylie schylił się i podniósł strącone nakrycie głowy. W blasze nad daszkiem, w której wybito numer pułku, ziała dziura po karabinowej kuli. Załuski spojrzął z nienawiścią w okna posterunku.

– Zapłacisz mi za to, Głino – syknął.

XX

Ilnickiego obudził chłód i niewygodna. Śniło mu się, że leży na szańcach twierdzy w Mantui, leje się na niego zimny deszcz, wokół rozrywają się austriackie kartacze, a on nie może się ruszyć. Bomby wybuchają wszędzie wokół, gwizd spadających kul zlewał się w jedno z rykiem eksplozji. Raz po raz kamienne bryły wyrwane z szańców uderzały w głowę kapitana, kaleczyły ją i boleśnie obijały. Pan Michał zacisnął oczy, by nie widzieć błysków i lecących kul. Ogarnęła go ciemność. Koszmar był na tyle realny, że po otwarciu oczu jedynym, co ujrzał, był pogrążony w mroku popękany mur, a głowa bolała go, jakby faktycznie spadły na nią całe góry odłamków. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to nie złudzenie ani ciąg dalszy snu, a rzeczywistość.

Poruszył się i syknął z bólu. Piekący ból rozplątał się po boku i tyle głowy, jak się okazało, obwiązanej szmatą. Oficer usiadł, ale wtedy poczuł falę mdłości. Zakrztusił się śliną i kaszląc, zwymiotował. Ktoś obok niego kucnął i pomógł mu oprzeć się plecami o ścianę. Ilnicki spojrzał w pociągłą twarz, okoloną zakręcającymi się pejsami.

– To ty, Szaja? – jęknął.

– Cieszę się, że zaczyna pan dochodzić do siebie, kapitanie – odparł Żyd. – Miał pan tylko rozcięcie skóry na głowie, trochę opuchnięte. Myślę sobie: albo szybko oprzytomnieje, albo ma pęknięty czerep i krew w mózgu, a w takim przypadku już raczej oczu nie otworzy. Skoro pan rzygasz i mnie poznałeś, znaczy, że to tylko wstrząśnienie.

– Aha. – Ilnicki ciężko skinął głową. – Nie mam tylko pojęcia, gdzie jesteśmy i skąd się tu wzięłem. Nic nie pamiętam.

– Jak pana capnęli, to ja nie wiem. Mnie dopadli, gdy wśliznąłem się na teren Kuźni Artyleryjskich. – Appenszlak usiadł naprzeciwko i krzywo się uśmiechnął. Światło wpadające przez niewielkie okienko u sufitu oświetliło jego pobladłą twarz z potężnym siniakiem i opuchlizną zasłaniającą lewe oko. – Moje pieski mnie tu przyprowadziły, gdy ruszyłem z nimi tropić porywaczy Jaśka. Zanim zdążyłem im podstawić pod nosiska koc, pod którym spał chłopak, zwierzaki same złapały obcy trop. Pociągnęły mnie pewnie, to nie chciałem ich odwoływać. Okazało się, że daleko nie było, wskazały mi drogę prościutko do Kuźni Artyleryjskich. Nie zastanawiałem się długo, tylko pogoniłem psy do domu, a sam przesadziłem płot w mniej uczęszczanym miejscu. Ukrycie się przed wartami nie było niczym nadzwyczajnym. Zajrzałem, przez nikogo niezauważony, do

kolejnych kuźni, pracowni i magazynów, nic ciekawego jednak nie znajdując. Śladu najmniejszego po Jaśku.

– Nie uprowadzili go. – Pan Michał machnął ręką. – Zwiął im i pognał do domu Gliny. Nic mu się nie stało. Widział trzech mężczyzn plądrujących nasz komisariat. Jeden z nich był żołnierzem w czako i zielonym płaszczu.

– Artylerzysta. To wiele wyjaśnia – warknął Szaja. – Obserwowałem, jak jeden z nich rozmawia z dziewczyną przed budynkiem, w którym nas trzymają. Próbowałem podpełznąć jak najbliżej, ale cholera, tam w ziemi nie ma żadnych krzaków czy nawet trawy, w której można się schować.

– Z dziewczyną? Tutaj, w ściśle strzeżonej wojskowej fabryce? – zdziwił się kapitan. – Jesteś pewien?

– Też byłem zaskoczony. Podpełzłem najbliżej jak się dało, bo do tej pary dołączył jegomość w czarnej pelerynie. Wiele nie podsłuchałem, bo gadali po francusku. Tyle tylko, że panienka wobec artylerzysty zachowywała się dość poufale, a wobec peleryny okazywała pewne speszenie czy zawstydzenie. Bardzo ładna, choć jak na mój gust, zbyt wysoka i jakaś tak wychudzona...

– Wysoka? Jakie miała włosy?

– Krótka grzywka z modnymi loczkami, koczek z tyłu głowy.

– Jasne? Blond?

– Wręcz popielate.

Oficer pokiwał głową, ale od ruchu natychmiast syknął z bólu.

– Dziewczę zniknęło wewnątrz budynku, Francuz z artylerzystą ruszyli do bramy, a ja powoli zacząłem pełznąć w kierunku budowli. I wtedy dopadł mnie cholerny oficer piechoty z wąsikami i blizną na łbie. Przylał mi kilka razy w gębę i ciągnąc za brodę jak jakiego starego kozła, przytargał do tej piwnicy. Myślałem, że mnie zaszlachtuje, więc krzyknąłem, że jestem z policji. Zaśmiał się tylko i wyciągnął pistolet. Wtedy wpadł ten w zielonym mundurze i kazał mu się opanować. Zwrócił się do niego, nazywając go Krystianem. Piechur posłusznie opuścił broń, ale gdy artylerzysta wyszedł, przylał mi rękojęścią prosto w gębę. To od tego mam tę śliwę.

– Porucznik Krystian Załuski ma ciężką rękę. – Ilnicki szybko sobie przypomniał wydarzenia w Kuźniach. – Obu nas nieźle urządził. A wydawał się tak grzecznym i miłym oficerem.

Poczuł suchość i niesmak w ustach, a do tego pieczenie w gardle po wymiotowaniu. Okazało się, że leżał bez przytomności cały dzień i noc. Obliczył zatem, że dziś była Wigilia Bożego Narodzenia. Hania z pewnością czeka na niego i coraz bardziej się niepokoi. Obiecał, że zrobi wszystko, by święta spędzili razem, całą rodziną. Zanosił się jednak na to, że przesiedzi je w wilgotnym, ciemnym lochu.

– Mamy coś do picia?

– Dostałem wczoraj tylko kubek wody i cały wypilem. Potem próbowałem zbierać wilgoć ze ścian za pomocą szmatki. Wystarczy ją tylko wycisnąć. Zaraz panu przygotuję choćby łyk na przepłukanie gardła.

Oficer po kilku minutach dochodzenia do siebie odważył się powoli wstać. Obszedł celę, walcząc z nawracającymi zawrotami głowy. Piwnica nie była zbyt duża, a prócz zwyczajowej stęchlizny czuć w niej było znajomy zapach moczu z gnoju, z którego otrzymywano saletrę. Może pomieszczenie służyło kiedyś za magazyn tego materiału, choć obecnie wałały się w nim jedynie kawałki klepek z przegniłych beczek. Do okienka pod sufitem trudno było sięgnąć, zresztą tkwiły w nim kraty.

– Myślisz pan, że nas nie zabiją? – spytał Szaja.

– Zależy, jak wiele mają tajemnic do ukrycia i kim jest Francuz, który razem z Karolem Parysem napadł na nasz posterunek.

– Na co zatem czekają?

– Nie mam pojęcia. – Pan Michał wzruszył ramionami.

Przez jakiś czas rozmawiali o śledztwie, gubiąc się w domysłach. Ilnickiemu minęły zawroty głowy, choć rozcięcie opuchło i bolało przy każdym ruchu. Obu mężczyznom zaczął doskwierać głód, ale jako że obaj byli z nim obcy, nie skarżyli się ani słowem. Weteran legionów nie raz przymierał głodem na legionowym wikcie, a Appenzlak pochodził z żydowskiej biedoty i znał to uczucie od dziecka.

Dokładnie obejrzel drzwi, ale te okazały się solidne, w dodatku zamknięte na żelazny skobel. Wyjście przez okienko też okazało się niemożliwe, zaczęli zatem planować inne sposoby na ocalenie życia i ucieczkę. Z peleryny dowódcy i walających się rupieci ułożyli pod ścianą niezbyt udaną kukłę, mającą udawać ciągle nieprzytomnego kapitana. Potem Szaja zaczął walić pięściami w drzwi i wzywać strażnika. Pan Michał przywarł do ściany, ściskając w ręku pasek od spodni, który planował od tyłu zarzucić na gardło wartownika, gdy ten wejdzie do pomieszczenia.

Grube mury budynku chyba jednak zbyt dobrze tłumili wszystkie dźwięki, bo nikt nie kwapił się, by uciszyć Żyda. Mijały minuty i nic się nie wydarzyło. Ilnicki miał już zrezygnować, gdy niespodziewanie przy drzwiach rozległ się chrzęst zdejmowanej sztaby rygla. Oficer znów przywarł do ściany, unosząc zaimprovizowaną broń do ataku. Opuścił ją jednak, widząc postać, która weszła do piwnicy. Tyłem do niego stała wysoka, szczupła dziewczyna o blond włosach. Kapitan chrząknął, by zwrócić na siebie jej uwagę, a kiedy z zaskoczeniem na twarzy się odwróciła, uśmiechnął się nieznacznie i powiedział:

– Jestem kapitan Michał Ilnicki, Policja Śledcza Krajowa. Miło panią poznać, panno Emilio Parys.

XXI

Glińskiemu spało się fatalnie na zbyt wąskiej leżance. W dodatku przez wybite okna, mimo że zastawione meblami, wpadało zimowe powietrze i w pomieszczeniu zrobiło się lodowato. Opał się skończył, a po nowy nie sposób było pójść. Na podwórku stali na warcie grenadierzy z bronią gotową do strzału. Wcześniej porucznik Załuski ostrzegł uwięzionych, że każdy, który spróbuje uciec, zostanie natychmiast zastrzelony. Francuscy piechurzy rozlokowali się w budynkach warsztatów, nie podobało się im tylko w laboratorium Rittera, czyli w prosektorium. Posterunek był więc oblężony, ale na szczęście przeciwnik nie przymierzał się do jego zdobycia. Wystarczyło mu samo zablokowanie policjantów.

Doktor Ritter połamał starą szafkę z archiwum i uzyskanym drewnem rozpałił w kuchennym piecu. Zebrał wszystkie zgromadzone warzywa i kaszę, po czym ugotował kociołek zupy, chcąc wyżywić uwięzionych. Zjedli z apetytem, bo ponury medyk miał prawdziwy dar do gotowania i potrafił z byle czego zrobić naprawdę smaczne danie. Gliński chwalił go z całego serca, do czego przyłączył się nawet Roch, uroczyście przepraszając doktora za wczorajsze kpiny i docinki w czasie gry w karty.

– Będziemy całe święta siedzieć tu niczym w celi? – spytał wielkolud, kiedy skończyli śniadanie. – Czy może jednak spróbujemy się przebić?

Pan Augustyn spojrział na niego i tylko pokręcił głową. Nie palił się do walki z francuskimi grenadierami, elitarną formacją, w której służyli najroślejsi i najbardziej doświadczeni żołnierze. Policjanci nie mieli z nimi najmniejszych szans. Gogiel zreflektował się i machnął ręką, jakby chciał wymazać swoją nieprzemyślaną propozycję.

– To może weźmiemy ich podstępem? Podpalimy posterunek, a kiedy pożar ściągnie tu gapiów i straż z sikawkami, skorzystamy z zamieszania i się wymkniemy? Przecież żabojady nie będą do nas strzelać przy tłumie ludzi! – natychmiast rzucił kolejny pomysł.

– Zanim zrobi się zbiegowisko, po prostu się spalimy – westchnął Ritter.

– Masz pan lepszą propozycję?

– Musimy cierpliwie czekać. – Medyk wzruszył ramionami. – Przecież ten fizylier powiedział, że nie zamierzają nas zabić.

– Że jeszcze nie zamierzają nas zabić i czekają na decyzję – sprostował olbrzym. – Mogą w każdej chwili dostać rozkaz ataku. Mamy beczynn timer siedzieć i czekać, aż zdecydują się nas wymordować? Szefie, no niech pan coś powie...

Pan Augustyn w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Roch ma rację, musimy się wydostać z potrzasku, bo nie wiadomo, jak to się skończy. Nie wiemy, kto właściwie wydał rozkaz, by nas tu przyskrzynić i dlaczego. Ach, gdybym miał dokument od księcia Poniatowskiego! Zaraz bym nas stąd wyprowadził.

– Przyniosę go, wasza ekscelencjo – pokornym i nieśmiałym głosem odezwał się Jaśko.

Wszyscy spojrzeli na chłopaka, który patrzył na nich wyraźnie speszony.

– Wymknę się stąd. Mogę wezwać pomoc albo znaleźć tego Dangiela i zabrać mu dokument.

– Którędy chcesz zwać? – rzeczowo spytał Gogiel.

– Górą. Przez strych na dach, dalej wystarczy dać susa na budę, w której doktor kroi trupy, a potem skok za płot i w nogi.

– Pomiędzy budynkami jest odstęp na jakieś dziesięć kroków – zimno zauważył Ritter.

– Dasz radę skoczyć tak daleko? Jeśli spadniesz albo zauważą cię Francuzi, zginiesz.

– Dam radę – uciał młodzieniec. – Niech pan Gliński tylko powie, gdzie znajdę tego Dangiela.

– Jeśli nie został zamordowany ani aresztowany, w święta jest pewnie w domu swoich rodziców, u których mieszka – odparł szef. – Dobrze. Skoro to jedyna szansa, nie ma na co czekać. Nie będziesz sam szukał Dangiela, zaniesiesz pismo do komendy cyrkułu i oddasz komisarzowi. Dajcie mi papier i przybory do pisania.

Pół godziny później Jaśko otworzył na strychu klapę prowadzącą na dach. Roch podsadził go, pomagając mu wydostać się z poddasza. Chłopak ostrożnie się wyprostował i zrobił kilka niepewnych kroków. Wielkolud obserwował go, wystawiwszy głowę przez świetlik. Pokryte śniegiem dachówki okazały się bardzo śliskie, a pochyłość dachu powodowała, że młodzieniec mógł w każdej chwili zjechać i spaść na ziemię.

Złodziejaszek, ślizgając się, podszedł do krawędzi i ostrożnie wyjrzał. Zmarznięci grenadierzy pochowali się w zabudowaniach, na podwórku zostało tylko dwóch, a kolejnych dwóch pilnowało bramy. Na szczęście przez myśl im nie przeszło, by patrzeć w górę. Chłopak cofnął się, zsuwając stopą śnieg i robiąc sobie w ten sposób miejsce na rozbieg. Zatrzymał się na szczycie dachu i spojrział na Rocha. Uśmiechnął się niepewnie, a potem z namaszczeniem się przeżegnał.

Wreszcie ruszył do biegu. Długimi, chudymi nogami sadził wielkie susy. Dachówki zagrzechotały pod jego ciężarem, któraś trzasnęła i stoczyła się. Ostatni krok i potężny sus. Dachówki z krawędzi posypały się i zagrzechotały na zmarzniętej ziemi podwórza. Grenadierzy spojrzeli w górę. Jaśko gruchnął na drewniany dach budynku prosektorium i przeturlał się po nim, zatrzymując się na krawędzi.

Obaj Francuzi wrzasnęli przekleństwa i sięgnęli po muszkiety. Chłopak poderwał się, przebiegł kilka kroków, potknął się i runął jak długi. Zjechał, zatrzymując się znów na

krawędzi. Wstał i na czworaka zaczął piąć się ku wierzchołkowi budynku. Pierwszy grenadier uniósł broń i wystrzelił. Kula pacnęła w drewno obok złodziejaska. Jaśko, nie odwracając się, przesadził szczyt i zjechał po drugiej stronie budynku. Wylądował w śniegu za płotem otaczającym policyjne warsztaty. Natychmiast wstał i pognął w kierunku najbliższej kamienicy. Wpadł w jej bramę, pokonał podwórko i przesadził kolejny płot. Po chwili był już dwie ulice dalej.

– Udało mu się – zameldował Gogiel Glińskiemu.

XXII

Panna Parys zaprosiła obu więźniów na pokoje, w których od kilku dni rezydowała. Mieszkała nad celą, w ostatnim pomieszczeniu zamykającym korytarz. Jeńcy byli, rzecz jasna, więzieni w masywnym gmachu na terenie Kuźni Artyleryjskich, w którym prowadzono eksperymentalną konfekcję amunicji. Śliczna dziewczyna, w przeciwieństwie do dwóch policjantów, miała możliwość swobodnego poruszania się w obrębie budynku – i z nudów korzystała z tej swobody. Usłyszała wrzaski i dobijanie się Szai, więc po dłuższym wahaniu postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Nie miała pojęcia, że w gmachu jest ktoś jeszcze. W związku ze świętami prace się nie odbywały i budynek został od zewnątrz zamknięty. Pilnowali go wartownicy przechadzający się alejkami otaczającymi laboratoria.

Buduarosypialnia panny Parys okazała się magazynem materiałów wybuchowych. Kapitan Ilnicki zdębiał po wejściu do środka, widząc tak duże nagromadzenie niebezpiecznych przedmiotów w jednym miejscu. Część wyniesiono na korytarz, by zrobić miejsce rezydentce, przez co w dużej sali swobodnie zmieściło się łóżko, stolik i dwa krzesła, a nawet szafka na babskie fatałaszkę. Ściany wokół wypełniały sięgające sufitu regały zavalone skrzyniami z bombami najróżniejszych kalibrów i rodzajów. Nie brakowało także beczulek opisanych numerami wrytymi w laku i zawierających, jak się Ilnicki domyślał, różne rodzaje prochu oraz środków zapalających.

Na stole stał trzyramienny świecznik, w którego świetle panna spędzała wieczory na lekturach i drobnych robótkach. Jakimś cudem nie zaproszyła jeszcze ognia i nie wysadziła wszystkiego w powietrze. Uśmiechała się uroczo i przyjaźnie, bez najmniejszego skrupowania, jakby przebywanie damy w takim miejscu nie było niczym niezwykłym. Zaprosiła obu gości do stolika i uraczyła ich dzbanem mleka, chlebem i białym serem. Przeprosiła grzecznie za niewygodę, na które naraził policjantów jej brat, ale obawiała się, że to było konieczne. Szaja wpakował do ust kawałek chleba z serem, pan Michał powoli wypił mleko, z obawą oczekując nawrotów mdłości.

– Domyślił się pan, kim jestem – zauważyła dziewczyna, siadając na brzegu łóżka. Opatuliła się dokładnie welurową podomką i zarzuconym na ramiona płaszczykiem na futerku, bo w pozbawionym pieca i kominka pomieszczeniu było naprawdę chłodno. – Musi pan mieć niezwykle przenikliwy umysł.

– Nie przesadzajmy. – Oficer uśmiechnął się blado. – Uświadomiłem sobie tylko, że śmierć panny była jedynie mistyfikacją. Ciągłe jednak nie wiem, co zaszło tamtej nocy na Żoliborzu i dlaczego się panna ukrywa.

– Wszystko przez moje niefortunne wejście na salony. Powinnam znać swoje miejsce i nie porywać się na zbyt wysokie progi. – Wydęła usta w grymasie zniechęcenia. Jej oczy błyszczały, a na usta niemal samorzutnie wracał zadziorny uśmiech. Ilnicki musiał przyznać, że dziewczę, na oko liczące nie więcej niż szesnaście wiosen, jest rzeczywiście niezwykle urodziwe. – Myślałam, że złapałam pana Boga za nogi, gdy na bal zaprosiła mnie pani Anetka, znaczy hrabina Potocka. Na bal w pałacu Pod Blachą! Wyobraża pan sobie, kapitanie? Mnie, szarej gąsce, pozwolono wkroczyć na salony. Dostałam szansę od losu, by poznać jakiegoś przystojnego oficera, który stałby się moim adoratorem. Jedna noc, by zmienić całe życie. I faktycznie się zmieniło, ale nie w sposób, w jaki planowałam.

– Wpadła panna w oko królowi saskiemu. – Dowódca wydziału nalał sobie jeszcze jeden kubek i popijał z niego małymi łykami.

– Do głowy by mi nie przyszło, że ten starszy jegomość w peruce ma wobec mnie jakiegokolwiek plany. Nawet go nie zauważyłam! Zostałam przedstawiona całej masie oficerów polskich i francuskich, którzy nieustannie prosili mnie do tańca i obsypywali komplementami. Byłam w siódmym niebie. Przed oczami migały mi błyszczące od akselbantów i epoletów mundury, w oczy raziła odświętna iluminacja, porażał blask blichtru i bogactwa.

– A potem została panna sprowadzona do pałacu pani Kiełczakowskiej.

– Jakies dwa dni później dostałam bilecik zapraszający na wieczorek u tej damy. Matka pozwoliła mi jechać samej, jako że miało to być babskie spotkanie i nie potrzebowałam przyzwoitki. Nie wiedziałyśmy, kim jest owa dama i czym się para. Okazało się, że stangret zawiózł mnie do mrocznej dziury tej starej pajęczycy. Ta okropna kobieta groziła nie tylko mnie, ale i całej mojej rodzinie. Żądała, bym... bym ja... Pan wybaczy, kapitanie, ale nie mogę o tym mówić!

Ilnicki pokiwał ze zrozumieniem głową, widząc rumieńce wstydu na policzkach Parysówny. Widocznie Kiełczakowska opisała jej, jakich konkretnie usług życzy sobie jego wysokość. Dla niewinnego dziewczęcia musiało być to prawdziwym szokiem.

– Zamiast ulec, postanowiła panna się bronić. Z kim zaplanowała pani zamach na króla saskiego?

– Zamach? Ależ nie, to nie tak. – Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. – Powiedziałam o wszystkim bratu, a ten, jako mężczyzna energiczny i nieco gwałtowny, bardzo się rozgniewał. Nie planowaliśmy jednak nikogo zabijać. Brat, gdy się uspokoił, postanowił poprosić o pomoc jednego z francuskich generałów, z którym zresztą tamtej pamiętej

nocy dwa razy tańczyłam. Ów generał jest naprawdę wpływowym i przebywa w bezpośrednim otoczeniu królewskiej mości Fryderyka Augusta.

– Mówimy o generale Charles’u Morandzie?

– Tak. Mój brat walczył u jego boku i miał okazję poznać Charles’a w polu. Ponoć tak zwane braterstwo broni niezwykle zbliża mężczyzn. Generał okazał się na tyle zaprzyjaźniony z Karolem, że zgodził się, mimo licznych obowiązków najwyższej wagi, wysłuchać jego sprawy. Przypadkowo to właśnie do niego król zwrócił się z prośbą odnalezienia mnie i skłonienia do niegodnych usług. Charles nie wiedział, o jaką dziewczynę chodzi, i zlecił załatwienie tej sprawy pani Kiełczakowskiej. Kiedy dowiedział się, że to ja, bez wahania zdecydował się zagrać jego wysokości na nosie. Dla mnie! Naraził swoją karierę!

– Prawdziwy bohater – mruknął Szaja, wpychając kolejny kawałek sera do ust. Białe okruchy gęsto ozdobiły jego brodę, na co nie zwracał najmniejszej uwagi.

– Razem z bratem i jego przyjacielem, porucznikiem Załuskim, wymyślili, że upozorują moją śmierć i jednocześnie nastraszą króla. Że niby agenci wrogich mocarstw próbują go zamordować – kontynuowała Emilia. – Fryderyk August został więc zawieszony do pałacyku Charles’a, gdzie miał mnie posiąść. Panowie czekali na moje przybycie w karecie, by upewnić się, że przybyłam sama i nie jestem śledzona. Wyobraża pan sobie, kapitanie, jak wielki skandal wybuchłby, gdyby sprawa się wydała? Weszłam zatem do pałacyku, gdzie już czekał na mnie brat w towarzystwie Załuskiego. Przygotowali wcześniej sprytne urządzenie zegarowe, do którego podłączyli bomby artyleryjskie. Przywiązali do ustrojstwa młodego zaszlachtowanego, ale nie wykrwawionego wieprzka. Jego szczątki, rozrzucone wybuchem, miały świadczyć o tym, że to ja zginęłam. Prócz tego kazali mi zdjąć buty, do tego odziali świniaka w moją atlasową salopę. Potem po prostu tylnym wyjściem opuściłam pałac razem z bratem i jego kompanem. Reszta leżała w rękach Charles’a. Miał zatrzymać króla do chwili, gdy mechanizm zegarowy odpali bombę. Ponoć władca był straszliwie rozochocony i niemal rzucił się biegiem, by mnie posiąść. Na szczęście bomba w porę wybuchła, nie czyniąc nikomu krzywdy...

– Nie licząc dwóch bałwanów, którzy chcieli pannę ograbić – wtrącił Appenzlak.

– Słucham?

– Nieważne. – Ilnicki skwitował śmierć bandziorów niedbałym machnięciem ręki. – Król chyba mocno się wystraszył i kazał odwieźć się do zamku. Myśli, że panna nie żyje. I tak ma pozostać. To dlatego Francuzi usilnie próbowali przerwać nasze śledztwo. Gdybyśmy znaleźli pannę i wieść o tym dotarłaby do Fryderyka Augusta, Morand mógłby srogo pożałować swojej zdrady. Pani brat również zakończyłby karierę.

– Musimy wytrzymać w ukryciu, aż król saski opuści Warszawę. A uczynić ma to zaraz po świętach. Jeszcze dzień lub dwa i wszyscy będziemy wolni! Na razie niech pan pozwoli opatrzyć sobie głowę. Znam się trochę na robieniu opatrunków, jestem wszak córką i siostrą żołnierzy.

Śledczy popatrzyli na siebie, analizując słowa dziewczyny. Obaj wiedzieli, że sprawa może nie zakończyć się tak gładko. Wszystko w rękach generała Moranda. Jeśli ten stwierdzi, że wiedza policjantów może zagrozić jego karierze i honorowi, nie zawaha się ich zgładzić.

Kapitan wstał i podszedł do okna. Wyrzął ostrożnie, by nie zostać zauważonym przez wartowników. Dwóch artylerzystów z krótkimi karabinkami przechodziło właśnie obok budynku. Przypatrzył się tkwiącym w oknie grubym na palec kratom. A drzwi wejściowe, jak twierdziła Emilia, zostały zaryglowane od zewnątrz. Byli zatem uwięzieni równie skutecznie, co w piwnicy.

XXIII

Komisarz okręgu policyjnego, pokrywającego się z okręgiem miejskim, spojrział na Jaśka z niechęcią i bezradnie rozłożył ręce.

– Ale co ja mogę? Czy Gliński sobie wyobraża, że ruszę mu na odsiecz z armią uzbrojonych policjantów? I przeciw komu, mówisz? Przeciw francuskim grenadierom? Na głowę upadł. Ciągłe czegoś ode mnie chce, gryzipiórek. Urzędniczyna nieużyta. Zamęczy człowieka. Jest Wigilia! Mam na posterunku dwóch ludzi! – Policjant trzasnął pięścią w blat biurka.

– A pomożesz mi, najłaskawszy panie komisarzu, znaleźć pana Dangiela? Zaginął razem z jakimś niezwykle ważnym dokumentem.

– Pewnie, że pomogę, ale po świętach – burknął komisarz i podkręcił wąsa. – Teraz nic nie mogę, nikogo nie ma, niczego się nie dowiem. Zresztą za chwilę idę do domu. Wracaj do chałupy i nie zawracaj mi głowy. No, idź już, idź, chłopcze.

Jaśko tkwił jednak przed biurkiem jak wmurowany w podłogę. Zacisnął pięści w bezsilnej złości.

– I zostawisz pan Glinę w potrzebie? Osaczonego przez francuskie gończe psy, które rozedrą go niczym lisa?

– Nie mam możliwości, by podjąć działania przeciw francuskiej armii – wycedził komisarz. – Nawet gdybym dostał rozkaz od ministra Potockiego, jedyne, co mogę, to rozłożyć ręce. Przecież nie pójdę z dwoma funkcjonariuszami dać się zabić! Zrozumiałeś? A teraz precz!

Chłopak spuścił głowę i wyszedł z gabinetu komendanta. Omiótł wzrokiem posterunek. Znajdował się w przestronnym pomieszczeniu z kontuarem dla interesantów i kilkoma biurkami ustawionymi jedno za drugim. Obecnie tylko przy jednym z nich siedział młody policjant z piórem w ręku. Na widok Jaśka skinął ponagląco, przywołując go do siebie.

– Glina niedawno bardzo mi pomógł, właściwie tylko dzięki niemu dostałem tę robotę. Mam wobec niego dług wdzięczności – wyznał wprost. – Tak się składa, że wszystko słyszałem. Komisarz chyba nie pamięta lub nie chce pamiętać, że wczoraj nasi chłopcy zwinęli dwóch awanturujących się jegomości na placu Saskim. Jeden stary bił młodego i lżył go obelżywie. Ten nie był mu dłużny, przez co siali ogromne zgorzenie w miejscu

publicznym i urzędowym. Obu przymknęliśmy na odwachu pod Białym Orłem, na rewizji obaj podali to samo nazwisko. Dangieli.

Chłopak aż drgnął z wrażenia.

– Jak się do nich dostać?

– Leć do aresztu i pokaż dyżurnemu ten sam list, co komendantowi.

– Wystarczy?

– Warto spróbować – odparł policjant.

Złodziejaszek wypadł z posterunku, jakby go gonili, i pognał w stronę placu Saskiego. Nie oszczędzał się i pędził na złamanie karku. Był tak przejęty, że zignorował zaczepki kilku uliczników, którym w normalnych warunkach nie darowałby zniewagi. Po kilku minutach wpadł zziębnięty w bramę aresztu, machając przed sobą listem Glińskiego niczym bronią. Znudzony wartownik obejrzał pismo z ciekawością, ale jako że nie mógł wydobyć ani słowa z zasapanego młodzieńca, a sam czytać nie potrafił, zaprowadził go przed oblicze oficera dyżurnego.

– Twierdzisz, chłopcze, że Głina chce zobaczyć jakiegoś pijanicy, który lał się wczoraj na placu? – spytał starszy pan w wyblakłym ze starości i brudu mundurze. – W zwykłych warunkach prosiłbym o konkretny rozkaz, a nie jakieś bazgroły, ale skoro mówisz, że to pilne...

– Jego ekscelencja Gliński będzie panu wdzięczny!

– Nie musi. – Oficer machnął ręką i wstał, zgarniając z wieszaka pęk kluczy. – Jesteśmy braćmi w Światłości, towarzyszami w walce o szerzenie wiedzy i ludzkiej mądrości. Niech sobie weźmie tego rozrabiakę, skoro taka jego wola. I tak miałem tych dwóch puścić, gdy przetrzeźwieją i się uspokoją. Chodźmy od razu, skoro tak ci spieszo.

Tomasz Dangieli siedział w piwnicznej celi z kilkoma francuskimi żołnierzami, przymkniętymi pewnie za rozrabianie po pijanemu. Ubranie miał podarte i uwalone błotem, a twarz opuchniętą i posiniaczoną. Wyszedł z celi z podniesioną głową, obrzucając wyniosłym spojrzeniem siedzącego w kącie dobrze odzianego starszego mężczyznę, który mierzył go wściekłym spojrzeniem.

Jaśko przedstawił się uwolnionemu i zapytał, co z dokumentem od księcia Józefa. Dangieli wetknął rękę w spodnie, chwilę grzebał w okolicach przyrodzenia, by z triumfalną miną wyciągnąć z nogawki nieco pogięty papierowy rulon.

– Mam! – oświadczył. – I doniósłbym go jeszcze wczoraj, gdyby nie przypadkowe spotkanie z moim ojcem, który akurat wychodził z restauracji. Staruszek ma ciągle do mnie pretensje. A to, że nie wracam na noc do domu, a to, że nie chcę zająć się jego fabryką, że nie szukam bogatej narzeczonej i tak dalej. A jak sobie wypije, wydaje mu się, że nadal jestem małym chłopcem i może sprawić mi lanie. Chciał mnie zaciągnąć do

domu i nie docierało do niego, że jestem w trakcie wykonywania urzędowej misji. Wrzeszczał, że pewnie idę na dziwki, przehulać jego ciężko zapracowaną krwawicę.

– Mój ociec był rybakiem – odparł chłopak, z trudem się hamując przed popychaniem urzędnika, by szybciej szedł. – Też mnie łał, głównie za to, że nie we łbie mi była robota. Ale co, miałem tak jak on przymierać głodem, całe zasrane życie łapiąc ryby?

– Jesteśmy zatem do siebie podobni – uśmiechnął się Tomasz. – Obaj brzydzimy się robotą naszych ojczulków i nie chcemy być tacy jak oni.

– I obaj chcemy być jak Glina – przytaknął Jaśko.

XXIV

Wigilijny poranek upłynął błyskawicznie uwięzionym w Kuźniach Artyleryjskich policjantom. Ilnicki z Appenzlakiem przetrząsnęli budynek laboratoriów, ale nie znaleźli zapasowego wyjścia ani nawet żadnej broni. Drzwi do poszczególnych pracowni były pozamykane na klucz, mogli więc przebywać jedynie w zimnym pokoju panny Parys lub w jeszcze zimniejszej, a do tego wilgotnej piwnicy. Dziewczyna uspokajała ich cierpliwie, twierdząc, że niedługo ktoś z pewnością do niej przyjdzie z obiadem. Najpewniej będzie to jej brat, z którym policjanci będą mogli pertraktować w sprawie swego uwolnienia. Przecież wystarczyłoby, aby Karol przyjął od nich przysięgę zobowiązującą do milczenia, a wypuściłby ich na parol.

Kapitan miał nadzieję, że na spokojnie uda mu się dogadać z artylerzystą i faktycznie jeszcze przed zachodem słońca opuści teren kuźni. Martwił się coraz bardziej, co przeżywa Hania, która pewnie zachodzi w głowę, czemu jej narzeczony nie daje znaku życia. Tymczasem musiał się opanować i przestać miotać po więzieniu. Razem z żydowskim współpracownikiem usiedli znów w pokoju dziewczyny, spędzając czas na niezobowiązującej pogawędce. Panienska przy bliższym poznaniu tylko zyskiwała. Okazała się wesołą, pełną radości życia dziewczyną, mającą całkiem niezłe poukładane w głowie. Szczodrze obdarowywała obu rozmówców promiennymi uśmiechami, przekonując ich o dobrej woli brata i generała Moranda. Potem opowiadała o swoim życiu i z ciekawością wypytywała obu policjantów o ich podróże i przygody. Ilnicki sam się zdziwił, że tak łatwo dał się pociągnąć za język. Z przyjemnością snuł wojenne opowieści, patrząc na ślicznotkę słuchającą z nieudawanym zaciekawieniem. Emilia okazała się ciekawą świata, bystrą kobietą, doskonale radzącą sobie z mężczyznami.

Sielankę przerwał trzask rygli przy głównym wejściu. Pan Michał poderwał się na równe nogi, Szaja czmychnął za drzwi od pokoju, gotów zaatakować intruza od tyłu.

– O, to pewnie Karol! – ucieszyła się dziewczyna. – Zaraz sobie porozmawiacie i będziecie wolni.

Popędziła korytarzem na przywitanie brata. Oficer cofnął się o krok, by nie być widzianym od strony wejścia. Wyjął z najbliższej skrzyni żeliwną, trzyfuntową kulę armatnią. Opuścił rękę, by zaimprovizowana broń pozostawała niewidoczna. Skinął Appenzlakowi uspokajająco.

– Bez nerwów, najpierw zobaczymy kto to.

Żyd tylko pokiwał głową. Ilnicki wyjrzał ostrożnie zza futryny.

Widział, jak w otwartych drzwiach do budynku pojawił się mężczyzna w pelerynie i z bikornem na głowie. Przybysz był sam. Emilia przystanęła i skromnie dygnęła.

– *Charles?* – zdziwiła się. – *C'est toi?*

– Wybacz, *ma mademoiselle*, ale nie mogłem dłużej czekać – odparł z przejęciem przybyły. – Musiałem cię zobaczyć. Jak najszybciej.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało, ale w taki sposób, że w mężczyźnie musiała się krew zagotować z wrażenia. Generał Morand wszedł, zamknął na sobą drzwi, zdjął kapelusz, po czym uklonił się dwornie, zamiatając bikornem podłogę. Niespodziewanie cisnął nakrycie głowy na ziemię i doskoczył do panny. Ujął oburącz jej dłonie. Emilia nie cofnęła się, tym razem nawet nie spuściła wzroku. Zatrzepotała rzęsami, nie szczędząc Francuzowi uśmiechu. Generał zaczął coś jej mówić, a ona promieniała z każdym słowem.

– A to dopiero – westchnął Ilnicki, nadstawiając ucha.

– Co się dzieje? – spytał Szaja.

– Jeden z najważniejszych francuskich generałów właśnie oświadczył się nikomu nieznaney, biednej warszawiance – odparł kapitan. – I zdaje się, że został przyjęty.

Para stała ze spleconymi dłońmi. Generał szeptał coś do dziewczyny, a ta odpowiadała cicho. Powoli ich głowy zbliżały się do siebie, wreszcie Emilia przymknęła powieki, nadstawiając usta do pocałunku. Morand skwapliwie skorzystał z zaproszenia. I wtedy drzwi za jego plecami cicho się otworzyły.

Kapitan ujrzał stojącego w nich porucznika Załuskiego. Fizylier patrzył chwilę na całującą się parę, a potem sięgnął po szablę. Jego wąsy najeżyły się z wściekłości, twarz natychmiast nabrzmiała czerwienią. Uniósł broń.

– *Attention! De l'arrière!* – wrzasnął pan Michał, wyskakując z ukrycia.

Morand spojrział na niego bystro i obrócił się. Na ratunek było jednak za późno. Załuski trzasnął go w skroń kłębkiem rękojeści. Emilia wrzasnęła, a generał osunął się w jej ramiona.

– Jak mogłaś, ty dziwko?! – krzyknął porucznik, mierząc wyciągniętym ostrzem w dziewczynę. – Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?!

Ilnicki rzucił się biegiem przez korytarz. Znajdował się jednak zbyt daleko, więc, nie namyślając się, cisnął armatnią kulą, którą ciągle ścisnął w dłoni. Pocisk pomknął korytarzem i trafił porucznika w ramię. Fizylier jęknął z bólu i natychmiast sięgnął po pistolet zatknięty za pas. Wyszarpnął go i odciągnął kurek.

Pan Michał spojrział prosto w czarny wylot lufy.

XXV

Przechodnie mijający bramę policyjnych warsztatów na Niskiej z ciekawością spoglądali na stojących w niej francuskich grenadierów w wysokich futrzanych czapach. Nikt jednak nie próbował z nimi rozmawiać ani dociekać, co też robią w starych, używanych przez garstkę warszawskich policjantów zabudowaniach. Wiadomym było, że napoleońscy żołnierze traktowali Polaków z nieufnością i pewną pogardą. Zamiast informacji można było zatem spodziewać się od nich jedynie kopniaków, a w gorszym przypadku nawet ciosu kolbą. Mimo to kilku obdartych uliczników wystawało w bramie naprzeciw warsztatów i bez strachu obserwowało żołnierzy.

Wśród nich stanęli Jaśko i Daniel. Młody urzędnik ubranie miał tak zniszczone i uwalane błotem, a głowę opuchniętą i podrapaną, że wyglądał jak przywódca otaczających go andrusów. Widocznie jego wygląd budził respekt, bo żaden z młodocianych rzezimieszków nie próbował zaczepiać przybyszy, za to bez skrupułów i z chęcią podzielili się informacjami.

– Jak nic pilnują kogoś zamkniętego wewnątrz – konfidencyjnym tonem oświadczył jeden z uliczników. – Gapią się głównie na budynek, a nie na ulicę. O, tamten wysoki w zielonym płaszczu im przewodzi. – Wskazał mężczyznę w wysokim czako, ozdobionym blachą przedstawiającą skrzyżowane armaty, który rozmawiał z sierżantem grenadierów.

– Jasna cholera, to ten, który zaatakował posterunek razem z dwoma kompaniami – mruknął Jaśko. – To on mnie szukał i to on zgubił rękawiczkę w archiwum.

– Ale nie zabił wartownika? – upewnił się Daniel.

– Nie, Macieja zaszlachtował typ z nastroszonymi wąsikami. – Złodziejaszek pokręcił głową. – I jak teraz dostaniemy się do środka? Musimy wręczyć glejt panu Glińskiemu. Może przeleziemy przez płot i spróbujemy dobiec do posterunku? Jeśli święty Dyzma nam dopomoże, uda się dopaść drzwi i nie zdążą nas odstrzelić.

Tomasz stał chwilę w milczeniu. Nie uśmiechała mu się samobójcza szarża, ale też nie zamierzał stać bezczynnie. Warknął pod nosem przekleństwo.

– Idę – powiedział. – Spróbuję trochę poczarować tego artylerzystę. To Polak, może wystraszy się glejtu księcia Poniatowskiego?

– Albo go podrze, a ciebie każe po cichu ukatrupić – mruknął Jaśko. Widząc jednak zawziętą minę urzędnika, przeżegnał się szybko. – No dobra, idę z tobą.

Podeszli szybkim krokiem do stojących żołnierzy, którzy w pierwszej chwili nie zwrócili na nich uwagi. Grenadierzy zauważyli intruzów, dopiero gdy ci stanęli przed oficerem. Dangieli rozwinął glejt i uniósł go niczym sztandar.

– Pan pozwoli, szanowny panie oficerze, że się przedstawię – powiedział szybko, by Francuzi nie zdążyli go odepchnąć. – Nazywam się Tomasz Dangieli i jestem sekretarzem w urzędzie magistrackim, obecnie oddelegowanym do wsparcia sił Policji Krajowej. Przynoszę oto dokument podpisany przez ministra wojny, księcia Poniatowskiego, a zobowiązujący każdego podległego mu wojskowego do bezwzględnej pomocy panu Glińskiemu. Od tej chwili jest pan zatem podległy sekretarzowi generalnemu policji i musi pan wykonywać jego rozkazy.

Kapitan Karol Parys spojrział z zaskoczeniem na poobijanego młodzieńca w straszliwie zniszczonej garderobie. Gestem dłoni powstrzymał grenadierów, którzy już sadzili się, by przegonić Dangiela. Oficer wyjął pismo z jego ręki i uważnie je przeczytał.

– W tej chwili wykonuję rozkazy marszałka Davouta i nie podlegam jurysdykcji polskiego wojska – odparł. – Ten dokument mnie nie dotyczy. Oddam się do dyspozycji księcia, kiedy tylko zostanę zwolniony przez marszałka.

– Wydaje mi się, że jest pan oficerem armii polskiej, a nie francuskiej, i jako taki podlega polskiemu dowództwu – pewnym głosem zauważył Tomasz. – Poza tym muszę pana ostrzec, że o dziejącej się tu bezprawnej napaści i całym incydencie książę Poniatowski jest na bieżąco informowany. Rychło dowie się także o tej rozmowie. Jeśli zastosuje pan przemoc wobec mnie i nie usłucha Glińskiego, zakłóci pan spokój jego wysokości i zmusi do go tego, by przysłał tu szwadron ułanów.

– Grozisz mi, chłopcze? – lodowatym tonem spytał Parys.

– Ależ gdzież bym śmiał! – szczerze oburzył się Dangieli. – Chcę tylko zauważyć, że pan Gliński jest blisko z księciem zaprzyjaźniony, należą jednak do jednej łóżki masońskiej. W dodatku kilku spośród tych uliczników to jego agenci. Doniosą mu o wszystkim i w ciągu godziny będzie pan tu miał wściekłego ministra wojny na czele oddziału żądnych krwi szwoleżerów. Nie radzę stawiać się księciu, bo nawet protekcja Francuzów nie ustrzeże pana przed jego gniewem. Najlepiej pan zrobi, oddając się do dyspozycji Gliny, to jest pana Glińskiego. Proszę zaufać jego dobrej woli i profesjonalizmowi. Nic złego nikomu się nie stanie, pan sekretarz generalny policji z pewnością o to zadba.

– Wyszczekany jesteś, chłoptasiu. – Oficer uśmiechnął się krzywo.

Oficjalista starał się nie okazywać żadnych emocji, a przede wszystkim powstrzymać drżenie kolan. Na domiar złego zorientował się, że zaczyna dzwonić zębami, a chłód był tylko jedną z pośrednich przyczyn tego zjawiska. Młodzieniec wiedział, że od reakcji Parysa może zależeć także jego życie.

– Nie myśl, że boję się twoich grózb, panie Dangiel – powiedział Parys po dłuższym namyśle. – Wydaje mi się, że francuska protekcja ustrzegłaby mnie zarówno przed masonami, jak i zemstą księcia Pepi. Nie ja wpadłem na pomysł tej akcji i nie ja nią kierowałem. Przeprowadził ją mój przyjaciel bez mojej wiedzy, a ja właśnie zastanawiałem się, jak załagodzić ten incydent. Dlatego pomysł, by porozmawiać z Glińskim, nie wydaje mi się taki beznadziejny. Idziemy do środka, prowadźcie.

Jaśko ruszył przodem, omijając grenadierów szerokim łukiem. Wyszedł na podwórko i pomachał do okien posterunku.

– To ja! Otwierajcie! – wrzasnął. – Będziem paktować!

XXVI

Emilia klęczała na podłodze obok rannego generała. Czule gładziła Charles'a po czole, trzymając jego głowę na kolanach. Oficer odzyskał przytomność, ale widocznie czułości ze strony panny Parysówny były dla niego tak przyjemne, że nie próbował jej powstrzymywać i bez ruchu poddawał się pieśszczocie. Szaja siedział obok i macał się po obolałej gębie, bo wściekły porucznik Załuski nikomu nie darował i lał w co popadło. Żyd oberwał kilka razy płazem szabli po plecach, a na koniec zaliczył kopniaka w twarz. Kapitan Ilnicki znów dostał po głowie ręką pistoletu. Tym razem jednak częściowo sparował cios, zasłaniając się ręką, skończyło się więc na kolejnym siniaku.

Cała czwórka została zamknięta przez porucznika w zawalonym amunicją pokoju Emilii. Oszalały z gniewu i zazdrości Załuski miotał się po budynku. Klął i wrzeszczał, kopał w drzwi i przewracał regały. Potem zamknął się w pracowni kapitana Parysa i przewalał coś, co chwilę wszystkim wygrażając.

– Nie wiedziałem, że ten furia kocha się w tobie – odezwał się Morand.

– Początkowo myślałam, że zwyczajnie mu się podobam, jak wiele warszawskich panien – odparła Emilia. – Ot, przyjaciel brata, który przychodził czasem do nas na obiady. Z czasem jego zaloty zaczęły robić się meczące, dałam mu więc do zrozumienia, że nie jestem nim zainteresowana, ale na Krystianie nie zrobiło to wrażenia. Ciągłe mi się narzucał, przy każdej sposobności. Któregoś razu otwarcie oświadczył, że choćby miał wymordować wszystkich zalotników w mieście, i tak się ze mną ożeni. Wreszcie dotkliwie pobił jednego bryftrygiera, który często przychodził do nas z listami. Ponoć zbyt miło się do niego uśmiechałam. Wtedy Karol zrobił mu awanturę i zakazał mnie dręczyć, myślałam więc, że sprawa jest zakończona. Skąd mogłam wiedzieć, że kiedy dojdzie do afery z królem, obsesja Załuskiego się odnowi?

– Szaleniec – westchnął generał. – Zupełny wariat.

– Sądząc po zamiłowaniu do przemocy, zaborcza miłość nie jest jedynym problemem, który miesza mu w głowie – zauważył Ilnicki. – Ten człowiek to obłąkany morderca. Musimy go obezwładnić, zanim zrobi coś szalonego.

Jakby w odpowiedzi gdzieś w głębi korytarza rozległ się śmiech Załuskiego, który przeszedł w łkanie, a potem wściekłe przekleństwa. Emilia zadygotała ze strachu. Generał uniósł się i objął ją ramieniem, szepcząc coś do ucha. Pan Michał rozglądał się po pomieszczeniu, zastanawiając się, czego tym razem mógłby użyć jako broni.

XXVII

Gliński przyjął Parysa, siedząc ze srogą miną w fotelu ustawionym na środku posterunku. Artylerzysta ze zdumieniem spostrzegł, że szef policjantów ubrany jest niezwykle elegancko, w jedwabną kamizelkę i odświętny frak. U jego boku, nieco z tyłu, stał chudy jegomość trzymający karabin zaopatrzony w lunetę. Z drugiej strony fotela zajął miejsce wielkolud w chłopskiej kapocie. Po wejściu przybysza Gliński wykonał gest dłonią, który musiał być jakimś masonskim znakiem, ale kapitan nie potrafił na niego odpowiedzieć.

Policjant mierzył go chwilę surowym spojrzeniem, wreszcie wstał i uściśnął mu na powitanie dłoni.

– To, zdaje się, należy do pana – powiedział, wręczając mu dwie rękawiczki. – Jedną znaleźliśmy przed pałacikiem na Żoliborzu, a drugą w naszym archiwum.

– Dziękuję – mruknął nieco speszony oficer.

– Zginął mój pracownik i wszystko wskazuje na to, że jest pan zamieszany w to morderstwo. – Pan Augustyn przypominał o śmierci Macieja. – Domyśla się pan, że oczekuję wyjaśnień?

Parys pokiwał głową i z westchnieniem najpierw ściągnął czako, a potem rozpiął płaszcz. Głina gościnnym gestem wskazał mu zajmowany przez siebie fotel, a sam usiadł na stołku. Zaproponował przesłuchiwanemu trochę chłodnej zupy, bo nic innego prócz tego nie mieli. Oficera uspokoiła postawa policjantów, którzy okazali się całkiem grzeczni i gościnni. Rozpoczął zatem opowieść o kłopotach swojej siostry i tym, jak odkrył, że prócz króla saskiego oczarowała także generała Moranda.

– Wykorzystałem słabość generała do Emilii, by chronić jej godność i cześć. Nie mogłem jednak pozwolić, by została ukrzywdzona i sprowadzona do roli dziwki. Wydawało mi się, że razem z Krystianem opracowaliśmy plan, dzięki któremu nikomu nic złego się nie stanie, a jedynie trochę przytrzymamy nosa staremu satyrowi, łasemu na wdzięki młodych Polek. Sprawa się trochę pokomplikowała i do uszu Charles'a doszło, że prowadzi pan śledztwo. Któryś urzędnik z otoczenia ministra policji szpieguje dla Francuzów. Przeczytał pana sprawozdanie przeznaczone dla hrabiego Potockiego i przekazał dane Morandowi. Stąd dowiedzieliśmy się, że macie świadka wybuchu, który najpewniej widział Fryderyka Augusta. Załuski wymyślił, że świadka wystarczy wykraść z aresztu i uciszyć. Myślałem, że chodzi o przymknięcie go w piwnicy Kuźni

Artyleryjskich, gdzie urzędujemy. Poczekaliśmy, aż policjanci opuszczą budynek, i we trzech, z generałem Morandem, który uparł się osobiście brać udział w całej sprawie, ruszyliśmy do akcji. Kiedy drogę zastąpił nam ten nieszczęsny starzec, Załuskiego coś poniosło i zanim zdążyłem zareagować, poderżnął stróżowi gardło. Dopiero potem dotarło do mnie, że mój przyjaciel planował to samo zrobić ze świadkiem.

Jaśko pobladł, słysząc to wyznanie.

– Obawiałem się, że to samo zrobiliście z panem Dangiłem. – Gliński pokiwał głową.

– Na szczęście żyje, choć wygląda, jakby stoczył krwawy bój z całą kompanią grenadierów Gwardii.

– Tak jakby – nieśmiało mruknął młody urzędnik. – Z moim spóźnieniem jednak ci panowie nie mieli nic wspólnego. Zawiniły nieporozumienia na łonie rodziny, ale może wyjaśnię to kiedy indziej. Ważne, że udało mi się dostarczyć dokument.

– Nie wiemy zatem tylko, gdzie obecnie znajdują się kapitan Ilnicki i Szaja – podsumował doktor Ritter.

– Przetrzymujemy ich w Kuźniach, a dokładnie w piwnicy pod moim laboratorium amunicyjnym – lekko odparł Parys. – Mam nadzieję, że szybko dojdziemy do porozumienia i będę mógł wydać polecenie ich uwolnienia.

– Zamiast intrygować, porywać i straszyć, powinien pan od razu przeprowadzić ze mną rozmowę i wszystko wyjaśnić. Obyłoby się bez niepotrzebnego zamieszania i strat w ludziach – surowym tonem oświadczył Gliński. – Potrafimy dochować tajemnicy, a nawet być pomocni.

– Proszę wybaczyć, ale trudno mi w to uwierzyć. – Oficer rozłożył ręce. – Wszyscy wiemy, że policja to banda skorumpowanych, zdeprawowanych sukkinsynów w mundurach. Nie dość, że nieustannie przestają z najplugawszymi bandziorami, złodziejskimi wszarzami i dziwkami, to jeszcze pazernie czerpią z tej ohydnej roboty zyski. Taka jest policja na całym świecie i taka też będzie po wsze czasy.

– Czasy się zmieniają i policja się zmienia – spokojnie odparł sekretarz generalny. – Staram się, by moi funkcjonariusze byli ludźmi bez zarzutu. Buduję policję przyszłości, czystą i szlachetną. Gwarantuję panu, kapitanie, że żaden z moich ludzi nikomu pary z gęby nie puści, jeśli przysięgniemy milczeć.

Artylerzysta przypatrzył się kolejno zgromadzonym mężczyznom, a jego mina nie mówiła niczego dobrego. Na koniec chrząknął, jakby zmieszany, i powiedział:

– Ufam panu. Zaraz każę grenadierom zabierać się do koszar.

Jaśko zachichotał nerwowo, zrozumiałwszy, że najpewniej ujdą z tej afery żywi. Roch przeciągnął się z ulgą, aż gnaty mu zatrzeszczały. Parys zauważył, że w opuszczonym dotychczas ręku wielkolud ściska obnażony pałasz piechoty. Kapitan zdał sobie sprawę,

że gdyby nie dogadał się z Gliną, sam miałby poważne kłopoty z opuszczeniem żywcem posterunku.

– Niepokoi mnie tylko ten pana przyjaciel, Załuski – odezwał się szef policjantów. – Jest skłonny z byle powodu zabijać ludzi. Gdzie on teraz jest?

– Wysłałem go do Kuźni, by nakarmił jeńców.

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy przy okazji uciszyć ich na wieki?

Oficer drgnął jak oparzony. Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie. Wszyscy domyślili się, że nie potrafił przewidzieć, co zrobi jego kompan.

– Zaczynam się bać nie tylko o więźniów, ale i o własną siostrę – bąknął niepewnie.

– Na co zatem czekamy? – syknął Gliński. – Idziemy!

XXVIII

Ilnicki wpadł na pomysł, by zastawić drzwi od pokoju i w ten sposób odgradzić się od szalejącego furiata. Razem z Szają zabrał się do przenoszenia stołu. Morand poderwał się, by im pomóc. Wszyscy trzej byli mocno poturbowani, mimo to poruszali się szybko i sprawnie. Stół został przystawiony do drzwi, a na jego blacie wylądowały dwie skrzynie z bombami i beczka prochu. Po zamknięciu w ten sposób wejścia odetchnęli z ulgą, a Emilia uśmiechnęła się do nich niepewnie.

Załuski szybko zorientował się, że coś dzieje się nie po jego myśli. Na korytarzu rozległy się kroki, a po chwili żołnierz załomotał pięściami w drzwi. Zaczął wzywać Emilię – najpierw płaczliwym tonem, a po chwili grożąc i złorzecząc.

– Co pan wyprawia, poruczniku? – przemówił Ilnicki. – Proszę natychmiast odstąpić od drzwi i uważać na słowa. Przemawia pan do damy!

Odpowiedzią był jednak wściekły warkot, który zaraz ucichł. Uwięzieni wstrzymali oddechy, czekając, co tym razem szaleniec wymyśli. Ten jednak przemówił spokojnym, zrównoważonym głosem:

– Państwo wybaczą mi chwilową niedyspozycję. Ataki gniewu mam od czasu, gdy zostałem ranny w głowę. Szrapnel z pruskiego pocisku wbił mi się w czaszkę i utkwiał w niej już na zawsze. Sprowadza na mnie szaleństwo, które na szczęście mija. Już ze mną dobrze. Za chwilę odejdę, by oddać swój los w ręce kapitana Parysa. Niech on zadecyduje, co ze mną zrobić. Wiem, że popełniłem straszny czyn, atakując generała i damę. Mam tylko jedną prośbę. Ostatnią. Czy pani mnie słyszy, Emilio?

Dziewczyna zawahała się, ale po chwili, pokrzepiona dotykiem Moranda, odpowiedziała głośno:

– Słyszę, poruczniku. Czego pan chce?

– Ostatni raz pannę zobaczyć – odparł łamiącym się głosem. – Już nigdy więcej panna mnie nie ujrzy. Dziś jest ostatni raz, przysięgam.

Ilnicki pokręcił głową. Szaja popukał się tylko w czoło. Parysówna zagryzła wargę w widocznej rozterce.

– Boicie się, że mogę jej coś zrobić? – spytał piechur. – Gdybym chciał, wystarczyłoby zapalić lont od jednej z bomb, które stoją w skrzyniach na korytarzu. Mógłbym was ukatrupić w mgnieniu oka i się wykpić, że nastąpił nieszczęśliwy wypadek. Nie uczynię tego. Chcę tylko spojrzeć na Emilię. Po raz ostatni.

– Dobrze – odparła krótko dziewczyna. – Otwórzcie mu, proszę.

Fizylierzy stojący w bramie Kuźni Artylerii Koronnej wyprężyli się, widząc powóz, z którego machał do nich kapitan Parys. Oficer wrzeszczał, by natychmiast otwierać, i to na jednej nodze. Zdumieni piechurzy nie zdążyli nawet powiadomić oficera dyżurnego, porucznika Załuskiego, bo ten kilkanaście minut temu znikł pomiędzy zabudowaniami. Bez wahania otworzyli skrzydła bramy. Powóz, w którym siedziało ściśniętych kilku mężczyzn, wjechał na ściśle strzeżony teren wojskowej fabryki.

Gliński wyskoczył z pojazdu, gdy tylko ten zatrzymał się przed przysadzistym budynkiem, odgrodzonym od miasta ziemnym wałem. Nie zdążył jednak dopaść drzwi, a dogonili go Roch z Jaśkiem. Kilka kroków za nimi szedł kapitan Parys, na końcu zaś doktor Ritter i Dangel.

Wpadli do szerokiego korytarza, na którego końcu ujrzeli porucznika Załuskiego stojącego tyłem do nich, a przed uchylającymi się właśnie drzwiami.

Glińskiego uderzyła dziwna poza, w jakiej stał oficer. Miał lekko ugięte kolana i pochyloną głowę, jakby ciągnął go ku ziemi uwieszony szyi ciężar.

„Może to grzechy mu ciążyą?” – pomyślał szef policjantów.

Ilnicki syknął ze zgrozy, gdy ujrzął Załuskiego. Fizylier odepchnął uchylone skrzydło drzwi i wszedł do środka. Na szyi, na flintpasie odpiętym od muszkietu, dyndała beczka, w której wieku tkwił sprytnie zainstalowany lufą do dołu pistolet. Porucznik opierał dłoń na jego rękojęści. Twarz miał pobladłą, a przetłuszczone włosy, pozlepiane potem, przykleiły mu się do czoła. Wytrzeszczał oczy i szczyrzył zęby w grymasie ni to nerwowego uśmiechu, ni gniewu. W milczeniu patrzył na Emilię.

– Co to ma znaczyć? – ostro spytał Morand, robiąc krok do przodu. – Co pan wyprawiasz?!

Załuski drgnął, jakby zbudzony z głębokiego snu. Spojrzał z nienawiścią na generała.

– Cofnąć się, bo strzelę! – wrzasnął piskliwie, zaciskając dłoń na rękojęści pistoletu. – Ta beczka jest pełna ubitego prochu i kulek kartacza. Jeśli wybuchnie, wszystkie bomby w tym pomieszczeniu wylecą w powietrze. Takiego świątecznego fajerwerku Warszawa jeszcze nie widziała.

Dowódca wydziału rozłożył ręce w uspokajającym geście i sam stanął naprzeciw szaleńca, zmuszając generała do cofnięcia się. Szaja próbował przesunąć się wzdłuż ściany, by zająć Załuskiego z boku, ale ten warknął groźnie:

– Pod ścianę, parchu!

– Poruczniku, zdejmijcie tę bombę – rozkazującym tonem odezwał się kapitan. – Nie chcesz przecież, by panna Emilia ucierpiała.

– Skąd wiesz, czego chcę, policjancie? Wy w korytarzu! Widzę was! Ani kroku!

Gliński i Parys, mimo ostrzeżenia, powoli się zbliżali. Obaj trzymali ręce uniesione wysoko, prezentując, że nie są uzbrojeni.

– Krystian, do cholery, opamiętaj się – łagodnie prosił przyjaciel zamachowca. – Zabezpiecz broń, daruj życie mojej siostrze.

– Odsuń się, zdrajco! – wrzasnął porucznik. – Myślałem, że jesteście jak bracia, a ty dajesz Emilię temu zabojadowi! Dlatego, że ma trzos pełen złota? Czy dlatego, że liczysz na karierę w Wielkiej Armii? A co ze mną?

– Nikomu jej nie oddaję – spokojnie odparł Parys. – Emilia sama decyduje, co chce zrobić ze swoim życiem. Niczego jej nie narzucam.

Załuski odwrócił się do dziewczyny.

– Dlaczego? – spytał z wyrzutem. – Dlaczego nie ja?

– Kocham Charles'a – odparła pewnym głosem.

Fizylier patrzył na nią załzawionymi oczyma. Jego twarz ściągnął grymas bólu.

– Mogłaś być moją królową, nieba bym ci przychylił – wycedził z trudem. – Nie myśl, że pozwolę ci żyć w szczęściu z innym. Odejdiesz razem ze mną. Będiesz moją na wieki...

Ilnicki nieustannie przesuwiał się w stronę szaleńca. Obserwował jego twarz i coraz bardziej nerwowe gesty. Wiedział, że Załuski jest zdecydowany wszystkich pozabijać. Że pociągnie za spust i wysadzi cały budynek w powietrze.

Przez mgnienie oka pan Michał wahał się. Przed oczyma przemknęła mu uśmiechnięta twarz Hani, usłyszał śmiech dzieci, które miały stać się jego pasierbami. Poczował ciepło i dotyk ukochanej kobiety. Serce ścisnął mu żal i przejmujący smutek. Skoczył.

Wetknął rękę między kurek a panewkę pistoletu tkwiącego w łożu w pokrywie beczki, jednocześnie uderzeniem całego ciała ściał Załuskiego z nóg. Wypadli na korytarz. Przetoczyli się po podłodze, zwarci w śmiertelnym boju. Ilnicki blokował broń, ale Załuski się nie poddawał i szarpał jego rękę. Ogarnięty szaleńczą furją, okazał się diabelnie silny. Wszyscy policjanci, łącznie z Glińskim, skoczyli na pomoc kapitanowi. Dzielili ich ledwie kilka kroków.

Fizylier wyłamał kciuk dowódcy śledczych, zmuszając go do puszczenia broni. Pan Michał wrzasnął z bólu. Przerazenie ścisnęło mu gardło. Wiedział, że przegrał. Ostatnim przeblyskiem świadomości objął piechura i przywarł do niego całym ciałem, blokując beczkę między nimi. Kurek trzasnął krzemieniem w panewkę.

Bomba eksplodowała.

XXIX

Dwudziestego szóstego grudnia król saski i książe warszawski Fryderyk August opuścił miasto w towarzystwie swojej małżonki Marii Amelii i córki Marii Augusty, infantki polskiej. Tego samego dnia odbył się pogrzeb kapitana Michała Ilnickiego. W ostatniej drodze towarzyszyła mu najbliższa rodzina, czyli szwagierka z trójką dzieci, oraz kilku policjantów. Pojawił się też francuski generał w towarzystwie narzeczonej. Sekretarz generalny policji wygłosił mowę, w żołnierskich słowach dziękując poległemu za krótką, choć bardzo owocną służbę. Tym smutnym aktem zakończyła się kariera Ilnickiego w warszawskiej policji.

Gliński urządził we własnym mieszkaniu niewielką stypę po podwładnym. Zebrali się wszyscy śledczy. Pan Augustyn siedział w fotelu, pykając z fajeczki. Policjanci milczeli, popijając piwo i patrząc w ogień pełgający w kominku. Wszystkim doskwierały rany odniesione w czasie śledztwa. Sam Gliński też został kontuzjowany – oberwał kartaczem w nogę. Bomba, która zabiła Ilnickiego i Załuskiego, co prawda nie zadziałała tak, jak planował jej konstruktor, ale rozrzuciła po korytarzu sporo odłamków. Ciała dwóch poległych stłumiły eksplozję, przyjmując na siebie niemal całą energię. Kartacze przebiły ich na wylot, ale wyhamowane i upaprane krwią nie zdołały spowodować wtórnego wybuchu amunicji, której wszędzie było pełno. Kapitan wiedział, co robi, w ostatniej chwili z całych sił przywierając do przeciwnika. Świadomie poświęcił się, by ocalić pozostałych.

Roch musiał myśleć o tym samym, co Gliński, bo przerwał ciszę i wzniósł ostatni toast za pamięć poległego. Potem zaproponował, by nieco ożywić atmosferę i zająć się sprawami doczesnymi. Sekretarz generalny wstał z fotela i wyciągnął z szuflady biurka dwa przygotowane wcześniej dokumenty. Skinął na młodzieńców siedzących cicho w kącie pokoju.

Tomasz Dangel, ubrany w elegancki surdut, i Jaśko, w skromnym ubraniu pożyczonym od służącego, stanęli na środku pomieszczenia, prężąc się na baczność. Siwowłosej oficjel uroczysto odebrał od nich wymyśloną przez siebie przysięgę i wręczył papiery asygnujące ich na funkcjonariuszy Wydziału Śledczego Policji Krajowej. Wzniesiono kolejny, tym razem wesoły toast, po którym pan Augustyn podziękował wszystkim za wizytę.

Sledczy wynieśli się, podążając w kierunku najbliższej traktierni, a gospodarz znów zasiadł w fotelu. Nie był dziś w najlepszym humorze, w dodatku nie chciał go opuścić widok twarzy Hanny Ilnickiej o napuchniętych od płaczu oczach i wyzierającym z nich nieskończonym smutku. I jeszcze ta trójka dzieci przywierających do matki. Gliński poderwał się z fotela i zaczął krążyć po gabinecie.

Wiedział doskonale, w jak trudnym położeniu znajdowała się rodzina kapitana. Zrobił co w jego mocy, by jakoś im pomóc, ale wiele nie zdołał. Minister Potocki niemal zrzucił go ze schodów, gdy usłyszał, że sprawiający mu tyle kłopotów urzędnik życzy sobie pieniędzy na fundusz dla wdów po poległych na służbie funkcjonariuszach. Finanse policji i bez tego znajdowały się w fatalnym stanie. Pani Ilnicka została więc pozostawiona sama sobie.

Spojrzenie pana Augustyna padło na regał wypełniony mahoniowymi pudełkami. Policjant przez chwilę stał bez ruchu, patrząc na swój skarb. Potem usiadł za biurkiem i napisał list, następnie wybrał kilka pudełek i przesypał ich zawartość do jednego. Na koniec zawołał lokaja.

– Ubierzesz się zaraz, Anzelmie, i zaniesiesz list z tym pudełkiem na Świętojańską, do zakładu królewskiego zegarmistrza Gugenmusa – rozkazał krótko. Zrobił to, jak rzadko kiedy, bardzo poważnym tonem, a lokaj, jak rzadko kiedy, nie odważył się skomentować polecenia ani narzekać na swój los.

– To złote monety? – spytał tylko, waząc w dłoni pudełko.

– Tak. Spieniężam część kolekcji.

Anzelm uklonił się i wyszedł.

W styczniu 1808 roku Warszawę i całe Księstwo poruszyła wiadomość o ogłoszeniu zaślubin generała Charles'a Moranda z nikomu nieznaną panną Parysówną. Zaraz też nadano jej hrabiowski tytuł, by francuski dostojnik nie otrzymał od narodu polskiego byle kogo jako żony. Pojawił się również tłum jej krewnych i znajomych, o których nigdy wcześniej nie słyszała i od których musiała się pracownicy opędzać.

Hannę Ilnicką odwiedził natomiast pewien młody urzędnik z biur policji, który wręczył jej rentę przysługującą po poległym na służbie Michale. Dziesięć tysięcy dukatów pozwoliło jej wykupić hipotekę domu i zapewnić godziwe życie dzieciom.

Synowie

mojżeszowi

I

Warszawa, marzec 1808 roku

Kantor Leopolda Ataliasa, jednego z pięciu warszawskich wekslarzy, znajdował się na parterze niedawno zbudowanego domu na Gęsiej. Żydowski finansista, jako że był bogaty, nie musiał się wyprawdzać z Krakowskiego Przedmieścia, z którego wyrzucono Żydów, ale zrobił to z własnej woli i bez wahania, bo wolał mieszkać i pracować w otoczeniu współwyznawców. Po cichu pogardzał „ucywilizowanymi” Izraelitami, którzy z racji dysponowania majątkiem stawiali się ponad anijimami – ubogimi współbraćmi – i udawali, że stapiają się z polskim otoczeniem. Atalias nie przymknął oka na zarządzenie o wyznaczeniu ulic, na których Żydom zabroniono mieszkać, choć jego jako bogacza nowe prawo nie dotyczyło. Potraktował je z całą powagą i uznał za policzek. Wyzwolona przez Bonapartego Polska, zamiast okazać wdzięczność starozakonnym, którzy masowo poparli powstanie kościuszkowskie, podziękowała im, egzymując ich z ważniejszych ulic. Dano im sześć miesięcy na przeprowadzkę do północnej części miasta, gdzie przyznano synom Izraela zaniedbany rejon od okopów na Woli do Nowolipia. Atalias był jednym z pierwszych, którzy zbudowali sobie domy w nowej żydowskiej dzielnicy, zapłacił nawet za utwardzenie Gęsiej, by zmierzający do jego kantoru klienci nie musieli brodzić w błocie.

Wiosenne roztopy zniweczyły tę ostatnią inwestycję wekslarza, pokrywając rozsypany tłuczeń warstwą brei z końskiego łajna i mokrego piachu. Idący w stronę kantoru funkcjonariusz policji warszawskiej, Szaja Appenzlak, musiał sadzić susy nad kałużami oraz omijać co większe rozlewiska i grzęzawiska, by nie zgubić w nich buciorów z cholewkami, które kosztowały go miesięczne uposażenie. Jeden z kilku inwestytorów niedawno utworzonego Wydziału Śledczego Policji Krajowej ubierał się tradycyjnie po żydowsku – w czarny chałat, który sięgał mu do łydek, i obowiązkową myckę. Do tego nosił postrzępioną, rzadką brodę i pejsy, ignorując panującą wśród postępowych Izraelitów modę na gładkie lica. Może i było to wygodne, ale, po pierwsze, goląc brodę, złamałby siedem zakazów Tory, a po drugie, raziłby takim wyglądem warszawskich współbraci. Od lat zaś pracował wśród niezamożnych Żydów i nie mógł odróżnić się od anijimów, by nie utracić ich zaufania.

Nikt także i teraz nie zwracał na niego uwagi, przechodnie widzieli w niepozornym trzydziestolatku przeciętnego luftmensza, od których w Warszawie aż się roiło. Szaja

spieszył się, żwawo wyciągał długie nogi, a miejscami nawet podbiegał. Pędził, by natychmiast sprowadzić Leopolda Ataliasa do domu Zalmana na Marszałkowskiej, gdzie właśnie odbywało się zebranie wekslarzy. Zgodnie z poleceniem ministra policji Adama Potockiego już miesiąc wcześniej zlikwidowano pokątne kantory i lichwiarskie dziuple, ustanawiając na całe miasto jedynie pięciu namaszczonych przez policję wekslarzy. Teraz dostali oni nakaz zbierania się raz w tygodniu, by ustalić kurs monet, który miał obowiązywać przez kolejne siedem dni w całym Księstwie Warszawskim. Pierwsze zebranie właśnie odbywało się w obecności policyjnego oficjalisty, który wszystko notował i pilnował, by finansiści nie byli zbyt pazerni.

Z niewiadomego jednak powodu Atalias nie stawiał się na owym pierwszym, a przez to niezwykle ważnym, urzędowym spotkaniu.

Całą operację ustalania kursu nadzorował osobiście sekretarz generalny policji Augustyn Gliński. Bardzo mu zależało na sprawnym wprowadzeniu w życie nowego prawa, którego był pomysłodawcą i autorem. Szaja, niezwykle lubiący i szanujący szefa, widział go dziś po raz pierwszy zdenerwowanego. Pan Gliński potraktował dezercję Ataliasa jako osobistą obrazę. Swą ostentacyjną nieobecnością wekslarz podważał zasadność nowego przepisu, otwarcie go lekceważył, kpił sobie wręcz z urzędników młodego państwa, w żaden sposób nie uprzedzając o swojej nieobecności. Sekretarz generalny najpierw wyglądał na zasmuconego, a potem wstał od stolika, przy którym siedziało z nim czterech bogatych finansistów, i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. Appenszlak czekał na dole, w powozie, by po spotkaniu odwieźć szefa do domu. Całe szczęście wypatrzył go wyglądającego co chwila przez okno, a nigdzie nie widząc dwukółki Ataliasa, szybko domyślił się, co zaszło. Pognał więc do domu wekslarza, gotów sprowadzić go przed oblicze Glińskiego żywego lub umarłego.

– Obyś, bratku, miał solidną eskapitację – mruknął do siebie. – Inaczej cienko zaśpiewasz na dywaniku u Gliny.

Wreszcie wpadł w bramę jednopiętrowego drewnianego domu. Po obu stronach przejścia z bramy na podwórze znajdowały się drzwi, Szaja więc przez chwilę się wahał, ale nad tymi po prawej dostrzegł sporej wielkości szyld po polsku i w jidysz. Wprawdzie nie radził sobie zbyt dobrze z czytaniem, ale domyślił się, że to szyld kantoru. Załomotał kołatką, a gdy nikt nie odpowiedział, powtórzył pukanie jeszcze energiczniej, potem zaś szarpnął za klamkę. Niespodziewanie otworzyły się drzwi za jego plecami, leżące naprzeciw wejścia do kantoru. Stała w nich kobieta w średnim wieku, z rudawą peruką o lokach opadających swobodnie na ramiona. Tradycyjnie, jako żydowska mężatka, goliła głowę, co zdarzało się już coraz rzadziej, za to ubrana była w barwną, modną sukienkę ściągniętą pod piersiami.

– Czego pan chcesz? – Niechętnym spojrzeniem obrzuciła mało dystyngowanego osobnika, który zdecydowanie nie wyglądał na klienta.

– Szukam pana Leopolda – oznajmił Szaja. – Nie stawiał się na zebranie z sekretarzem generalnym policji.

– Nie może być. Wybierał się na nie od rana. – Kobieta sprawiała wrażenie zaskoczonej. – Nawet odprawił dwóch swoich kałamarzy, znaczy pomocników, bo na robotę im się dziś nie zanosilo.

– Widziała pani, jak wychodził?

– Nie, nie było mnie w domu – burknęła. – A ktoś pan jest?

– Funkcjonariusz Appenszlak, z policji. A pani?

– Atalia Leopoldowa – odparła żona wekslarza.

Szaja uklonił się krótko. Finansista naprawdę musiał być tradycjonalistą, czy właściwie ortodoksem, skoro nie używał nazwiska nadanego w czasach panowania pruskiego, gdy wszyscy warszawscy Żydzi, jak Appenszlak, dostali niemieckobrzmiące przydomki. Pan Leopold tymczasem kazał się tytułować, jak tradycyjnie polscy starozakonni, nazwiskiem utworzonym od imienia żony, czyli Ataliasem. Ten zwyczaj odchodził już w przeszłość, ale nie dla wszystkich, jak widać. Pewnie ze względu na poglądy męża pani Atalia musiała golić głowę, choć po modnym stroju sądząc, było to nie po jej myśli.

– Co pan tak stoisz i się na mnie gapisz? – warknęła na zadumanego Szaję. – Rusz się pan szukać mego męża.

– W domu jest ktoś jeszcze? Sami państwo mieszkają w tak dużej chałupie? – Policjant wszedł na podwórko i rozejrzał się po nim uważnie.

– A co panu do tego, a? Mamy trochę czeladzi, ale dziś nie ma nikogo. Dwie dziewczki służebne były dziś ze mną na targu, a teraz poszły odebrać zamówiony towar. Stajenny i jego syn wyjechali wczoraj w pilnej sprawie za rzekę, do Targówka. Lokaj i kucharka wczoraj się czymś struli, musiały ich wieczorem odesłać do lazaretu naszego kahału.

Szaja pokiwał głową i wkroczył na wewnętrzne podwórko domu. Naprzeciw bramy znajdowały się niewielka stajnia i wozownia. Z boku kurnik i chlewik, a obok nich ruszt na śmieci z kanałem prowadzącym do rynsztoka. Jako że posesja była zamieszкана od niedawna, podwórko sprawiało wrażenie nienaturalnie czystego i nieużywanego. Appenszlak podszedł do wozowni i uchylił wrota. Wewnątrz stały dwukółka i kareta bez budy. Obie lśniące nowością.

Policjant spojrział na dom od strony podwórza. Okna na parterze kantoru zostały zaopatrzone w solidne kraty. Szaja zbliżył się do jednego z nich i stanął na palcach, a wreszcie podciągnął się, oburącz trzymając się prętów, by spojrzeć do środka. Koronkowe zazdrostki, sięgające do połowy szyby z mętnego szkła, mocno ograniczały widoczność, ale akurat słońce wyjrzało zza chmur, rzucając snop światła do kantoru.

– Aj waj – szepnął inwestygator.

Opuścił się i odwrócił w stronę pani Leopoldowej. Kobieta drgnęła, widząc pobladłą z przejęcia minę śledczego.

– Coś pan tam zobaczył? – spytała drżącym głosem.

– Proszę przynieść klucze od kantoru – odpowiedział. – Pani mąż, jeśli to on, nadal jest w środku.

Pognała do mieszkania, by wrócić po chwili z pękiem kluczy. Drżącą ręką próbowała największy z nich wsadzić do otworu zamka, ale nie chciał wejść. Wtedy Appenzlak spróbował ją wyręczyć, lecz też bezskutecznie.

– W zamku siedzi klucz – mruknął. – Jest zamknięte od środka. Gdzie drugie wejście?

– Nie ma. – Atalia pokręciła głową. – Kantor ma tylko jedno, dla bezpieczeństwa. Czy mój mąż coś sobie zrobił? Może zasłabł?

– Może – westchnął Szaja.

Nie dodał, że mężczyzna siedzący przy biurku, którego ujrzał przez okno, nie wyglądał na omdlałego. Leżał twarzą na blacie, w kałuży krwi i z makabrycznie roztrzaskaną głową.

– Muszę wezwać posiłki – oznajmił policjant. – Proszę nic nikomu nie mówić i nie zbliżać się do okien kantoru. Wrócę najszybciej jak to możliwe.

II

Gdy doktor, a zarazem śledczy Tytus Ritter podjechał wozem pod posesję na Gęsiej, przed bramą zebrał się już spory tłum gapiów. Dwóch mundurowych policjantów powstrzymywało ciekawskich przed wepchnięciem się do środka, gdzie w podcieniu zgromadzili się pozostali warszawscy inwestygatorzy kryminalni. Pan Augustyn Gliński nie tylko zjawił się osobiście, ale również kazał przybyć na miejsce wszystkim podwładnym z młodego Wydziału Śledczego.

Ritter, medyk i dawny funkcjonariusz gestapo, czyli pruskiej tajnej policji, wrzasnął na zebranych, by zrobić mu miejsce, po czym ostrożnie poruszył lejcami, zmuszając urzędową szkapę do skręcenia w ciasną bramę. Wjechał na podwórko i zeskoczył z kozła woźnicy. Chwycił torbę lekarską, w której zamiast bandaży i szarpi do tamowania krwotoków trzymał szczypce, lancety i nowoczesne szkła powiększające do oglądania zwłok. Natychmiast też założył na łysą wąską głowę uprząż z zestawem rozsuwanych monokli, nadającą jego aparycji wygląd szalonego naukowca. Na widok chudego, upiornego medyka w czarnym surducie i z dziwnym urządzeniem na głowie tłum cofnął się na ulicę. Powiało grozą.

Gliński stał ze strapioną miną, trzymając ręce złożone z tyłu. Wysoki, postawiony kołnierz cywilnego munduru rządowego oficjalisty wbijał mu się w policzki. Obok szefa wydziału prężył się młody Tomasz Dangel, syn przemysłowca, najlepiej wykształcony i najbardziej obyty spośród warszawskich śledczych. Przy drzwiach kantoru klęczeli: siedemnastoletni Jaśko, oberwaniec i drobny złodziejaszek, przyjęty do policji na polecenie Glińskiego, oraz potężny Roch Gogiel, wielkolud będący w czasach kościuszkowskich milicjantem magistrackim. Ci dwaj oglądali właśnie zamek kantoru i radzili nad sposobem wdarcia się do środka. Roch optował za porąbaniem drzwi siekierami, Jaśko chciał spróbować sztuki otwierania zamków za pomocą zestawu wytrychów.

Ritter ukłonił się Glinie i skinął Szai, który właśnie skończył rozmowę z grupą zapłakanych kobiet. Zawodzącym niewiastom przewodziła niebrzydka Żydówka w rudej peruce. Appenzlak wyglądał na zdenerwowanego, a broda mu sterczała, jakby przed chwilą szarpał ją garściami.

– Ponoć trup wygląda niezwykle ciekawie – zagadnął Prusak.

– Będziesz zachwycony, panie Tytusie – westchnął Zyd. – O ile uda się nam w ogóle go zobaczyć.

– Może uciec? – zażartował medyk.

– Jeśli wpadnie w łapy starszych kahału, to nici ze śledztwa. Prosiłem to cholerne babsko, by trzymało gębę zamkniętą, przynajmniej dopóki nie przeprowadzimy oględzin. Ale ledwo się oddaliłem, pognęła z wrzaskiem po wszystkich kumoszkach, sąsiadkach i znajomych. Dobrze, że nie trudziłem się zabieraniem psów, bo i tak hołota zdeptała wszystkie ślady. Musieliśmy z Rochem ściągać ciekawskich z okien kantoru, a potem wezwać stójkowych do pomocy. Zanim przyjechał Gliński, całe Nalewki aż huczały o śmierci wekslarza. Tylko patrzeć, jak przyjedzie Chewra Kadisza.

– Co takiego? – Prusak poprawił monokl, łypiąc na Żyda nienaturalnie powiększonym przez szkło okiem.

– Bractwo Święte. Zrzeszenie działające przy kahałach, odpowiedzialne za opiekę nad zmarłymi. Natychmiast zabierają ciała i najszybciej jak się da przeprowadzają pochówek. Może pan zapomnieć o egzenteracji!

– Ale władze kahału nie stoją ponad policją – mruknął Ritter.

– W sprawach swoich obywateli gmina żydowska ma bardzo dużą autonomię. Jeśli Bractwo Święte stwierdzi, że zmarły popełnił samobójstwo, nie będziemy mieli nic do gadania. Zabiorą go i tyle.

– Popełnił samobójstwo, rozbijając sobie głowę? Walił nią o biurko?

– Mogą tak stwierdzić, w końcu jest zamknięty od środka, a do kantoru nie ma innego wejścia.

Lekarz odmruknął tylko, coraz bardziej całą sprawą zaciekawiony. Tymczasem Jaśko dostał od Gliny pozwolenie na próbę włamania przy użyciu wytrychów, zabrał się więc za dłubanie dwoma drutami w zamku. Roch Gogiel stał nad nim, kpiąc z wysiłków chłopaka, ale ten wystawił tylko język i nie zwracając uwagi na olbrzyma, majstrował zawzięcie.

– Śmierć wekslarza nieco komplikuje pana projekt z ogólnym ustalaniem kursu monet – zwrócił się do szefa Dangel.

– Bardzo komplikuje – przyznał Glina. – Wymyśliłem to, by chronić przed nieuczciwymi lichwiarzami biedaków zmuszonych do zapożyczania się. Jest ciężko, handel przygasł przez blokadę Anglii, do tego musimy utrzymywać francuski korpus i własną armię. Żywność przez to podrożała i miastu grozi głód. Coraz więcej będzie chętnych do zastawiania majątku na weksel. Dlatego pozwolenie na działalność dostało tylko pięciu najuczciwszych, najrzetelniejszych wekslarzy w mieście. O każdy wakat ubiegało się po kilkuset chętnych, tygodniami prowadziłem selekcję... I co? Już na

samym początku ginie jeden ze sprawiedliwych! Może komuś nie odpowiadały kursy, jakie proponował?

– A może dopadł go któryś z dłużników – zauważył Daniel. – Wekslarze często ginęli z ręki swoich klientów. Trzeba sprawdzić gagatków, którym ostatnio wystawił papiery.

– Sprawdzimy, pewno, że sprawdzimy. Tomaszu, przejmiesz jego dokumentację i sam się nią zajmiesz – zadysponował Gliński. – Ja muszę pomyśleć, komu jeszcze nie pasowały kursy. Wiesz chyba, chłopcze, jakie mamy kłopoty z monetą? W Księstwie, prócz złotych, krąży ich bez liku. Dukaty holenderskie i austriackie, augustdory, ludwikodory, napoleondory, franki i liwry, imperiały i ruble, talary saskie i kuranty pruskie, a do tego monety zdawkowe, dytki i półsrebrniki. Prusacy i Rosjanie tylko knują, jak skorzystać na tym zamieszaniu. Różną monety lub wprowadzają w polski obieg fałszywki. Próbuje zrujnować nam gospodarkę, by potem łatwiej nas podbić. A my i tak ledwo ciągniemy przez kontrybucje na rzecz francuskiego wojska. Rzeczą kluczową, nie tylko dla Warszawy, ale i całego Księstwa, jest, byśmy nie dali się wykończyć przez fałszywą monetę.

– Nie zdawałem sobie sprawy...

– Widzisz więc, że ewentualny zamach na tego żydowskiego wekslarza może być zamachem na całe nasze państwo. Na z trudem odzyskaną wolność. Za morderstwem mogą stać agenci obcego wywiadu. I tego właśnie się obawiam.

Obaj spojrzeli ukradkiem na doktora Rittera, który wszak był Prusakiem, ale Gliński pokręcił przecząco głową. Ufał medykowi, uratował go przed linczem i od tamtej pory były gestapowiec nigdy nie zawiódł jego zaufania. Pan Augustyn wierzył, że lekarz całkiem się zasymilował, jak wielu Niemców mieszkających w Warszawie. Po zaskakująco szybkim czasie od przybycia większość z nich zakochiwała się w nowej ojczyźnie i stawała gorącymi patriotami. Nie! Ritter nie mógł być zamieszany w szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa.

Wreszcie Jaśko wrzasnął triumfalnie i wypchnął klucz tkwiący w zamku. Teraz wystarczyło jeszcze trochę podłubać i drzwi stanęły przed policjantami otworem. Roch wyciągnął zdobyty jeszcze za Kościuszki tasak pruskiego piechura i ruszył do środka jako pierwszy. Za nim wkroczył Gliński.

– Śmierdzi śmiercią – zauważył wielkolud, rozglądając się po kantorze.

Sekretarz generalny pokiwał ze smutkiem głową. Pomieszczenie było wychłodzone, bo w stojącym w kącie niewielkim piecu już dawno wygasło, a mimo to gabinet był wypełniony przykrym zapachem krwi. Leopold Atalias siedział zgięty, opierając czoło o blat. Rozłożone na biurku papiery pokrywała rozległa ciemnoczerwona kałuża. Potylicy głowy wekslarza została roztrzaskana w kilku miejscach, a pomiędzy strzępów skóry wystawały połamane białe kości. W ranach różowił się poharatany mózg.

Doktor pochylił się nad zwłokami i przesunął monokle, wybierając szkła dające największe powiększenie. Nie patrząc na torbę, wyciągnął z niej szczypczyki i zaczął dłubać nimi w ranie, odchylił również płaty skóry, uważnie wszystko badając. Tymczasem Gliński rozglądał się po pomieszczeniu. Obejrzał stojące na półce księgi z hebrajskimi napisami na okładkach, zajrzał do zbryzganej krwią szkatułki, w której błyszczały złote monety.

– Ofiara nie została okradziona – zauważył z zaskoczeniem.

Podniósł jedną z monet, rosyjskiego złotego imperiała. Chwilę ważył go w dłoni, a potem odłożył na miejsce. Jego spojrzenie przyciągnęły mieniące się w kałużach krwi kółka zębate, śrubki i inne metalowe elementy mechanizmu wyglądającego na zegarowy.

– Ktoś roztrzaskał mu głowę zegarem? – zdziwił się.

– Raczej tym – odparł Roch, klęcząc pod biurkiem. – A to coś na zegar mi raczej nie wygląda.

Wyciągnął spod nóg ofiary kanciasty przedmiot o pękniętej drewnianej obudowie. Podłużny sześciąt miał wielkość nakominkowego zegara, ale zamiast tarczy miał liczne okrągłe klawisze. Jeden z rogów aparatu został zgnieciony i umazany krwią. Gdy Gogiel poruszył urządzeniem, rozległ się grzechot i ze środka wypadło kilka kółek zębatych.

– Co to takiego, u licha? – mruknął pan Augustyn.

– Patrzcie, panowie! – Ritter uniósł szczypce, w których trzymał jakiś umazany tkanką mózgową metalowy przedmiot.

Gliński spojrzał na znalezisko z zainteresowaniem. To był jeden z okrągłych klawiszy urządzenia. Pokryto go białym lakierem z namalowaną arabską cyfrą sześć.

– Ktoś okładał nieszczęśnika aparatem, aż go roztrzaskał na głowie ofiary. Jeden z klawiszy się obluzował, a przy następnym uderzeniu został wbity w ranę – rzekł szef wydziału. – Spakujcie to urządzenie, proszę. I zawołajcie mi Szaję, chcę, by obejrzał te papiery. Są po hebrajsku, może coś z nich zrozumie. Same dziwne znaczk. A to? Spójrzcie, panowie, co to takiego?

Jedna z leżących na biurku kart nie w całości została zalana krwią. Widniał na niej rysunek przedstawiający diagram z dziesięciu okręgów połączonych liniami. Prusak spojrzał na niego i chrząknął.

– To Drzewo Życia – oznajmił.

– Kabala! – Glina, jako mason przywykły do tajemnych rytuałów, od razu skojarzył termin podany przez lekarza z naukami żydowskiego ruchu mistycznego. – Nasz wekslarz był kabalistą. A to ciekawe! Do tego zabito go maszyną o klawiszach oznaczonych cyframi i znakami matematycznymi, a wszak wiemy, że kabaliści zajmują się badaniem związków i kombinacji między liczbami, uważając, że zaklęte jest w nich imię Boga.

– To jeszcze bardziej komplikuje sprawę – westchnął blady i stojący w drzwiach, aby trzymać się jak najdalej od zwłok, Tomasz Dangiel. – Mógł zatem zostać zabity nie tylko przez zdesperowanego klienta czy pruskiego lub ruskiego szpiega, lecz także przez kabalistów. Wspaniale. Nie wiadomo, za co się złapać.

– Stawiam na kabalistów. Któż inny dostałby się do zamkniętego od środka kantoru, zabił wekslarza i zwiął bez śladu? – powiedział Roch Gogiel. – Przysłali tu jakiegoś żydowskiego upiora... jak one się tam zwa?... Dybuka! A ten załatwił sprawę i wyleciał przez komin.

– Ciekawa hipoteza – mruknął Gliński, kręcąc z powątpiewaniem głową. – Dość śmiała i oryginalna.

Z zewnątrz dobiegały coraz bardziej podniesione głosy, a po chwili okrzyki w jidysz i po polsku. Pan Augustyn rozpoznał pośród nich głos Szai. Gdy wyjrzał na zewnątrz, okazało się, że funkcjonariusz własną pierś próbuje zatrzymać napierających na niego brodatych drabów w jarmułkach. Sekretarz generalny policji stanął w drzwiach kantoru i chrząknął, a gdy to nie odniosło skutku, postukał laską we framugę. Żydzi jednak nadal wrzeszczeli na siebie i wygrażali policjantowi pięściami, do tego kobiety zawodziły, dzieciaki wrzeszczały, czekało kilka wychudzonych psów, a wdowa po wekslarzu targała się za perukę.

– Cisza, ludzie! – zadudnił Roch, stając obok szefa.

Tłum zamarł, patrząc na olbrzyma i towarzyszącego mu oficjalistę. Po chwili obok spoconego i czerwonego na twarzy Appenszlaka przepchnął się niepozorny jegomość z równo przystrzyżoną brodą i w czystym, schludnych chałacie. Ukłonił się Glińskiemu, kładąc dłoń na piersi.

– Jestem Mosze Tenenbaum, syndyk przy kahale warszawskim. Przyprowaździłem Święte Bractwo po ciało naszego wiernego. Pański funkcjonariusz, ten oto Szaja Appenszlak, mój dawny szkolnik, o czym doskonale pamiętam, a szczególnie o tym, jak wyciągnąłem go, gdy był szczenięciem, z rynsztoka i dałem mu pracę, a potem przyzwoliłem na ożenek z własną siostrzenicą, o czym, jak zdaje się, zapomniał i za co będzie smażył się w piekle, nie pozwala nam wejść do środka. Upraszam łaski waszej jaśnie oświeconej osoby, wielce szanowny sekretarzu generalny, i proszę o dochowanie zobowiązań i uszanowanie naszych zwyczajów. Przekażcie nam ciało tego nieszczęśnika, nie skazujcie go na potępienie! Zaklinam wasze sumienia, jaśnie panie! Nasz zwyczaj nakazuje jak najszybszy pochówek. Musimy natychmiast obmyć ciało i owinąć je w tachrichim oraz tałas. Im szybciej, tym lepiej. Pozwólcie nam na to przez pamięć zmarłego, dobrego i szanowanego obywatela Warszawy...

Żyd kontynuował litanie, żywo gestykułując i kłaniając się przed Glińskim, który w milczeniu kiwał głową. Nie potrzebował zatargów z wpływowymi starozakonnymi,

którzy z mandatu władz miejskich zasiadali w zarządzie kahału. Berek Szmulwicz, Szmul Kronenberg i Józef Epstein byli ortodoksami – wprawdzie ponoć postępowymi, ale nawet oni nie wybaczyliby obrazy, jaką byłoby znieważenie zwłok zmarłego wekslarza. Szef wydziału miał związane ręce. By nie wywołać skandalu, musiał odstąpić i pozwolić Świętemu Bractwu przejąć ciało zabitego. Tak więc, ku zaskoczeniu syndyka, pan Augustyn uściskał mu rękę i uroczyście, głośno, tak by być słyszany przez wszystkich w okolicy, złożył wyrazy głębokiego żalu i uszanowania w imieniu ministra policji oraz swoim własnym. Obiecał wszelką pomoc ze strony urzędu, a potem, ku zdumieniu zebranych, uklonił się wdowie i ucałował ją w dłoń, składając kondolencje.

Opuścił dom na Gęsiej żegnany przez kłaniających się z szacunkiem licznych Żydów. Uśmiechnął się w myślach do siebie. Przynajmniej udało się nikogo nie obrazić i pokazać ludzkie oblicze policji. Skinął na idącego za nim Tomasza.

– Chłopcy zapakowali dowody? – spytał.

– Właśnie ładują je na wóz doktora Rittera – przytaknął młodzieniec. – Po cichu zabraliśmy wszystko, co istotne: dokumenty wekslarza, kabalistyczne diagramy i narzędzie zbrodni. Zostawiliśmy pieniądze i księgi. Poszlaki kazałem zawieźć do warsztatów policji na Niskiej, a ja zaraz siądę do przejętych papierów i zabiorę się do ich studiowania.

Glina skinął głową z zadowoleniem. Cieszył się, że niedawno zatrudnił Dangiela. Chłopak okazał się niezwykle bystry i energiczny.

– Przyślij do mojego gabinetu w pałacu Saskim maszynę, którą zatłuczono tego nieszczęśnika. Udam się z nią do rzeczoznawcy – rozkazał pan Augustyn.

Młodzieniec przytaknął posłusznie.

– Może pobiegnę po dwukółkę? Szkoda brudzić sobie buty w błocie Nalewek – zaproponował.

– Nie trzeba, pójdziemy piechotą. Niedawno przy ratuszu na Grzybowie otwarto przednią traktiernię, gdzie Żydzi podają wyśmienite gęsie pipki. Korzystając z okazji, musimy ich spróbować. Akurat zbliża się dwunasta, więc i tak pora na obiad.

III

W drodze do domu Szaja zahaczył o targ na Pocijewie, który powoli przenoszono w inne, mniej atrakcyjne miejsce. Część handlarzy mających interesy w podcieniach pałacu hetmana Pocięja ciągle jeszcze funkcjonowała, choć ich dni w tej okolicy były policzone. Appenszlak przystanął przy jatce i za kilka groszy nakupił dokładnie odartych z mięsa kości oraz spory tłumok rybich flaków. Musiał karmić swoje dwa brytany mięsem, by były silne i zdrowe. Psów tropiących używał od czasu służby jako śledczy u boku kahalnego syndyka, a po przejściu do policji wyprosił u Glińskiego specjalny fundusz na wyżywienie zwierząt. Otrzymywał z tej okazji dodatkowe dwa złote miesięcznie do uposażenia, a jako że wielkie psiska jadły tyle, co normalnych rozmiarów chłop, musiał się mocno natrudzić, by starczyło na ich utrzymanie. Nie narzekał jednak, zwierzaki były mu nie tylko narzędziem pracy, ale i przyjaciółmi. Zawsze uciekał do ich kojców, gdy Sonia była zła lub przychodziły do niej siostry. Przynajmniej mógł spokojnie spędzić z psami czas i im się wyżalić.

Gdy dotarł do domu, kamienicy wciśniętej w jeden z zaułków Elektorальной, pierwsze kroki skierował przez podwórko do oficyny, w której szopie trzymał pomocników. Wypuścił ich, poczochnął po łbach, nalał do blaszanych misek świeżej wody, a potem nakarmił oba zwierzaki. Posiedział jeszcze chwilę, gadając do psów i napawając się spokojem, gdy nie wiadomo skąd przyczłapał dziadek Abram. Od staruszka śmierdziało gorzałą, w jego brodzie, całkiem siwej i sięgającej do pasa, sterczały kłosa i suche liście, a chałat miał uwalany błotem. Usiadł ciężko koło wnuczka i wyszczerzył w uśmiechu wszystkie cztery zęby.

– Gitla i Salcia przyszły na partyjkę domina – oznajmił. – Z dzieciakami. Wolałem się ulotnić, bo trzy wiedźmy szukają ofiary, na którą mogłyby powarczeć. Za moich czasów goniło się baby do roboty, w chałupie nie miały nic do gadania. Co to za zwyczaj, by siostry gospodyni rządziły się jak u siebie? Co z ciebie za mężczyzna, że na to pozwalasz? Ja, gdybym miał jeszcze siły, pogoniłbym ten babiniec, gdzie pieprz rośnie. I kazałbym ugotować sobie czulenty z kugłami i przynieść siwuchy. Leżałbym jak turecki pasza i pozwalał się obsługiwać. A ty co? Chowasz się u kundli. Niedługo całkiem się do nich przeprowadzisz. Co się nie odzywasz, hę? Nie masz tam czego do picia? Nie przyniosłeś nic przodkowi?

– Nic, dziadku. Wóda podrożała, a w policji słabo płacą – spokojnie odparł Szaja.

– A ukraść się czego nie da? Znaczy, dorobić na boku? Kiedy ja służyłem w policji, brało się dziwki w obroty i zmuszało do płacenia za opiekę. A jak się złapało handlarza oszukującego na wadze, to...

– Ale dziadek nie służył w policji – westchnął tropiciel.

– A co ty tam wiesz?! Co ja robiłem, gdzie byłem i co widziałem?! Ho! Ho! Chłopcze! „W dupieś był i gówno widział” – pomyślał wnuk, ale nic nie powiedział, by nie sprowokować bójki ze staruszką, który zawsze był narwany i skory do rękoczynów.

Wysłuchał jeszcze narzekań, że jest mało operatywny i absurdalnie uczciwy, zupełnie jakby był Żydem niemieckim, a nie polskim. Dowiedział się też, że tych pierwszych, których tak się namnożyło za panowania Prusaków w Warszawie, należało spławić Wisłą, i to już dawno. Teraz było za późno. Wreszcie Szaja obiecał dziadkowi, że jutro przyniesie mu coś do picia, bo rozumie jego niezgodę na współczesny świat i potrzebę utopienia smutków w gorzale.

Trzymając staruszkę pod ramię, zaprowadził go z powrotem do domu. W drzwiach zderzyli się z całą czeredą rozwrzeszczanych dzieciaków, z których trójka była potomstwem policjanta, a pozostała siódemka – dziećmi siostrzy żony. Wreszcie dotarli we dwóch do obszernego pokoju, w którym przy stoliku zastawionym kostkami domina i kubkami z ziołowymi naparami siedziały trzy kobiety. Sonia uśmiechnęła się do męża, za to jej dwie siostry zmierzyły go wyniosłymi spojrzeniami. Niemal poczuł fizyczne palenie, gdy lustrowały go krytycznie i surowo. Pewnie wyceniły jego znoszone ubranie, obliczyły, ile zarabia, po czym – pogardliwie lub ze współczuciem – pomyślały, jak żałośnie nieudolny mąż trafił się ich siostrze.

– Ciekawam, co Szaja przyniósł do domu po tak długim dniu pracy? – odezwała się Salcia, najstarsza z kobiet, wysoka i zawsze wyprostowana jak struna, uważająca się za nie wiadomo jaką damę, bo jej mąż piastował stanowisko kancelisty u żydowskiego bankiera na Nowym Świecie. – Mój Szlomo nie wraca do domu bez jakiegoś drobiazgu dla mnie i smakołyków dla dzieci. Wczoraj przyniósł paczuszkę kawy i głowę cukru, a w poniedziałek kupił mi chustkę.

„Pewnie robi to zawsze po wizycie w burdelu, by zmazać poczucie winy” – cierpko pomyślał Szaja, ale powstrzymał się przed komentarzem. Zdarzyło mu się kiedyś przyłapać Szłomę w lupanarze na Starym Mieście, gdy z Rochem szukali tam uciekiniera z ratuszowego aresztu.

– Skoro tak marnie płacą w policji, może byś coś dorobił na boku? – rzuciła Gitla, ślicznotka o gładkim licu, choć dość pulchna i przysadzista, która zajmowała się handlem owocami i warzywami po targowiskach. – Słyszałam, że komendant mostu ogłosił nabór ludzi do walki z krą. Potrzeba mocy silnych chłopów, którzy dostaną drągi i będą bronić przeprawy. Ponoć lód ma puścić lada dzień, już strzela.

– Nie ma mowy – ucięła Sonia. – I tak ma niebezpieczną robotę. Nie musi ryzykować, że stojąc po nocy na moście, spadnie z niego i się utopi albo pójdzie na dno razem z przeprawą, gdy kra ją wreszcie zerwie. Nie ma sensu narażać się za kilka marnych dytków. Niech lepiej patroluje miasto.

– W tym cholernym błocie można się utopić szybciej niż w Wiśle – burknęła Gitla. – Jeden nieopatrzny krok i zjeżdża się do rynsztoka. Nawet rosły człek pójdzie na dno. Pomyje aż się z rowów wylewają, szczególnie przy garbarniach wzdłuż okopów wolskich.

– To przez roztopy – wtrącił dziadek, przepychając się obok wnuka do kuchni, skąd rozchodził się przyjemny zapach gotujących się grzybów. – Zawsze tak było, mówię wam. A co się działo za króla Augusta, gdy byłem młody! Pewnej wiosny, jeszcze przed świętem Pesach, rzeka wylała, zabierając wszystkie budy z Powiśla, zatopiła też część Pragi. Porwała nawet łyżwy wyciągniętego na brzeg letniego mostu – o tak, szast-prast, zagarnęła je jak łódki rybaków. Wydawało się nam, że to koniec świata, a Wisła zmieniła się w żarłoczny, nienasycony potwór. Wciągała wszystko co się dało! Właśnie w tej chwili tak samo się czuję, jestem głodny niczym Lewiatan. Soniu, co tam upichciłaś dla Szai? Czy znajdzie się mała miseczka dla starca? Czy mam iść do garkuchni dla zebrzących Żydów? Ach, już nie wydają, za późno. Nic to, położę się w kąciuku i zemrę z głodu. Nic się nie przejmujcie, ja i tak już swoje przeżyłem.

– Macie kaszę i sos z suszonych grzybów na cebulce. – Sonia pokręciła głową. – Może Szaja się z dziadkiem podzieli. Myślę, że wystarczy dla was obu. Nałóżcie sobie sami, bo zajęta jestem.

Dziadek rzucił się do kuchni jako pierwszy, w jednej chwili zapominając o sztywniejących kolanach, bolących korzonkach i podagrze. Zmiarkował się jednak i pozwolił Szai rozporządzić posiłkiem. Młody Appenszlak załadował mu pełną michę, drugą nałożył sobie. Z podziwem obserwował, jak chudzielec żwawo pożera kolację. Wiedział, że dziadek mógłby wpakować w siebie cały gar i popić go kwartą gorzałki, a za trzy godziny i tak byłby głodny. Żywotność starca nieustająco go zdumiewała.

– Co to była za wiosna, dzieci! – kontynuował Abram z pełnymi ustami. – Woda podeszła aż pod Mariensztat, porwała wszystkie chałupiny położone niżej niż plac Karowy. Krowy i świny pływały w lodowatej wodzie, rycząc i kwicząc, do tego dryfował dobytek – cuda i dziwy jakich świat nie widział, a między tym trupy potopionych. To była wiosna! Nie to co dziś! Pamiętam, jak pomagaliśmy dobić do brzegu dryfującemu w gdańskiej szafie, niczym w potężnym galeonie, zegarmistrzowi jego królewskiej mości, którego wypłukało z posiadłości aż za Wilanowem. Przepłynął kilkanaście mil polskich w szafie zapełnionej zegarami! Wiosłował dwoma wahadłami, a jego żona wylewała wodę złotą pozytywką.

– Co też dziadek opowiada! Król August nie miał zegarmistrza – bąknął Szaja.

– A co ty wiesz, szczeniaku?! Byłeś tam czy co?! Pamiętam to jak dziś, to był sam Gugenmus, który do dziś ma pracownię na Starym Mieście. Nie wierzysz, to idź go zapytaj. Pomogłem mu przybić do brzegu i wyładować łódź, za co dał mi kilka czerwieńców.

– Ale on był nadwornym zegarmistrzem króla Stanisława...

– Króla-lula! – Staruszek trzasnął łyżką w stół. – Czy to ważne którego? Ważne, że w czasie powodzi trochę sobie zarobiłem, i to uczciwie, niczego nie kradnąc. A ty co? Nawet powodzi nie ma, a nie potrafisz dorobić choćby grosza. Nie odziedziczyłeś po mnie tego czegoś, tego, jak mu tam...

– Smykałki – podpowiedziała z pokoju Sonia.

– Gugenmus ciągle przyjmuje? – zdziwiła się Salcia, która oczywiście również słuchała rozmowy. – My ostatnio korzystaliśmy z usług mistrza Abrahama Sterna. Swój człowiek, a do tego niebywały wprost mędrzec. Tłumnie odwiedzają go polscy panowie, sownie płacą za wynalazki. Trzeba być nie byle kim, by podjął się takiej roboty. Mój Szlomo jednak od razu go sobie zjednał. Ponoć pan Stern zbudował dla polskich zleceniodawców samopracującą młockarnię. Zastępuje robotę ośmiu ludzi z cepami, mechanicznie! Stary Gugenmus do pięt mu nie dorasta, przynajmniej jeśli chodzi o tryby, maszyny i koła zębate.

Szaja zatrzymał w pół drogi łyżkę zmierzającą do ust. Ostatnie słowa Salci poruszyły go do głębi. Faktycznie, sam też słyszał o żydowskim mistrzu mającym warsztat gdzieś na mieście. Ponoć wymyślił hamulec do powozów, zabezpieczający je przed poniesieniem przez spłoszone konie. Ale o tym, że Stern jest również specjalistą od kół zębatach, Appenszlak nie wiedział. Od razu stanął mu przed oczami obraz błyszczących trybików i kółek rozsypanych wokół martwego wekslarza.

Dziwaczna machina z kabalistycznymi cyferkami i jedyne w Warszawie żydowski mistrz od mechanizmów, ponoć zatwardziały tradycjonalista. Te dwie rzeczy mogły się łączyć. Może właśnie udało mu się wpaść na trop w dopiero co rozpoczętym śledztwie?

Nie zdążył przemyśleć sprawy, bo do mieszkania wbiegły dzieciaki. Dziesięcioro rozwrzeszczanych zasmarkańców rozproszyło się po dwóch pokoikach i kuchni. Na kolana dziadka wpakowała się mała Ryfka, domagając się jedzenia. Staruszek, błyskając czterema zębami w radosnym uśmiechu, zabrał się do jej karmienia. Do Szai natomiast przytulił się z płaczem dwuletni Samuel, skarżąc się, że nie może nadążyć za starszymi dziećmi. Policjant wydarł się więc na najstarszą córkę, która miała opiekować się braciszkiem. Potem do zamieszania przyłączyły się matki brzdąców, które zostały zmuszone do zakończenia gry. Salcia zabrała czwórkę swoich pociech i poszła do domu, Gitla zdecydowała się zostać w gościnie. Appenszlakowi udało się jeszcze na chwilę

wymknąć do psów, ale zaraz musiał wracać, by zająć się dziećmi. Na łóżko padł ledwo żywy ze zmęczenia i natychmiast zasnął. Przysniły mu się wirujące kółka zębate, błyszczące czerwienią krwi.

IV

Dzień ten od samego rana zapowiadał się panu Augustynowi na nietypowy i obfitujący w niespodzianki. Wiecznie naburmuszony lokaj Anzelm nie wezwał go obcesowo na śniadanie do jadalni, ale w przypiływie jakiejś niezrozumiałej fantazji przyniósł panu posiłek do łóżka, a potem pojawił się ze świeżo wykrochmaloną koszulą, wyszczotkowanymi spodniami i lśniącymi butami. Gliński domyślił się, że stary sługa czegoś chce – i faktycznie, chodziło o kilka dni wolnego oraz trochę grosza, którego lokaj potrzebował na wyjazd w rodzinnej sprawie. Szef Wydziału Śledczego miał więc zostać w domu na Krakowskim Przedmieściu jedynie z kucharką i jej pomocnicą, która przyuczała się na pokojówkę.

Zanim jeszcze sekretarz generalny wszedł do pałacu Saskiego, w którym mieściło się Ministerstwo Policji, natknął się na czekającego pod drzwiami Szaję. Żydowski tropiciel uraczył go ciekawą historią o wybitnym mechaniku i zegarmistrzu wyznania mojżeszowego, ponoć mieszkającym w Warszawie, który mógł mieć wiele wspólnego z kabalistyczną maszyną. Pan Augustyn nie miał czasu ani ochoty, by fatygować się osobiście do jakiejś brudnej żydowskiej kamienicy, w której warsztacik miał ów mistrz Stern, ale postać rzemieślnika wydała mu się ciekawa w kontekście śledztwa, postanowił więc sprowadzić go na rozmowę do urzędu. Zabrał Appenszlaka do gabinetu i sporządził pismo – nakaz nałożenia aresztu na osobę Abrahama Sterna. Okazało się jednak, że na biurku nie ma urzędowej pieczęci, poszedł więc po nią do kancelistów ministerialnych i zostawił im pismo do podbicia oraz przekazania Szai. Sam zabrał się do zaległej pracy, sporządzania kolejnych rozporządzeń związanych z utrzymaniem porządku w mieście w czasie roztopów i przygotowania służb na ewentualne wylanie rzeki.

Minęła godzina, ale nakaz aresztu nie wrócił, co zmusiło Glinę do kolejnej wycieczki po gabinetach. Okazało się, że pismo gdzieś zaginęło, wreszcie jeden z sekretarzy przyznał, że zabrał je sam minister Potocki. Pan Augustyn szczerze się zdziwił, do gabinetu szefa jednak nie miał szans się dopchać, ponoć hrabia był zajęty i dla nikogo nie miał czasu. Gliński kazał więc żydowskiemu śledczemu udać się na Gęsią, gdzie doktor Ritter z Gogiem przeprowadzali dokładne oględziny i badania miejsca zbrodni, po czym zaczekać tam na kuriera z podbitym nakazem. Sam zagłębił się w papierach i próbach opanowania zagadnień dotyczących wciąż formowanych służb miejskich.

Południowa przerwa zbliżała się przyjemnie szybko i myśli pana sekretarza generalnego zaczęły krążyć wokół wyobrażeń i fantazji obiadowych. Anzelm wspominał coś o szczupaku, ciekawe, co kucharka z niego przyrządzi? Bulion z rybnymi pulpecikami czy może raczej pokroi go w dzwonki i usmaży? A co do tego? Kluseczki czy tylko chlebek? Do szczupaka pasowałoby wytrawne wino, choć kufelek marcowego byłby jeszcze lepszy. Trzeba będzie posłać tę nową dziewczynę, jak jej tam: Ania? Hania?, do „Kazimirusa” po garniec świeżego piwa. Tylko że po wypitej kwarcie z pewnością zachce się spać. Choć z drugiej strony, trzy godziny przerwy obiadowej przysługującej urzędnikom powinny wystarczyć, by kapkę się zdrzemnąć.

Nakaz sprowadzenia Sterna nie wrócił do Glińskiego do południa, szef wydziału zaczął więc zbierać się do wyjścia na obiad. Pogwizdując, ubrał się i skierował do drzwi, gdy do środka wparował młody Tomasz Dangel. Zatrzasnął drzwi przed nosem kogoś, kto próbował się wcisnąć, po czym oparł się o nie plecami, jakby bronił szefa przed wtargnięciem hordy barbarzyńców. Pod pachą ścisnął plik papierów z tabelkami i rzędami liczb.

– Przejrzałeś rachunki pana Ataliasa? – spytał Gliński.

– Tak jest. Miałem właśnie prosić pana o poświęcenie chwili, by omówić moje spostrzeżenia, ale na korytarzu dopadło mnie to straszne babsko – powiedział poblady Dangel. – Jest z nią kilku Żydów w chałatach. Kto ich, u diabła, wpuścił do urzędu?

– Jakie znowu babsko?

– Wdowa po Ataliasie, znaczy pani Atalia – westchnął chłopak. – Czai się za drzwiami, czegoś od pana chce.

– Wprowadź ją, śmiało. Może nas nie zje – uśmiechnął się zaciekawiony Glina.

Tomasz skinął głową i z niepewną miną uchylił drzwi. Ryknął, że do środka może wejść jedynie pani Leopoldowa. Kobieta wepchnęła jednak przed sobą młodego człowieka w surducie, gładko ogolonego i z włosami nasmarowanymi fryzjerską pomadą. Zdecydowanie nie pasował do przedstawionych przez Dangiela opisu Żydów w chałatach, którzy jakoby towarzyszyli wdowie. Pani Atalia znów ubrana była w modną sukienkę, a na ramiona zarzuconą miała polską pelerynkę podbitą płowym futrem. Znikła też jej tradycyjna, żydowska peruka zastąpiona kapeluszem, spod którego wystawały krótkie ciemne włosy.

– Najłaskawszy panie sekretarzu generalny, ośmielamy się niepokoić pana, by domagać się sprawiedliwości! – powiedziała głośno i dobitnie, wypinając pierś.

– Cóż się stało? Może szanowna pani raczy spocząć? – Urzędnik wskazał krzesło przeznaczone dla interesantów.

– Dziękuję, ale emocje nie pozwolą mi spokojnie siedzieć – odparła, szybko lustrując gabinet, szczególnie zdobiący ścianę obraz w poślacanej ramie i błyszczące polerowanym

mosiądzem kunsztowne kałamarze na biurku. – Przybyłam do pana, bo słynie pan jako ze wszech miar sprawiedliwy i porządny człowiek, ozdoba polskich urzędów, miłosierny chrześcijanin i wybitny obywatel. Z pewnością nie pozwoli pan ukrzywdzić biednej wdowy, którą jestem. Najróżniejszego autoramentu szakale i padlinożercy gromadzą się już wokół mnie, by wydrzeć mi schedę po tragicznie zmarłym małżonku, dybią na niewielki majątek, który pozostawił, chcą ograbić ze wszystkiego, wygnać, skazać na śmierć głodową!

– Doprawdy? – spytał Gliński. – A któż taki?

– Lichwiarze i nieuczciwi tak zwani bankierzy, a naprawdę krwiopijcy i oszuści, niewahający się zedrzeć z człowieka ostatniej koszuli, byle napchać sobie kabzy. Już zwiedzieli się o śmierci Leopolda i walczą o przejęcie jego interesów, a szczególnie wakatu na stanowisku warszawskiego wekslarza.

Niespodziewanie przystąpiła do pana Augustyna i runęła przed nim na kolana, a potem objęła go za nogi. Dangielski drgnął, ale niezręcznie mu było szarpać się z damą, zastygł więc w pół kroku, nie wiedząc, co zrobić.

– Niech pan nie oddaje nikomu stanowiska piątego wekslarza, niech pan pozwoli, bym ja przejęła je po zmarłym mężu! – rozdarła się Leopoldowa. – Wiem, że kobieta nie może piastować tak ważnej funkcji, ale formalnie zająłby się tym mój kuzyn, ten oto młodzieniec. Reprezentowałby mnie na zebraniach kursowych i nominalnie trzymałby stanowisko wekslarza, ale ja prowadziłabym interes, używając aktywów po zmarłym mężu. Doskonale się na tym znam, od początku interes prowadziliśmy razem i doradzałam mu w każdej operacji. Muszę kontynuować pracę, nasze pieniądze są w większości zainwestowane w operacje liweranckie, jeśli więc stracę płynność, zgromadzone dobra przepadną, a ja wyląduję na bruku. Co mi wtedy zostanie? Zostać nierządnicą lub podciąć sobie żyły! Weźmie pan na sumienie moje zmarnowane życie? Moją cześć?

– Proszę się uspokoić i wstać – powiedział zeszywniały Głina.

Nie przywykł do takiej bliskości kobiety, a wyraźnie czuł przez spodnie dotyk jej piersi, gorąco jędrnego ciała. Wyprowadzało go to z równowagi, nie pozwalając skupić myśli. Dawno już pozbył się przyziemnych, zwierzęcych ciągót i chuci. Nie życzył sobie, by znów wróciły przez kontakt z wulgarną i buchającą zmysłowością kobietą.

– Proszę natychmiast zostawić pana sekretarza! – ryknął Tomasz, wreszcie przystępując do kobiety i obejmując ją za ramiona. – Co pani wyprawia?! Nie wolno naruszać nietykalności osoby urzędowej! Łamie pani prawo!

Do Leopoldowej rzucił się również jej kuzyn, wyraźnie zmieszany całym zajściem.

– Panowie wybaczą, proszę jej darować, ciągle znajduje się w szoku po stracie ukochanego męża – powiedział. – Nie może dojść do siebie. Ma powracające ataki

histerii. Z obawy o byt, o schedę po małżonku.

Pani Atalia wstała, zanosząc się płaczem. Ukryła twarz, wtuliła się w pierś kuzyna. Ten pogładził ją po głowie i niezręcznie uklonił się Glińskiemu.

– Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem Natan Meyer. Prowadziłem interesy finansowe w Berlinie i Gdańsku, od kilku dni przebywam w Warszawie, gdzie zamierzam otworzyć bank. Nie zależy mi na stanowisku wekslarza, pragnę tylko pomóc drogiej Atalii, którą znam od dziecka. Mogę ją reprezentować całkowicie bezinteresownie, nie chcę zarabiać na tym przedsięwzięciu. Ze swojej strony gwarantuję fachowość i uczciwość.

Gliński pokiwał głową, oceniając młodego finansistę. Z pewnością należał do tak zwanych niemieckich Żydów, czyli postępowych i cywilizowanych starozakonnych, próbujących asymilować się w polskim społeczeństwie. Golił brodę i ubierał się po europejsku, podkreślając nowoczesność i chęć odcięcia od żydowskiego pospólstwa, noszącego się jak w średniowieczu i zapełniającego najbiedniejsze części miasta. Pasowałby na wekslarza, pod warunkiem że okazałby się uczciwy. Wcześniej działał w Niemczech i Prusach, przez co był trochę podejrzany, mógł wszak okazać się szpiegiem obcego mocarstwa. Pan Augustyn stwierdził, że koniecznie trzeba mu się przyjrzeć.

– Aby zostać wekslarzem, musiałby pan okazać trzydzieści tysięcy czerwonych złotych aktywów – powiedział po chwili zastanowienia.

– Z tym nie będzie problemu. Atalia przepisze na mnie majątek Leopolda, prócz tego dysponuję własną, nie najmniejszą fortuną – z pewnością w głosie odparł Żyd.

Pani Leopoldowa natychmiast się uspokoiła i wyciągniętą z rękawa chusteczką otarła oczy. Gliński spostrzegł, że ma je wielkie i zielone, a po płaczu obłędnie błyszczące. Wdowa była niezwykle atrakcyjna, nawet on, lodowato zimny na niewieście wdzięki, musiał to przyznać. Od razu dostrzegła spojrzenie sekretarza generalnego i zatrzepotała rękami, robiąc zbolatą minę.

– Musi mi pan przedstawić jakieś listy referencyjne, do tego proszę sporządzić papiery przekazania majątku – powiedział wysoki urzędnik. – Obiecuję, że zajmę się tą sprawą niezwłocznie. Mnie też szczególnie zależy na sprawnym działaniu rynku finansowego w Warszawie. Chcę, by piątka wekslarska jak najszybciej wznowiła pracę w pełnym składzie.

– Dziękuję serdecznie, szanowny panie – powiedziała wdowa. – Nigdy tego panu nie zapomnę. Po grób będzie miał pan we mnie oddaną przyjaciółkę.

– Proszę mi jeszcze nie dziękować. Nie obiecuję, że się zgodzę.

Daniel stanął pomiędzy szefem a interesantami i szeroko rozkładając ręce oraz kłaniając się grzecznie, skierował ich ku drzwiom.

– Dziękujemy za wizytę. W stosownym czasie zostaną państwo poinformowani o decyzji ministerstwa. A teraz żegnamy. Pan sekretarz generalny ma mnóstwo pracy, od której zależy sprawne funkcjonowanie miasta. Do widzenia!

Zatrzasnął drzwi za Żydami i opierając się o nie plecami, westchnął ciężko.

– Co o tym myślisz, Tomaszu? – spytał Glina, sięgając do kieszeni po fajkę.

Cybuch był już nabity, pan Augustyn rozejrzał się więc w zadumie po gabinecie, bezskutecznie szukając ognia.

– Operatywna paniusia, nie można powiedzieć... – Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Aktywni ci Żydzi i chętni do roboty, to im trzeba przyznać. Gdyby im się nie chciało, to nie wiem, kto prowadziłby te wszystkie banki, lichwy i kantory.

– A Natan Meyer jak ci się widzi?

– Jakiś śliski taki i irytująco pewny siebie. Pazerna gnida – stwierdził Tomasz. – Pewnie za parę lat będzie jednym z najbogatszych finansistów w Warszawie.

– Wykorzystuje panią Atalię, by sięgnąć od razu po wysokie stanowisko?

– Nie wiem, kto tu kogo wykorzystuje. Wdówka nie sprawia wrażenia przesadnie bezbronnej, sprawdziłaby się jako aktorka scen warszawskich. Te jej histerie i zamiłowanie do dramatycznych scen... – podsumował śledczy.

Sekretarz generalny pokiwał głową, cmokając ustnik niezapalanej fajki. Wreszcie schował ją do kieszeni. Kurant zegara na ratuszu właśnie zaczął bić na południe.

– Przerwa. Idę do domu – oznajmił Glina i wyszedł z gabinetu.

V

Szaja skinął głową stójkowemu, któremu przypadło nieciekawe zadanie pilnowania wejścia do domu zmarłego pana Ataliasa. Mundurowy nie miał zbyt wiele do roboty, bo nie kręcili się tu ciekawscy. Żydowska ulica szybko przeszła nad zagadkowym zgonem do porządku dziennego. Pan Leopold został jeszcze przed świtem pochowany na cmentarzu na Pradze, jedynym, na którym można było grzebać Żydów. Rabin pomodlił się chwilę nad jego grobem i sprawa była zamknięta. Życie toczyło się dalej starym rytmem.

Appenzlak prowadził psy na dwóch rzemiennych smyczach, choć brytany zostały tak wyszkolone, że były mu całkowicie posłuszne. Mimo to nie chciał straszyć potworami przechodniów, trzymał je więc na uwięzi. Stójkowy przesunął się, robiąc mu miejsce i wpuszczając do środka. Żyd bez zastanowienia wszedł razem ze zwierzakami do kantoru. W środku zastał doktora Rittera, Rocha i Jaśka, którzy myszkowali po gabinecie. Krew została już zmyta z biurka i podłogi, znikła również szkatuła ze złotem. Najmłodszy śledczy na klęczkach opukiwał podłogowe deski, Gogiel badał piec, stukając kolejno w każdy kafelek kościaną rękojeścią noża, a lekarz wyciągał z półki hebrajskie księgi i kartkował je uważnie. Na widok Szai skinął mu głową.

– Co chcesz znaleźć w podłodze, Jaśko? – tropiciel zwrócił się do chłopaka. – Skrytkę?

– Ać co w tym dziwnego? – mruknął były ulicznik.

– Prócz skrytek próbujemy znaleźć drogę, którą wyszedł morderca – dodał Roch. – Gliński nie wierzy, że to dybuk zabił wekslarza. Musi się zatem znajdować tu drugie wejście. Drań, który rozwalił łeb Żydowi, zamknął główne drzwi od środka i się ulotnił. Ciągłe pozostaje pytanie: którą?

– Kraty w oknach nie są poluzowane, sprawdzaliście? Może da się je wyjąć?

– Przybite hufnalami grubymi na palec – odparł Jasek. – Podłoga też wygląda na całą. Zostaje piec lub ukryte przejście w któreś ścianie.

– A dwaj kałamarze wekslarza nic nie powiedzieli? Pytaliście gagatków?

– Ano. – Gogiel skinął głową. – Dwa durne gryzipiórki mało nie narobiły w portki, gdy wziąłem je na spytki. Śpiewały wszystko, co wiedzą, a nawet więcej. Do tego domu Atalias sprowadził się raptem dwa miesiące temu. Chałupa jest z piętrem, na konstrukcji z grubych bel. Właściciel nigdy nie wspominał czeladnikom o żadnych dodatkowych wyjściach ani ukrytych przejściach. Na moje oko dom ma zbyt prostą budowę, by ktoś w

nim instalował takie udogodnienia. Gdyby to był stary pałac, to tak, ale nowa chata jakiegoś Żydowiny? Dajcie spokój, nie ma tu żadnych niespodzianek. Wekslarza zabił wysłany przez kabalistów duch, który uleciał kominem, tracimy czas, mówię wam.

– Nie wydaje mi się, żeby dybuk był w stanie unieść ciężką maszynę i zadać nią kilka silnych ciosów – mruknął Szaja.

– Może sam spuścił sobie to żelastwo na łeb? – zauważył Jaśko. – Wystarczyło podrzucić je w górę i nadstawić głowę.

– Nie gadajcie głupot, tylko wrzracajcie do roboty – warknął doktor Ritter, który w chwilach oburzenia zwykł groźnie i nieprzyjemnie dla polskiego ucha utwardzać z niemiecka głoskę „r”. – A ty zabierz te cholerrne kundły, bo wążają mnie po jajach!

Appenszlak posłusznie wyprowadził psy, chłopak rzucił się do wnikliwego badania podłogi, a Roch powrócił do opukiwania i podważania kafelków pieca. Na podwórzu domostwa tropiciel spuścił brytany ze smyczy. Chwilę patrzył, jak brykają i obwąchują wszystkie kąty, a potem ruszył, by znów obejrzeć zabudowania gospodarcze. Okazało się, że z wozowni znikła dwukółka, a ze stajni oba konie, widocznie wdowa gdzieś pojechała. Chlewik i kurnik były puste i czyste, znak, że państwo jeszcze porządnie się na Gęsiej nie zdomowili. Wszak żaden warszawski dom nie mógł obejść się bez własnych kur, a wielu gospodarzy trzymało również krowy lub kozy.

Ruch w oknie prywatnej części zabudowań przyciągnął wzrok Szai. Mimo że w domu nie było wdowy, ktoś się po nim kręcił. Zaciekawiony policjant śmiało ruszył do drzwi i załomotał w nie kołatką. Czekał dłuższą chwilę, ale wreszcie mu otworzono. Wewnątrz stał wysoki, szczupły mężczyzna w eleganckiej liberii i, ku zdumieniu tropiciela, w białych rękawiczkach. Lokaj zmierzył Żyda pogardliwym spojrzeniem, błyskawicznie szacując wartość stroju, a co za tym idzie ważność gościa.

– Tak? – spytał obcesowo.

– Jestem funkcjonariuszem policji – powiedział Szaja. – Mam kilka pytań.

– Jesteś pan policjantem? Ach tak? I do tego uprawnionym do niepokojenia ludzi? – Lokaj patrzył na intruza z góry, nie ustępując ani na krok.

Appenszlak wyciągnął z kieszeni chałatu glejt opatrzony wielką pieczęcią z godłem Księstwa i licznymi zamaszystymi podpisami. Pomachał papierem przed nosem służącego.

– Jestem śledczym, wolno mi wejść do każdego domu i zadawać pytania, komu mi się spodoba. Mogę również aresztować przeszkadzających lub uwłaczających mi jako urzędnikowi państwowemu – oświadczył. – Mogę również bezkarnie strzelić w pysk chama, który nie okazuje mi należnego szacunku. Uważaj więc, człowieku, bo mam dziś zły dzień. Gadaj mi tu zaraz: od jak dawna pracujesz u Ataliasów? Gdzie byłeś w dzień

morderstwa? Kto ostatnio odwiedzał pana Leopolda? Może jacyś podejrzani kabaliści? Wekslarz trzymał z chasydami?

Lokaj chrząknął, nieco zmieszany. Jakby się skurczył, chyba po prostu przestał dumnie wypinać pierś. Nawet cofnął się o krok.

– Muszę pana rozczarować, ale pracuję u pani Atalii dopiero od dzisiejszego rana. Zatrudniła mnie przez kantor stręczenia służby. Nie znałem starego pana ani poprzednich służących. W dzień tragicznego zdarzenia siedziałem w domu, czekając na ofertę pracy. Jestem lokajem dysponującym trzema językami, w tym francuskim, do tego z licznymi referencjami. Pracowałem na dworze samej księżnej Lubomirskiej.

Szaja pchnął go i wszedł do środka. Znaleźli się w ciemnym korytarzu, ozdobionym jedynie naściennym świecznikiem.

– Nie uczono cię na książęcych pałacach, że nie rozmawia się z urzędnikiem przez próg? – warknął Żyd. – Dlaczego pani Atalia zwolniła starą służbę? Nie mówiła ci aby?

– Owszem, wspomniała – przyznał służący. – Powiedziała, że byli to brudni wszarze w pocerowanych chałatach, a ona dość ma żydowskiej biedoty pętającej się po domu. Rada była zatrudnić aryjskiego lokaja, by dodać domowi prestiżu. Jak to wyglądało w oczach interesanta lub ważnego gościa, gdy drzwi otwierał brodaty dziad w jarmulce?

– Aha – mruknął śledczy. – Chyba jest nastawiona bardziej nowocześnie niż jej zmarły mąż, co?

– Twierdzi, że najszybciej jak się da sprzeda tę chałupę i przeprowadzi się do cywilizowanej części miasta. Już szuka lokum na Krakowskim Przedmieściu, nie zamierza mieszkać w otoczeniu żydowskiej hołoty, wśród...

– Anijimów – dokończył policjant. – Rozumiem. Pewnie pan Leopold już przewraca się w grobie. Był ponoć pobożnym, skromnym Żydem. O proszę, jest nawet mezuzą.

Wskazał na talizman zamocowany przy drzwiach, który dopiero dostrzegł. W żydowskich domach od wieków umieszczano w wejściu zwitek pergaminu z tekstem z Tory, zamocowany w ozdobnym futerale, czasem nawet z kości słoniowej. Mezuzą wekslarza została wykonana z czarnego żelaza i nie miała ozdób, dlatego nie rzucała się w oczy. Appenszlak, zgodnie ze zwyczajem, ucałował dwa złączone palce i dotknął nimi talizmanu. Pod opuszkami wyczuł jakieś niewidoczne w półmroku wybrzuszenie na powierzchni przedmiotu. Uchylił drzwi, by wpuścić więcej światła, i przyjrzał się mezuzie z bliska. Wybrzuszenie okazało się żelaznym nitem wbitym w metal, zupełnie jakby prosta puszką z kawałkiem papieru wewnątrz była częścią większego urządzenia. Policjant dotknął talizmanu, a potem, by sprawdzić, jak jest zamocowany, pociągnął go ku sobie. Coś zachrobotало metalicznie i przedmiot odskoczył niczym przestawiona dźwignia. W tej samej chwili drzwi po przeciwnej stronie bramy, prowadzące do kantoru, z trzaskiem się zamknęły.

– Aj waj – szepnął policjant.

Wyskoczył na zewnątrz i złapał za klamkę drzwi kantoru. Szarpnął, ale nie udało mu się ich otworzyć, zostały zamknięte. Ktoś poruszył klamką od wewnątrz, pewnie doktor Ritter.

– Szaja, to ty? – spytał. – Zamknąłeś nas?

Żyd bez słowa wrócił do korytarza mieszkania i przesunął mezuze na swoje miejsce. W talizmanie kliknął jakiś trybik i drzwi kantoru otworzyły się z trzaśnięciem przesuwanych rygli. Lekarz wyjrzał na zewnątrz.

– Chyba już wiem, w jaki sposób morderca opuścił kantor i zamknął za sobą drzwi z kluczem tkwiącym w zamku od wewnątrz – triumfalnie oznajmił Appenszlak. – Zabójca posłużył się niezwykle zmyślnym mechanizmem, prawdziwym cackiem, które pan Leopold kazał zainstalować sobie dla wygody lub by dodatkowo zabezpieczyć kantor przed ewentualnym włamaniem.

Pozostali trzech policjanci wbiegli do mieszkalnej części domu i kolejno obejrżeli niezwykłą dźwignię udającą mezuze. Każdy z nich kilka razy za jej pomocą otworzył i zamknął drzwi. Ostatni był Jaśko, który przed przełączeniem skobli przeżegnał się, a mezuzy dotykał z rysującym się na twarzy lękiem.

– Kto skonstruował taki sprytny wihajster? – zadumał się medyk. – Prawdziwe mechaniczne cacko!

– Domyślam się kto – powiedział Szaja. – Ten sam jegomość, który skonstruował maszynę z cyferkami. Ciekawe, czy to też on roztrzaskał ją na głowie pana Leopolda?

– Któż to może być? – spytał chłopak.

– Mistrz Abraham Stern – odparł tropiciel. – Genialny mechanik i wynalazca. Pytanie tylko, czy ktoś inny prócz ich dwóch, pana Leopolda i Abrahama, wiedział o tej dźwigni? Jeśli nie, to nie musimy dłużej szukać zabójcy.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zwinąć ptaszka i go o to popytać. – Roch zatarł rękę.

– Glina właśnie szykuje urzędowy nakaz aresztowania. – Szaja skinął głową. – Kazał mi czekać na papier, bo nie chce zbyt pochopnym działaniem narazić się radzie kahału. Starsi, którzy nią rządzą, są wysoko postawieni i wpływowi. Nie wolno nam bez stosownych zezwoleń wpakować do ciupy szanowanego Żyda. Sam minister Potocki musi się na to zgodzić.

Gogiel wzruszył ramionami, a potem chuchnął w zmarznięte dłonie.

– Pozostaje nam zatem cierpliwie czekać. Może napalimy w piecu, a Jaśko w tym czasie pogna do najbliższej karczmy i przyniesie nam dzban czegoś na rozgrzewkę i jaką przekąskę? Wszak minęła już pora obiadu.

– Dlaczego ja? – burknął młodzieniec.

– Boś najmłodszy. – Roch szturchnął go pod bok. – Nie martw się, gdy tylko Glina zatrudni nowego policjanta, to on będzie po wszystko ganiał. Masz tu kilka dytków i pędź!

Chłopak wrzucił pieniądze do kieszeni kapoty, nałożył na głowę niegdyś czerwoną, a teraz burą od brudu konfederatkę i ruszył wykonać zadanie.

VI

Szczupak został usmażony na maśle i posypany suszonym koperkiem. Gliński zjadł rybę ze smakiem, zagryzając białym chlebem z mokotowskiej mąki. Pozwolił sobie na kufel dubeltowego, które wypił w fotelu przed kominkiem. Ciepło bijące z otwartego paleniska i przyjemnie pełny brzuch rychło sprowadziły senność. Sekretarz policji wyciągnął nogi na pufie i okrył je kocykiem, moszcząc się do krótkiej drzemki. Ledwie jednak przymknął oczy, w drzwi salonu ktoś nieśmiało zapukał. Do środka weszła Ania, młodzianka pokojówka na nauce. Dygnęła grzecznie i ze wzrokiem skromnie wbitym w podłogę chrząknęła niepewnie, wyraźnie bojąc się przeszkadzać pracodawcy.

– O co chodzi, moje dziecko? – łagodnie spytał Głina.

– Przyszedł właśnie jakiś duchowny, przedstawił się jako ksiądz Stanisław. Nalega, by jaśnie pan raczył go przyjąć – powiedziała, uważnie i starannie dobierając słowa.

– Ksiądz? Do mnie? – zdumiał się pan Augustyn.

Zrzucił koc i z westchnieniem wstał z fotela. Wizyty duchownych nie zdarzały się w jego domu od śmierci ojca, czyli od ładnych kilku lat. Gliński znany był w Warszawie jako postępowy wolnomularz, niechętny klerowi, oddany nauce i wierzący w moc ludzkiego umysłu. Religię traktował jako przeżytek, relikwiny dawnych epok. Nie utrzymywał zatem żadnych kontaktów z księżmi.

– Wprowadź go, proszę.

Ania dygnęła i zniknęła w głębi domu. Wróciła w towarzystwie mężczyzny po pięćdziesiątce o głowie z pokaźną łysiną okoloną zupełnie siwymi włosami. Duchowny nie nosił sutanny, a czarny surdut z białym fularem pod szyją i koszulę o wysokim, sztywnym kołnierzu. Uśmiechnął się do gospodarza i wyciągnął rękę na powitanie. Policjant gdzieś już widział księdza, nie mógł jednak sobie przypomnieć gdzie. Z pewnością nie w kościele, bo w nim nie był.

– Miło znów pana widzieć, sekretarzu generalny. – Duchowny miał silny uścisk dłoni.

– Proszę wybaczyć, że nachodzę pana bez zapowiedzi, a tym bardziej bez zaproszenia. Skłoniły mnie do tego pewne nadzwyczajne okoliczności. Chodzi o dobre imię Towarzystwa.

– Ksiądz raczy uściślić, jeśli łaska, jakiego towarzystwa?

– Towarzystwa Przyjaciół Nauk, oczywiście – odparł gość.

Pan Augustyn z trudem się powstrzymał, by nie trzasnąć się dłonią w czoło. Teraz już kojarzył, kim jest ksiądz. Spotkał go przed kilkoma tygodniami na posiedzeniu Towarzystwa, pierwszego tego typu stowarzyszenia w Polsce. Policjant przybył na nie jako obserwator, zaciekawiony działalnością organizacji, której statut współgrał z ideałami głoszonymi przez ryt masoński. Duchowny był jednym z najważniejszych działaczy, zdaje się nawet, że kandydatem na przewodniczącego młodego Towarzystwa. Sam klecha prowadził badania geologiczne i w związku z nimi odbywał liczne podróże. Był zatem przyrodnikiem, badaczem natury, co było dość nietypowym zajęciem dla duchownego. Jak się nazywał? Ania wspomniała jego imię... Stanisław. Ach tak! Stanisław Staszic!

– Proszę, niech ksiądz usiądzie. – Glina wskazał dwa stojące przed kominkiem fotele. – Może ksiądz się czegoś napije? Piwa, wina, miodu?

– Może kapkę miodu.

Staszic bez skrępowania usadowił się w jednym z siedzisk. Gospodarz wyszedł na korytarz, by zawołać służącą, ale Ania stała pod drzwiami niczym warta honorowa. Znów dygnęła i pognęła do kuchni po miód i naczynia.

– Jak mógłbym pomóc Towarzystwu? Co się właściwie stało? – Pan Augustyn usiadł obok gościa i splótł palce dłoni, opierając łokcie na podłokietnikach.

– Chodzi o zainteresowanie policji osobą pewnego wynalazcy. Ponoć dziś wystosował pan list gończy czy coś takiego tyżący tego pana. Bardzo nam to nie na rękę – rzekł ksiądz bez ogródek. – Jego aresztowanie uderzyłoby bezpośrednio w Towarzystwo. Nie życzymy sobie tego, właściwie stanowczo protestujemy przeciw niepokojeniu naszego protegowanego.

– Nie mówimy chyba o Abrahamie Sternie? – Gliński był naprawdę zdumiony. Jakim cudem informacja o wystawionym nakazie aresztowania w ciągu kilku godzin dotarła do zarządu Towarzystwa? Musieli mieć swoich ludzi w Ministerstwie Policji. To niebywałe! Kto szpieguje polskie urzędy?!

– Otóż o nim właśnie – uśmiechnął się duchowny. – Proszę sobie wyobrazić, że to ja jestem mecenasem tego rzemieślnika.

– Ksiądz opiekuje się Żydem? – upewnił się szef śledczy, przyzwyczajony do myśli, że Kościół katolicki raczej niechętnie odnosi się do obywateli wyznania mojżeszowego.

– Znalazłem go w zapadłej dziurze, tak jak znajduje się szlachetne kamienie w skalnych rumowiskach – przytaknął Staszic. – To ja sprowadziłem go do Warszawy, wyposażyłem mu warsztat, udostępniłem księgi. Abraham nauczył się kilku języków, pod moim okiem opanował matematykę i mechanikę. Do tej pory prowadzi studia.

– To wspaniałe i bardzo szlachetne ze strony księdza, ale nie ma związku ze sprawą, którą prowadzę – grzecznie zauważył pan Augustyn. – Próbuję wyjaśnić okoliczności

śmierci pewnego żydowskiego finansisty, a pan Stern może mieć bardzo ważne dla nas informacje. Chciałbym go przesłuchać, nic więcej.

– To wykluczone. – Duchowny pokręcił głową. – Abraham, jak każdy geniusz, ma pewne słabości, potrafi być ekscentryczny. Nie chcę, by ktoś go rozpraszał akurat teraz, gdy wykonuje dla nas niezwykle ważne zadanie. Dręczenie przez policję mogłoby wybić go z rytmu, wprowadzić w atak melancholii lub w pijacki ciąg. Nie możemy do tego dopuścić. Abraham stoi o krok od wiekopomnego odkrycia, pracuje nad niezwykle wyjątkowym wynalazkiem.

Ania wniosła tacę z kubkami i glinianą karafką wypełnioną dwójniakiem. Policjant nalał gęstą, aromatyczną ciecz do kubeczków i wręczył jeden gościowi. Obaj chwilę milczeli, smakując słodki napój.

– Bernardyński? – spytał Staszic.

– Mhm. Lipowy. – Gliński skinął głową. – Pragnę księdza zapewnić, że potraktujemy pana Sterna z należyтым szacunkiem i daleko posuniętą delikatnością. Jestem skłonny nie sprowadzać go na przesłuchanie, a udać się do jego warsztatu osobiście. Chcę skonsultować z nim pewien przedmiot, który posłużył do uśmiercenia finansisty, a o którym Stern może mieć coś do powiedzenia.

– To uprzejme z pana strony, sekretarzu generalny, muszę jednak nalegać, byście pozostawili Abrahama w spokoju. Powtórzę jeszcze raz: akurat znajduje się w trakcie konstituowania niezwykle wyjątkowego wynalazku. To odkrycie może zmienić świat, a na pewno przysłużyć się sprawie polskiej. Nie chodzi tylko o naukę, to coś więcej. Praca Abrahama może mieć znaczenie dla ojczyzny. Proszę zrozumieć i uszanować naszą prośbę, zostawcie go w spokoju. Jeszcze przez kilka miesięcy, nie więcej.

Glina podrapał się po brodzie w zamyśleniu. Nie mógł otwarcie sprzeciwić się Towarzystwu – organizacja, mimo że młoda, była już zbyt ważna i popierana przez znaczące osobistości, by z nią zadzierać. Nie zdziwiłby się, gdyby wyszło na jaw, iż informacje o aresztowaniu Sterna trafiły do niej bezpośrednio od ministra Potockiego. Co za los miał prosty warszawski policjant! Wpływy tylu koterii krzyżowały się w tym mieście, że można było się kompletnie zagubić. Jak by się człowiek nie obrócił, to komuś stanie na stopie. Kahał żydowski, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Francuzi, polska arystokracja, masoni, finansisci i kupcy, armia i książę Józef Poniatowski, niemieccy osadnicy, Kościół i protestanci, a do tego pruscy i rosyjscy szpiedzy. Każdy ze swojej strony trząsał miastem. I jak pracować w takich warunkach?

– Nie chcę angażować bezpośrednio ministra, by wydał panu polecenie. Wolałem załatwić tę sprawę osobiście, po przyjacielsku – uśmiechnął się ksiądz. – Towarzystwo obejmuje pełną opieką Abrahama, policja nie ma prawa nawet się do niego zbliżyć. Moi ludzie już w tej chwili pilnują jego spokoju. Proszę to uszanować i zapomnieć o tym

Żydzie, przynajmniej teraz. W zamian za współpracę jesteśmy gotowi się odwdzięczyć. Towarzystwo potrafi okazać przyjaźń. Lepiej żyć z nami w zgodzie, panie Gliński.

„Pilnują go przed policją, koniec świata” – pomyślał ze smutkiem szef sekcji kryminalnej. „Do czego to doszło! W razie gdybym odważył się wysłać do niego policjantów, skończyłoby się awanturą i być może nawet utratą przeze mnie stanowiska”.

Uśmiechnął się z przymusem do gościa, który mimo wszystko sprawiał sympatyczne wrażenie. Pan Augustyn wyczuwał, że Staszic jest porządnym człowiekiem, który stara się czynić dobro. Właściwie nawet nie wypadało z nim walczyć, faktycznie lepiej było mieć go za przyjaciela.

– Dobrze. Zostawimy pana Sterna w spokoju. Poszukam innego rzeczoznawcy – powiedział i dopił miód.

Słodki napój choć trochę złagodził dławiącą gorycz porażki.

VII

W warsztatach policji na Niskiej świeciło tylko w głównym pomieszczeniu posterunku. Weterani zatrudnieni przez Glińskiego jako nocni stróże dziś nie mieli służby. Ta przypadła Szai, który z radością skorzystał z okazji do odpoczynku od domowego harmidru, siostr Soni i namolnego dziadka Abrama. Nakarmił psy i zostawił je na podwórzu warsztatów, by odwały za niego robotę stróża. Rozpalił w piecu i przysunął do niego służbowe łóżko. Dzień był długi i nużący, więc ledwie zwinął się w koc, a zapadł w kamienny, pozbawiony marzeń sen.

Obudziło go coś, czego nie był w stanie ustalić. Hałas? Przeczucie? Usiadł gwałtownie na łóżku i rozejrzał się po pomieszczeniu. Ogień w piecu wygasł, a łojówka, którą zapomniał ze zmęczenia zdmuchnąć, zupełnie się wypaliła, posterunek pogrążony był zatem w egipskich ciemnościach. Appenzlak słyszał jedynie własny oddech, poza tym panowała absolutna cisza. Policjant nie mógł się wszakże uspokoić, siedział więc bez ruchu, uporczywie nasłuchując.

Cisza! Właśnie ona była tak niepokojąca. Wymacał przerzucone przez krzesło portki i spoczywający w ich kieszeni nóż, a także mocny rzemień, mogący służyć zarówno do krępowania aresztowanych, jak i duszenia przeciwników. Potem przypomniał sobie o leżącym na stole służbowym pistolecie. Bezszelestnie wstał i szybko się ubrał. Nie potrącając żadnego z mebli, wymknął się z pomieszczenia.

Mijał drzwi pustych cel aresztanckich i archiwum, w którym prócz dokumentów i opisów sekcji sporządzonych przez doktora Rittera trzymano także dowody i poszlaki. Zamarł, będąc na końcu korytarza, kiedy poczuł powiew zimnego powietrza. Drzwi wejściowe musiały być uchylone, a z pewnością je zamykał. Odciągnął kurek pistoletu i ruszył przed siebie. Poruszał się jak duch, bezszelestnie i szybko. Praktyka nabyta w czasie służby w charakterze szkolnika żydowskiego syndyka wpoila mu odruchy i zachowania zawodowego łapacza ludzi, którzy umieli się ukrywać. Potrafił podejść podejrzanego zupełnie niezauważony, niczym urodzony drapieжник.

Drzwi rzeczywiście były uchylone. Szaja wymknął się na zewnątrz i zlustrował podwórko. W ciemności, na białym tłuczniu, którym wysypano dziedziniec warsztatów, odcinały się dwa czarne kształty. Poza tym panował zupełny bezruch i cisza. Policjant doskoczył do pierwszego z ciemnych ciał i kucnął przy nim, walcząc z rozplywającą się w żyłach grozą.

– Piesku, piesku, kto ci to zrobił? – szepnął, gładząc martwego przyjaciela.

Zabezpieczył pistolet i zatknął go za pasek, a potem podszedł do drugiego zwierzęcia. Oba brytany, pieczołowicie wychowane i wyszkolone, powiernicy jego żali i smutków, towarzysze żydowskiej niedoli i rzadszych chwil szczęścia, leżały sztywne. Ktokolwiek je zabił, zdołał potem bezszelestnie włamać się do posterunku, nie budząc wyczulonego tropiciela.

Appenszlak klęczał i płakał, gładząc psi łeb. Długo nie mógł dojść do siebie, by zacząć działać. Trzeba wszak sprawdzić, co zostało skradzione i czy złodziej nie zostawił jakichś śladów. Musiał przecież odszukać sukinsyna i wypruć mu bebechy. Musiał mu zapłacić za zabójstwo dwóch ukochanych istot. Dokona tego, nawet jeśli przyjdzie mu poruszyć niebo i ziemię.

*

Gliński przechadzał się po posterunku, gryząc zgaszoną fajkę. Roch stał w kącie pomieszczenia ze splecionymi na piersi rękoma i przyglądał się szefowi. Wiedział, że gdy ten się zastanawia, lepiej mu nie przeszkadzać. Pan Augustyn, który przyjechał na Niską z samego rana, obszedł najpierw podwórze, potem obejrzał złupione archiwum, a w końcu zamek w drzwiach, który został otworzony tak cicho, że Szaja niczego nie słyszał. Jaśko stwierdził, że dobry złodziej bez problemu mógł cienkim drutem podważyć taki skobel, nic w tym nadzwyczajnego. Od takich fachowców ponoć w Warszawie aż się roilo.

Najbardziej jednak zdenerwowało Glinę nie samo włamanie, ale to, że skradziono tylko jeden przedmiot – maszynę cyfrową, którą zabito Ataliasa. Co będzie, gdy wyda się, że policja dała się okraść z jedyne go dowodu w sprawie? Jaki wstyd, coś okropnego!

– Komuś bardzo zależy, byśmy zamknęli śledztwo, i to po cichu – powiedział. – Albo liczyła się dla niego sama maszyna, ale to chyba możemy wykluczyć, była wszak zupełnie zniszczona.

– Mamy jakichś podejrzanych prócz Sterna? – spytał Gogiel.

– Nie, on jest jedyny, ale niestety znajduje się poza naszym zasięgiem – burknął szef.

– Wyjechał z Warszawy?

– A skąd! Mamy zakaz zbliżania się do tego gagatka, i to nie są żarty. Nie wolno go niepokoić, jego spokojnego snu pilnują bardzo wpływowi ludzie.

– Chrzanić ich. – Olbrzym wzruszył ramionami. – Mogę go odwiedzić i wyszarpać za brodę, aż wszystko wyśpiewa. Nie jako policjant, a prywatnie.

Pan Augustyn uśmiechnął się do pełnego zapału wielkoluda, ale nie mógł się na to zgodzić. Musiał poszukać jakiegoś innego tropu. Paradoksalnie mógł się nim okazać włamywacz, który ukradł maszynę. O ile udałoby się go odnaleźć. Tylko jak szukać

drania, który nie pozostawił żadnych śladów? Jeszcze wczoraj wezwałyby Szaję z psami tropiącymi, może chwyciłyby trop, ale dziś? Pieski były zimnymi trupami, a jak szybko zdiagnozował doktor Ritter – poczęstowano je zatrutą kiełbasą. Trzeba będzie wysłać chłopców w otchłanie biednych uliczek zasiedlonych przez najgorsze szumowiny, gdzie znajdowały się złodziejskie dziuple i rezydowały męty trudniące się kradzieżą.

– Weź Jaśka i zróbcie rozeznanie na Starym Mieście i Powiślu – rozkazał Rochowi. – Pytajcie o najlepszych włamywaczy, słynących z wyjątkowej sprawności. Jeśli któryś wyda wam się podejrzany, przesłuchajcie go na miejscu i zróbcie rewizję. Chcę poznać zleceniodawcę tej kradzieży.

– Może weźmiemy doktorka z zestawem narzędzi? Czasem sam ich widok wystarczy, by największy nawet łobuz zaczął gadać. Obawiam się, że moja pięść może nie wystarczyć, by szybko zdobyć informacje. Te łajzy to w gruncie rzeczy twarde sukinsyny, niezbyt skore do zwierzeń. A nikt tak nie potrafi skłonić człowieka do mówienia jak pan Tytus.

Gliński pokiwał głową i Gogiel wydarł się przez drzwi do kręcącego się w kuchni Jaśka, by leciał po medyka. Doktor tkwił w swojej szopie, pewnie znów zajmując się studiami anatomicznymi, rozbierając na części trupa jakiegoś włóczęgi lub żebraka. Zjawił się po dłuższej chwili, wycierając ręce w szmatę. Na głowie miał uprząż ze szklami powiększającymi, czyli rzeczywiście zajmował się badaniami.

– Musiałem się do niej wziąć, zmarli nie lubią długo czekać. Szybko się psują – wyjaśnił. – Pogoda co prawda jeszcze chłodna, ale kobieta została znaleziona dobrych kilka dni po śmierci.

– Co to za przypadek? – spytał sekretarz generalny.

Śmiertelność w mieście była bardzo wysoka, szczególnie w niższych warstwach ludności. Ciała uliczników i biedoty, znajdowane w rynsztokach lub ciemnych zakamarkach, trafiały do szopy doktora. Przewijało się przez nią tyle zwłok, że Glina już dawno zrezygnował ze śledzenia prac medyka. Ten zwykle badał ciało, by sprawdzić powód zgonu, i przekazywał je grabarzom opłacanym przez miasto do pogrzebania na koszt magistratu. Czasem, bardzo rzadko, udawało się zidentyfikować zwłoki i oddać je rodzinie. W wyjątkowych okolicznościach, przy ewidentnie brutalnych morderstwach, śledczy podejmowali się czynności dochodzeniowych i czasem nawet łapali sprawców.

– Podstarzała prostytutka, leżała w chaszczach nad Wisłą. Wątrobę miała obrzmiałą i dziurawą jak rzeszoto, marską i niezdolną do funkcjonowania. Tak zniszczone organy znajduje się u osób nagminnie się upijających. Podejrzewam, że zapłała się na śmierć i została zaniesiona nad rzekę przez karczmarza, u którego pracowała. Nie chciał sobie robić kłopotu z pochówkiem.

Pan Augustyn machnął ręką. Takich przypadków mieli na pęczki i nie były godne, by poświęcać im uwagę.

– Pójdzie pan z Rochem i Jaśkiem w obchód złodziejskich dziupli. Poszukacie włamywacza, który nas okradł. Ja za chwilę wymuszę na komisarzy cyrkułu przydzielenie na stałe dwóch uzbrojonych ludzi do ochrony naszych warsztatów. Dość tego, nie zniósłbym, gdyby ktoś znów się do nas włamał – oznajmił, ciągle zirytowany nocnymi wydarzeniami. – Aha, a gdzie jest Szaja?

– Zabrał psy, by je pochować. Mówił, że pogrzebie je na swoim podwórku – powiedział najmłodszy ze śledczych.

– Ustalił pan, czym zostały otrute? – Glina spojrzał na doktora.

– Nie zdążyłem. Szaja nie pozwolił na sekcję. Znalazłem za to w pysku jednego solidny kawał kiełbasy naszprycowany białym proszkiem. Nie wiem jednak, co to za trucizna.

– Szkoda. Musiała być mocna, skoro powaliła psy w trakcie jedzenia – zauważył szef. – Tak groźne specyfiki nie są dostępne dla pospólstwa. Gdybyśmy wiedzieli, u którego aptekarza można coś takiego kupić, może złapałibyśmy kolejny ślad...

– Nie potrafię jednoznacznie ustalić co to takiego, przykro mi. – Ritter rozłożył ręce. – Właściwie nawet nie podejrzewam, czym może być, nie znam aż tak mocnych trutek. Wydaje mi się, że nie jest pochodzenia naturalnego, to nie jest sproszkowana roślina, grzyb czy zestalony jad węża...

– Proszę zapakować mi tę kiełbasę. Zabiorę ją do kogoś, kto może pomóc – polecił Gliński. – A teraz, panowie, do roboty.

Po paru minutach sekretarz generalny, z kiełbasą zawiniętą w szmatkę i włożoną w kieszeń surduta, wpakował się do swojego powozu bez budy i kazał skulonemu na koźle woźnicy jechać na Nowosenatorską. Postawił kołnierz i głęboko wbił się w siedzenie. Choć zima już puściła, ciągle niezbyt przyjemnie jeździło się powozem pozbawionym osłony przed wiatrem.

Na Starym Mieście skręcili w jedną z uliczek o ciasno upchanych, zaniedbanych kamienicach. Ich brudne, pokryte zaciekami fasady nosiły ślady pęknięć, widniały w nich też dziury po muszkietowych kulach z czasów insurekcji kościuszkowskiej. Kręciło się tu mrowie żydowskich dzieciaków i różnych brodatych indywiduów. Wszyscy oni mieli być niedługo wysiedleni do nowej starozakonnej dzielnicy na północy miasta.

Pan Augustyn kazał się zatrzymać i wysiadł z powozu, rozglądając się niepewnie. Okoliczne rudery wydawały mu się bliźniaczo podobne, nie mógł więc przypomnieć sobie, która z nich jest tą, której szuka. Jego spojrzenie padło na przyglądającego mu się starego Żyda w brudnym chałacie i z długą białą brodą.

– *Szalom alechem*, dobry człowieku! – Policjant ukłonił się. – Wie pan może, gdzie mieszka Szaja Appenszlak?

– Może wiem, a może nie, zależy, kto pyta – odparł beczelnie starzec, za nic sobie mając urzędowy strój Glińskiego, od razu sugerujący, że ma się do czynienia z wysoko postawionym oficjalistą.

– Augustyn Gliński z Ministerstwa Policji. – Szef Wydziału Śledczego nie sprawiał wrażenie obrażonego postawą rozmówcy.

Ten niespodziewanie żwawo podszedł do niego, gnąc się w ukłonach, aż brodą zaczął zamiatać po mokrym bruku.

– Najjaśniejszy pan Gliński! Jakże się cieszę, mogąc waćpana oglądać. Wasza sława dotarła nawet tutaj, na dno ludzkiego upodlenia, w kloakę potężnego ongiś miasta, między ludzi biednych i prostych, przymierających głodem, niemających co do ust włożyć. Zaprowadziłbym was, najwyższa łaskawość, gdybym miał siły, ale starość i bieda ciągną mnie do ziemi. Wykrzesalbym z siebie nieco energii, gdybym dostał czerwienca na późniejszą rekonwalescencję, odbudowę sił.

– Czerwieniec? Masz tu, człecze, dwa dytki, kupisz za nie chleb i pół funta wołowiny.

– Albo cały garniec pośledniego piwa! – Izraelita pazernym, niebywale wprawnym ruchem zgarnął monety. – Proszę tędy, najjaśniejszy panie! Szaja Appenszlak, mój niezdarny i niezaradny wnuczek, mieszka właśnie tutaj.

Nie ruszając się miejsca, starzec wskazał bramę, przed którą właśnie stali. Wreszcie ruszył przodem, garbiąc się i pojękując przy każdym kroku. Wyraźnie odgrywał przedstawienie, mające podkreślić poświęcenie, z jakim zapracowuje na otrzymane monety. Przeszli kilka kroków i znaleźli się na wydeptanym, zabłoconym podwórku. Minęli szopkę i przechyloną ze starości latrynę, po czym weszli do sporego ogródka kończącego się płotem oddzielającym tę posesję od sąsiedniej. Szaja uklepywał właśnie drewnianą łopatą zasypaną psią mogiłę.

– Niech pan spojrzy, jak się przejął utratą tych pchlarzy – powiedział staruszek. – Ale co się dziwić, dzięki nim zarabiał na chleb. Co teraz z nami będzie? Wie najłaskawsza wysokość, że ten dzielny, choć głupi i żałośnie nieporadny młodzieniec ma na utrzymaniu żonę i trójkę dzieci, a do tego mnie, zniedołężniałego starca? Okażesz nam, jaśnie panie, miłosierdzie i wspomozesz ofiarą na rzecz głodujących dzieci Szai? Po chrześcijańsku byłoby również podniesienie poborów tego cymbała, znaczy mego wnuka. A przynajmniej proszę nie zabierać dodatku na wyżywienie psów...

Młodszy Appenszlak zauważył wreszcie przybyszy i na chwilę zdębiał, widząc szefa w towarzystwie niesfornego dziadka, szepczącego mu do ucha swoje bezceństwa lub naciągającego na wódkę.

– Co pan tu robi, panie sekretarzu generalny?! – Rzucił łopatę i doskoczył do starca, w locie łapiąc go pod ramię i odciągając od urzędnika. – Widzę, że poznał już pan Abrama, z którym niestety jestem spokrewniony.

– Tak, bardzo miły jegomość – odparł Gliński. – Postanowiłem cię odwiedzić, by zobaczyć, jak się miewasz. Boję się, że mogłeś zbyt się przejąć. Może odsunę cię od służby na kilka dni, byś doszedł do siebie?

Szaja pokręcił głową, ze smutkiem się uśmiechając. Puścił szarpiącego się w uścisku dziadka.

– Nie ma potrzeby, nic mi nie jest. Nieco się rozgniewałem, ale zdążyłem już ochłonąć. Jestem gotów do dalszej pracy.

– Czy nie należy mu się aby jakieś odszkodowanie za stratę zwierząt? Oddały wszak życie na służbie! – zauważył Abram, który mimo prób wnuka nie odsunął się nawet na krok.

– Były utrzymywane przez policję, poległy w obronie posterunku – westchnął tropiciel. – Zrobiły to co do nich należało, nic mi z tego powodu nie przysługuje.

– Aleś ty durny – syknął staruszek. – Bóg mnie pokarał takim moralnie upośledzonym wnukiem. Za grosz tego, jak mu tam...

Gliński przyglądał się Żydom z mieszaniną rozbawienia i smutku. Współczuł położeniu biednych synów mojżeszowych, którzy prócz głodu i ciągłej niechęci ze strony bogatszych pobratymców cierpieli z powodu niesprawiedliwych podatków, które bezlitośnie pobierały od nich władze kahału, by przekazać miastu. Pan Augustyn wspomógł Szaję, zatrudniając go jako śledczego, ale wiele więcej nie mógł zrobić. Urząd, w którym pracował, miał mały budżet, w dodatku nie pełnił funkcji organizacji charytatywnej.

– Mam dla obu panów zadanie – powiedział Glina, uśmiechając się w myślach. – Trzeba w sposób dyskretny dotrzeć do żydowskiego mistrza mechaniki Abrahama Sterna. Z tego, co wiem, znajduje się pod obserwacją, a może nawet jest pilnowany przez uzbrojonych strażników. Ci ludzie strzegą go przed policją, nie mogę zatem dobrać się do niego oficjalnie...

– Co mu trzeba zrobić? Rozwalić łeb? Pchnąć nożem? – Staruszek aż zatarł ręce. – Nie takie rzeczy się robiło w dawnych czasach. Za króla Augusta pracowałem w cyrku jako akrobata i żongler nożami. Połykałem też ogień. Potrafię poruszać się jak kot, dotarłbym po dachach choćby do sypialni Anetki Potockiej, strzeżonej przez szwadron szwoleżerów-lansjerów gwardii, i zerwał jej halkę, nawet nie budząc panienki. Co to dla mnie wdarcie się do chałupy jakiegoś Żyda i dziabnięcie go nożem! He!

– Dziadku – syknął Szaja. – Co też dziadek pleciesz?!

– Nie chodzi o zrobienie mu krzywdy, chcę tylko, byście zadali mistrzowi parę pytań i na miejscu wybadali to i owo. Myślę, że dwóch niepozornych Żydów odwiedzających pobratymca nie wzbudzi niepokoju jego warty.

– Doskonały pomysł, szefie. Zaraz się tym zajmę, a dziadek może lepiej niech utnie sobie drzemkę – powiedział były szkolnik.

– Jeszcze czego! Idę z tobą, młokosie. Po pierwsze, jaśnie oświecony pan Gliński płaci brzęczącą monetą, a po drugie, ktoś wreszcie musi pokazać ci, jak działa prawdziwy tropiciel i wywiadowca. Idziemy razem, jasne?

– Jasne – mruknął zrozpaczony Szaja.

VIII

Kolejnym przystankiem był pałac przy ulicy Miodowej, którą niedawno przemianowano na Napoleona. Pan Augustyn czuł się tu niezwykle światowo i dystyngowanie, wszak jeszcze kilka miesięcy temu ulica ta nie tylko stanowiła centrum miasta, ale też biło na niej serce najpotężniejszego imperium Europy. Przez czas pobytu w Warszawie jego wysokości Napoleona Wielkiego po tych brukach spacerowały koronowane głowy z całego świata, w okolicznych pałacach mieszkali książęta i dostojnicy z podbitych i sprzymierzonych krajów. Na ulicy można było spotkać tureckiego paszę z zakrzywioną szablą u pasa, saskiego księcia w białej, pudrowanej peruce, weneckiego dożę w kapiącym od złota surducie czy perskiego pośta w barwnym turbanie. Dziś było tu już nieco spokojniej i mniej ludnie, ale i tak czuło się bijące dla Napoleona tętno wielkiego świata.

Powóz Glińskiego wjechał przez otwartą bramę jednego z pałaców i zatrzymał się na wybrukowanym dziedzińcu. Natychmiast podszedł służący, uklonił się i odprowadził przybysza do wejścia. Zostawił go w szerokim korytarzu, w którym znajdował się stolik i kilka krzeseł dla oczekujących interesantów. Policjant zdjął wilgotny surdut i kapelusz, po czym rzucił je na stolik. Już po chwili pojawił się sam gospodarz, hrabia Chodkiewicz, ubrany w koszulę o zakasanych rękawach i skórzany biały fartuch, zupełnie taki sam, jakie nosili saperzy. Roboczy strój arystokraty zdobiły liczne barwne plamy.

Hrabia, wesóły trzydziestoparolatek, przywitał gościa z szerokim uśmiechem. Od lat znali się i spotykali często jako bracia z tego samego wolnomularskiego rytu. Aleksander Chodkiewicz parał się badaniami naukowymi, pisał liczne prace poświęcone obserwacjom fizycznym i chemicznym. W swoim pałacu urządził pierwsze w kraju laboratorium, które zapełnił sprzętem ściągniętym z Paryża i Berlina. Prowadził tu najróżniejsze eksperymenty, które potem opisywał w publikacjach i podręcznikach.

Panowie uścisnęli się serdecznie, a potem hrabia zaczął rozsznurowywać taśmy fartucha, by go zdjąć i zaprosić gościa do gabinetu na kapkę czegoś mocniejszego. Spytał również, czy Glina zgodzi się zostać na obiedzie.

– Proszę się nie kłopotać, drogi panie Aleksandrze! – Policjant uniósł ręce. – Nie chcę ci przeszkadzać w pracy, zaraz sobie pójdę. Przyszedłem tylko skonsultować z tobą pewną sprawę wymagającą naukowych umiejętności.

– To wspaniale! – ucieszył się Chodkiewicz. – Chodźmy zatem do laboratorium, chyba jeszcze w nim nie byłeś. Koniecznie musisz je zobaczyć.

Przeszli korytarzem do drzwi, przed którymi stał służący w liberii. Otworzył je przed nimi, kłaniając się lekko. Znaleźli się w długim salonie, niegdyś będącym chyba bawialnią, bo zaopatrzonym w potężny kominek, misternie zdobiony marmurem. Płonął w nim ogień, a na umieszczonym nad nim ruszcie wisiał miedziany kociołek o zamkniętym wieku, z którego sterczała wężownica. Zwinięta w spiralę, przechodziła przez część pomieszczenia, a z jej końca kapłała jakaś ciecz do szklanego naczynia stojącego na podłodze. Poza tym w pomieszczeniu znajdowały się długie stoły zastawione zagadkowym sprzętem: retortami o dziwnych kształtach, próbkami w statywach, ceramicznymi móździerzami i blaszanymi kotłami. Z drugiej strony sali stały regały pełne butelek i buteleczek, niczym w ogromnej aptece. Powietrze wypełniały pomieszane zapachy, również kojarzące się Gliškiemu z apteką.

Hrabia poprowadził gościa do biurka i odsunął jedno z dwóch stojących przy nim krzeseł. Policjant usiadł i wyciągnął z kieszeni surduta zawiniątko. Rozwinął je bez słowa i zaprezentował pochylonemu Chodkiewiczowi pogryzioną nieco kielbasę.

– Nasze dwa policyjne psy zostały tym otrute. Doktor Ritter nie jest w stanie ustalić, co to za substancja. Pomyślałem, że...

Chemik powąchał kielbasę i, ku zdumieniu Gliny, wetknął palec w biały proszek, który się z niej wysypał, po czym wsadził go do ust.

– Trucizna! Na litość boską, to trucizna! – Pan Augustyn poderwał się na równe nogi.

Patrzył ze zgrozą na naukowca spokojnie stojącego ze wzrokiem utkwionym w suficie. Potem pan Aleksander podszedł do laboratoryjnego stołu i splunął do stojącego przy nim wiadra.

– Bardzo charakterystyczny zapach migdałów, do tego metaliczny posmak. Szczypanie i cierpięcie języka też poznaję. Znam to! Cyjanek – oznajmił zadowolony.

– Ale dlaczego do ust? – jęknął ciągle wystraszony szef śledczych.

– Mój drogi, prawdziwy chemik w trakcie badań posługuje się wszystkimi zmysłami. Znam smak większości trucizn. I nie martw się, jeszcze sam Paracelsus mówił, że wszystko jest trucizną i nic nią nie jest. Własności toksyczne zależą od dawki. To ona powoduje, że dana substancja staje się albo lekiem, albo zabójcą.

– Ach – westchnął Gliški. – Aleś mnie wystraszył. Powiedz, co to takiego ten cyjanek i gdzie go można kupić?

– Nigdzie! – Hrabia sprawiał wrażenie ciągle z siebie dumnego. – Ta substancja została odkryta raptem rok temu przez Humphry'ego Davy'ego, profesora Królewskiego Instytutu Wielkiej Brytanii. Jak wiesz, śledzę na bieżąco światowe odkrycia naukowe i staram się powtarzać co ciekawsze eksperymenty. Z wieloma teoriami się nie zgadzam,

choćby z tą, która neguje istnienie ciepła. Wyobrażasz sobie, drogi panie Augustynie, że wielu wybitnych naukowców twierdzi, iż cząstki ciepła nie istnieją? To niech podejda do ognia i wyciągną rękę. Przecież czuć na własnej skórze, jak drobinki ciepła umykają z płomieni! Ha!

– Tak, z pewnością, nie da się zaprzeczyć, ale wróćmy do tej trucizny...

– Oczywiście! – Chodkiewicz doskoczył do laboratoryjnego stołu i szarpnięciem zrzucił płótno okrywające jakąś dziwną maszynę z korbą. – Spójrz, to generator piorunów. Trzeba pokręcić tą oto korbą i między tymi dwiema kulkami zaczyna przeskakiwać iskra. Otóż pan Davy wpadł na pomysł, by podłączać tę maszynkę do różnego rodzaju roztworów i metali zanurzonych w kwasach. Otrzymał w ten sposób wiele niezwyklej substancji. Najciekawszą z nich nazwał *oxygen*, ja zaś dałem jej nazwę kwasorodu. To niewidzialny i niewyczuwalny gaz, który otacza nas zewsząd. Umożliwia palenie się ognia, produkują go rośliny, a my nim oddychamy. Davy udowodnił, że znajduje się nawet w wodzie! Coś niebywałego! To dowód, że ryby jednak oddychają, i to tym samym co my! Niewyobrażalne!

Naukowiec coraz bardziej się ożywił, wymachiwał rękoma i mówił coraz głośniej. Potargał czuprynę, co chwila szarpiąc się za włosy, przez co wyglądał jak szaleniec.

– Spytasz, dlaczego nazwałem go kwasorodem? – wycelował palec w Glińskiego.

– Tak? – uprzejmie odparł policjant. – Dlaczego?

– Bo to on jest odpowiedzialny za ich powstawanie! Nie wierzysz? Wystarczy odkorkować butelkę wina i zostawić ją na powietrzu. Co się stanie? Kwasoród z powietrza wejdzie do środka i zamieni wino w kwas! To prosta obserwacja, z którą nie można się nie zgodzić!

– Fascynujące, ale wracając do trucizny zwanej cyjankiem...

– Ach, tak. Wybacz, panie Augustynie. – Gospodarz opanował się i przygładził włosy. – Cyjanek to jedna z substancji, którą Davy otrzymał, przykładając prąd do roztworu soli metali. Tylko w ten sposób umiemy otrzymać ów związek. No cóż, powtórzyłem eksperymenty tego wybitnego naukowca i otrzymałem, prócz kwasorodu z wody, także cyjanek z potażu i mocznika oraz...

– Czeka! To znaczy, że właśnie ty zrobiłeś tę truciznę? – Oficjel w zaskoczeniu uniósł brwi. – Nie można jej nigdzie kupić? U żadnego aptekarza?

– Nie. Tak jak mówiłem, do jej otrzymania potrzebne są pioruny i całe wyposażenie laboratorium, a z tego, co mi wiadomo, jedyne w Księstwie znajduje się właśnie tutaj. Uzyskałem pół słoiczka cyjanku w ubiegłym tygodniu. Okazało się, że ta substancja pachnie migdałami. To ciekawe, nieprawdaż? Może zatem znajduje się także w sposób naturalny w tych orzechach? A my jemy je i nic złego się nie dzieje. Wystarczy jednak ją wyizolować i zażyć w większej dawce, by na miejscu paść trupem.

– Przekazałeś ten słoiczek Towarzystwu Przyjaciół Nauk? – niewinnym tonem spytał pan Augustyn.

– Nie, ale omówiłem jej otrzymanie i działanie na ostatnim zebraniu. Temat spotkał się z ogromnym zainteresowaniem całego gremium. Wszyscy wachali migdały uzyskane z potażu i moczu. Coś niebywałego. Nauka kryje jeszcze tak wiele tajemnic...

Gliński pokiwał głową. Chodkiewicz oczywiście należał do Towarzystwa, ale czy przyłożył rękę do ataku na posterunek na Niskiej?

– Czy to ty zatrąłeś tę kielbasę, panie Aleksandrze? – Policjant lubił jasne sytuacje.

– Ależ skąd! Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego! Nie uznaję eksperymentów na żywych stworzeniach. To bezbożne i okrutne. Nikomu też trucizny nie oddałem, nadal powinna stać na półce.

Glina pokiwał głową.

– Sprawdźmy, proszę.

Hrabia podszedł do regału, po czym chwilę wodził ręką wzdłuż szeregu buteleczek i słoików. Wreszcie opuścił dłoń.

– Nie ma. Zniknęła – westchnął. – Pierwszy raz coś takiego mi się zdarzyło.

– Członkowie Towarzystwa mają wolny wstęp do twojego laboratorium? Czy ksiądz Stanisław odwiedzał cię w ostatnich dniach? – Sekretarz generalny wyciągnął z kieszeni nabitą fajeczkę i wsadził ją w zęby.

– Chętnie dzielę się swoim gniazdem z innymi głodnymi wiedzy. Przychodzą do mnie żacy i młodzi ludzie kochający naukę. Członkowie Towarzystwa bywają bardzo często, ale księdza Stanisława jeszcze nie podejmowałem.

– Pamiętasz gości z ostatnich dni?

– Żartujesz? Nie zaprzątam sobie pamięci takimi drobiazgami, ale mój lokaj, Krzysztof, trzyma rękę na pulsie tego domu. Wie wszystko. Zaraz go poproszę.

Glina zacisnął zęby na cybuchu i uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że właśnie wpadł na trop zabójcy wekslarza.

IX

Dziadek Abram nawet nie musiał nikogo pytać, gdzie urzęduje mistrz Stern. Co prawda nigdy nie korzystał z jego usług, ale szczycił się tym, że doskonale zna środowisko warszawskich Żydów, nawet tych, którzy wybili się nad liczną mojżeszową biedotę. Przed wyruszeniem w drogę uzbroił się w stary, długi nóż, który dostał kiedyś od zaprzyjaźnionego koszernego rzeźnika. Ostrze zostało w jednym miejscu wyszczerbione, przez co nie nadawało się do rytualnego uboju, nadal jednak było ostre jak brzytwa i miało groźny szpic.

– Po co dziadkowi to żelastwo? – mruknął Szaja.

– Na robotę zawsze chodzimy uzbrojeni. Ty przecież też nosisz nóż w kieszeni, myślisz, że nie wiem? – obruszył się staruszek.

– Ale ja jestem policjantem...

– Teraz ja też. Przynajmniej na jakiś czas – uśmiechnął się Abram, a potem zmarszczył brwi i pogroził wnukowi palcem. – Tylko nikomu o tym ani słowa, dobra? Bo stanę się pośmiewiskiem całego Starego Miasta! Na stare lata chwycić się tak parszywej roboty, tfu! I tak cała ulica patrzy na mnie wilkiem, od kiedy zostałeś łapaczem syndyka.

– To było ponad dziesięć lat temu i wziąłem się do tej roboty, byśmy nie pozdychali z głodu. Gdy przynosiłem do domu gorzałę, jakoś nie pytałeś, jak na nią zarobiłem!

– No tak, ale z drugiej strony szpiegowanie i tropienie własnych braci to najgorsze, czego mogłeś się podjąć.

Młodszy Appenszlak warknął ze złości. Zaczynał karierę jako tropiciel na usługach syndyka, a odszukiwał wyłącznie Żydów przebywających w mieście nielegalnie i bez opłaconych biletów oraz tych unikających regulowania należności. Władze kahału musiały ich łapać, by mieć z czego wnosić mordercze podatki i pokazać, że panują nad własną społecznością. Niechętni starozakonnym Polacy tylko czekali na potknięcia starszych gminy, by pod byle pretekstem wygnąć synów Abrahama z miasta – wcześniej ich ograbiwszy, rzecz jasna. Szaja pomagał zapanować nad co krnąbrniejszymi pobratymcami i dzięki temu działał na korzyść warszawskich Żydów, mogących przy jego udziale utrzymać suwerenność swojej hermetycznej społeczności. Wykonywał robotę parszywą, ale konieczną. Tłumaczył to dziadkowi setki razy, ale starzec nadal się wstydził fachu wybranego przez wnuka.

Zeszli uliczkami Starego Miasta w kierunku Mariensztatu, a potem ruszyli dalej na południe, wzdłuż rzeki. Im bliżej Wisły, tym bruk robił się bardziej podły i dziurawy, aż wreszcie znikł, zastąpiony zwykłymi, miejscami zupełnie nieutwardzonymi drózkami. Na Powiślu Warszawa traciła swój wielkomiejski charakter, zamieniając się w typową polską wieś. Nie było tu ani jednego pałacu czy murowanej kamienicy, a jedynie kryte strzechą, swobodnie porozrzucane chałupy. Otaczały je mniej lub bardziej zadbane poletka, po których łążyły stada kur. Warszawscy chłopcy przeganiali po grząskich drogach wychudzone krowy, śmierdział gnój rozrzucony na polach jako nawóz. Bliżej Wisły pojawiły się domy rybaków otoczone stojakami, na których wisiały sieci. Czuło było dym z wędzarni, a łodzie z hukami kuli wielkie bryły marcowego lodu, który miał trafić do piwnic i dołów, by wystarczyć miastu na całe lato.

– Ponoć mistrz urzęduje opodal Książęcej – powiedział Abram. – To może być tamta posesja.

Wskazał na dworek wciśnięty w głąb podwórka. Zaraz za bramą stały liczne szopy i stajnie. Znajdował się tam również murowany budynek gospodarczy z kominem, z pewnością kuźnia, co można było poznać po dobiegającym z daleka łomocie młota walącego w metal. Po dziedzińcu kręciło się kilku parobków, a może czeladników, rozładowujących wóz pełen drewna opałowego. Appenzlakom przyglądał się jegomość w modnym pluszowym cylindrze, podpierający się laseczką. Widząc, że wchodzi w bramę, uniósł laskę i wymierzył ją w intruzów.

– A wy dokąd?

Szaja zmierzył pytającego uważnym spojrzeniem. Bez wątplenia goj, człek z cienkim wąsikiem, ubrany w elegancki surdut o długich połach. Wyglądał na mniej więcej trzydziestolatka i zupełnie nie pasował do huczącego ciężką pracą, brudnego podwórka. W dodatku zachowywał się niczym nadzorca lub uzbrojony w batog ekonom. To mógł być ów wartownik z Towarzystwa Przyjaciół Nauk, który pilnował mistrza Sterna.

– My do mistrza Abrahama – rzucił tropiciel, nie zwalniając kroku.

– W sprawie smaru do trybów – dodał dziadek. – Od smolarza jesteście. Musimy coś z mistrzem ustalić. Gdzie go znajdziemy?

– Mistrzowi teraz nie można przeszkadzać, przyjdźcie kiedy indziej, najlepiej za kilka dni – burknął modniś.

Abram zatrzymał się i złapał wnuka za ramię.

– Proszę bardzo, ale potem nie płaczcie! Ani grosza nie zwrócimy. Smoła już się grzeje, oleje zamówione, czekają na zmieszanie. Jeśli nie ustalimy, jaki ma być ten smar, wszystko się zmarnuje – bez zająknięcia zmyślał dziadek. – Olej zjełczeje, żużel wypadnie ze smoły i co nam zostanie? Gówno! A towar już został zapłacony! Ale jak tam sobie chcecie. Idziemy, wnusiu.

Obrócili się na pięcie i ruszyli z powrotem do bramy. Szaja z każdym krokiem coraz mocniej wstrzymywał oddech, czekając na reakcję modnisia. Ten jednak milczał. Widocznie w nosie miał interesy między Żydami. Polecono mu pilnować mistrza i robił to, nie zważając na nic.

– Czekajcie no! – zawołał, kiedy minęli już bramę. – Chodźcie tutaj i czekajcie. Zapytam, czy mistrz was przyjmie.

Strażnik ruszył w kierunku dworku, a dwaj starozakonni posłusznie podreptali za nim, by zatrzymać się przed wejściem do domostwa. Dziadek mrugnął porozumiewawczo do wnuka, jakby chciał powiedzieć: „Patrz, jak to się robi, szczeniaku”.

Stali na schodkach, przyglądając się pracującym parobkom, którzy przynosili opał do kuźni i sąsiadującej z nią drewni. Kowal ciągle łomotał w żelazo, a uczniowie mocowali się z miechem, sapiącym i dyszącym jak harujący wół. Po minucie lub dwóch Szaja kazał dziadkowi zostać na miejscu, a sam, gdy już stwierdził, że pracownicy nie zwracają na nich uwagi, ruszył chyłkiem na obchód posesji. Przemknął wzdłuż ściany domu, zerkając do środka przez okna. Udało mu się zlokalizować pracownię Sterna, ujrzał też samego mistrza, siedzącego za stołem zawalonym papierami i przyborami do pisania. Wynalazca okazał się okazałych rozmiarów chłopem z ogromną rudą brodą sterczącą na wszystkie strony. Ubierał się w tradycyjny czarny strój z obowiązkową jarmułką. Chwilę rozmawiał z wąsatym modnisiem, wreszcie wzruszył ramionami i machnął ręką, wskazując na papiery.

Appenzlak doszedł do przekonania, że nie uda mu się porozmawiać ze Sternem, bo za chwilę zostanie razem z dziadkiem wywalony na kopniakach za bramę. Mistrz z pewnością powiedział strażnikowi, że nie zamawiał żadnego smaru do tłoków. Tropiciel wrócił więc szybkim kłusem do rozglądającego się pilnie Abrama.

Wtedy wjechała na posesję lśniącą czystością i nowością dangielówka, karetka pochodząca z warszawskiej wytwórni powozów. Produkował je ojciec młodego policjanta Tomasza Dangiela, wybitny przemysłowiec. Był nieco skonfliktowany z synem, który nie chciał zająć się rodzinnym interesem i wybrał niepewną oraz kiepsko rokującą ścieżkę kariery w szeregach ministerialnych urzędników. Z powozu wyskoczył młody, gładko ogolony mężczyzna, ubrany bardzo gustownie i nowocześnie. Szaja przypomniał sobie, gdzie widział tę karetkę – w powozowni państwa Ataliasów.

Przybysz obrzucił dwóch Żydów przelotnym spojrzeniem i zupełnie ich zignorował. Załomotał energicznie w drzwi dworku, które otworzyły się niemal w tej samej chwili. Młodzieniec stanął twarzą w twarz z wąsatym elegancikiem.

– A pan kto? – warknął wyraźnie zirytowany strażnik.

– Interessant do mistrza Sterna. Nazywam się Natan Meyer i od dziś prowadzę kantor wekslarski po panu Leopoldzie Ataliasie. Przejąłem wszystkie zobowiązania mojego

poprzednika, łącznie z dokumentami wystawionymi na nazwisko mistrza. Pan Atalias był wierzycielem pana Sterna, zainwestował w prace mistrza spory majątek. Muszę porozmawiać z nim w tej sprawie, to pilne.

– Mistrzowi nie wolno przeszkadzać, ale jeśli to aż tak pilne, proszę ze mną – niespodziewanie łaskawie powiedział modniś, uśmiechając się pod wąsem. – Wy dwaj również. Chodźcie ze mną, załatwicie swoją sprawę z mistrzem osobiście. Wszyscy jesteście wszak pobratymcami pana Sterna, nie mogę ingerować w wewnętrzne sprawy Żydów. Chodźcie śmiało.

– Z kim mam przyjemność? – spytał eleganta Meyer, znów ignorując Szaję i Abrama.

– Włodzimierz Woyda z Towarzystwa Przyjaciół Nauk – powiedział wąsacz, ruszając w głąb domu. – Reprezentuję stowarzyszenie, które aktualnie jest mecenasem pana Sterna. Zajmujemy się mistrzem, który akurat kończy dzieło. Wszelkie niepokoje mogą sprowadzić na niego kryzys twórczy, przed czym staramy się go ustrzec.

Procesja, którą zamykał łypiący na boki dziadek Abram, przeszła przez hol i dwa pokoje, bardzo skromnie umeblowane, a do tego pozbawione ozdób, nie licząc ręcznie haftowanych zazdrostek w oknach. W jednym z pomieszczeń minęli trzy bawiące się dzieciaki, potomstwo mistrza Sterna. Szaja stwierdził, że jak na Żyda z dalekiej, biednej prowincji, rzemieślnikowi żyje się całkiem nieźle. Już dawno awansował do klasy bejnonimów, zamożniejszych Izraelitów.

Wreszcie znaleźli się w pracowni. Księgi piętrzyły się w stertach, poustawiane w wieże bezpośrednio na podłodze. Na dwóch stołach leżały rozbebeszone zegarowe mechanizmy, błyszczące setkami kółek zębatych. Najwięcej jednak miejsca zajmowały porozkładane papiery ze schematami i diagramami, opatrzone odpowiednimi dopiskami. Stern podniósł głowę znad kart, które zapełniał właśnie notatkami, odsunął liczydło, wrzucił pióro do kałamarza i z gniewną miną wstał od biurka.

– Przed chwilą mówiłem ci, panie Władysławie, że nie zamawiałem żadnych smarów i nie mam nic wspólnego z jakimiś smolarzami czy handlarzami łojem, smalcem i diabli wiedzą czym jeszcze! – zadudnił basem. Jego jadowicie ruda broda wyglądała, jakby miała ochotę wybuchnąć płomieniami. – Od rana prowadzę obliczenia, które wymagają najwyższego skupienia, a wy mieliście zapewnić mi spokój, nie zaś co chwila dręczyć duperelami.

– Ehem – chrząknął Meyer. Po czym odezwał się w jidysz: – Pan wybaczy, panie Stern. Jestem powiernikiem pana Ataliasa i reprezentuję interesy wdowy po nim. Prawdopodobnie przejmę funkcję wekslarza i wszystkie zobowiązania zmarłego przejdą na mnie. Nie śmiałybym pana niepokoić, ale po przejrzeniu dokumentów pana Leopolda okazało się, że ma pan wobec niego pokaźne zobowiązania.

Mistrz zamrugał nerwowo i spojrzał groźnie na młodego intruza.

– Co takiego? Leos był moim przyjacielem i mecenasem. Wykonywałem dla niego pewne ulepszenia, finansował również wszystkie moje większe przedsięwzięcia. Na przykład hamulec do powozów, który tak skutecznie został zastosowany w najnowszych modelach dangielówek. Albo słynna młockarnia...

– Nie przeczę, ale z wystawionych kwitów wekslowych nie wynika, że były to darowizny. – Pełnomocnik pani Leopoldowej wycelował palec w sufit. – Nie nalegam na natychmiastową spłatę, bo to naprawdę spore sumy, ale musimy usiąść i spokojnie rozpisac harmonogram zwrotów oraz ustalić zadowalający obie strony procent.

Rzemieślnik zrobił kilka kroków w stronę ciągle uśmiechniętego młodzieńca. Jasne oczy wielkiego Żyda skrzyły się od gniewu, a dłonie zacisnęły się w pięści. Meyer nic sobie jednak z jego wściekłości nie robił. Nie cofnął się ani na krok.

– Niezły jest – szepnął dziadek do ucha Szai.

– Procent? Od czego, do jasnej cholery? Chcesz, szczeniaku, zedrzeć ze mnie skórę i jeszcze na tym zarobić? – zagrzmiał Stern. – Leos finansował moje badania, a potem był beneficjentem zysków. Nie pożyczał mi pieniędzy, ale we mnie inwestował. Zwróciła mu się każda złotówka, i to po wielokroć. Ile dostał od Dangiela za hamulec zabezpieczający przed poniesieniem przez konie? Dobrych kilka tysięcy! Nic mu nie jestem winien! Nic!

– Ale weksle... – zaczął pełnomocnik.

– Daj mi pan spokój! Leos księgował sobie każdy wydatek, każdą inwestycję. Nie dopisał, ile mi zawdzięcza, ale zarobił na mnie pokaźne sumki, mogę to gwarantować.

– Wie pan, że dla nas, finansistów, nie mają znaczenia ustne gwarancje, nawet przysięgi na honor. Liczą się kwity, dokumenty. Bilans przychodów i rozchodów, podpisy i pieczęcie. Wedle przejętych przeze mnie dokumentów nie jesteśmy rozliczeni. Winny jest pan wdowie Leopoldowej spore kwoty. Zamierzam dopilnować, by zostały zwrócone, i to z nawiązką.

– Precz! – ryknął czerwony z gniewu mistrz.

Szaja i dziadek, korzystając z awantury, pilnie rozglądali się po pracowni. Abram zaczął nawet przypatrywać się rozłożonym planom, choć nie umiał czytać w żadnym języku. Jego wnuk z kolei przeniósł wzrok na stojącego przy drzwiach Woydę. Opiekun Sterna nie wyglądał na zatroskanego niepokojeniem mistrza, nawet uśmiechał się lekko pod wąsikiem. Patrzył na kłócących się Żydów z wyraźną pogardą. Chyba awantura sprawiała mu przyjemność, a jeśli nawet nie, to przynajmniej utwierdzała go w opinii, jaką miał o synach mojeszowych. Młodszy Appenzlak domyślił się, że wąsacz pełnił tu rolę wbrew własnej woli. Pewnie trafiła mu się za karę albo musiał w ten sposób wykazać się przed członkami Towarzystwa.

– Przez pamięć o zmarłym i szacunek dla jego rodziny nie przełożę cię, gówniarzu, przez kolano i nie spiorę tyłka, ale jeszcze chwila i nie wytrzymam! – grzmiał wynalazca na stojącego spokojnie Meyera. – Co za bezczelność i tupet! Gdybym podliczył, ile Leoś na mnie zarobił, i zażądał zwrotu, wdowa wylądowałaby na bruku. Ostrzegalem Leopolda, że bierze sobie chytne babsko, które go wykończy, i proszę! Grób jeszcze nie ostygł, a ona próbuje oczyścić kieszenie przyjaciółom małżonka, kala jego pamięć!

Tropiciel drgnął, słysząc o wykończaniu Ataliasa przez małżonkę. Trzeba przyznać, że wdowa miała potężny motyw, by pozbyć się męża. Ze zdominowanej przez ortodoksyjnego Żyda, podporządkowanej mu szarej myszy w jednej chwili przeistoczyła się w bogatą wdowę, pełną życia i kochającą nowoczesność.

– A wy tu czego?! – Mistrz niespodziewanie zostawił finansistę i ryknął Szai prosto w twarz: – Coście za jedni?!

– Biedni rzemieślnicy, którzy odważyli się przyjść z wizytą do niedoścignionego geniusza. Sprzątaliśmy gabinet pana Ataliasa i zaciekał nas niezwykle zamek w drzwiach. A właściwie mechanizm umożliwiający zamknięcie gabinetu przez dźwignię w mezuzie. Ponoć pan stworzył to cudo, czy to prawda? – Śledczy na wszelki wypadek cofnął się o krok. Nie chciałby oberwać wielką piąchą.

– Prawda. To nic takiego, system dźwigni i przekładek. – Rzemieślnik od razu spuścił z tonu, myśląc, że rozmawia z dwoma ślusarzami, czyli ludźmi w sumie mu bliskimi.

– Sprawdza się przed włamywaczami, ale pod warunkiem, że o dźwigni wie tylko właściciel – zauważył policjant.

– Trafne spostrzeżenie. Tak też było, o dźwigni wiedzieli jedynie domownicy i służba.

To Szai w zupełności wystarczyło. Dowiedział się właśnie, że pani Atalia również wiedziała o dźwigni. A ukryła to przed nim, gdy znalazł ciało wekslarza i próbował wejść do kantoru. W jednej chwili stała się podejrzaną numer jeden. Miała motyw i od początku mataczyła w śledztwie.

– Nie śmiem ci, mistrzu, dłużej przeszkadzać. Przyszliśmy nie w porę. Wybacz zatem i jeśli pozwolisz, przybędziemy innym razem.

Stern machnął ręką i od razu stracił zainteresowanie dwoma biednymi rzemieślnikami. Znów skupił się na grzecznie uśmiechniętym Meyerze, który najwyraźniej nie dawał za wygraną. Tropiciel złapał dziadka pod ramię i wyprowadził na zewnątrz. Wolałby zniknąć z tej okolicy, zanim pan Woyda zacznie dociekać, kim tak naprawdę są. Na szczęście strażnik skupił się na oglądaniu kłótni mistrza z młodzieńcem i nie zwracał na nich uwagi. Opuścili więc domostwo przez nikogo niezatrzymywani.

Stary Appenszlak poprowadził ich w górę Książęcej i gdy ta skręciła, tak że posesja Sterna skryła się za zakrętem, nagle przyspieszył. Co kilka kroków zerkał przez ramię,

momentami zaczął nawet podbiegać. Szaja szybko domyślił się, że dziadek ma coś na sumieniu.

– Co zwędziłeś? – spytał. – Gadaj, cóżeś podpieprzył!

Abram uśmiechnął się z dumą i wyciągnął zza poły chałatu zwinięte w rulon papiery. Policjant zdumiał się szczerze, bo wydawało mu się, że nie spuszcza starca z oka, a nie dostrzegł, kiedy ten ukraść tak okazałych rozmiarów plik dokumentów.

– Co to jest? – syknął drżącym głosem. Czuł nadchodzący ból głowy.

Abram nonszalanckim gestem rozwinął rulon, prezentując skomplikowany rysunek przedstawiający znajomą Szai maszynę z klawiszami oznaczonymi cyframi. Kolejne karty przedstawiały układ kół zębatych i jakieś inne diagramy związane prawdopodobnie z konstrukcją aparatu. Młodszy Appenzlak poczuł, że włosy stają mu dęba, a w skroniach zaczyna huczeć krew.

– Po coś to ukraść? – wycharczał tylko.

– Wszędzie było tego pełno, a ten nowobogacki bejnonim właśnie mazał w papierach z rysunkami tej maszyny. Znaczy to właśnie jest projekt, który robi dla Towarzystwa! Ha! Pan Gliński z pewnością będzie zachwycony i zapłaci nam za to złotem! Był przecież ciekawy, co to za tajemnicze zlecenie robi Żyd dla polskich panów.

Tropiciel zaczął oburącz masować skronie. Ruszył przed siebie szybkim krokiem. Musieli natychmiast się stąd ulotnić.

– Gliński będzie zachwycony? – mruknął. – Szybciej nas własnoręcznie udusi. Właśnie zadarliśmy z potężną organizacją. Te dokumenty to może być twój bilet prosto do grobu!

Dziadek podrapał się w brodę, z której od razu posypały się drobiny suchego chleba i jakieś inne, niezidentyfikowane śmieci. Nie sprawiał wrażenia przejętego ani wystraszonego.

– W insurekcji zadarliśmy z całą ruską armią, napluliśmy w gębę carycy Katarzynie i co? Jajco! Myślisz, że po tamtej awanturze będę się bał grupy przemądrzałych gryzipiórków? Niech no który się zbliży, a dźgnę go nożem w kieszki.

Szaja pomyślał, że dobrze zrobiłaby mu teraz solidna szklaneczka czystej gorzały. Może udałoby mu się ochłonać i nie zamordować starca przez szarpanie za brodę, na co właśnie miał neodpartą ochotę.

– Ruszaj się szybciej – warknął. – Musimy poszukać Gliny i gęsto mu się wytłumaczyć. Przynajmniej udało nam się ustalić imię mordercy Ataliasa.

– Tak? – zdumiał się strzec. – Udało się? Nie zauważyłem. A jak ono brzmi?

– Atalia Leopoldowa, rzecz jasna. A pomagał jej kochanek podający się za kuzyna, niejaki Natan Meyer.

X

– Wiem, kto zabił Ataliasa – oświadczył lekkim tonem Gliński, wchodząc do swego gabinetu. – Właściwie to mam spis podejrzanych. Jeden z nich prawdopodobnie jest zabójcą.

Wyraźnie zmieszany Tomasz Dangieli poderwał się zza biurka szefa. Nie dość, że usadowił się w ulubionym fotelu Gliny, to jeszcze zaczął przysypiać, pochylony nad kwitami i księgami rachunkowymi należącymi do zamordowanego wekslarza.

– To świetnie, bo zacząłem robić listę na podstawie spisu osobników, których był wierzyicielem. Mam tu zapisanych trzydzieści nazwisk, które wydają mi się najbardziej podejrzane.

Sekretarz generalny zignorował to, że młodzieniec zajmował jego miejsce, i wyciągnął z surduta złożoną kartę.

– A ja mam spis osób, które w ostatnim tygodniu odwiedziły hrabiego Chodkiewicza i mogły mu gwizdnąć truciznę użytą w napadzie na posterunek. W większości to członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pokaż mi swój spis, jeśli któreś nazwisko powtórzy się na obu listach, będziemy mieli gagatka bezpośrednio zamieszanego w mord.

Rozłożyli obie karty na stole i pochyliłi się nad nimi, z uwagą czytając nazwiska. Szeptali je obaj, wodząc palcami po papierze. Wreszcie Dangieli westchnął, nie znajdując dwóch takich samych.

– Mamy zatem w sumie ponad sześćdziesięciu podejrzanych. To beznadziejne.

Pan Augustyn pokiwał głową. W jego ręku znów pojawiła się nabita fajeczka. Wsadził ją w zęby i zaczął ssać, macając się bezwiednie po kieszeniach. Nie znalazł w nich oczywiście ani krzesiwa, ani tym bardziej żarzącej się hubki.

– Trzeba kolejno ustalić, kto jest kim i jakie stosunki wiązały go z Ataliasem. Moja lista ma pierwszeństwo. Proszę, chłopcze, weź ją i zabierz się do roboty.

Dangieli poczuł falę słabości i zniechęcenia. Czekąco go przetrząsanie archiwum policji, wycieczka do biur magistratu i załatwianie pozwolenia na skorzystanie z ich archiwum, a i tak znajdzie w nich żalostną ilość danych, z których nic nie będzie wynikać.

– Chyba najlepiej zrobimy, jeśli ustalimy, gdzie który mieszka, i wyślemy do nich śledczych – zaproponował.

– Nie możemy otwarcie niepokoić członków stowarzyszenia. Jeśli ksiądz Stanisław połapie się, że weszemy przy jego Towarzystwie, narobi nam sakramenckich kłopotów.
– Szef pokręcił głową. – Musimy jakoś dyskretniej się do nich dostać. Tylko jak? Trzeba się nad tym zastanowić. Najlepiej byłoby ustalić, kto jest kim w Towarzystwie, i wytypować najbardziej podejrzanych. Przydałby nam się człowiek w ich szeregach.

– Podejmę się tego zadania na ochotnika! – Tomasz dumnie wypiął pierś. – Przy wstawiennictwie ojca miałbym szansę dostać się do stowarzyszenia.

– Nic z tego. – Glina znów pokręcił głową. – To trwałoby zbyt długo. Musimy zwerbować kogoś, kto już jest ich członkiem, i to dość zaufanym...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzał wąsaty woźny.

– Panie sekretarzu, jakichś dwóch obdartych Żydów próbuje wejść do pałacu. Upierają się, że są pana ludźmi, jeden ma nawet papiery policjanta – powiedział.

– Dawaj ich. – Pan Augustyn machnął ręką.

Szaja i Abram znaleźli się w gabinecie już po chwili, obaj zdyszani, jakby przebiegli właśnie pół miasta. Dziadek rozglądał się po pomieszczeniu z ciekawością, wreszcie wykrzywił usta, rozczerowany skromnym wystrojem. Wyobrażał sobie, że siedziba tak ważnego urzędu, na dodatek znajdująca się w potężnym pałacu, powinna wręcz ociekać złotem.

Młodszy Appenszlak szybko zrelacjonował ich wizytę w warsztacie mistrza Sterna. Opowiedział szczegółowo o swoich graniczących z pewnością podejrzaniach wobec osoby wdowy Leopoldowej i jej rzekomego kochanka. Gliński wysłuchał go uważnie, gryząc fajkę. Dziadek, przez nikogo niezachęcany, usiadł na krześle przeznaczonym dla interesanta. Wygodnie rozparty, dogadywał wnukowi, co rusz przerywając tok jego opowieści. Wreszcie Szaja dotarł do momentu opuszczenia siedziby wynalazcy i z bolejącą miną wskazał na starca, który triumfalnie wyciągnął spod chałatu ukradzione plany. O dziwo, szef wydziału nie sprawiał wrażenia wściekłego. Rozłożył dokumenty na biurku i pochylił się nad nimi razem z Dangiелеm.

– To czysto techniczne plany, nie ma tu nic, co sugerowałoby kabałę – mruknął do siebie. – Żadnych tajemnych symboli, diagramów czy czegoś takiego. Ciagle jednak nie wiemy, do czego to służy...

– Nie wiemy również, czy przeznaczenie maszyny ma jakiegokolwiek znaczenie dla całej sprawy – zauważył tropiciel. – Dowiedzieliśmy się, że Stern był finansowany przez Ataliasa. Część wynalazków robił na jego zlecenie, wekslarz zajmował się też wdrożeniem ich do produkcji. Prototyp maszyny znalazł się w kantorze, jak większość wynalazków mistrza. Morderca mógł użyć ciężkiego pudła całkiem przypadkowo lub by odwrócić uwagę policji od siebie i skierować ją na Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Uważam, że pana Leopolda zabiła jego żona lub jej kochanek, Meyer. A ta maszyna nie ma dla nas żadnego znaczenia.

– Niewykluczone – przyznał Gliński. – Jeśli jednak maszyna nie ma znaczenia dla sprawy, dlaczego została skradziona z naszego archiwum? I dlaczego prawdopodobnie zrobił to członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk? Mogli wszak zwrócić się do nas z oficjalną prośbą o oddanie urządzenia. Są wystarczająco wpływowi, by rozkazywać policji. O co tu chodzi, do cholery?

Dziadek rozparł się wygodnie i pochylił głowę, wyraźnie zapadając w drzemkę. Tomasz ciągle studiował plany maszyny cyfrowej, kompletnie nic z nich nie rozumiejąc. Pan Augustyn i Szaja przechadzali się po gabinecie pogrążeni we własnych myślach.

– Trzeba znaleźć służących Ataliasa, których tak ochoczo pozbyła się wdowa – niespodziewanie odezwał się Abram. – Wycisnąć z nich wszystko, co wiedzą, a jeśli trzeba, połamać temu czy owemu gnaty i drzeć pasy z tyłków. Muszą coś wiedzieć, skoro znikli. To najpewniejszy sposób, by potwierdzić, czy wekslarza zabiła żona. Jeśli wasza najjaśniejsza łaskawość się zgodzi, zrobimy to razem w wnusiem. Potrzebujemy tylko trochę grosza, bo wpiery trzeba się dowiedzieć, gdzie to babsko ich wyгнаło. Kilka czerwienców musimy mieć, by móc nimi rozwiązać języki.

Glina pokiwał w zadumie głową.

– Racja. Mamy dwa tropy w śledztwie. Wdowa i Towarzystwo. Żydzi zajmą się tym pierwszym, a ja drugim. Zabieram plany, a wy macie tu kilka złotych – powiedział, po czym wyciągnął z kieszeni surduta pugilares.

Wyjął pięć złotych monet i wręczył je Szai. Dziadek poderwał się na równe nogi, ale wnuk był szybszy. Pieniądze znikły w jego kieszeni.

– Znajdźcie służących i dowiedzcie się wszystkiego co trzeba. Weźcie do pomocy Rocha i Tytusa. Ruszajcie już.

Zanim starozakonni zdążyli wyjść z gabinetu, szef zdjął kapelusz z wieszaka.

– Zbieraj się, młodzieńcze – powiedział do Dangiela. – Ruszamy w miasto.

XI

Jeszcze przed wieczorem urzędowy powóz, prowadzony przez doktora Rittera, wjechał na most łyżwowy i oddalił się w kierunku Pragi. Prócz Prusaka znajdowali się w nim Szaja i Roch. Dziadek Abram stał z niepokieszoną miną i patrzył na odjeżdżających śledczych. Wcześniej w ciągu dwóch godzin zdołali ustalić, gdzie przebywają byli służący pana Ataliasa, a szczególnie jego lokaj i powiernik, niejaki Zelig. Wystarczyło, że policjanci przeszli się po Gęsiej i popytali miejscowych Żydów. Stary sługa wekslarza miał rodzinę w Otwocku i po wymówieniu służby przez wdowę tam właśnie wyjechał. Młodszy Appenszlak postanowił nie czekać do następnego dnia i skłonił kompanów, aby natychmiast wyruszyli. Mieli przekroczyć rzekę jeszcze dziś, zanim lód zerwie zimowy most, a przenocować w karczmie na Pradze.

Nie chcieli zabrać ze sobą staruszka, ku jego wielkiemu rozczarowaniu. Liczył, że skapnie mu coś z otrzymanych od Gliny pięciu złotych, ale wnuk ani myślał dzielić się z dziadkiem. Zabrał pieniądze ze sobą, na drogę. Abram żałował też, że nie może ze śledczymi spędzić wieczoru w karczmie, a wiedział, że z pewnością poleje się tam gorzałka, i to szerokim strumieniem. Musiał jednak zostać w Warszawie. Przykazano mu opiekować się prawnukami i Sonią.

– Ona nie potrzebuje opieki, dobrze o tym wiesz – burknął. – Dałaby sobie radę nawet w czasie pogromu.

– Co też dziadek chrzani! Jakiego pogromu? – warknął tropiciel.

– A co, zapomniałeś już o pogromie w dziewięćdziesiątym? Jak żeś spieprzał razem z ojcem i bratem? Gdyby nie ja, wialibyście aż do Jerozolimy! – Staruszek dumnie wypiął pierś. – Myślisz, że coś takiego się już nie powtórzy? Zawsze się powtarza, jesteśmy wszak narodem wybranym, a dobry Bóg znalazł sobie upodobanie w doświadczaniu nas. Kiedyś znów po nas przyjdą, załomocą kolbami muszkietów w drzwi, ograbią i wygnają z domów.

– Co pan opowiada! – zahuczał Roch. – To już nie te czasy! Żyjemy w cyliwi... w cywilowo... tfu! W nowoczesnym kraju. Takie rzeczy się nie zdarzają. Proszę wracać do domu i pomodlić się za powodzenie naszej misji.

Dziadek wbił ręce w kieszenie chałatu i odwrócił się ze złością.

– Pewno. Starzec nadaje się już tylko do klepania modlitw i niańczenia diatwy – burknął przez ramię za oddalającym się wozem. – Ja bym wam jeszcze, szczeniaki,

pokazał!

Policjanci już go jednak nie słyszeli, z turkotem kół łomoczących po deskach mostu oddalili się w zapadającą szarówkę. Łód na rzece trzeszczał i od czasu do czasu pękał z głuchym hukiem. Wzdłuż bariery przechadzali się ludzie komendanta przeprawy. W dłoniach ściskali bosaki lub halabardy, a jeden z nich niósł latarnię na długim drągu. Wiele jednak nie działała, gdy kra wreszcie popłynię i jej niewyobrażalna masa naprze na tkwiącą w lodzie budowlę.

„Oby ci durnie wrócili, zanim rzeka ruszy” – pomyślał Abram i odszedł w kierunku Starego Miasta.

Nadchodząca noc wypełniła wąskie, ciasne uliczki mrokiem, z którego zaczęły wypełzać różnego rodzaju szumowiny. Biednemu, staremu Żydowi nic złego nie groziło ze strony złodziei i włamywaczy, a rabusie i kieszonkowcy również traktowali go jak powietrze. Uśmiechał się do ladacznic, ale z godnością ignorowały przygarbionego dziada, nawet rozwrzeszczani ulicznicy nie próbowali igrać z nim ani dręczyć go dla zabawy. Szedł więc pewnym krokiem urodzonego warszawiaka, który porusza się po mieście niczym po własnym domu. Bez obaw i wahania.

Wreszcie dotarł do Elektorальной i już miał skręcić w bramę kamienicy, w której mieszkał, gdy spostrzegł stojący po drugiej stronie ulicy powóz. To była dwukółka zaprzęzona w jednego konika. Na koźle nikt nie siedział. Właściciel prosił się chyba, by mu sprzątnięto przed nosa to cacko. W każdym razie do rana nie będzie śladu ani po koniu, ani po wozie. W tej okolicy skarb leżący na ulicy nie miał prawa się uchować.

Staruszek jeszcze wczoraj nie przepuściłby podobnej okazji. Przystanął w bramie i chwilę dumiał, łypiąc na powóz. Sam oczywiście nie odważyłby się go ukraść – bo i co zrobiłby z takim łupem? – ale mógłby zawiadomić kogoś o znalezisku i zaistniałej okazji do zarobku. Tylko że tak byłoby wczoraj – dziś udział w tak grubej kradzieży wydał mu się niezbyt licujący z funkcją, którą tymczasowo pełnił. Czy wypadało stróżowi prawa parać się koniokradytstwem?

Rozdzierające rozterki przerwało pojawienie się dwóch młodych uliczników, gojów, sądząc po strojach. Oberwańcy podeszli do powozu, by przyjrzeć mu się z bliska. Rozglądali się przy tym na wszystkie strony, szczególnie uważnie lustrując okna okolicznych domów. Abram poczuł falę oburzenia. Nie zastanawiając się ani chwili, wyszedł z bramy, dobywając rzeźnickiego noża.

– Czego tu, łachudry?! – wrzasnął chrapliwie. – Zajmijcie się lepiej jaką uczciwą robotą! No, co się tak gapicie? Zjeżdżać mi stąd, bo zaraz dziabnę którego nożem!

Ulicznicy ujrzeni wynurzającą się z ciemnej bramy przygarbioną sylwetkę, błysnęło również obnażone ostrze. Kimkolwiek był ów jegomość, nie widzieli sensu z nim zadzierać. Mruknęli więc coś do siebie i pognali biegiem w dół uliczki, by zniknąć w

mroku. Dziadek zachichotał z uciechy. Poczł dumę i pewność siebie. Oto po raz pierwszy stanął w obronie prawa i porządku publicznego. Był lepszym policjantem niż te trzy młokosy razem wzięte, które teraz pewno zalewały pałę w praskiej karczmie.

Przeszedł przez podwórko i już położył dłoń na klamce drzwi do klatki schodowej kamienicy, gdy spostrzegł, że są uchylone. Zatrzymał się i po chwili wahania cofnął w ciemność. Domownicy dbali, by zamykać drzwi, nawet dzieciaki, chodziło wszak o zatrzymanie wewnątrz cennego ciepła. Drewno opałowe nie było tanie, szczególnie w mieście. Sonia jako gospodarna pani domu pilnowała, by każdy dbał o takie sprawy. Dziadek pamiętał doskonale, że kiedyś, gdy po pijaku nie domknął drzwi od mieszkania, oberwał kuksańcem w łeb, a potem jeszcze nie dostał kaszy i kubka maślanki na kolację.

Gdyby nie incydent z powozem, pewno wszedłby do mieszkania i groźnym głosem kazał się przyznać sprawcy zaniedbania – rzecz jasna, by przypodobać się Soni – ale właśnie poczuł się niczym zawodowy śledczy i obrońca prawa. Wycofał się więc i stękaając z wysiłku, podpełził wzdłuż ściany do okna. Zbliżył twarz do brudnej szybki i zerknął do środka.

Sonia siedziała na kanapie, tuląc do piersi wszystkie trzy dzieciaki. Naprzeciw niej stał jakiś jegomość w sięgającej ziemi pelerynie i pluszowym cylindrze. Dziadek aż syknął z przejęcia. To pewno właściciel powozu! Czego chce od Soni? Musiał ją wystraszyć, skoro tak pokornie siedziała, próbując rękoma zasłonić dzieci. Dopiero po dłuższej chwili staruszek dostrzegł w dłoni intruza pistolet.

– Ach, ty taki owaki – sapnął. – Czekaj no.

Stękając i jęcząc z wysiłku, wrócił do drzwi. Od tkwienia w niewygodnej pozycji przy oknie kolana mu się zastały i teraz każdy krok sprawiał ból. Plecy również zaczęły rwać, chyba odezwały się korzonki, uniemożliwiając pełne wyprostowanie się. Przez to wszystko musiał skradać się zgięty wpół, nie udało mu się również całkiem bezszelestnie wemknąć do środka. Podłoga na klatce schodowej też zdawała się złośliwie skrzypieć, gdy pełził korytarzem. Wreszcie jednak pokonał hol i dotarł do mieszkania.

Przez myśl mu przeszło, by poprosić o pomoc sąsiadów, ale machnął na nich ręką. W domu mieszkał jeszcze wiecznie ze wszystkimi skonfliktowany szlifierz noży ze swoją paskudną żoną, na poddaszu nieustannie wstawiony żak i kilku sezonowych pilarzy, którzy całymi dniami stali pod kolumną Zygmunta, czekając na zlecenia, a nocami przepijali zarobione pieniądze w burdelach. W domu pojawiali się, gdy nie udało im się dostać zlecenia. Ostatnio mieli jednak dobrą passę, dziś też nie było ich słyhać, zatem pokój na poddaszu był pusty.

Najciszej jak się da staruszek otworzył drzwi i na palcach przemknął przez przedpokój. Musiał zaciskać zęby z bólu, ale udało się. Niepostrzeżenie dotarł do pokoju. Teraz musiał wyczekać moment, by zaatakować. Zważył nóż w dłoni. Trochę za długi, by

nadawał się do rzucania, ale co zrobić? Trzeba jakoś dopaść uzbrojonego w pistolet intruza, zanim ten wystrzeli. Dziś mogły się przydać umiejętności wyniesione z cyrku. Kiedyś z zawiązanymi oczyma trafiał nożem w jabłko. Mimo że dawno nie ćwiczył, powinno mu się udać wcelować w obiekt wielkości człowieka.

– Proszę powiedzieć, czego pan chce od mego męża, a może będę mogła pomóc – odezwała się Sonia.

– Jeśli wie pani, gdzie znajdują się ukradzione przez niego dokumenty, to owszem – odparł człowiek w cylindrze. – Nie chcę niczego więcej, jak tylko odebrać zrabowaną własność. Proszę powiedzieć: czy przyniósł do domu rulon papierów?

– Nie wydaje mi się – rzekła kobieta. – Mąż nie przynosi pracy do domu, nie pozwalałam na to. Jeśli to coś związanego ze służbą w policji, z pewnością znajduje się w kancelarii cyrku lub u pana Glińskiego.

– Może nie przekazał zdobyczy szefostwu? Mógł domyślić się, że papiery są bardzo cenne, i schował je przed przełożonymi. Gdzie ma jakąś skrytkę?

– Nie mamy przed sobą tajemnic. Mąż niczego nie musi w domu ukrywać. Jeśli mówię, że nie przyniósł tu żadnych dokumentów, jest to prawdą. Proszę opuścić moje mieszkanie, straszy pan dzieci. Nie ma tu niczego zrabowanego, żadnych papierów.

– Zatem poczekamy, aż funkcjonariusz Appenszlak wróci. Sam go spytam.

Dziadek rozpoznał głos eleganta pilnującego mistrza Sterna. To był ów członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk – Włodzimierz Woyda. Niestety, ciągle stał przed Sonia, tyłem do okna, a przodem do wejścia, Abram nie miał więc szans, by wpaść do pokoju i cisnąć nożem w jego plecy. Wiedział, że powinien zrobić wszystko, by odciągnąć go od dzieci i żony wnuka. Nie chciał jednak ryzykować straceńczej szarży z nożem, bo drań mógł postrzelić któreś z dzieci.

– Powiedziałam już, że mąż wyjechał służbowo – wycodziła Sonia drżącym z wściekłości i strachu głosem. – Być może wróci jutro po południu, tak powiedział.

Woyda milczał, widocznie zastanawiał się co dalej. Dziadek był ciekaw, jak odnalazł dom Szai. I jak domyślił się, że dwaj Żydzi, którzy zwędzili dokumentację, byli policjantami? Towarzystwo Przyjaciół Nauk musi mieć szpiegów lub współpracowników w biurach ministerstwa, tylko przy ich pomocy elegancist mógł ustalić adres jedyne go żydowskiego śledczego. Ale dlaczego otwarcie nie zażądał od funkcjonariuszy zwrotu papierów? Widocznie działał na własną rękę, bez wiedzy wysoko postawionych członków Towarzystwa, bez wiedzy zarządu. Czyżby był renegatem? A może próbował szybko i sprawnie załatwić sprawę, nim o jego błędzie dowiedzą się zwierzchnicy? Wszak to w czasie jego służby u boku Sterna skradziono mistrzowi ważne plany.

Co ten goj teraz zrobi? Nie będzie tu całą noc i dzień czekał na Szaję, na pewno nie ma na to czasu. Może mu przyjść do głowy, by pozbyć się świadków. A jeśli mordując

rodzinę policjanta, będzie chciał go zastraszyć? Dziadek zrozumiał, że nie powinien dłużej czekać.

Szurając nogami, jak gdyby nigdy nic wszedł do pokoju. Nóż trzymał za rękojeść, a ostrze schował w rękawie chałatu. Woyda natychmiast wymierzył w niego pistolet. Starzec udał zdziwienie, zamierając z opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma.

– Kogo widzą moje starcze oczy? Soniu, mamy gościa! Dostojny pan w naszych skromnych żydowskich progach? Z kim mam przyjemność, łaskawy panie? – mówił, mrugając, by udać oślepienie blaskiem świeczek tkwiących w menorze.

– Włóż, parchu! – Modniś skinął pistoletem. – Siadaj obok dzieciaków!

– Proszę wybaczyć, nie poznałem komornika. – Dziadek uklonił się w pas. – Któż inny mógłby być tak stanowczy wobec nas, biedaków żyjących na dnie warszawskich rynsztoków, szukających kawałka stawy w śmietniskach i zebrzących o psi grosz, by mieć czym nakarmić te wychudzone dziatki...

Gadając jak nakręcony, nieustannie się kłaniał. Woyda westchnął z rezygnacją. Stwierdził, że ma do czynienia z zapijaczonym wariatem. Opuścił broń i ruszył, by chwycić starca za kołnierz i porządnie nim potrząsnąć. Gdy tylko złapał za brudny chałat, w ręku pochylonego w ukłonie Żyda błysnęło długie, spiczaste ostrze. Elegant zadziałał instynktownie, mocno odpychając pijacynę. Nóż świsnął w powietrzu, gdy Abram leciał w tył. Intruz wymierzył w niego pistolet.

XII

Ksiądz Stanisław zgodził się przyjąć policjantów dopiero wieczorem, w dodatku grubo po kolacji. Gliński rozumiał niechęć Staszica do sprawiających mu kłopoty funkcjonariuszy, ale ani myślał rezygnować czy też obrażać się na klechę. Zabrał więc młodego Dangiela do swego domu, gdzie spokojnie zjedli wieczerzę w postaci niewyszukanych, za to pysznych tartynek warszawskich z posiekanym jajkiem i wędzonymi szprotkami. Potem pan Augustyn musiał zająć się zwalczaniem nadchodzącej senności, zabrał więc asystenta na spacer po Krakowskim Przedmieściu.

Na całe szczęście szara eminencja Towarzystwa Przyjaciół Nauk była niemal sąsiadem Glińskiego. Ksiądz mieszkał w jednym z pawilonów przy pałacu Krasińskich, spacer nie trwał więc przesadnie długo. Sekretarz generalny starał się przestrzegać zaleceń lekarzy, dlatego unikał przebywania na świeżym powietrzu ponad miarę i nadmiernego forsowania organizmu chodzeniem. Wszyscy wszak wiedzieli, że od łażenia w marcowy, wietrzny wieczór po mieście może wyniknąć jedynie śmiertelnie groźne przeziębienie, zatem dobre pół godziny przez umówionym spotkaniem zastukali kołatką w drzwi południowego skrzydła pałacowych pawilonów.

Otworzył im młody klecha w sutannie, jak się okazało, sekretarz księdza Stanisława. Potraktował ich bardzo grzecznie, pomógł im się rozdziać, podsunął nawet Glinie stojak na laski, a potem wprowadził przybyszy do pomieszczenia z kominkiem, w którym trzaskał ogień. Przed ulotnieniem się w głębi domu kleryk wskazał jeszcze gościom rozstawione przed paleniskiem fotele obite szaraczkowym adamaszkiem.

Staszic pojawił się dokładnie o godzinie, w której się umówili. Nie sprawiał wrażenia choćby zaciekawionego powodem, któremu zawdzięczał wizytę policjantów. Usadził się w jednym z foteli i rozpoczął niezobowiązującą rozmowę o paskudnej pogodzie i błotnistych ulicach Warszawy, które nie mogły doczekać się nie tylko koniecznych napraw, ale też nawet regularnego usuwania z nich końskiego łajna. Głina nie próbował się tłumaczyć, choć zrozumiał przytyk. Dbanie o czystość miasta było jednym z zadań policji, akurat tym, z którym zupełnie sobie nie radziła. Litania księdza miała zatem zasugerować, by funkcjonariusze zajęli się lepiej swoją pracą, zamiast niepokoić i nachodzić po nocy porządnym ludzi.

– Robimy co w naszej mocy, by czuwać nad obywatelami miasta – odparł szef śledczych. – Staramy się jednocześnie dbać o tak wiele aspektów, że niektórych nie

jesteśmy w stanie opanować. Nadrabiamy za to na innych frontach. Na przykład dbamy o zguby, mogące być bardzo ważne dla pewnych osób. Zawsze staramy się je zwrócić zainteresowanym.

– To z pewnością godna pochwały działalność, ale mnie osobiście nie dotyczy, w przeciwieństwie do dróg, którymi muszę się codziennie przemieszczać – odparł ksiądz Stanisław.

– Nie dotyczy, doprawdy? – Gliński uśmiechnął się kącikami ust. – Raptem wczoraj ksiądz tak usilnie zabiegał o spokój mistrza Abrahama Sterna, chciał zapewnić mu idealne warunki do pracy nad ważnym projektem. Czyżby nie interesowało zatem księdza, że mistrz stracił dziś znaczną część dokumentacji technicznej tyczącej pewnej maszyny?

Staszic wyprostował się w fotelu, mierząc urzędnika przeszywającym spojrzeniem.

– Jakiej maszyny?

– Może ksiądz sam nam to powie? – po raz pierwszy do rozmowy wtrącił się Dangieli. – Bo chyba ksiądz się domyśla jakiej?

Gospodarz poderwał się z fotela, wyraźnie wzburzony.

– Proszę ze mną nie igrzać! Nie zdają sobie panowie sprawy, jak ważny to projekt! I kto jest w niego zaangażowany! Chcecie się dowiedzieć? Możecie już jutro tłumaczyć się samemu ministrowi Potockiemu, skoro tak wam zależy. On już wam wszystko wyjaśni!

– Mamy tę dokumentację – spokojnie wtrącił Gliński. – Zwrócimy ją, i to szybko, tak że mistrz nie odczuje żadnego dyskomfortu w pracy. Oczekuję jednak w zamian choćby drobnego gestu życzliwości ze strony Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Duchowny opanował się w jednej chwili. Zamaszystym gestem przygładził siwe włosy i podszedł do drzwi. Uchylił je i powiedział coś do sekretarza. Po chwili, jakby nic się nie stało, znów rozparł się w fotelu.

– Zastanawia mnie, dlaczego nie zostałem poinformowany o stracie dokumentacji – mruknął niby do siebie.

– Może panu Włodzimierzowi Woydzie zależało, byście się o tym nie dowiedzieli? – odrzekł sekretarz generalny. – A dlaczego, to łatwe do przewidzenia. Dopuscił do kradzieży dokumentacji i wolał zachować to w tajemnicy. Ciekawym tylko, jak długo by mu się udało was zwodzić. I co chciałby w ten sposób ugrać.

Staszic pokiwał głową.

– Domyślam się, co chciał ugrać – powiedział. – Włodek od początku był przeciwny temu projektowi. Wpierw twierdził, że stworzenie maszyny jest niemożliwe do wykonania, a gdy mistrz Stern skonstruował prototyp, Woyda orzekł, że to bluźnierstwo, że istnienie tego aparatu może w niewyobrażalny sposób zmienić świat. Optował za wstrzymaniem projektu, ale nikt go nie słuchał. Potem nagle zmienił

śpiewkę i stał się zagorzałym zwolennikiem wynalazku. To powinno wzbudzić moje podejrzenia. Wygląda na to, że tylko udawał, a cały czas chodziło mu o zniweczenie wysiłku żydowskiego geniusza. Nie zdziwiłbym się, gdyby celowo pozwolił zniknąć dokumentacji i jak najdłużej nas zwodził, byle nie dopuścić do ziszczenia się naszych marzeń, do zmaterializowania się wynalazku.

Do pokoju wszedł sekretarz, niosąc na tacy karafkę ze rżniętego szkła i kieliszki. Szybko rozlał trunek, a następnie poczęstował nim gości. Głina z ciekawością posmakował słodkiego, aromatycznego napitku. Przyglądał mu się przez chwilę, patrząc poprzez kieliszek w ogień kominka. Płomienie opalizowały w ciemnej, gęstej cieczy.

– To nalewka ziołowa – powiedział gospodarz. – Dobra na sen.

– Wspaniale! – Dangieli, wyraźnie zniecierpliwiony leniwym i sennym zachowaniem dwóch starszych rozmówców, poruszył się niespokojnie w fotelu. – Może będzie pan wreszcie łaskawy wyjaśnić nam, o co właściwie chodzi z tym wynalazkiem. Czym była maszyna, którą zabito wekslarza?

Głina spiorunował śledczego wzrokiem.

– To być może pozwoli nam wyjaśnić zagadkę jego śmierci. Bez tej wiedzy ciągle poruszamy się po omacku, nie wiedząc, czego właściwie mamy szukać – bronił się Tomasz.

– Pan wybaczy młodzieńcowi to zachowanie – zwrócił się do Staszica szef sekcji kryminalnej. – Jest taki żywołowy...

– Tak, rozumiem. To przez młodość. – Ksiądz Stanisław uśmiechnął się z pobłażaniem. Spojrzał na swego sekretarza i skinął mu ręką. – Możesz odejść, Jakubie. Nie będziesz mi już potrzebny.

Kleryk ukłonił się pryncypałowi, zmierzył ostrym spojrzeniem policjantów i wyszedł z gabinetu.

– Właściwie pana asystent ma rację, powinienem wyznać wam, czym jest maszyna – odezwał się ksiądz. – Wybaczcie, że nie zrobiłem tego od razu, ale zaraz zrozumiecie, czemu utrzymanie w tajemnicy istnienia aparatu ma tak ogromne znaczenie. Proszę was również o dyskrecję, rzecz jasna.

– Może nam pan ufać – krótko odparł Głina.

– Ta maszyna będzie służyła do liczenia – oznajmił Staszic.

W pokoju zapadła cisza, którą burzyły jedynie trzaski w kominku. Dangieli wypił swój kieliszek jednym haustem. Jego szef patrzył z uwagą na dumnego ze swojego wyznania gospodarza.

– To wszystko? Będzie rodzajem liczydła? – upewnił się.

– Właściwie tak, ale liczydła, które wykonuje operacje samodzielnie, bez ingerencji człowieka – przyznał nieco zmieszany ksiądz Stanisław. – W dodatku może

błyskawicznie, w jednej chwili, wykonywać operacje na liczbach wielocyfrowych. Na dzień dzisiejszy mistrz Stern potrafi zbudować maszynę wykonującą wszystkie cztery podstawowe działania matematyczne, zamierza jednak ją rozbudować, dodając umiejętność wyciągania pierwiastków kwadratowych.

– To szalenie interesujące – przyznał młody śledczy. – Aparat liczy dzięki operacjom wykonywanym przez koła zębate? Liczy mechanicznie?

– Właśnie! Zupełnie sam! – Staszic wycelował w niego palec. – Bystry chłopak.

– Rozumiem, dlaczego zainteresował się tym wynalazkiem wekslarz, wszak przedmiot ten mógł mu pomóc w rachunkach, skomplikowanych przeliczeniach kursów i takich tam. Nadal jednak nie rozumiem, czemu to... liczydło jest tak ważne dla Towarzystwa i w dodatku objęte tajemnicą – powiedział pan Augustyn.

– Proszę się zastanowić, panie Gliński, jak potężne to będzie urządzenie. W przyszłości umożliwi automatyczne i natychmiastowe wykonywanie skomplikowanych obliczeń, w dodatku na wielką skalę. Proszę pomyśleć, jak ogromną przewagę technologiczną zapewni naszemu państwu. Zaopatrzeni w maszynę artylerzyści natychmiast wyznaczą trajektorię pocisków i odpowiednio przygotowują działa. Każdy strzał będzie miał straszliwe zniszczenie w szeregach wroga. Architekci obliczą wymiary budowli do tej pory nie do wzniesienia za względu na skromne możliwości sztuki budowlanej, przyrodnicy zdobędą narzędzie do poznania tajemnic natury, obliczą parametry trajektorii gwiazd, zależności pojawiania się przyływów i odpływów, wędrówek zwierząt, kierunków wiatrów, pojawień się trzęsień ziemi, susz i powodzi.

– Myśli pan, że wszystko to da się policzyć? – sceptycznie spytał sekretarz generalny.

– Może nie bezpośrednio, może jeszcze nie tym urządzeniem, a dopiero jego następcami, ale lada dzień zdobędziemy niezwykle ważny wynalazek, który śmiem porównać do odkrycia koła przez starożytnych albo wynalezienia pisma! – Ksiądz poderwał się z fotela i złapał za karafkę. – Maszyny liczące, coraz bardziej sprawne i skomplikowane, posłużą do projektowania innych maszyn. Jeszcze dziwniejszych, potężniejszych. Te zmienią świat, zmienią nasze życie. Maszyny liczące będą najpotężniejszym sojusznikiem ludzkości służącym do badania, odkrywania, do poznania tajemnic wszechrzeczy! A my zdobędziemy je jako pierwsi! Już pan rozumie, dlaczego chowamy to w tajemnicy? Wszystkie potęgi świata będą chciały wydrzeć nam tę maszynę, gdy tylko zrozumieją, jak jest ważna.

Glina pokiwał głową. Odruchowo i nieświadomie wyciągnął z kieszeni fajkę i wetknął ją do ust.

– Maszyny zmieniające świat, projektujące inne maszyny, umożliwiające zgłębienie tajemnic przyrody – wymienił Daniel. – Czy to nie bluźnierstwo? Czy nie podnosicie ręki na sprawy boskie?

– Tak mniej więcej przekonywał nas Woyda – przyznał Staszic. – Twierdził, że ludzkość nie dojrzała jeszcze do dysponowania podobną potęgą. Że nasze odkrycie zostanie zaprzepaszczone, użyte w sposób niegodny, na szkodę ludzkości. Włodek jest matematykiem i twierdzi, że świętej królowej nauk nie można odzierać z szat, czyli z jej tajemnic. Nie można pozwolić, by byle cham dysponował urządzeniem pozwalającym władać matematyką, jak woźnica włada zaprzężonymi do wozu końmi. To ostatnie jest dla Woydy chyba większym bluźnierstwem niż strach o przyszłość zmienionego świata. Boi się, że jego królowa nauk przestanie być tak elitarna, a dostęp do niej hermetyczny. Myślałem jednak, że rozsądek przeważył, że Włodek zrozumiał, iż nie da się powstrzymać postępu. Trzeba walczyć, byśmy to właśnie my szli na jego czele.

– Czy ów jegomość jest zdolny do kradzieży? – spytał starszy z gości. – Czy by zdobyć prototyp, mógł ukraść panu Chodkiewiczowi truciznę i włamać się do naszego archiwum?

– Nie wiem – odparł wyraźnie wstrząśnięty duchowny. – Nie znam go od tej strony. Potrafi wybuchnąć gniewem i zachowywać się gwałtownie, ale włamanie na posterunek? Trudno powiedzieć...

– Miał dostęp do laboratorium Chodkiewicza? – wtrącił Tomasz. – Był na liście odwiedzających?

Glina wyciągnął z kieszeni kartkę i rozłożył ją z pietyzmem. Przechylił papier w kierunku ognia, by złapać trochę światła, i przejrzał zanotowane nazwiska.

– Był – stwierdził. – Zatem to on zabił psy Szai.

XIII

Dziadek, pchnięty przez Woydę, poleciał w tył. Jednak zamiast runąć na podłogę niczym worek szmat, odbił się od ściany i furkocząc połamami chałatu, zawirował jak kręcący się bąk. Elegant nie spodziewał się takiej sprawności i szybkości po zgrzybiałym, przygarbionym Żydzie, ale zdołał odskoczyć. Dzieci zakwiliły jednym przerażonym głosem. Abram, świszcząc nożem, minął o włos młodzieńca i wpadł na stół. Przewalił go z łomotem, samemu upadając na podłogę. Ostrze z brzękiem potoczyło się w kąt.

Modniś z wściekłym warknięciem wymierzył broń w próbującego schować się za białym staruszka. Nie zwracał przy tym uwagi na kobietę i dzieci. Sonia tymczasem znalazła się za jego plecami. Uniosła stołek i oburącz trzymając go za nogi, z całej siły trzasnęła nim mężczyznę w tył głowy. Woyda uderzył kolanami w podłogę aż zadudniło, opuścił ręce i runął na twarz.

Dziadek doskoczył do niego i sapiąc z wysiłku, kopnął go w bok głowy. Zamachnął się do następnego ciosu, ale żona wnuka złapała go za kołnierz i odciągnęła od leżącej nieruchomo ofiary. Intruz nie dawał żadnych oznak życia.

– Psiakrew, zabiję! – charczał Abram, szamocząc się z kobietą.

Wreszcie spojrzął na płaczące dzieci i sapiąc wściekle, uniósł ręce w pojednawczym geście. Sonia pochyliła się nad Woydą, obróciła go na plecy i chwilę obserwowała jego podnoszącą się w oddechu pierś.

– Żyje – stwierdziła. – Co teraz?

– Przejadę mu nożem po gardle i wywiozę nad rzekę – zaproponował dziadek.

– Jeszcze czego! Złapią cię z trupem Polaka i znów się rozejdzie po mieście, że Żydzi szlachtują chrześcijan, by robić macę z ich krwi – warknęła.

– Nie, to nie tak. Wedle gojów macę robimy z krwi niemowląt – zauważył pijaczyna.

– Co za różnica? I tak będą mieli pretekst, by znów się do nas dobrać. – Wzruszyła ramionami. – Zwiążę go, a ty leć po pana Glińskiego. No już, na co czekasz?

– Teraz? Po nocy? Taki kawał? – obruszył się dziadek. – Zresztą i tak służba mnie nie wpuści, a za budzenie po nocy najwyżej poszczuje psem. Po drodze mogę też oberwać od nocnych stróżów. Poczekamy do rana, wtedy pojedę jego dwukółką. A właśnie, wprowadzę ją na podwórko, zanim ktoś podwędzi konia.

Wyszedł, a Sonia najpierw uspokoiła dzieci, potem zaś związała sznurkiem ręce i nogi jeńca. Zanim staruszek wrócił, zdążyła przetrząsnąć kieszenie Woydy. Odebrała mu

nóż, ale znalezione w spodniach monety zostawiła na miejscu.

XIV

Gliński upił łyk z kolejnego kieliszka nalewki. W głowie powoli zaczynało mu szumieć, ale umysł wyostrzył się i wyklarował. Sekretarz generalny odstawił naczynie, wiedząc, że osiągnął stan euforii alkoholowej, który może mieć i wpływać na osąd oraz jasność myśli. Gospodarz, który w podczas konwersacji zgubił gdzieś niechęć do policjantów, zabawiał ich ciekawą rozmową o licznych planach i sukcesach Komisji Edukacji Narodowej, której szefował. Pan Augustyn, który od zawsze trapił się ciężkim losem biedoty i robił co mógł, by ulżyć jej niedoli, żywo zainteresował się planami założenia szkół powszechnych. Wizja nauczania rzesz prostych ludzi czytania i liczenia wydała mu się godna najwyższych pochwał. Sam jako działacz masońskiej loży zajmował się właśnie próbami niesienia postępu i kaganka oświaty pośród ludu.

Młodego Dangiela jednak nie ciekawiła dyskusja o sposobach nauczania i niezwykłych korzyściach, jakie odniesie Polska, gdy uda się wykształcić większość jej obywateli. Nalewka mu nie smakowała, była za słodka i zbyt aromatyczna, zaś rozmowa, odkąd odbiegła od sprawy związanej z zabójstwem Ataliasa, robiła się coraz nudniejsza. Chłopak zaczął powoli przysypiać, kilkakrotnie nawet nie udało mu się powstrzymać ziewania, czym wreszcie zwrócił uwagę przełożonego.

– Och, proszę wybaczyć, księżu Stanisławie, ale chyba się zasiedzieliśmy. Zrobiła się wszak późna noc, nieprawdaż?

W takcie rozmowy, gdy policjant z duchownym znaleźli wspólny język i okazało się, że są pokrewnymi duszami, zmienił się również ich wzajemny stosunek. To od Staszica wyszła propozycja, by zwracali się do siebie po imieniu, co przy tak krótkiej znajomości było czymś niezwykłym. Gliński przystał na to bez wahania i już po dwóch godzinach panowie traktowali się niczym kompani i zachowywali się tak, jakby znali się od lat.

– Pora może i późna, ale mamy tyle do omówienia, panie Augustynie. Chyba jednak rzeczywiście będziemy musieli przełożyć naszą rozmowę na inny dzień. Rad byłbym cię widzieć na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk! Serdecznie zapraszam! – Gospodarz wstał razem z Glińskim i z szerokim uśmiechem poprowadził go do drzwi gabinetu.

Daniel westchnął z ulgą. Marzył już o łóżku, a do domu czekała go droga przez zimne i ciemne miasto.

– Ach, zapomniałbym o najważniejszym! – Szef wydziału klepnął się dłonią w czoło. – Przecież muszę ci przekazać dokumentację maszyny liczącej! Po to przecież tu

przyszliśmy. Mam ją w kieszeni surduta.

Ksiądz odprowadził gości do drzwi, zabierając po drodze świecznik z trzema grubymi świecami. W holu stał wieszak na palta gości i stojak na laski. Cała trójka zatrzymała się w pół kroku. Staszic rozglądał się po pomieszczeniu wyraźnie zmieszany. O ile laska pana Augustyna tkwiła na swoim miejscu w stojaku, o tyle wieszak był pusty.

– A cóż to, u licha? – zdziwił się ksiądz Stanisław.

Odwrócił się w stronę wnętrza domu i zawołał swego sekretarza. Tymczasem śledczy i jego przełożony uważnie rozejrzeli się po holu. Gliński podszedł do drzwi i pchnął je lekko. Otworzyły się na całą szerokość, wpuszczając do środka powiew zimnego, marcowego wiatru. Skobel nie był założony od wewnątrz, co więcej, drzwi nie zamknięto nawet na klamkę. Kleryk Jakub, który pojawił się z zaspną twarzą, najwyraźniej wyrwany z drzemki, w jednej chwili oprzytomniał i złapał się za głowę.

– Matko Boska, nie zaryglowałem drzwi!

Staszic podszedł ze świecznikiem do wejścia i wyjrzał na zewnątrz. Po bruku Nowego Świata przejechał jakiś spóźniony powóz, w oddali niemrawym krokiem szło dwóch nocnych stróżów z latarnią. Gliński zawołał ich władczy tonem.

– Coś podobnego jeszcze mi się nie przydarzyło – powiedział gospodarz. – Jestem wstrząśnięty. Wygląda na to, że was okradziono. To niebywałe!

– Niestety, to się zdarza – rzekł sekretarz generalny. – Bieda pcha ludzi do tak niegodnych czynów jak kradzież zwykłej garderoby. Od jakiegoś czasu walczymy z plagą podobnych przestępstw. Złodziej chodzi od domu do domu i delikatnie ruszając klamką, sprawdza, które drzwi nie zostały zaryglowane. Jeśli na takie trafi, wślizguje się do środka i kradnie z przedpokoju co mu wpadnie w ręce. Wierzchnie okrycia domowników, parasole, laski, buty. To przykre, ale zdarza się coraz częściej, szczególnie w kamienicach, gdzie pojawienie się obcego nie budzi specjalnego zainteresowania.

– Ale o podobnym złodziejstwie w pałacu jeszcze nie słyszałem – zauważył Dangieli. – Tylko w czynszowych kamienicach, ale tam kradną wszystko, nawet pranie rozwieszane na strychu.

Zawołani stróże szybko przybiegli, ale okazało się, że nie widzieli w okolicy zupełnie nikogo, choć to jeszcze o niczym nie świadczyło. Złodziej mógł bez kłopotu zniknąć w ciemności, ulice wszak nie były oświetlone. Wstrząśnięty ksiądz Stanisław ubrał Glińskiego w jeden z własnych surdutow, zaoferował nawet, że obudzi stajennego i każe odwieźć policjantów do domu. Pan Augustyn jednak się nie zgodził, przyjął za to pożyczone odzienie. Tomaszowi trafiła się ciężka peleryna, doskonale chroniąca przed wiatrem. Nocny patrol przyprowadził im latarnika do wynajęcia, który odprowadził do domu najpierw Glińskiego, a potem młodszego policjanta.

Sekretarz generalny po dotarciu do domu, gdy zaspana pokojówka Ania wreszcie mu otworzyła, zażyczył sobie garnuszek ciepłego mleka, a po jego wypiciu długo leżał w łóżku, rozmyślając, jak odzyskać dokumenty, gdyż razem z surdutami znikły bezcenne szkice i zapiski mistrza Sterna. Głina zastanawiał się, czy kradzież faktycznie była przypadkowa, czy też policjanci byli śledzeni. Musiał szybko rozwiązać tę zagadkę. Zanim papiery trafią w niepowołane ręce.

XV

Rankiem obudził Glinę hałas dobiegający z głębi domu. Ktoś kłócił się z kucharką podniesionym, chrapliwym głosem. Policjant wstał z łóżka i założył szlafrok, po czym z godnością, niespiesznie zszedł na dół i skierował się do kuchni. Małgorzata stała przed wejściem dla służby, trzymając się pod boki, czyli w najbardziej bojowej postawie. Za jej plecami, niczym za barykadą, tkwiła drobna pokojówka Ania, z ciekawością przyglądająca się starciu. Nikt nie zauważył nadchodzącego gospodarza.

– Precz stąd, pókim dobra! – dudniła kucharka. – Powiedziałam, że nie wpuszczę do domu byle oberwańców. Idź, dziadzie, na żeby pod bramę jakiego pałacu!

Sekretarz generalny spojrział jej przez ramię i ujrzał stojącego w drzwiach dziadka Szai, wiekowego Żyda z rozczochraną białą brodą. Za poczerwieniałym z gniewu staruszką stała trójka małych dzieci, mocno wystraszonych krzykami.

– Małgorzato, wpuść ich, proszę – spokojnie powiedział pan Augustyn.

Ania dygnęła, widząc pana domu, kucharka przewróciła oczami, wyrażając w ten sposób, co myśli o zwyczaju wpraszania się do domu różnego rodzaju łazęg i oberwańców. Mruknęła jeszcze, że za starego pana byłoby to nie do pomyślenia.

– Mówiłem, że pracuję dla policji? Mówiłem? – triumfował Abram. – Jaśnie pan wybaczy, ale wydarzyło się coś niebywale ważnego. W nocy napadł na nasz dom pewien osobnik, ten sam jegomość, którego spotkałem z Szają w domu mistrza Sterna. Groził bronią dzieciom i Soni, a potem próbował mnie zastrzelić! Chciał, byśmy wydali mu dokumenty, które tak sprytnie podebrałem Sternowi. Nie dał sobie nic wytłumaczyć, pałał żądzą mordy. Udało nam się go obezwładnić, nie chwając się, dzięki mojemu sprytowi i umiejętnościom, wyuczonym jeszcze w cyrku, w którym pracowałem za króla Augusta. Sonia wysłała mnie po pana, byście zabrali bandytę. Kazała mi wziąć ze sobą dzieciaki, bo boi się, że ten drab może mieć współników, którzy będą próbowali go odbić. Błaga, by przyjechał pan jak najszybciej i aresztował drania. Została z nim sama, ma go na oku, ale nie może cały dzień pilnować tego gagatka. O my, biedni Żydzi! Strasznie uderzy nas to po kieszeni, Sonia cały dzień nie będzie mogła pracować. Wierzę jednak, że nie pozwoli nam pan głodować, wesprze nas stosownym honorarium za poświęcenie i narażanie życia w słusznej sprawie.

Gliński słuchał lawiny słów, przyglądając się trójce dzieci drepczących nieśmiało za plecami dziadka. Pociuchy Szai były zasmarkane i odziane w podniszczone ubrania, choć

widać było, że pieczołowicie pocerowane.

– Małgorzato, nakarm, proszę, tę dziatwę – polecił kucharce. – Daj im chleba z masłem albo nagotuj kaszki na mleku. Panu Abramowi również daj coś do jedzenia, ja się w tym czasie ubiorę.

– Nie będzie pan jadł śniadania? – zdziwiła się kucharka.

– Ależ będę. Zabiorę je ze sobą, przygotuj mi wężetek. Chleb z serem i gotowane jajka.

Starzec zasiadł za kuchennym stołem i wziął najmłodszego prawnuka na kolana. Spojrzał wyczekująco na Małgorzatę. Kobieta zmarszczyła groźnie brwi, ale nic nie powiedziała. Ruszyła do garów, po drodze zmierzwiła czuprynę syna Szai i pogładziła po buzi jego córeczkę.

– Przyjechałem tu powozem odebrany temu bandycie – dodał dziadek. – Będziemy mogli szybko się nim przemieszczać.

– Świetnie. Zostawimy dzieci pod opieką Małgorzaty i Ani – zdecydował Glina. – Najpierw pojedziemy na Niską, do warsztatów policji. Muszę wysłać mojego najmłodszego policjanta, Jaśka, na poszukiwanie złodziei ubrań. Potem odbierzemy aresztowanego. Domyślam się, że ten jegomość to Włodzimierz Woyda?

– Tak się przedstawił w domu majstra Sterna – skinął głową Izraelita. – A jeśli to nie Woyda, to musi to być jego brat bliźniak.

XVI

Sonia zaczesła długie rude włosy do tyłu i spięła je w koński ogon. Chwilę przeglądała się swemu odbiciu w lusterku, z krytyczną miną obserwując zmarszczki w kącikach oczu. Z każdym dniem było ich coraz więcej. Nie powinna zatem tak często okazywać radości, bo kurzych łapek przybywało z pewnością od nazbyt częstych uśmiechów. Przynajmniej tak twierdziła Gitla. Ale co ona tam wiedziała o zmarszczkach? Najmłodsza z sióstr miała ledwie dwadzieścia dwa lata, a lica pulchne i jeszcze zupełnie gładziutkie. Naburmuszanie się i wieczna powaga wcale nie powstrzyma starzenia, Gitla już niedługo sama się o tym przekona.

Rozmyślenia przy porannej toalecie przerwało Soni szamotanie się więźnia leżącego w kącie salonu. Żydówka sięgnęła po pistolet z blatu stolika i zaciskając zęby ze strachu i złości, wróciła do pokoju. Zła była na Szaję, że wmanewrował w policyjne sprawy całą rodzinę, choć pewnie nie miał na to zbyt wielkiego wpływu. A bała się, bo rosły jegomość, który leżał związany, miał w oczach coś dziwnego – szaleństwo i determinację. Gdy policja go wreszcie wypuści, może tu wrócić, by zemścić się na głupich Żydach, którzy tak go poniżyli. Może lepiej było posłuchać dziadka i pozwolić go zaszlachtować? O nie, podobna podłość nie wchodziła w grę! Nie w tym domu!

– Nie miotaj się pan, nie ma po co! – powiedziała głośno, walcząc z drżeniem głosu. – Leż pan spokojnie, zaraz i tak przyjedzie policja. Pojedziesz pan na Pawią albo do ciupy w ratuszu. Tam będziesz pan mógł upominać się o zgubione dokumenty. Ja tu ich nie mam, powtarzam po raz ostatni. Mój mąż nie przyniósł ich do domu.

Woyda przestał się szarpać. Zaległ bez ruchu, patrząc uważnie na kobietę. Choć marszczyła groźnie brwi, bez trudu dostrzegł w jej oczach strach.

– Nie wie pani, kim jestem – powiedział. – Stoi za mną Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które zrzesza najwybitniejsze osobistości Księstwa. I najbardziej wpływowe. Te dokumenty należą właśnie do Towarzystwa, a ja, szukając ich, wykonywałem tylko swoje obowiązki. Proszę mnie uwolnić, a puszczę sprawę w niepamięć. Policja i tak nic mi nie zrobi, jeszcze przed południem zostanę uwolniony. Moi towarzysze z bractwa stoją ponad prawem i służbami porządkowymi. Nie chce chyba pani mnie rozgniewać i spowodować, bym zapamiętał pani postawę? Wystarczy słowo, a pani mąż straci pracę, a może i życie. Tego pani chce? Zostać wdową bez środków do życia?

– Proszę mi nie grozić – odparła, łapiąc się na tym, że jej głos drży coraz bardziej. – Przypominam, że wtargnął pan do tego domu, grożąc domownikom, w tym dzieciom, tą oto bronią. Jeśli poczuję się zagrożona, nie zawaham się strzelić!

Wymierzyła pistolet w leżącego. Intruz tylko paskudnie się uśmiechnął.

– Strzelić do związanego, do bezbronnego? – prychnął. – Nie zrobiłaby pani czegoś takiego, to niegodne i podłe. Dobrze, dajmy spokój. Poczekamy na przyjazd policji, proszę opuścić broń i zająć się domowymi sprawami, będę leżał grzecznie. Nic pani z mojej strony nie grozi.

Sonia schowała pistolet do kieszeni fartucha, obok pompadurki, w której trzymała przybory do szycia. Dziadek poinstruował ją wcześniej, że przed strzałem należy podnieść kurek, a gdy zrezygnujemy z dania ognia, opuścić go, by broń sama nie wypaliła. Pomna przestrog, jeszcze raz ją wyciągnęła i kciukiem opuściła kurek. Potem znów próbowała ulokować pistolet w kieszeni, ale zawadzały jej klucze i nożyczki krawieckie, które nosiła w fartuchu jak każda szanująca się gospodyni. Wyjęła więc nożyczki i odłożyła je na stół, w ich miejsce wkładając broń.

– Mam jedną prośbę – odezwał się Woyda. – Muszę odejść na stronę, za potrzebą.

– Jak pan to sobie wyobraża? – burknęła kobieta.

– Rozwiąże mnie pani, pójdę się wysikać, a potem pozwolę się związać – odparł lekko, a nawet się uśmiechnął. – Dam pani parol!

– Słowo honoru? Jak mam spodziewać się, że dotrzyma słowa ktoś, kto groził kobiecie i jej dzieciom pistoletem? Masz mnie pan za durną babę? – syknęła. – Jeśli pan chcesz, możesz zeszczuć się w portki. Nic mnie to nie obchodzi!

– Zostanie nieładna kałuża, trzeba będzie czyścić – zauważył. – Poza tym nie zapomnę o grzeczności, którą mi pani wyświadczy i dzięki temu oszczędzi ponizeń przed policją. Obiecuję, że nie będę chował urazy za przetrzymywanie i nic wam nie będzie groziło ze strony Towarzystwa. Gotów jestem nawet zabiegać, by objęło waszą rodzinę opieką. To może zaowocować obiecującą pracą dla pani męża, niezwykle operatywnego człowieka, sądząc po sprytnej kradzieży dokumentów. Może zarobić znacznie więcej niż w policji. W kilka lat uzbieracie tyle, by wyprowadzić się z tej nędznej, ciemnej nory. Nie chce pani zapewnić dzieciom lepszego startu w dorosłość, niż sama pani miała? Proszę się zastanowić.

Sonia skinęła głową, a równocześnie wydeła usta w pogardliwym grymasie. Nie wierzyła w ani jedno słowo drania. Wszystkie jego groźby i obietnice nie były funta kłaków warte. Pewnie niejedna idiotka dałaby wiarę gładkim słówkom elegancika ze szlacheckim wąsikiem, ale nie ona. Słowo honoru! Obietnice lepszej pracy! Dobrze sobie!

Prychając z irytacji, obróciła się na pięcie i wyszła do kuchni. Zabrała się do obierania warzyw na zupę. Pewnie zaraz po przybyciu policji dziadek przyprowadzi dzieciaki, jak

zwykle wygłodzone niczym pisklaki. Oby Szaja dziś wrócił! Bez niego w domu było jakoś chłodno, wręcz trupio. Sonia nie lubiła, gdy wyjeżdżał lub gdy służba zatrzymywała go na noc. Zawsze wtedy brakowało jej łagodnych i ciepłych spojrzeń męża, jego dobrodusznego milczenia, uśmiechów i niby przypadkowych dotknięć oraz przelotnych uścisków, którymi ją szczerze obdarzał. Samotnymi nocami nie ogrzewał jej w łóżu, nie było łagodnych pocałunków i delikatnych pieszczot. Szaja był świetnym kochankiem, czułym i wyrozumiałym. Doceniała, że cierpliwie znosi jej humory i wizyty sióstr, których, zdaje się, nie cierpiał. Żałowała, że tak rzadko mówi mu o swoich uczuciach, że zwykle jest zbyt zmęczona, by okazać więcej oddania i miłości.

Pogrążona w myślach skrobała akurat marchewkę, gdy bardziej poczuła, niż usłyszała czyjąś obecność za plecami. Zerknęła przez ramię, ze zgrozą dostrzegając wślizgującego się do kuchni Woydę. Jak ten drań bezszelestnie się uwolnił, a potem dotarł tak blisko w absolutnej ciszy? Nie zaskrzypiała żadna deska w podłodze, poruszał się niczym dybuk! Ach, to nieszczęście spotkało ją pewnie przez to, że zostawiła na stole nożyczki!

Cisnęła nożyk do miski i obracając się, wyszarpnęła pistolet. Mężczyzna ruszył z warknięciem, wyciągając ręce. Wymierzyła w jego brzuch i pociągnęła za spust.

Nic! Nie odciągnęła kurka!

Wąsacz dopadł Sonię, jedną ręką chwycił za jej przegub i ścisnął mocno, zmuszając ją do upuszczenia pistoletu. Drugą ręką złapał kobietę za gardło. Pchnął ją na kuchenny piec i dusząc, wycedził prosto w twarz:

– Wieczne z wami utrapienie, parchy! Powinno się was wygnieść jak wszy. Jednego po drugim. Ukręciłbym ci łeb, suko, ale jesteś mi potrzebna.

Puścił ją niespodziewanie. Osunęła się na kolana, spazmatycznie łapiąc oddech. Masowała obolałą szyję, dygocząc z przerażenia i bezsilności. Wysoki, silny elegant podniósł upuszczoną broń i podsunął ją pod nos kobiety.

– Widzisz otwór w lufie? – spytał. – W środku siedzi ołowiana kula gruba jak twój kciuk. Teraz założysz kapotę i pójdziemy na spacer. Będę szedł obok, trzymając broń w kieszeni. Lufa będzie nieustannie wymierzona w twoje plecy. Jeśli po drodze spróbujesz uciec lub zwrócić czyjąś uwagę, strzelę. Ołowiana kula przejdzie przez skórę i mięśnie jak przez masło. Może strzaskać jakieś żebro i utkwic w płucu, może zdruzgotać kręgosłup. Tak czy inaczej, nie przebiegniesz nawet kilku kroków, a będziesz martwa. Rozumiesz?

Sonia pokiwała głową i podniosła się powoli.

– Gdzie mnie pan zabiera? I po co?

– Nie bój się – burknął. – Jeśli twój mąż będzie robił, co każę, nic ci się nie stanie i rychło wrócisz do domu niańczyć ten swój żydowski pomiot. A teraz ruszaj się, idziemy!

XVII

Powóz policji miasta Warszawy rażno pokonywał koleiny w błotnistej drodze. Doktor Ritter nie żałował bata, którym trzaskał po grzbietach dwa państwowe koniki. Zamierzał jeszcze dziś odnaleźć i przesłuchać lokaja Ataliasów, a przed wieczorem wrócić do miasta. To była jedyna okazja, by zdążyć przed zerwaniem mostu przez ruszający lód. Jeśli się nie wyrobiją, spędzą długie dni, a może tygodnie, czekając na okazję do przeprawy.

Siedzący na pace i podskakujący na każdym wyboju Szaja i Roch zacisnęli zęby, w pokorze znosząc niedogodności poruszania się po polskich drogach. I tak cieszyli się, że nie utkwili w błocie, co zeszłej wiosny przydarzyło się cesarzowi Napoleonowi, gdy jechał do Warszawy. Jego wysokość musiał opuścić tonącą karetę i aż od Sochaczewa podróżować w siodle. Większość francuskiej armii ugrzęzła wtedy na mazowieckich drogach, co utwierdziło żabojadów w przekonaniu, że trafili na koniec świata.

„Nie widzieli jeszcze Rosji” – pomyślał Appenszlak, trzymając się kurczowo burty wozu.

Niespodziewanie, po minięciu pagórka, wyjechali wprost przed duży zajazd okolony zabudowaniami gospodarczymi. W oddali wznosiły się pierwsze domy Otwocka. Byli już zatem prawie na miejscu. Doktor znów zaciął konie, zmuszając je do zdwojonego wysiłku.

– Czekajcie! – Szaja poderwał się z miejsca, widząc stojącego w drzwiach karczmy Żyda w czarnym chałacie. – Zaciągnę języka.

Zeskoczył z wozu i natychmiast zapadł się po kostki w błocie. Uwolnił się z pułapki, czemu towarzyszyło mlaśnięcie czarnej mazi, i wyszedł na kępę trawy. Całe szczęście, że dziedziniec przed zajazdem został wysypany tłuczniem i dało się po nim normalnie chodzić. Ritter wjechał na niego wozem i zatrzymał zdyszane konie. Tymczasem tropiciel dopadł już karczmarza i po grzecznym powitaniu zaczął zadawać pytania.

– Co mam nie znać? My tu wszyscy się znamy! – mówił Żyd. – Jest taki, Zelig z Warszawy, tak, niedawno przyjechał. Robotny człek, od razu wziął się do robienia geszeftu. Załapał się u liweranta Izaaka Aronowicza. Wiesz pan, u tego, co handluje końmi dla wojska. Tera sobie umyślił, by z końskiego gnoju robić saletrę do prochu. Zelig zarządza tym przedsięwzięciem, tam go znajdziecie, jeszcze przed miastem, przy stajniach Aronowicza.

Szaja uklonił się karczmarzowi i wręczył mu półsrebrnika. Potem jednym susem dopadł wozu. Medyk znów zaciął konie i policjanci pognali w kierunku widocznych w oddali stajni.

– Patrzcie, jakie te Żydy sprytne – odezwał się Gogiel. – Nawet gnój przerobią na coś, co da się sprzedać.

– I dobrze – odparł lekarz. – Gdyby nie oni, skąd warszawskie młyny prochowe wzięłyby saletrę? Armia Księstwa potrzebuje ogromnych ilości prochu. I nie zapominajcie, że zaopatruje w niego także stacjonujących tu żabojadów. Polacy właśnie operatywnym Żydom zawdzięczają, że ich żołnierze mają z czego pukać. Aronowicz nie tylko daje konie dla ułanów, ale i zorganizuje wszystko, czego tylko wojsku potrzeba. Skarb nie liwerant!

– Polska bardzo wiele zawdzięcza Żydom – z dumą przyznał Szaja. – Szyją mundury, palą wódkę, hodują konie, a teraz nawet proch robią. W mieście budują warsztaty i manufaktury, przywożą towary i sami je produkują. Gdyby nie możeszowe syny, Warszawa byłaby tylko większą wioską, a nie kwitnącą stolicą.

– Może i racja – bąknął Roch, drapiąc się po głowie. – Ale patrzcie tam, wozy z gnojem! To pewnie interes Aronowicza.

Pojazdy przesuwwały się po grząskim polu w kierunku wzniesienia, na którym krzątało się kilkunastu ludzi. Część nich kopła zawzięcie w ziemi, część zwała gnój z wozów do wielkiego dołu. Policjanci podjechali najbliżej jak się dało, ale dobrych dwadzieścia kroków od pracujących zatrzymała ich fala straszliwego smrodu.

– To nie tylko koński nawóz – zauważył olbrzym. – Czujecie? To także ludzkie gównno.

Podeszli do machających łopatami parobków, zarówno Żydów, jak i Polaków. Odchody, zwierzęce i ludzkie, spadały do dołu cuchnącą strugą, szybko go zapełniając. Szaja, starając się oddychać tylko ustami, zapytał głośno, który to Zelig. Jeden z pracujących przerwał z ulgą i wskazał kręcącego się przy wozach starszego Żyda. Policjanci szybko odsunęli się od straszliwych jam.

– Naprawdę chcą z tego czegoś zrobić saletrę? – dziwił się Gogiel. – Jakim cudem z gównna można zrobić proch?

– To stara metoda, praktykowana tam, gdzie brakuje kopalnych złóż saletry, a w Polsce akurat zupełnie ich nie ma – odparł doktor Ritter. – Przysypią odchody ziemią, a po jakimś czasie rozgrzebią. Saletra i mocznik wykrystalizują się jako biały osad. Wystarczy go zebrać i kilkakrotnie przekrystalizować.

– Współczuję nieszczęśnikom, którzy będą zbierać ten osad – powiedział Appenzlak. – Rozumiem, że będzie to polegało na brodzeniu po pas w przefermentowanych odchodach. W takich chwilach człowiek uświadamia sobie, że jego praca właściwie wcale nie jest taka zła.

Zelig wyszedł naprzeciw nadchodzącym osobnikom i z daleka zmierzył ich wzrokiem. Zignorował tropiciela i wielkoluda, biorąc ich za pomagierów lepiej ubranego Prusaka. Zwrócił się wprost do niego, kłaniając się wcześniej jak zawodowy lokaj.

– Czym mogę służyć jaśnie panu?

– Policja miasta Warszawy – krótko rzucił Ritter. – Służyliście u niedawno zmarłego Leopolda Ataliasa, prawda?

– Ja? Ależ skąd? To pomyłka. – Żyd rozłożył ręce. – Biorą mnie panowie za mego brata.

– To nie jesteś pan Zelig z Warszawy? – ostro rzucił Roch.

– Nie. Jestem Zelig z Otwocka. Mój brat, Zelig z Warszawy, wyjechał wczoraj z powrotem do miasta – rzekł Izraelita.

– Coś tu się nie zgadza, panie Zelig – powiedział Szaja, podchodząc do rozmówcy. – Dam sobie rękę uciąć, że lokaj Ataliasa nie miał brata...

Zarządca przetwórnii gnoju niespodziewanie oburącz pchnął Appenszlaka w pierś. Policjant ciężko pacnął tyłkiem w błoto. Były lokaj natychmiast rzucił się do szaleńczej ucieczki, klucząc zwinnie między wozami. Gogiel pędził za nim, sadząc wielkie susy, a medyk próbował przeciąć im drogę, gnając prosto wzdłuż wozów. Tropiciel zaś, klnąc wściekle, wygramolił się z błota i zabrał do oczyszczania kompletnie przemoczonych spodni. Pogroził oddalającemu się lokajowi pięścią.

Wtem Zelig zmienił kierunek ucieczki i pognął prosto w kierunku pobliskiego lasu. Pewnie chciał zgubić prześladowców między drzewami. Roch jednak zbliżał się do niego błyskawicznie. Kiedy już śledczy nie musiał lawirować między landarami z gnojówką, natychmiast nabrał większej prędkości. Izraelita zerknął przez ramię na doganiającego go wielkoluda i z przerażenia zaczął wrzeszczeć wniebogłosy i machać rękoma, jakby chciał odgonić prześladowcę. Wszyscy parobkowie i woźnice wstrzymali pracę, by przyglądać się niecodziennemu widowisku.

Wreszcie Zelig potknął się na kępie trawy i padł plackiem. Zaległ bez ruchu, czekając na gniew olbrzyma. Tymczasem Gogiel wyhamował i podszedł do niego spokojnym krokiem, chwycił uciekiniera za chałat na karku i jednym ruchem postawił go na równe nogi.

– Nie bijcie – jęczał Żyd. – Ja nic nie zrobiłem!

– To czemuś uciekał? – wysapał śledczy.

– Boję się was. Z pewnością będziecie mnie bili przy przesłuchaniu.

– Pewno. Sam ci wtłukę, aż gwiazdy w biały dzień zobaczysz. Chyba że wszystko ładnie wyśpiewasz, jak u księdza na spowiedzi. Czy raczej jak u rabina na święcie Jom Kipur albo czymś tam... – Dla podkreślenia swych słów Roch potrząsnął aresztantem.

Zelig został zabrany do wozu policjantów i posadzony na pace. Szaja patrzył na niego spode łba, bo przez mokre spodnie już robiło mu się zimno. Doktor zasiadł na koźle woźnicy i chwycił lejce.

– Chyba nie będziemy mogli go tak po prostu zabrać – powiedział cicho.

Do śledczych zbliżała się cała horda parobków i powożących wozami z gnojem. Mężczyźni uzbrojeni byli w łopaty umazane odchodami i baty woźniców. Surowe, ogorzałe od mrozu i wiatrów oblicza oraz zarośnięte gęby patrzyły na intruzów z jawną groźbą. Robotnicy nie zamierzali dopuścić, by obcy zabrali ich szefa, który zapewniał im utrzymanie i miskę stawy. Appenszlak uspokoił kompanów machnięciem ręki i wyszedł naprzeciw tłuszczy.

– Cofnąć się! Jesteśmy z policji!

– Zostawcie Zeliga, nic nie zrobił! – rzucił ktoś z tłumu.

– Skąd wiesz, że nic nie zrobił? – odparował tropiciel. – Zrobić przejście, powiedziałem! Chcecie, byśmy tu wrócili ze szwadronem ułanów? Wtedy wszyscy zapłacicie za stawianie się władzy!

Nadzorca chyba poczuł wyrzuty sumienia, uświadomiwszy sobie, że przez niego może dojść do zamieszek. Wstał i uniósł rękę.

– Spokojnie, bracia! Chętnie na miejscu odpowiem na pytania policji, a potem w pokoju wrócimy do pracy.

Roch spojrział z podziwem na sprytnego Żyda. Ułagodził sytuację, ale jednocześnie wymusił na funkcjonariuszach, aby przesłuchali go na oczach swoich pracowników. Nie można będzie obić mu gęby ani nawet wyszarpać za brodę, by skłonić do prawdomówności. A wielkoluda tak świerbiły ręce, by mu przyłać.

– Zgoda, szkoda czasu na przepychanki – rzekł Szaja, wracając na wóz. – Gadaj pan, dlaczego pani Atalia wypowiedziała wam służbę. Czyście widzieli coś dla niej niewygodnego? Co robiliście w dniu śmierci pana?

– A widzieli, widzieli – przytaknął Zelig, wyraźnie uspokojony obecnością otaczających wóz uzbrojonych parobków. – Widzieli, jak pani Atalia wymyka się z domu, pod zgrzebną peleryną ukrywając modną aryjską sukienkę. Wbrew woli pana, który nakazywał jej nosić się tradycyjnie, jak Bóg przykazał. Od zawsze ta jędza nas nie lubiła, a po śmierci pana powiedziała wprost, że wszyscy jesteśmy przeżytkiem z czasów mrocznego średniowiecza, zapuszczonymi dziadami i durnymi babami.

– Tak, wiemy o jej niechęci do ortodoksji męża i tradycji żydowskich. Na wasze miejsce natychmiast zatrudniła polskiego lokaja – przytaknął Appenszlak. – Interesuje nas jednak, czy nie była zamieszana w zabójstwo męża. Zdaje się, że w noc, w którą zginął, pozbyła się was z domu.

– Aj waj, tak było! Kazała woźnicy i parobkowi jechać gdzieś za miasto, niby załatwić obrok. Po prawdzie właśnie się skończył, a całą paszę w mieście zajęło wojsko. To przez cholernych Francuzów. Ich konie wszystko wyżarły. Pech chciał, że mnie pod wieczór straszliwie rozboleł brzuch, tak samo jak służącą. Atalia kazała nam zabierać się do szpitala, bo nie życzyła sobie, byśmy skapieli w jej domu. Wredna małpa.

– Mogła was otruć?

– Gdzie tam. – Żyd machnął ręką. – Choć może? Kto wie? Trzy dni srałem i rzygałem na zmianę, ale jakoś przeszło.

– Nie mamy pewności, że to trucizna – wtrącił lekarz. – Zatrucie nieświeżym pokarmem to główna przyczyna zgonu warszawiaków. Zawsze powtarzałem, że w tym mieście ujęcia wody kopie się zbyt blisko dołów kloacznych i że nie należy brać wody z dołu rzeki, poniżej odpływów z miejskich rynsztoków. Wszystko to jak grochem o ścianę. A już o tym, co jedzą warszawiacy, szczególnie biedota, nawet nie wspomnę.

– Biedota je wszystko co się da, nawet częściowo zgniłe czy zarobaczone – burknął Gogiel. – Lepsze to niż zdechnąć z głodu.

– Prawda! – przytaknął zatrzymany. – Już sobie przypominam. To były ryby. Z dna beczki. Niby porządnie zasolone, ale już nieco zalatywały. Nie ośmieliliśmy się podać ich panu, nawet koty żreć tego nie chciały. Próbowałem sprzedać ryby ulicznikom, ale nikt nie dawał złamanego dytka, więc zjedliśmy je we dwójkę z kucharką.

– Matko Boska – westchnął Roch. – Tośmy się telepali taki kawał, żeby wysłuchać zwierzeń chytrego Żyda?

– A dokąd chodziła w tajemnicy pani Atalia? – Szaja zignorował ostatnią uwagę Gogiela. – Miała kochanka? Może wysokiego młodzieńca z wąsikiem, dobrze ubranego? Nie twierdziła, że idzie się spotkać z kuzynem Natanem Meyerem?

Zelig wzruszył ramionami, robiąc przy tym durną minę.

– Pierwsze słyszę – mruknął. – Pani chodziła na spotkania dam do Zbytkowerówny, córki słynnego pana Szmula z Pragi. Ortodoksyjni nie tolerują zebrań kobiet, które uważają się za nowoczesne damy. Według tradycjonalistów baba ma siedzieć w domu i niańczyć dzieci albo zajmować się innymi domowymi pracami. Natomiast warszawskie panie wieczorami dyskutują, czytają na głos francuskie pisma i oglądają ryciny mód z Paryża. Pani Atalia grywała tam w karty i domino w towarzystwie młodych żydowskich dam. Pan jej tego wielokrotnie zabraniał, ale ona twierdziła, że dusi się w domu pełnym rozmodlonych starych Żydów i musi czerpać świeżość wśród zreformowanych przyjaciółek.

– Ech, pewnie w noc zabójstwa też była na takim spotkaniu – wtrącił Ritter. – Założę się, że ma cały tłumek świadków, przyjaciółek, które przysięgną, iż cały wieczór spędziła w ich towarzystwie. Kto przyjmie zakład?

– O nie. – Olbrzym odmownie pokręcił głową. – Jeśli chodzi o spryt Żydów, pewnie trafnie zgadujesz, panie Tytusie.

Szaja wyraźnie okłapł, rozczarowany przesłuchaniem. Zasepił się, tępo gapiąc się na wozy z gnojem. Niczego się nie dowiedzieli prócz tego, że pani Atalia miała na wszystko alibi. Motyw wdowy jako zabójczyni mógł być zatem ślepą uliczką.

Zarządca machnął parobkom uspokajająco, a ci posłusznie odwrócili się i niespiesznie ruszyli w stronę dołów, by z widoczną niechęcią wrócić do pracy.

– To robotnicy pana Aronowicza? – zaciekawiał się Roch. – Ciekawe, że tak ochoczo ruszyli, by ratować poganiającego ich ekonomę.

– Nie jestem żadnym ekonomem, tylko właścicielem wozów i koni, a ci ludzie to pracownicy moi, a nie Aronowicza – z dumą odparł Izraelita. – Gdybyście mnie zabrali, nie miałby im kto zapłacić. Aronowicz jest tylko moim wspólnikiem, będzie odbierał surową saletrę i sprzedawał ją wojsku.

Wstał i niezdarnie zszedł z wozu. Appenszlak patrzył na niego uważnie.

– Zaraz, zaraz! – Dał susa, lądując przed Zeligiem. – A skąd pan wziął na to pieniądze?

– Jakie pieniądze? – warknął przedsiębiorca, odsuwając się o krok, ale tropiciel natychmiast złapał go za chałat.

Kilku parobków przystanęło, widząc pryncypała znów szarpiącego się z policjantem.

– Pieniądze na rozkręcenie interesu! Na zakup koni, wozów, narzędzi, może nawet ziemi pod wykopane doły gnojne!

– Oszczędzałem. Jako lokaj. Pan Leopold całkiem nieźle płacił – warknął Zelig. – A idź pan do diabła! Czego mnie ciągle szarpiecie? Uwzięli się, cholery! Ludzie, ratunku!

Robotnicy natychmiast zawrócili, łapiąc łopaty. Roch zeskoczył z wozu i rozsznurował kapotę. Odstąpił pas, do którego miał przytroczoną pochwę z tasakiem pruskiej piechoty. Dobył broni i wystąpił przeciw nadchodzącym. Widok uzbrojonego wielkoluda nieco ostudził zapał parobków. Zatrzymali się, niepewni, co robić.

– Gadaj, skąd wytrzasnąłeś tyle złota! Gadaj natychmiast, bo cię przywiążę za brodę do wozu i będziesz do Warszawy pędził biegiem, prosto do lochu! – zagroził Szaja.

– Coś takiego! To oburzające!

– Pani Atalia zapłaciła ci za milczenie, co? – warknął policjant. – Mam rację? Wiesz coś, co mogłoby jej sprawić kłopoty. Gadaj: co takiego kosztowało ją kilkaset czerwieńców?

Były lokaj wił się w uścisku tropiciela, ale ten nie dość, że nie puszczał, to jeszcze zaczął mocniej szarpać podejrzanym.

– Dwa dni przed śmiercią pana... spotkałem ją na ulicy – wyznał wreszcie przesłuchiwany. – Wychodziła akurat z jakiegoś budynku. W towarzystwie księdza.

– Kogo?

– Katolickiego księdza. Szła, rozmawiając z młodym mężczyzną w sutannie. Gdy mnie zobaczyła, bardzo się zmieszała, wręcz pobladła – powiedział Zelig. – Domyślam się, że szykuje się, by zostać przechrztą. Chce porzucić wiarę przodków. Po śmierci pana Leopolda sama wręczyła mi pieniądze, mówiąc, że rozstajemy się w przyjaźni i lepiej, bym o wszystkim zapomniał i znikł z miasta.

Appenszlak puścił mężczyznę, który natychmiast stracił równowagę i usiadł w błoto. Ritter pokiwał głową w zadumie. Gogiel schował tasak i wrócił na wóz.

– Powiedz nam pan jeszcze: co to był za budynek, w którym Leopoldowa spotykała się z księdzem? – rzucił Szaja.

– Pałac Krasińskich na Nowym Świecie – odpowiedział przedsiębiorca.

Tropiciel podrapał się pod mycką, bezowocnie głowiąc nad zagadką. Czyżby jakiś ksiądz pomógł Atalii pozbyć się męża? Ale po co? Obiecała po przyjęciu chrztu przeznaczyć datek na Kościół? Tylko który ksiądz zdecydowałby się na udział w zabójstwie dla garści złota? To bez sensu.

Doktor spojrział w niebo, próbując oszacować godzinę.

– Jeśli chcemy jeszcze dziś dotrzeć do Warszawy, musimy ruszać – powiedział. – Na wóz, panowie.

XVIII

Sonia została wepchnięta do klitki na poddaszu, w której znajdowało się łóżko z ruszającym się od pluskiew siennikiem, a w ścianie niewielki lufcik o szybie z mętnego szkła. Było tu wilgotno i zimno jak w psiarni. Między krzywymi dechami gwizdał marcowy wiatr, a do blaszanej miski, dzwoniąc, spadały krople wody z dziurawego dachu. Appenszlakowa wiedziała tylko, że znajduje się w ponurej, szemranej karczmie na Powiślu, bardzo blisko Wisły. Nawet teraz słyszała trzeszczący na rzece lód.

Woyda przyprowadził ją tu, klucząc między pokrzywionymi ze starości chałupami biedoty. Obserwowały ich tylko wychudzone dzieciaki, obszczały zaś zapchłone kundle pilnujące obejść. Nikt nie zainteresował się eleganckim, przystojnym młodzieńcem, prowadzącym w te dzikie rejony żydowską dziewczynę. Nawet w karczmie tylko dwie podstarzałe murwy zwróciły na nich uwagę i otaksowały Sonię niechętnym spojrzeniem, pewnie biorąc ją za młodszą i atrakcyjniejszą konkurentkę. Szynkarz przyjął od Woydy pieniądze i dał ciężki żelazny klucz od celi.

– Nie próbuj się awanturować i wzywać pomocy, bo zdasz jedynie tyle, że oberwiesz od karczmarza – ostrzegł Woyda Sonię, zanim wyszedł. – W tym przybytku często przetrzymuje się dziewczki przeznaczone do burdeli w całym kraju. Zwykle wbrew ich woli, zatem miejscowi przyzwyczajeni są do błagań i płaczu. Nikt nie okaże ci współczucia, nawet zainteresowania, więc lepiej sobie daruj. Siedz cicho i grzecznie, a oszczędzisz wszystkim kłopotu. W zamian za to gospodarz przyniesie ci miskę ciepłej polewki i kawał chleba. Może też da koc, byś całkiem tu nie zamarzła. Wrócę po ciebie natychmiast, gdy twój mąż pojawi się z dokumentami.

– Proszę nie zrobić mu krzywdy – powiedziała, kiedy zamykał drzwi.

Nic nie odrzekł, nawet na nią nie spojrzął, przekręcił tylko klucz w zamku, a po chwili jego kroki zadudniły na schodach. Sonia została sama w ponurej celi. Z rosnącą zgrozą rozejrzała się po pomieszczeniu. Miska, do której kapłała woda, z pewnością była jednocześnie toaletą. Prócz łóżka z paskudnym siennikiem nie znajdowały się tu żadne inne meble. Kobieta odsunęła zarobaczone posłanie i usiadła bezpośrednio na deskach.

Ile dziewcząt uprowadzonych z domów, zgarniętych na ulicy albo zwabionych obietnicami pracy znalazło się w tej ohydnej karczmie? Pewnie dziesiątki. Ile łez przelano w tym więzieniu, ile dramatów się wydarzyło? Czy były ujarzmiane i gwałcone tu, na tym łóżku?

Wstała i zaczęła krążyć, niczym uwięzione w klatce dzikie zwierzę. Obejrzała lufcik, ale zabito go gwoździami. Nie dało się go otworzyć, poza tym był zbyt mały, by się przez niego przecisnąć. Potem obejrzała ściany, kolejno napierając na deski. Dostrzegła, że wiele z nich, szczególnie w okolicy łóżka, pokrytych było wydrapanymi napisami. Sonia nie umiała czytać, ale domyśliła się, że to wyznania i prośby o pomoc lub powiadomienie rodziny, wyrte przez uprowadzone kobiety. Znaczyło to, że trafiały się wśród nich osoby wykształcone, pochodzące z dobrych, może nawet szlacheckich domów. Zadumała się nad ich losem. Ilu z nich udało się uwolnić, wrócić do domu? Czy jej też się uda, czy zobaczy jeszcze dzieci? Może Woyda nie dogada się z Szają, a jeśli nawet, i tak spróbuje się jej pozbyć?

Musiała wziąć sprawy w swoje ręce, walczyć o życie. Rozpięła kapotę i sięgnęła do fartucha gospodyni, który ciągle miała na sobie. Co prawda w pompadurce nie znajdowały się już nożyczki, których mogłaby użyć jako broni, ale miała w niej wiele innych przydatnych przedmiotów. Grzebała chwilę w przyborach do szycia. Kilka kłębków nici i poduszczyk z igłami na wiele się nie zdadzą, tak samo kawałek knota od oliwnej lampy, guziki, szmatki na łąty, krzesiwo. Za to klucz od komody i kawałek drutu, który zostawił druciarz łątający garnki, mogły okazać się pomocne.

Wzięła oba przedmioty i klękła przed drzwiami. Wsadziła klucz w otwór zamku i wystawiając w skupieniu koniuszek języka, zaczęła nim kręcić w tę i we w tę. Nigdy tego nie robiła, ale nasłuchiwała się opowieści dziadka Abrama, który w młodości zajmował się wszystkim i na wszystkim się znał, łącznie z włamaniami do kantorów czy składów towarowych. Bazując na wspomnieniach staruszka, postanowiła skonstruować wytrych. Wygięła koniec drutu i wpakowała go razem z kluczem do zamka. Jedną ręką operowała kluczem, drugą drutem. Czekwały ją długie i żmudne próby, była jednak przekonana, że w końcu się uda i otworzy te cholerne drzwi.

XIX

Gliński zostawił dziadka na Starym Mieście i udał się do pałacu Saskiego zająć się codziennymi obowiązkami urzędnika. Nieco wcześniej Abram wpadł najpierw w osłupienie, a potem w szal, gdy nie znaleźli w domu ani Soni, ani jeńca, którego pilnowała. Woyda zniknął razem z dziewczyną, a sądząc po rozrzuconych w pokoju kawałkach pociętego sznura i leżących na podłodze nożyczkach, po prostu się uwolnił i uprowadził Żydówkę. Dziadek miotał się jak oszalały, śmiertelnie przerażony fatalną sytuacją i tym, co będzie musiał powiedzieć Szai. Glina obiecał, że natychmiast przyśle staruszkowi wsparcie, wiele jednak nie mógł zdziałać.

Abram opanował się jakoś, a potem ruszył na poszukiwania żony wnuka. Dochodzenie zaczął od przesłuchania sąsiadów, ale szybko się okazało, że żaden z nich niczego nie widział lub po prostu nie było go w domu. Dziadek wyruszył zatem na ulicę, pytając o Sonię każdego spotkanego Żyda.

Tymczasem coraz bardziej zdenerwowany Glina wpadł do swego gabinetu w pałacu i ciężko zwałił się na fotel za biurkiem. Dochodzenie z każdą chwilą coraz bardziej się komplikowało. Wezwał młodego Dangiela i kazał mu natychmiast udać się do księdza Stanisława, by wydobyć od niego miejsce zamieszkania Woydy. Może jeden z najważniejszych działaczy Towarzystwa miał dostęp do akt wszystkich członków stowarzyszenia? Pozostało liczyć na dobrą wolę Staszica i pomoc z jego strony.

W porze obiadowej pan Augustyn udał się, jak zwykle, do domu. Zamiast do spokojnego i cichego domostwa, zamieszkanego przez ceniącego intymność starego kawalera, wszedł do tętniącego życiem ula. Wiekowy budynek rozbrzmiewał śmiechem dzieci i ich okrzykami w jidysz i po polsku. Wtórował im głośny śpiew Małgorzaty, którego Glina nigdy wcześniej nie słyszał. Drobne stóпки załomotały na drewnianej podłodze, maluchy niemal startowały pana domu, pędząc „w pościgu za tureckim zbójem”, jak policjant został poinformowany przez dwuletniego Samuela. Ryfka i Tekla z piskiem pognały dalej, ignorując nieco skonfundowanego sekretarza generalnego.

Gliński postanowił jakoś znaleźć się w sytuacji i nie zażyczył sobie, by obiad przyniesiono mu do gabinetu lub jadalni, ale uznał, że zje razem z małymi gośćmi i służbą w kuchni. Było to rzadkie wydarzenie, na tyle niespotykane, że ani Ania, ani Małgorzata nie ośmieliły się jeść w obecności pryncypała. Za to maluchy śmiało zabrały się do pałaszowania, zwawo wiosłując łyżkami w ogórkowej zupie. Najstarsza siostra

zajęła się braciszkiem, pomagając mu jeść, Ryfka za to, po poradzeniu sobie z porcją, wpakowała się panu Augustynowi na kolana.

Po obiedzie Glina nie uciekł do gabinetu, ale został w kuchni z maluchami, które coraz śmieiej zasypywały go informacjami o życiu Żydów ze Starego Miasta. Energia młodych ludzi dodawała mu animuszu i poprawiała humor. Na dłuższą metę hałas czyniony przez dzieci z pewnością by mu przeszkadzał, ale od czasu do czasu mógł być pobudzający i energetyzujący.

– Na weselu cioci Salomei nasz pradziadek był marszelikiem – pochwaliła się Tekla, najstarsza córka Szai.

– Kim? – spytał pan domu.

– No, mędrceem gawędziarzem, który prowadzi zabawę, wygłasza wiersze i snuje zabawne opowieści – z powagą wyjaśniła dziewczynka. – To ważna osoba. Pradziadek był śmieszny, ale się spił i osłabł. Bardzo jednak chciał poprowadzić taniec dla mężczyzn. Kręcił się jak bączek i śmiesznie machał rękoma, aż wreszcie przeleciał przez stół, wpadł na kantora i syndyka kahału. Wylał na nich wino! Wszyscy bardzo się śmiali!

– A dzie ja wtedy byłem? – spytał Samuel.

– Ciebie jeszcze nie było na świecie – odparła z wyższością dziewczynka.

– Dlaczego? – zdumiał się malec.

Gliński ze śmiechem pogładził go po główce. Już zaczynał żałować, że zaraz będzie musiał wracać do pracy.

– Na weselu był też pan Zbytkowar. Wielka osobistość i bohater – dodała Tekla, ignorując brata. – Zna go pan?

– Owszem, słyszałem o nim – przytaknął policjant.

Każdy warszawiak słyszał o tym dzielnym Żydzie. Szmul Zbytkowar w czasie insurekcji, gdy w mieście toczyły się krwawe boje, wystawił przed dom dwie beczki pełne złotych i srebrnych monet. Za każdego uratowanego z pola bitwy rannego dawał śmiałkom złotą monetę, a za każdego pochowanego zabitego – srebrną. W ciągu jednego dnia rozdał cały majątek. Ocalił w ten sposób miasto przed epidemią, a do tego uratował życie masie rannych.

– A wujek Tenenbaum, syndyk kahału, siłował się z pradiadkiem na rękę, ale osiem razy z rzędu przegrał – kontynuowała Tekla niczym miniaturowa plotkarka z warszawskiego targowiska. – Bardzo był zły i twierdził, że pradziadek oszukuje. Szarpnął go za brodę, za co dostał fangę w nos. Pradziadek się wściekł, więc tata z wujkiem Szmulem musieli go zamknąć w szopce, razem z psami, by ochłoniął.

Glina pokiwał z uśmiechem głową. Nagle olśniła go oczywista myśl. Syndyk kahału! Właśnie jego powinno się poprosić o pomoc w poszukiwaniu żony Szai. Urzędnik

gminy żydowskiej dysponował oddziałem służb porządkowych i tropicieli. Odnalezienie zaginionej Żydówki to zadanie wprost dla nich.

W tej właśnie chwili ktoś załomotał kołatką w drzwi, Ania natychmiast pobiegła otworzyć. Po chwili zajrzał do kuchni śledczy Dangel. Ze zdumieniem spojrzał na przełożonego, szacownego urzędnika, trzymającego na kolanach żydowskie dziecko.

– Co tak stoisz, Tomaszu? – uśmiechnął się szef wydziału. – Wejdz, proszę, i powiedz, czego się dowiedziałeś.

– Ksiądz Staszic znalazł dla mnie chwilę, był bardzo miły i uczynny, kazał przekazać panu wyrazy uszanowania – rzekł młodzieniec, stając przed panem Augustynem. – Niestety, wiele nie mógł nam pomóc. Towarzystwo nie prowadzi żadnych kartotek swoich członków. To niedochodowe zrzeszenie naukowców i badaczy działających na zasadzie wolontariatu, a nie kupiecka gildia. Miejsce zamieszkania Woydy nie jest zatem nigdzie zapisane, ale z pewnością da się je ustalić, tyle że w ciągu kilku dni, przepytując innych członków stowarzyszenia. Któryś być może zna go bliżej, ktoś wszak musiał wprowadzić go do Towarzystwa.

– Być może – mruknął Gliński. – I za kilka dni?

– Niestety – przytaknął Dangel. – Staszic pamięta jedynie, że Woyda jest matematykiem. Skupi się więc na należących do Towarzystwa specjalistach w tej dziedzinie wiedzy. To jednak trochę potrwa, wszyscy są bowiem okrutnie zapracowani, łącznie z naszym księdzem Stanisławem. Obiecał jednak, że natychmiast, gdy coś ustali, przekaże nam informacje przez swego sekretarza, kleryka Jakuba.

– A niech to. Kilka dni to zbyt długo. – Sekretarz generalny pokręcił głową. – Woyda jest nieobliczalny i skłonny do morderstwa. Możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że to on zabił wekslarza.

– Co zatem zrobimy? – spytał śledczy. – Jak go odnajdziemy?

– Z pomocą żydowskiego syndyka i jego szkolników – odparł gospodarz. – Jedziemy z nim porozmawiać.

– Do siedziby władz kahału? – zdziwił się młodzieniec.

– I to natychmiast – przytaknął starszy urzędnik.

XX

Gdy dziadek dotarł do targowiska na rynku Starego Miasta, towarzyszyło mu już czterech kompanów, dziarskich i zadziwiająco ruchliwych staruszków, z których dwóch na co dzień dorabiało jako proszalne dziady wystające pod bramami pałaców, jeden zajmował się fałszowaniem wódki, a ostatni szkoleniem młodych rzeźmieszków w złodziejskim fachu. Cała piątka twierdziła, że w dawnych czasach pracowała razem w cyrku, a w czasie insurekcji zajmowała się furazowaniem na rzecz żydowskiego pułku lekkiej jazdy Berka Joselewicza, czyli w obronie ojczyzny bohatercko kradła obrok dla wojskowych koni.

Drużyna starców wkroczyła na gwarne targowisko, klnąc i złorzecząc tym, którzy nie schodzili im z drogi. Dziadki o siwych, postrzępionych brodach i w brudnych chałatach szły szeroką ławą, zgarniając ze sobą coraz liczniejszą grupę ciekawskich. Wiekowi Żydzi, uzbrojeni w kostury i noże, poruszający się zaskakująco energicznie i szybko, przyciągali uwagę tłumu. Zacięte starcze twarze, powyginane artretyzmem dłonie, zaciśnięte na rękojeściach noży i końcach dębowych łag, zapowiadały co najmniej awanturę, jeśli nie zbiorową bijatykę. Nikt nie chciał przegapić takiego widowiska, darmowej rozrywki mogącej być miłym przerywnikiem w ciężkim, pracowitym dniu.

Abram zaprowadził kompanów prosto do stołów, na których kilka żydowskich handlarek wyłożyło marchew, brukiew, kapustę, cebulę i warkocze czosnku. Na stoiskach nie brakowało też jabłek, które świetnie przetrzymały zimę zagrzebane w wiślanym piasku wypełniającym liczne piwnice. Gitla, najmłodsza siostra Soni, która miała tu swoje stoisko, w asortymencie posiadała również orzechy, suszone śliwki i morele, do tego egzotyczne daktyle, a nawet kilka zalanych woskiem pomarańczy.

Na widok nadchodzącego na czele licznego pochodu dziadka Abrama zmarszczyła brwi i splotła ręce na pełnych piersiach. Tak jak najstarsza siostra, Salka, nie przepadała za tym szemranym pijaczną, który zajmował się głównie wyłudzeniem pieniędzy na wódkę.

– Mamy kłopoty – oznajmił bez przywitania. – Sonia została porwana.

Gitla patrzyła chwilę w paskudne gęby kompanów dziadka. Jeden z nich nosił czarną opaskę zasłaniającą bliznę po utraconym oku, inny opierał się na drewnianym kloku zastępującym nogę, kolejny zgrzytał ostatnimi zębami, co chwila strzykając śliną na

bruk. Wyglądali niczym banda starych piratów, załoga żydowskiego Latającego Holendra.

– Zebrało się dziadkowi na facecje? Co to ma znaczyć? – burknęła. – Szykujecie przedstawienie cyrku weteranów?

– Nie żartuję, dziewczyno! – zachrypiał Abram. – Sonię zabrał pewien drań w pluszowym cylindrze i z takim – pokazał palcami pod własnym nosem – wąsikiem. Wcześniej próbował nas pozabijać. Udało się go obezwładnić i skępować, ale gdy pobiegłem po policję, uwolnił się i znikł razem z twoją siostrą.

Gitla pobladła z wrażenia. Dziadek nie błaznował, nie robił głupich min, mówił całkowicie poważnie, a jego jasne starcze ślepie błyszcząły autentycznym przejęciem. Mówił prawdę, Soni stało cię coś złego!

– Co z dziećmi? – spytała, nie zwracając uwagi na otaczający tłum, który łowił każde słowo.

– Bezpieczne – stwierdził krótko. – Potrzebuję ludzi do pomocy w poszukiwaniach. Ktoś musiał widzieć, którędy ten drań ją prowadził. Ktoś też powinien wiedzieć, gdzie ten człowiek mieszka. Znam jego nazwisko.

Dziewczyna skinęła krótko głową. Zrozumiała, czemu dziadek tu przyszedł. Najlepsze miejsce, by zdobyć jakieś informacje, to właśnie targowisko. Należy zaprząć do roboty przekupki i kumoszki, nieustannie wrzeszczące i gadające jak nakręcone. Były istną skarbnicą wiedzy o tym, co się działo w mieście. Trzeba tylko umieć się z nimi porozumieć, a najlepszy ku temu był nie kto inny niż Gitla, jedna z nich.

– Popytaj co i jak, ja w tym czasie zorganizuję oddział szturmowy – dodał dziadek. – Ten gnojek to nie byle kto, może mieć wysoko postawionych przyjaciół. By nim potrząsnąć, potrzebuję grupy śmiałków, którzy nie mają wiele do stracenia. Wróć tu za dwie godziny z czeredą takich zawadiaków, że uwolnimy Sonię, choćby ten drań ukrywał ją w lochach Zamku Królewskiego.

– Pójdę z wami – zadudnił gruby Ozjasz, rzeźnik z pobliskiej targowej jatki. – Mam dług wobec pana Appenszlaka. Wyciągnął mnie kiedyś z ciupy, gdy narozrabiałem po pijanemu. Zabiorę dwóch swoich parobków do pomocy.

– Ja też się nadam – wtrącił jakiś młody ulicznik. – Dobrze robię nożem. Pan Appenszlak ocalił mnie przed dybami i więzłą za kradzież. Pora spłacić dług.

Dziadek wyszczerzył do nich cztery zęby w paskudnym uśmiechu.

– Dobra nasza, chłopaki. Bierzcie jaką broń i ruszamy. Przejdziemy się wokół Starego Miasta, popytamy o pluszowy cylinder, a przy okazji zgarnę chłopców – zdecydował.

XXI

Sonia musiała przerwać próby otworzenia zamka, bo schody zaskrzypiały ostrzegawczo, dając znać, że będzie miała gościa. Schowała narzędzia do pompadurki i usiadła na łóżku, otulając się kapotą. Zachrobotał klucz i ze zgrzytem zawiasów otworzyły się drzwi. Karczmarz, chudy osobnik o dziobatej twarzy i haczykowatym nochalu, obrzucił ją zaintrygowanym spojrzeniem i wszedł do środka. W jednym ręku trzymał krótką pałkę, w drugim miskę z parującą zupą. Sonia przełknęła ślinę. Nie jadła nic od rana i głód coraz bardziej jej dokuczał.

– Grzeczna dziewczynka zasłużyła na obiadek.

Oberżysta taksował ją łakomym spojrzeniem, uśmiechając się obrzydliwie. Ciekawe, ile uwięzionych dziewcząt zgwałcił, ilu opór przełamał, okładając tą drewnianą pałką? Żydówka poczuła wykręcającą trzewia falę odrazy.

Mężczyzna zbliżył się powoli. Wręczył jej miskę z zanurzoną łyżką, a sam z westchnieniem usiadł obok. Przyjęła poczęstunek, zastanawiając się gorączkowo, czy nie grzmotnąć go naczyniem w głowę i rzucić się do ucieczki. Przeczynała jednak, że tylko czekał na okazję, by jej wlać i zedrzeć z niej ubranie. Woyda pewnie nie miałby mu tego za złe, może nawet sam wcześniej mu to zasugerował. Musiała więc mieć się na baczności i nie dać się sprowokować. Tylko spokojnie.

Jadła z apetytem, choć zupa okazała się ciekawym krupnikiem z niewielką ilością perłowej kaszy. Pewnie ugotowano ją na wieprzowej kości, co czyniło potrawę zupełnie niekoszerną, ale Sonia była zbyt głodna, by się tym przejmować. Karczmarz przyglądał się jej w sposób bezwstydnym i natarczywym, obleśnie się przy tym uśmiechając, ale nie próbował dotknąć więźniarki.

– Nie wiem, co ci naobiecował twój opiekun, i chyba nie mogę go przebić, byś pracowała dla mnie. Wyglądał mi na panisko co się zowie – powiedział. – Gdybyś jednak kiedyś szukała dachu nad głową i ciepłej strawy, pamiętaj o mnie. Z chęcią pomogę. Prócz schronienia i opieki mogę zaoferować trochę złota, jeśli się sprawisz. Z czasem może nawet część dochodów od klienta. Nie jest u mnie źle, rzadko biję dziewczęta. Tylko gdy na to zasłużą.

Pokiwała głową, niby przyjmując ofertę do wiadomości, ale nie odezwała się ani słowem. Cały czas hamowała się, by nie strzelić go miską w ohydny głowę.

– Przyniosę ci potem koce na noc – dodał, zabierając pustą miskę.

Sonia westchnęła z ulgą, gdy zamknęły się za nią drzwi. Klucz zgrzytnął w zamku, a potem zabrzmiały na schodach kroki oddalającego się karczmarza. Gdy tylko umilkły, kobieta poderwała się i doskoczyła do wejścia. Wpakowała w dziurkę swój klucz i wygięty drut. Tym razem jednak nie mogła nimi operować, w środku coś tkwiło.

– A niech to, zostawił klucz w zamku – jęknęła.

XXII

Budynek władz kahału wznosił się w sąsiedztwie bożnicy i mieścił się w okazałej kamienicy. Powóz Glińskiego zatrzymał się bezpośrednio przed wejściem do niego, na co natychmiast zareagował pilnujący wejścia woźny, podchodząc do wysiadających. Pan Augustyn przedstawił mu się krótko i zażyczył sobie widzenia z syndykiem. Woźny uklonił się w pas, gdy dotarło do niego, że rozmawia z wysokim urzędnikiem państwowym, a potem pognał do wnętrza kamienicy.

– Oby nie przyjął nas któryś z rabinów czy seniorów kahalnych, bo skończy się na bezproduktywnej rozmowie i obietnicach – powiedział sekretarz generalny. – Jedynym narzędziem, którym lubią posługiwać się władze kahalne, jest klątwa zwana cherem.

– Najmniej kosztuje i można ją rzucić, nie wychodząc z biura – zauważył towarzyszący szefowi Daniel. – Słyszałem, że prości Żydzi straszliwie się jej boją.

– To metoda władz gminy żydowskiej na wydobycie od biedaków wysokich składek i podatków. Nam jednak nie chodzi o straszenie tłuszczy, a o realną pomoc – westchnął Glina.

Wreszcie z drzwi siedziby kahału wypadł znajomy już panu Augustynowi syndyk, Mosze Tenenbaum. Urzędnik żydowski uklonił się, niemal szorując brodą po ziemi. Nieustannie kłaniając się, zaprosił gości do środka. Mówił przy tym o wielkim, choć niespodziewanym zaszczycie, jaki go spotkał w związku z wizytą tak szacownych osobistości. Wprowadził policjantów do przestronnego holu i powiódł ich szerokim korytarzem. Przy okazji wskazał dwuskrzydłowe, potężne drzwi, za którymi znajdowała się sala obrad seniorów kahalnych, potem kolejne, gdzie obradował sąd żydowski. Dalej były liczne gabinety biurowe i wreszcie siedziba syndyka. Posadził gości na ławie przeznaczonej dla interesantów i nie dając im dojść do słowa, zaczął narzekać na problemy wynikłe z nowo wprowadzonego podatku dla Żydów. Zostali oni uznani za niezdatnych do służby w armii Księstwa Warszawskiego, w zamian jednak musieli wnieść stosowne opłaty werbunkowe.

– I przez to mam masę straszliwych kłopotów! Jak wyegzekwować nowy, wysoki podatek od przymierającej głodem biedoty? Moi szkolnicy dzień i noc łążą po mieście, wyłuskują uchylających się przed płaceniem, ale wielu obywateli po prostu nie ma jak wykupić się od wojska! – Tenenbaum załamywał ręce. – Wiem, że policja odpowiada za

utrzymanie porządku w sprawnym napływie zaległego podatku. Wiem, że panowie się niepokoją, czemu to tak długo trwa, ale przysięgam, klnę się na...

– Drogi panie, my nie w tej sprawie. – Gliński został zmuszony do przerywania tyrady syndyka.

– Ach tak? – zasępił się Mosze, przekonany, że czeka go coś jeszcze gorszego.

– Dziś została uprowadzona pana siostrzenica, Sonia Appenzlak. Potrzebujemy waszego wsparcia w poszukiwaniach – wyjaśnił krótko pan Augustyn.

– Co takiego? Córka mojej siostry uprowadzona? Przez kogo, na brody przodków?

– Przez podejrzanego o morderstwo osobnika nazywającego się Włodzimierz Woyda. Próbował ją zastraszyć, by odzyskać pewne obciążające go dokumenty. Kiedy to się nie udało, uprowadził ją.

Syndyk gapił się chwilę na policjantów, oszołomiony wiadomością, której zupełnie się nie spodziewał.

– Gdzie jest Szaja? – wydukał wreszcie.

– Wysłałem go z misją za miasto, powinien jednak wrócić lada chwila. Jeszcze nie wie o zniknięciu żony.

– Morderca szukał jego, a nie jej, mam rację? – Żyd błyskawicznie otrząsnął się z szoku. – Zaduszę tego niewdzięcznika, ukręcę mu łeb jak pisklakowi! Porzucił służbę kahalną, a szykowałem go na swego następcę. Zarabiałby niezły grosz, mógłby, spokojnie pracując, utrzymać rodzinę w dostatku, a co on zrobił? Został śledczym w polskiej policji! Za marny grosz i narażając własną rodzinę nie tylko na biedę, ale i na zemstę różnego rodzaju szumowin, które tropi. O ja nieszczęsny, dlaczego tak bardzo pomyliłem się w ocenie tego chłopca? Wydawał mi się takim porządnym Żydem! A teraz biedna Sonia cierpi przez tego niedojdę, łapserdaka, głupca...

– Pragnę zauważyć, że mówi pan o osobie urzędowej – przerwał mu Dangieli. – Pan Appenzlak reprezentuje powagę Ministerstwa Policji, drugiej po wojsku służby Księstwa Warszawskiego. Proszę się liczyć ze słowami.

Syndyk zamrugał, patrząc z rosnącym strachem na eleganckiego młodzieńca w surducie z wysokim kołnierzem i z osłepiająco białym halsztukiem pod szyją. Pan Augustyn chrząknął i machnął lekceważąco ręką.

– Rozumiem, że jest pan wzburzony, ale proszę mi wierzyć, że Szaja zachował się zgodnie z wymogami służby i nie popełnił żadnego zaniedbania mogącego narazić rodzinę – powiedział. – Teraz jednak potrzebuję pańskiej pomocy, a właściwie pomocy pana szkolników. Moi śledczy są poza miastem, a by odnaleźć Sonię, potrzebna jest pomoc tropicieli, speców od znajdowania ludzi w miejskim gąszczu.

Mosze gwałtownie pokiwał głową, a potem doskoczył do biurka. Odsunął najniższą szufladę i wyciągnął z niej stary pistolet z nakręcanym zamkiem, zwinięty pejcz i sztylet

w blaszanej pochwie. Zaczął upychać broń po kieszeniach.

– Zajmę się tym osobiście, choć od lat nie praktykowałem – powiedział. – Za godzinę razem z moimi czterema tropicielami będę przetrząsał to miasto dom po domu, podwórko po podwórku. Rozumiem, że musimy się spieszyć?

Gliński z powagą pokiwał głową.

– Obawiam się, że Woyda jest fanatykiem gotowym zgładzić każdego, kto zagrozi jego ukochanej nauce.

– Komu takiemu podpadła Sonia? – Tenenbaum nie dosłyszał ostatniego słowa.

– Matematyce – odparł Glin.

XXIII

Sekretarz i asystent Staszica usłyszał pukanie dobiegające od strony wejścia dla służby. Spokojnie odłożył pióro do kałamarza i posypał piaskiem skończony właśnie list. Zabrał papier z widoku, kładąc go na najwyższej półce, na grzbietach poustawianych tam ksiąg. Potem skierował się ku kuchni, gdzie ktoś po raz kolejny wściekle załomotał kołatką. Pawilon przy pałacu Krasieńskich świecił dziś pustkami, bo ksiądz Stanisław udał się właśnie w podróż, zabierając ze sobą nieliczną służbę. Zostawiając sekretarza na straży domostwa oraz interesów, wczesnym południem zapakował się w ciężką landarę, która z niemiłosiernym łomotem wyjechała z miasta. Jeśli pojazd nie ugrzęźnie na polskich drogach, pryncypał kleryka powinien wrócić za góra pięć dni z nową kolekcją okazów geologicznych.

Jakub poprawił sutannę i podszedł do tylnego wyjścia. Drzwi uchylił ostrożnie i z niechęcią, gdyż wizyty spodziewał się dopiero po zachodzie słońca, nie zmienił jednak przyjaznego wyrazu twarzy i wpuścił gościa do środka.

Włodzimierz Woyda wszedł do kuchni, rzucił na stół kapelusz i rękawiczki, a potem rozpiął surdut. Młody ksiądz bez słowa odebrał od niego wierzchnie okrycie i powiesił je na wieszaku, na którym kucharka zwykle umieszczała swoją kapotę. Nie zamierzał zapraszać przybysza na pokoje, wskazał mu za to krzesło przy kuchennym stole, a sam zabrał się do zapalania świec, na zewnątrz bowiem zapadła właśnie szarówka.

– Umawialiśmy się, że przyślesz gońca, a jeśli zjawisz się osobiście, to po zmroku – powiedział Jakub. – A co, jeśli ktoś widział cię wchodzącego do domu Staszica?

– Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, skręciłem do pałacu, gdy na ulicy było pusto. – Woyda wzruszył ramionami. – Nie warcz na mnie, Kubuś. Poświęciłem cały wczorajszy wieczór, noc i pół dnia na próby odzyskania dokumentacji maszyny liczącej. I jestem o krok od sukcesu! Uda mi się zastraszyć policjantów i pozbyć się tych upierdliwców raz na zawsze.

Kleryk spojrział na siedzącego z góry i spokojnie postawił zapalony świecznik na stole, a potem usiadł naprzeciw matematyka. Ten, uśmiechając się chytrze, a momentami z dumą, opowiedział, jak zdobył adres policjanta Żyda, który ukradł papiery Sterna, i jak potem odwiedził jego dom. Sekretarz westchnął ze zgrozą, gdy opowieść doszła do momentu bijatyki ze starym Izraelitą i obezwładnienia modnisią. Nie skomentował jednak ani słowem nieostrożności i brawury kompana, który w tak idiotyczny sposób

pozwolił się uwięzić. Potem Woyda opowiedział o uprowadzeniu żony Appenzlaka i zawleczeniu jej do starej karczmy, dziupli, w której przetrzymywano przyszłe prostytutki.

– Teraz wystarczy poczekać dzień, by jej mąż narobił w gacie. Potem każe mu się przynieść papiery na wskazane miejsce – uśmiechnął się elegant. – Sprytnie, nieprawdaż?

– Puściłeś żywcem dziada, który bez wątpienia rozpoznał cię jako członka Towarzystwa – zauważył ksiądz. – Mało tego, policja zna już twoje nazwisko. Rankiem był u Staszica młody śledczy, który w imieniu sekretarza generalnego policji wypytywał o ciebie. Jak mogłeś być aż tak nieostrożny i lekkomyślny, Władku?

Uśmiech zadowolenia spłynął z twarzy gościa.

– Skąd wiedzą, jak się nazywam?

– To teraz bez znaczenia. Ważne, że wiedzą, iż bardzo ci zależy na maszynie i jej planach. Nie wiem, czy powiązali cię z zabójstwem wekslarza, czy uważają tylko, że masz obsesję na punkcie tego wynalazku.

– Zrobię wszystko, by nie dopuścić do jego powstania – przyznał Woyda. – Sam pomysł stworzenia aparatu, który umożliwi poznanie tajemnic matematyki bez wysiłku umysłowego, mechanicznie, sztucznie, jest straszliwym bluźnierstwem. Każdy, kto podniesie rękę na matematykę, spłonie na ołtarzu nauki. Nie dopuszczę, by jakiś żydowski zegarmistrz swoją plugawą zabawką skalał dziewicze piękno nauk przyrodniczych. Nie obchodzi mnie, że naraziłem się na podejrzenia policji.

Elegant poderwał się od stołu i zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu. Jakub siedział bez ruchu, łokcie opierając o blat.

– Trudno, poświęcę się dla sprawy! – oznajmił przybysz. – Chcieliśmy nie dopuścić do skonstruowania aparatu, stosując metody dyskretne i odwracające od nas uwagę. Ty, by odwieść ludzi od sięgnięcia po boską wiedzę, ja, by chronić naukę przed skalaniem. Ale nie udało się zrobić tego dyskretnie. Mord na wekslarzu, który miał skierować podejrzenia policji na Sterna i kabalistów, nie spełnił swego celu. Jedyne, co nam teraz pozostaje, to zgładzić tego bluźniercę: cwanego żydowskiego zegarmistrza.

Ksiądz pokręcił głową ze smutkiem.

– Czemu nic nie mówisz? – gorączkował się Woyda. – Wszak od tego powinniśmy zacząć! Zamiast psuć prototypy i kraść dokumentację, trzeba było poczęstować wynalazcę nożem w plecy. I już dawno byłoby po sprawie! Skoro teraz i tak jestem poszukiwany, nie mam już nic do stracenia. Ten cholerny rudy parch dobrze mnie zna i ma za przyjaciela. Pójdę do niego, zaszlachtuję i jeszcze dziś wyjadę z miasta. Ty będziesz musiał przejąć dokumentację, a potem ją zniszczyć. Wtedy cel zostanie osiągnięty. To najlepszy plan w obecnej sytuacji, mam rację?

– A co z porwaną Żydówką?

– A co mnie ona obchodzi?! Kiedy Appenszlak wyda dokumentację, można mu ją oddać, można też uciszyć na wieki lub sprzedać karczmarzowi. Zapłaci za nią i ze sto czerwienców!

Kleryk wstał i położył dłonie na ramionach kompana, zatrzymując go w miejscu.

– Uspokój się, Władziu. Usiądź – powiedział, pchając go ku krzesłu. – Musisz trochę ochłonąć przed ostatecznym czynem. Poczekaj, przyniosę likier ziołowy, który tak lubi Staszic. Drogi i zacny trunek, rozjaśnia umysł i sprowadza spokój.

Woyda usiadł posłusznie, a ksiądz wyszedł z kuchni. Matematyk siedział i tarł się nerwowo po brodzie, a jego oczy błyskały w półmroku, odbijając blask świec. Wreszcie Jakub wrócił z karafką i pełnym już kielichem, pod pachą trzymał jakiś plik papierów. Podał naczynie współpiskowcowi, który natychmiast łapczywie wychylił trunek.

– Dziwny smak – rzekł. – Bardzo aromatyczne i słodkie, ale przyjemne. Dominuje jakaś trudna do uchwycenia nuta...

– Ważne, że lepiej się po tym robi człowiekowi. Prawdziwy lek – rzekł młody duchowny. – Na wszystkie zmartwienia, i to nie tylko twoje.

– Co proszę?

– Nic takiego. Napij się jeszcze, śmiało – powiedział kleryk i napełnił naczynie gościa.

Patrząc, jak elegant pije, kiwał głową ze smutnym uśmiechem. Potem wyciągnął spod pachy plik papierów i rozłożył je na stole. Żółty blask oświetlił pierwszą kartę, na której narysowano skomplikowany schemat znajomego urządzenia. Matematyk syknął ze zdumieniem.

– To dokumentacja maszyny liczącej! Skąd?!

– Ach, to było proste – cicho stwierdził ksiądz. – Ci idioci, policjanci, sami je przynieśli. Gliński, mający się za nie wiadomo jak mądrego, choć jest tylko marnym urzędniczyną, zostawił te bezcenne dokumenty w kieszeni surduta. Wystarczyło, bym zgarnął okrycia tych durni razem z papierami, a potem upozorował pospolitą kradzież ubrań. Pewnie teraz szukają ich po targach tandety, wśród paserów i handlarzy używanymi rzeczami. Ha! To było takie proste.

Woyda patrzył w dokumenty ze zdumieniem i zachwytem. Czuł dudnienie krwi w skroniach, ucisk w piersi, który musiał być efektem niezwyklej ekscytacji.

– Wspaniale, Kubuś! Jesteś niezwykły! – ucieszył się, rozpinając guziki przy kołnierzu koszuli pod szyją. – Dlaczego od razu nie mówiłeś? Teraz możemy je zniszczyć i połowa misji zostanie wypełniona!

– Nie zniszczę tych dokumentów, Władku, biedactwo ty moje – smutnym tonem odrzekł kleryk. – Wybacz, ale od początku nie zamierzałem tego czynić. Zależy mi bardzo, by ta maszyna powstała.

– Jak to? Co ty mówisz? – wysapał matematyk.

Oddychał coraz szybciej i bardziej spazmatycznie. Czuł przy tym gorąco bijące na twarz i rosnący ból w piersi.

– Stałeś się bardzo kłopotliwy przez swoje wybryki. Musimy się rozstać. Ja zostaję, ty wyruszasz na tamten świat – powiedział Jakub. – Masz ostatnią okazję, by pojednać się z Bogiem. Mogę udzielić ci ostatniego namaszczenia, jeśli się zgodzisz.

Woyda chwycił się za gardło, nie mogąc wymówić słowa. Przed oczyma krążyły mu plamy. Dusił się, choć łapał coraz głębsze i szybsze oddechy.

– Ten dominujący smak w nalewce nie wydał ci się znajomy? Smak migdałów – westchnął duchowny. – Tak, dosypałem do napoju truciznę, którą sam ukradłeś z laboratorium hrabiego Chodkiewicza. Jedno z najnowszych osiągnięć nauki, którą tak czciłeś. Czy to nie ironia losu, że giniesz z jej ręki?

Wąsaty modniś nie odpowiedział. Z jego gardła wydobyło się tylko charczenie. Chwycił księdza za ramię i ścisnął je kurczowo. Potem z łomotem przewracanego krzesła runął na podłogę. Umarł, zanim w nią uderzył.

XXIV

Doktor Ritter po raz kolejny trzasnął lejcami po końskich zadach, zmuszając wymęczone zwierzęta do przyspieszenia. Zapadł już zmrok i ciemności ogarnęły rozrzucone bez ładu chałupy podwarszawskiej Pragi. Ostatni, siódmy cyrkuł miejski, który tu się znajdował, wyglądał niczym rozległa wieś. Zgliszcza gospodarstw zniszczonych w czasie insurekcji sąsiadowały z lśniącymi bielą świeżego drewna nowymi domami. W błocie tarzały się świny, psy szczekały na brnący wóz policjantów. Zza pochylonych płotów i z okien piętrowych budynków zerkali na jadących zaciekawieni prażanie. Całość cyrkułu, przetasowana licznymi błotnistymi drogami, sprawiała wrażenie miasta zaprojektowanego przez architekta ogarniętego chorobą umysłową i tworzącego w malignie.

Szaja nie zwracał jednak uwagi na okolicę, klęczał obok powożącego doktora i trzymał się krawędzi paki. Wytężał wzrok, próbując dojrzeć majaczący w oddali most. Od rana dręczyło go paskudne przeczucie, jakiś niezrozumiały niepokój. Nie lubił zostawiać rodziny, od razu tęsknił do dzieci i Soni. W takich chwilach zapominał o jej zjadliwym charakterku, pamiętał tylko błyszczące zachęcająco oczy i uległe pocałunki ukochanej. Martwił się, że zostawił bliskich, w chwili gdy w mieście działo się coś złego.

Spieszyli się wszakże przede wszystkim dlatego, że jak najszybciej musieli powiadomić Glińskiego o postępach śledztwa. O niemal pewnej winie wdowy i bardzo prawdopodobnym udziale w zabójstwie jakiegoś warszawskiego księdza.

– Co za parszywy dzień – jęknął obolały Roch, którym na wybojach rzucało po całym pozbawionym resorów wozie. – Daleko jeszcze, do cholery?

– Jesteśmy blisko, już widzę rzekę! – z ulgą odparł Appenszlak.

Pojazd wydostał się z błota na kawałek utwardzonego traktu i pomknął raźnie przed siebie. Wzdłuż brzegu leżały potężne łyżwy letniego mostu, czekając na zakończenie pory roztopów, co znaczyło, że policjanci zbliżali się już do zimowej przeprawy. Koniki zarżały radośnie, uwolnione od męki ciągnięcia ciężaru przez breję. Jednak już po chwili doktor musiał je zatrzymać, bo drogę zatarasował im jegomość w przekrzywionej konfederatce i z halabardą w garści.

– Stać! Most zamknięty! – zadudnił.

– Z drogi, człowieku! Policja! Jesteśmy z policji! – wrzasnął tropiciel. – W sprawie urzędowej!

– Urzędowej czy nie, i tak nie przejdziecie! – zagrział strażnik przeprawy.

Natychmiast dołączyło do niego kilku kolejnych, zaopatrzonych w bosaki i latarnie na długich drzewcach. Szaja zauważył stojące z boku drogi cztery załadowane po burty wozy handlarzy. Wyprzęgnięto już z nich konie, które pewnie zaprowadzono do stajni pobliskiej karczmy. Wyglądało na to, że most naprawdę nie funkcjonował.

– Kra go zerwała? – spytał Roch.

– Jeszcze nie, ale już ruszyła i napiera. Ino trzeszczy. Bele grube jak wół pękają niczym szczapki na rozpał – odparł wartownik. – Komendant mostu kazał zamknąć przejazd. W każdej chwili rzeka może zabrać przeprawę.

– Rzykujemy? – cicho spytał Gogiel.

Żydowski śledczy podrapał się po głowie pod myką. Szkoda było wystawiać żywot na zgubę, skoro w domu czekały dziatki i żona. Chyba śledztwo będzie musiało poczekać.

– Rzykujemy – zdecydował za niego medyk. – Nie zamierzam kolejnej nocy spędzać w śmierdzącej karczmie. Z drogi, człowieku! Jesteśmy osoby urzędowe, jedziemy na własną odpowiedzialność. No, zrób przejście!

Nie czekając na reakcję strażników, trzasnął konie po zadach i wóz ruszył. Appenzlak zaczął mamrotać hebrajską modlitwę. Roch przeżegnał się z namaszczeniem, tylko Ritter nie sprawiał wrażenia wystraszonego, a jego twarz, mimo że pobladła, jak zwykle nie wyrażała emocji.

Szybko jechali samym środkiem pogrążonego w ciemności mostu. W mroku kłębiła się woda, hucząc coraz głośniej, potrzaskany łód walił w oszalowania przeprawy z łomotem, cała konstrukcja dygotała. Ponad stukot kopyt i kół wznosił się nieustanny jęk naprężonego drewna, trzaski pękających belek i basowy pomruk rozgniewanej rzeki. W pewnym momencie rozległ się chłupot i rzenie koni, które niespodziewanie wjechały w lodowatą wodę.

– Chryste! Toniemy! – ryknął przerażony olbrzym.

Szaja wczepił się w burty wozu, szeroko otwartymi oczyma patrząc w ciemność. Przed nimi kłębił się nieprzenikniony mrok, woda pod kopytami chłupotała coraz głośniej. Konie brnęły zanurzone już po brzuchy, rzeka zaczęła wdzierać się do wozu. Nawet doktor zaczął zachowywać się nieco gwałtowniej. Stał na koźle, oburącz ścisnął lejce i wrzeszczał ponagłająco na zwierzęta.

– Zawróćmy, na litość boską! – krzyczał wielkolud.

– Spokój! Most jeszcze nie jest zerwany, to tylko woda przelewa się górą – wrzasnął Ritter przez ramię.

Tropiciel klęczał już po pas w wodzie, upiornie zimnej i złowrogo czarnej. Konie posuwały się z rosnącym trudem, coraz wolniej. Zdawało się, że zaraz staną i wtedy

Wisła porwie wóz, i wciągnie policjantów w głębiny. Nagle jednak zwierzęta przyspieszyły, złapały pewniejszy grunt i pojazd zaczął wynurzać się z odmętów.

Trzasnęło basowo i wszystko zadygotało. Most poruszył się i zaczął przesuwac, jęczał coraz głośniej, drewno łamało się, jakby rwał je niewidzialny olbrzym. Appenzlak zaczął wyc z przerażenia, obok Roch trząsł się, klepiąc zdrowaśkę. Wiedzieli, że przeprawa właśnie została zerwana i idzie na dno.

Koła znów załomotały na suchym drewnie, a chwilę później na twardym warszawskim bruku. Wóz wyjechał na brzeg, przed nim wznosiło się pogrążone w mroku Stare Miasto. Ritter osunął się na kolana z westchnieniem ulgi. Gogiel zeskoczył z pojazdu, rzucił się plackiem na ziemię i zaczął całować kamienie.

XXV

Sonia całą noc pólleżała na dechach łóżka, owinięta w wilgotny koc, który z łaską przyniósł jej ohydny karczmarz. Nie mogła zmrużyć oka, ciągle nasłuchiwała pijackich krzyków i śpiewów dobiegających z dołu. Gdy przysnęła, obudził ją śmiech dziwek, a potem łomot buciorów na schodach i odgłosy kopulacji dobiegające zza ściany. To miejscowe prostytutki przyjmowały klientów w sąsiednich pomieszczeniach na poddaszu.

Do rana determinacja porwanej kobiety urosła, wypierając strach i rozterki. Teraz gotowa była choćby rzucić się szynkarzowi do gardła, byle stąd wyjść. Niestety, próby z wytrychem spełzły na niczym, szczególnie że klucz ciągle tkwił w zamku, uniemożliwiając wszelkie operacje. Jedyne, co jej zostało, to atak na gospodarza, gdy ten przyniesie śniadanie. Sonia zaczęła planować obezwładnienie mężczyzny, choć zdawała sobie sprawę, że w walce wręcz ma niewielkie szanse.

Zanim jednak do czegokolwiek doszło, jej uwagę przyciągnęło prychanie koni. Doskoczyła do okienka i przetarła je rękawem. Ze zdumieniem ujrzała zatrzymujący się przed austerią wózek, którym powoził młody człowiek w sutannie. Klecha właśnie zeskakiwał z wozu, gdy na powitanie wybiegł z gospody karczmarz. Duchowny mimo nagabywań nie chciał wejść do środka, za to zaczął tłumaczyć coś rozmówcy konfidencjonalnym tonem. Ujął oberżystę pod ramię i zaprowadził do wózka. Rozmawiali o czymś dobrych parę minut, a pryszczaty obrzydliwiec z każdą chwilą robił się coraz bardziej usłużny wobec księdza. Wreszcie duchowny wręczył mu ciężki miecz, a potem sięgnął do plandeki przykrywającej ładunek i zdał ją jednym ruchem.

Sonia aż syknęła ze zgrozy. Na pace leżał jej porywacz, Włodzimierz Woyda. Wyglądał, jakby spał, ale po trupiej błości łatwo było się domyślić, że snem wiecznym. Karczmarz machnął niedbale ręką i wskazał na rzekę, gwizdnął również na dwóch palcach, by wezwać parobków. Ci przybiegli niemal natychmiast, ukłonili się w pas księdzu, a potem sprawnie ściągnęli ciało z wozu i niedbale cisnęli je w błoto. Klecha spytał o coś karczmarza, a ten z uśmiechem odwrócił się i wskazał poddasze, a konkretnie okienko, do szyby którego przywarła porwana kobieta. Żydówka na chwilę spotkała się spojrzeniem z duchownym. To nie był jakiś prostacki drań, łupiący ludzi po nocy w przebraniu sługi bożego. Po gładkiej twarzy i bystrym spojrzeniu poznała, że to ktoś znacznie groźniejszy. Odskoczyła od okna jak oparzona.

Domyśliła się, że ksiądz spytał o nią. Znał więc Woydę i wiedział, że bandzior przetrzymuje tu branke. Teraz zatem ważyły się jej losy. Nie miała złudzeń co do swego przeznaczenia. Widziała twarz duchownego i to, że przywiózł trupa. Wykupienie jej zatem przez policję nie wchodziło już w grę. Musiała zostać uciszona. Na wieczność.

W panice skoczyła do drzwi i zaczęła szarpać za klamkę. Musiała się stąd wydostać. I to natychmiast!

XXVI

Szaja Appenszlak osunął się na kolana. Ze łzami w oczach i nie mogąc pohamować szloch, objął całą trójkę swoich dzieci i przytulił je do piersi. Działwa przybiegła z krzykiem do holu domu pana Glińskiego, usłyszawszy, że ich *tate* przyszedł. Policjant całował je w główki, pociągając nosem i mamrocząc pod nosem podziękowania skierowane do Najwyższego.

Zanim dotarł do domu generalnego sekretarza, przeżył chwile grozy, po których omal zupełnie nie osiwił. Gdy w nocy dotarł do domu i nie zastał w nim nikogo, za gardło chwyciło go zapierające dech przerażenie. Nawet przez chwilę nie wątpił, że stało się coś złego. Sonia mogła pójść z dziećmi nocować do którejs z siostr, ale z pewnością nie zabrałaby ze sobą dziadka. Poza tym w mieszkaniu wały się poprzewracane sprzęty, a w kącie sterczał nogami do góry strzaskany stółek.

– Co tu się stało? – jęknął Szaja, szarpiąc się za brodę.

Kręcił się po mieszkaniu, zaglądając we wszystkie zakamarki, jakby chciał w nich znaleźć ukrytą rodzinę. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, gdzie ich szukać, dokąd pędzić po pomoc. Powstrzymał się przed wypadnięciem w ciemność. Bieganie z wrzaskiem po ulicach nic by nie dało. Musiał poczekać i się zastanowić. Ochłonął po dłuższej chwili i doszedł do wniosku, że wypadałoby powiadomić służby kahalne. Gotów był ukorzyć się przed syndykiem Tenenbaumem i błagać go o pomoc. Wszak Mosze nie odmówiłby ratunku własnej siostrzenicy. Trzeba przecież szukać oparcia u swoich.

Kiedy jednak nadszedł świt, śledczy zdecydował się iść za głosem serca, a nie rozumu, bowiem... Kim dla niego byli owi „swoi”? Współwyznawcy z żydowskiej gminy czy przyjaciele z policji? Zamiast więc do siedziby władz kahału, skierował się na Nowe Miasto i już po paru minutach załomotał pięścią w drzwi mieszkania Rocha Gogiela. Olbrzym przyjął go z najpierw wykrzywioną gniewem, a potem naburmuszoną miną, ale wysłuchawszy, co się stało, bez słowa wciągnął portki i zarzucił wełniany kubrak, a na niego kapotę. Pognali do domu doktora Rittera i już w komplecie, jeszcze przed śniadaniem, zajechali policyjnym powozem na Krakowskie Przedmieście, pod dom szefa.

Kiedy Szaja szalał z radości, całując cudownie odzyskane dzieci, medyk meldował Glińskiemu postępy śledztwa i zaginięcie rodziny Appenszlaków.

– O tym drugim, jak widzicie, dobrze wiem – rzekł sekretarz generalny. – O ile dzieci i pan Abram są bezpieczni, o tyle niestety mam niedobłą wiadomość dotyczącą pani Soni.

Tropiciel zamarł ze zgrozy i mimo odciskającej się na twarzy bladeści od niewyspania i zmęczenia pobladł jeszcze bardziej. Glina spokojnie wytłumaczył, czego dotychczas się dowiedzieli i jakie siły zaangażowane są w poszukiwania żony podwładnego.

– Myślałem już, że sprawę mamy z grubsza wyjaśnioną – powiedział na koniec. – Zabójstwa wekslarza i uprowadzenia pani Appenszlak dokonał Woyda, zdesperowany matematyk broniący swojej nauki przed bluźnierstwem. Pojawił się jednak dodatkowy wątek! Pani Leopoldowa była widziana przez własnego lokaja w towarzystwie księdza, a potem przekupiła służącego, by o tym zapomniał. Ciekawym, czy to wydarzenie poboczne, niemające związku ze sprawą, czy istnieje jakaś korelacja, jakieś ogniwo, którego nie znamy...

– Ogniwo łączące Woydę z panią Leopoldową? – spytał Ritter.

– Właśnie. Wszak by zabić wekslarza, Woyda potrzebował pomocy. Kogoś, kto podsunął nam mylne ślady w postaci zapisków o kabale i kto zatrzasnął zabitego w kantorze. A tym kimś musiała być pani Leopoldowa. Tylko ona i wekslarz wiedzieli o ukrytym mechanizmie zamykającym drzwi. To ona pozbyła się służby w noc zabójstwa. A przede wszystkim to ona miała motyw. Pragnęła wolności i majątku po mężu.

Szaja poderwał się na równe nogi, odsuwając dzieci.

– Myślicie, że tym ogniwem łączącym Woydę z Leopoldową może być ksiądz? To on zapoznał ich ze sobą! Może sam uczestniczył w zbrodni? – gorączkował się żydowski policjant. – Nie ma co zwlekać! Ruszajmy złapać żołą, nim ucieknie z miasta!

Gliński skinął głową i porwał wiszący na stojaku surdut. Roch usłużnie podał mu laseczkę i kapelusz.

– Dobrze, że wziąłem sprzęt – mruknął pod nosem doktor Ritter, gładząc skórzaną torbę wypchaną narzędziami, których używał zarówno do robienia sekcji, jak i wymuszania zeznań. – Przesłuchamy ją na miejscu.

XXVII

Dziadek Abram kuśtykał zwawo, podpierając się lagą otrzymaną od starego kompana, który opadł już z sił i musiał udać się do domu, by uciąć sobie drzemkę. Całej drużynie Abrama nocna penetracja miasta mocno dała w kość, ale u boku dowódcy, prócz młodzieży, zostało jeszcze dwóch starych zabijaków. Rankiem dołączyła do poszukiwaczy sfera żydowskich uliczników, znajdując w gorączkowej bieganinie po mieście okazję do rozrywki. I to właśnie jeden z ledwie odrosłych od ziemi oberwańców ciągnął teraz Abrama za sobą, twierdząc, że widział coś niezwykle podejrzanego i ciekawego.

Cała grupa podążała więc za dziarskim staruszkiem dzierżącym długi kostur i za bieżącym przed nim malcem. Zeszli ze skarpy nad Wisłę, między rzadko rozrzucone rudery ubogich rybaków i piaskarzy.

– Tam są, to oni – syknął chłopiec, wskazując dwóch obwiesi idących od strony rzeki. – Nieśli trupa zawiniętego w szmaty. Jak pragnę zdrowia, to był trup. Widziałem, jak z tłumoka wystają nogi! Pewnie wrzucili go do Wisły.

Abram zadrzał ze zgrozy, mocniej zacisnął pokrytą starczymi plamami dłoń na kiju. A co, jeśli to był trup Soni? Szai pęknie serce. Staruszek przyspieszył, zgrzytając zębami z bólu i złości. Kolana i poskręcane podagrą stopy rwały go niemiłosiernie, w brzuchu burczało, a nade wszystko paliła obawa o biedne dziewczę, żonę ciamajgowatego, ale w sumie kochanego wnuczka.

– Stać, sukinkoty! – ryknął, zastępując drogę dwóm obwiesiom o paskudnych gębach. – Gadajcie, cośta wrzucili do rzeki? A już!

– Ać poszedł precz, stary parchu! – huknął pierwszy z drabów.

Drugi również wyszczerzył zęby, prychnąwszy pogardliwym śmiechem na widok zbieraniny Żydów w różnym wieku, którzy wydali mu się żałośni.

– Zjeżdżaj, dziadu, bo cię za brodę wytarłoszę. – Splunął Abramowi pod nogi.

Długi kostur, na którym podierał się starzec, niespodziewanie świsnął w powietrzu, zataczając szeroki łuk. Gruchnął pierwszego zbira w bok głowy, aż zadudniło. Dziadek obrócił kij w powietrzu, z furkotem zakręcił nim młynka nad głową i poprawił drugim, błyskawicznym uderzeniem, tym razem w krocze oszołomionego mężczyzny. Zanim jego kompan zareagował, staruszek z opaską na oku grzmotnął go w brzuch pałką, a

kuśtykający na drewnianej nodze Żyd kopnął bandytę twardą jak kamień protezą w goleń.

Abram oparł stopę na piersi leżącego pierwszego draba i szturchnął go końcem lagi w czoło.

– Nie mam ochoty na zabawy, smyku. Prowadź do rzeki – rzekł. – Wyciągniecie z niej, coście wrzucili.

Jeńcy zostali postawieni na równe nogi i pociągnięci ku Wiśle. Szli, potykając się, popychani rękami kilkunastu Żydów, w tym trzech starców i kilku obdartych maluchów. Nie próbowali ucieczki, bo na ramionach czuli ciężkie łapska wielkiego rzeźnika, u którego pasa kołysał się tasak do rąbania kości. Szybko znaleźli się nad sunącą majestatycznie wodą. Na jej powierzchni unosiły się liczne potrzaskane kry. Okazało się, że choć bandziory cisnęły ciało z rozmachem, zwłoki zawadziły o lodową tafłę i zdryfowały z nią jakieś dwadzieścia kroków w dół rzeki, by utkwic w korzeniach pochylonego nad wodą drzewa.

– Macie szczęście – zauważył stary Appenzlak. – Nie będziecie musieli zanurzać się pod wodę. No już, wyciągać ciało na brzeg.

Poturbowani obwiesie posłusznie weszli po kolana do lodowatej rzeki i z wysiłkiem wyciągnęli z niej ciągle zawiniętego w tłumok trupa. Potem posłusznie wyplątali z niego nieboszczyka. Dziadek obserwował tę ostatnią operację z rosnącym niepokojem. Chwycił się nawet za palącą bólem pierś. Stare serce źle znosiło tak mocne lęki i obawy.

Na szczęście już po chwili mógł z ulgą odetchnąć. To nie była Sonia. Oczom zebranych ukazał się trup młodego mężczyzny, całkiem porządnie ubranego. Aż dziw, że draby nie odarły go z cennego stroju. Nie był więc ofiarą zwykłego napadu, to nie ulegało wątpliwości.

– Droga z drogą się nie zejdzie, a człek z człekiem zawsze, panie Woyda – rzekł Appenzlak do nieboszczyka. – Zadarłeś pan z mocniejszymi, ot, pech. A wy, sukinkoty, gadajcie, kto go ukatrupił!

Bandyci cofnęli się przed wymierzoną w nich lagą. Daleko jednak cofnąć się nie mogli, bo w plecy dźgnęły ich ostrzegawczo ostrza noży.

– Rychło gadajcie, bo Ojzasz zaraz użyje tasaka. A wiezcie, że to jeden z lepszych żydowskich rzeźników w mieście – ostrzegł dziadek. – Potrafi zarznąć wołu, tak że ten wykrwawia się w trzy uderzenia serca i ani kwiknie. Urznąć wam nogi to dla niego tyle, co splunąć. To co, chcecie zostać na tym brzegu porąbani na kawałki?

Obaj obwiesie pokręcili przecząco głowami.

– Przywiózł go do nas pewien goguś przebrany za księdza – powiedział jeden. – Szefer wziął złoto i kazał pozbyć się trupa. Nie wiemy, kto go ubił. Wygląda, jakby sam skapiał, może ze zgryzoty?

– Bez prawienia krotchwil, durniu – warknął staruszek. – Kto jest waszym szefem?

– Socha, karczmarz z Powiśla – odparł z pewnym ociąganiem drugi z bandziorów.

Dziadek uśmiechnął się promiennie. Wreszcie, po tylu bezowocnych godzinach poszukiwań, złapał trop. Teraz już go nie puści. Nie puści, dopóki nie odnajdzie Soni.

– To nie ma na co czekać, smyki – rzekł. – Idziemy do karczmy. I to szybko, bom okrutnie spragniony.

XXVIII

Szaja wściekle załomotał w drzwi domu na Gęsiej. Znajdujące się w tej samej bramie wejście do kantoru było zamknięte, komisja rządowa nie podjęła bowiem decyzji, czy wdowa odziedziczyła po mężu również prawa do prowadzenia działalności wekslarskiej. Policjanci przezornie zatrzymali powóz przed skrzyżowaniem w ulicę i na miejsce dotarli piechotą, a następnie otoczyli dom. Roch z Ritterem przeszli na tyły posesji, Appenzlak z Glińskim weszli bramą.

– Kantor nieczynny! – rozległo się z głębi domu.

– Otwierać, policja! – wrzasnął tropiciel, waląc pięścią w drzwi.

Niemal natychmiast zachrobotał zdejmowany skobel i w uchylonym wejściu stanął lokaj w liberii. Na widok Szai cofnął się o krok, a zlustrowawszy postać szefa wydziału, ukłonił mu się grzecznie i zaprosił przybyłych do środka.

– Chcemy widzieć panią Leopoldową – rzucił żydowski śledczy.

– Nikt taki tu nie mieszka – wyniosłe odparł lokaj.

Szaja chwycił go za gardło i przyparł do ściany.

– Nie igraj sobie, pajacu – syknął mu w twarz. – Gdzie jest Atalia Leopoldowa?!

– Proszę nad sobą panować i puścić mego służącego! – rozległ się mocny głos za plecami Appenzlaka. – On mówi prawdę.

W korytarzu stał Natan Meyer, nawet w domu odziany elegancko, w koszulę ze sztywnym kołnierzem i jedwabną kamizelkę.

– Co ma znaczyć wtargnięcie policji do domu szanowanego finansisty? Żądam wyjaśnień! – oznajmił nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Przyszliśmy do pani Leopoldowej w ważnej sprawie – odparł Glin z uprzejmym uśmiechem. – I co ma pan na myśli, mówiąc, że nikt taki tu nie mieszka?

– Właścicielka tego domu od wczoraj nazywa się Aneta Leopoldowska – wyjaśnił Meyer. – Przyjęła chrzest i zmieniła nazwisko. W chwili obecnej bierze udział w mszy, nie może zatem panów przyjąć. Jestem jednak upoważniony, by reprezentować ją zarówno w sprawach finansowych, jak i prawnych. Poza tym i tak nie raczyłaby z panami rozmawiać, tylko odesłała do mnie, zatem możecie od razu mówić, z czym przyszłście. Słucham!

Wyniosła postawa elegancika i impertynencki ton, którym zwracał się do samego Glińskiego, podziały na Szaję niczym czerwona płachta na byka. Żyd zacisnął pięści i

ruszył na młodzieńca. Zanim ten zdążył się cofnąć, został złapany za ucho, które brutalnie wykręcono i pociągnięto w dół. Finansista z wrzaskiem upadł na kolana.

– W takiej mniej więcej pozycji podejrzany o morderstwo składa zeznania przed jego ekscelencją, wyższym kancelistą rządowym i prawą ręką ministra Potockiego. Przyzwyczajaj się waść – wycedził Appenzlak. – Skoro chcesz zastępować panią Leopoldowską, musisz szybko nauczyć się tego zwyczaju. Bo ta wredna małpa, którą reprezentujesz, zamordowała męża i lada chwila trafi do Prochowni, gdzie już czekają na nią rozżarzone na węglach żelaza, pomocne w składaniu zeznań. Chyba że tam też chcesz ją reprezentować, a potem również na szubienicy? A może maczałeś pan łapska w zabiciu Ataliasa, hę? Szefie, zabieramy go do lochu?

Pan Augustyn oparł się oburącz na laseczce i pokręcił głową, uśmiechając się smutno.

– Myślę, że pan Meyer zrozumiał i zacznie być bardziej pomocny – powiedział. – Puść go, proszę.

Choć tropiciel cofnął się, zostawiając eleganta w spokoju, ten nadal pozostawał na kolanach, masując ucho.

– Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią męża kuzynki. Raptem kilka dni temu przyjechałem do Warszawy – powiedział. – Nie wiedziałem nawet, że Atalia planuje zostać przechrztą. Wezwała mnie listownie, bym pomógł w interesach.

– Zatem wiele dni, może tygodni przed śmiercią męża wiedziała, że będzie potrzebowała pomocy? – spytał Gliński.

– Pan Leopold słabował na zdrowiu i potrzebował pomocy w kantorze. – Meyer spoglądał na policjantów spode łba. – Nie widzę w tym niczego zdrożnego. Mylicie się co do osoby mojej kuzynki. To silna kobieta, ale niezdolna do zbrodni! To do niej niepodobne!

– Gadaj, co wiesz o księdzu, z którym trzyma! – Szaja podniósł głos. – Odwiedzał ją w domu?

– Nie wiem nic o żadnym księdzu – bąknął młodzieniec. – Choć wczoraj, gdy musiałem uczestniczyć w tym pożałowania godnym wydarzeniu zmiany wyznania, zaskoczyła mnie nieco konfidencja, z jaką traktowała młodego klechę, który udzielił jej chrztu.

– Kto to taki? – warknął Appenzlak.

– Nie wiem, nie zostałem przedstawiony. – Meyer zasłonił się obiema rękami. – Wiem tylko, że zwracała się do niego per „księżę Jakubie”. Wysoki, szczupły, jakieś dwadzieścia parę lat. Twarzy pociągłej, zębów końskich, może bardziej mulich...

– Gdzie go znajdziemy?

– Pewnie na mszy, na której właśnie jest Atalia, znaczy Aneta. W kościele przy klasztorze braci benonitów! – Ostatnie słowa wykrzyczał, bo Szaja stał tuż przy nim,

groźnie marszcząc brwi.

– Idziemy – krótko rozkazał Gliński.

Meyer osunął się na podłogę, zwinął w kłębek i zasłonił głowę rękoma, przekonany, że znów oberwie i zostanie zawleczony do lochu. Zamiast tego usłyszał, że lokaj zamyka drzwi. Policjanci znikli równie szybko, jak się pojawili.

XXIX

Sonia z trudem postawiła łóżko pionowo, a po chwili z łomotem oparła je o drzwi. Zaparła się o nie całym ciałem. Nie pomyślała tylko, że otwierają się na zewnątrz, więc ten sposób barykadowania na nic się nie zda. Kiedy jednak karczmarz przekręcił klucz w zamku i szarpnął za klamkę, runął na niego ciężki mebel, niemal zwalając go z nóg. Kobieta skoczyła na walące się łóżko i wymierzyła odskakującemu w bok mężczyźnie solidnego kopniaka.

Cios doszedł celu, ale Sonia straciła równowagę i runęła jak długa.

– Och, trzeba naszego kociaka nauczyć moresu! – jęknął szynkarz, masując się po bolącym udzie.

Sprawnie złapał szamoczącą się Żydówkę za włosy i potrząsnął mocno.

– Teraz jesteś moja, rozumiesz? – syknął jej do ucha. – Dostałem cię i mogę zrobić, co zechcę. Masz tylko zniknąć z Warszawy, to był jedyny warunek. Jeśli będziesz grzeczna, załatwię, byś została dziwką w najlepszym burdelu w Kijowie. Mam tam przyjaciela. Wpierw jednak niczym młodą klacz trzeba cię ukorzyć i porządnie ujeździć. Lekcję zaczniemy od zaraz.

Przywarł do niej całym ciałem, przygniótł tak, że nie mogła się ruszyć. Zaczął zrywać z niej ubranie.

XXX

Syndyk Tenenbaum podsypał panewkę pistoletu prochem i wetknął broń za pas. Spojrzał na czterech swoich szkolników, którym towarzyszyły dwa wielkie psiska. Młodzi żydowscy funkcjonariusze kahalni tylko czekali na sygnał szefa. W dłoniach ściskali pejczy i pistolety. Syndyk uśmiechnął się do nich z sympatią. Chłopcy spisali się na schwał. Szybko ustalili, że do jednej z karczm na Powiślu, gdzie zajmowano się nierządem, sprowadzono nową dziewczynę. Jej opis, przedstawiony przez przypartą do muru prostytutkę, w pełni zgadzał się z rysopisem Soni. Teraz wystarczyło wkroczyć do tej ohydnej jaskini plugastwa i rozpusty, by uratować biedną dziewczynę.

Karczma stała na końcu błotnistej uliczki wijącej się w dół, w stronę rzeki. Tenenbaum skinął na podwładnych i ruszył przodem. Znajdowali się już w połowie drogi, gdy na drugim końcu ulicy pojawiła się spora grupa ludzi. Syndyk położył rękę na rękojeści pistoletu, ale gdy dojrzał, z kim ma do czynienia, westchnął ze zdumienia.

Szeroką ławą, zajmując całą drogę, nadciągała dziwaczna czereda. Prowadził ją stary Żyd z siwą brodą, w którym Tenenbaum rozpoznał krewnego Szai, znanego wódkożłopa i rozrabiakę, który nie raz lądował w kahalnej celi za pijackie wybryki. Towarzyszyło mu dwóch proszalnych dziadów, potężny rzeźnik, kilku młodzieńców i grupa obdartych dzieciaków. Cała ta zbieranina prowadziła dwóch obwiesiów, którym skrępowano ręce za plecami. Obie grupy spotkały się dokładnie przed karczmą.

– *Szalom alechem!* – przywitał się dziadek Abram. – Samego pana syndyka wzięła chęć napicia się gorzałki w tej spelunie?

– Co ma znaczyć to zgromadzenie? – warknął Tenenbaum. – Czego tu szukacie?

– Uprowadzonej Żydówki, która znajduje się w tej budzie – z dumą oznajmił Appenszlak. – Najpierw ją stamtąd wyciągniemy, powiesimy porywaczy na tamtej gruszy, a potem spalimy burdel. Taki mam plan.

Urządник gminy starozakonnych westchnął i pomasaował dłonią skronie. Niechętni Żydom tylko czekali na pretekst, by znów wygnać ich z miasta, a przy okazji ograbić i poturbować. Czy mogli marzyć o czymś lepszym niż samosąd i podpalenie w wykonaniu hordy wściekłych Izraelitów?

– To nie najlepszy plan – oznajmił ze złością. – By nie powiedzieć: idiotyczny. Sprawę przejmują służby kahalne. Zrobimy to po naszymu, bez rozlewu krwi i podpażeń. A wy możecie wracać do domów. No już! Rozejść się, ludzie!

– Jeszcze czego! – ryknął Abram. – Całą noc szukałem Soni i to ja ją uwolnię! Do tego wymierzę sprawiedliwość bydlakom! Mam do tego prawo, czasowo jestem policjantem, nominowanym przez samego pana Glińskiego! Policja Warszawy ma zwierzchność nad służbami kahalnymi, cofnij się zatem, syndyku, i nie przeszkadzaj. Możesz patrzeć, jak powinno się postępować z bandziorami. Ja, stary Żyd, dam ci lekcję.

Tenenbaum zbliżył się do przywódcy tłuszczy i próbował ująć go pod łokieć, by odciągnąć go na bok i w cztery oczy przemówić mu do rozsądku. Staruszek wyrwał się jednak i pchnął syndyka w pierś końcem kija.

– Nie dotykaj mnie, człowieku! Nie jestem byle kim, a funkcjonariuszem państwowym!

– Uspokój się, starcze, do jasnej cholery! Nie gadaj bzdur, naszą społecznością kieruje rada kahalna, a ja jestem jej reprezentantem! Twoja awantura może się skończyć potwornym skandalem. Nie zezwalam, rozumiesz? Jeden wybryk, a dopilnuję, by rada obłożyła cię chere mem! Idź precz, pókim dobry!

Abram zazgrzytał wszystkimi czterema zębami, słysząc, że syndyk grozi mu rytualną klątwą. Szef szkolników, którego zalała fala wściekłości, natarł na starca i gwałtownym szarpnięciem wyrwał mu lagę z rąk. Dziadek właściwie sam ją wypuścił, by czymś zająć urzędnika, po czym zwinnym ruchem wyszarpnął zza jego pasa pistolet.

– Cofnij się, Tenenbaum, bo nie ręczę za siebie! Twój dziadek był takim samym słabeuszem liżącym jaja rabinom jak ty. Widzę, że to u was rodzinne.

Syndyk zamarł ze zgrozy, patrząc w otwór lufy własnego pistoletu.

XXXI

Sonia czuła smród bijący z ust karczmarza. Mężczyzna przycisnął jej głowę do podłogi, a potem przejechał językiem po policzku uprowadzonej. Wrzasnęła, a potem wierzgnęła gwałtownie. Nic to nie dało, oberżysta nadal przygniatał ją całym ciężarem ciała. Dyszał na kark Soni, szamotał się z jej kiecką, wreszcie podwinął materiał i zarzucił go na plecy kobiety, po czym zabrał się za rozsznurowywanie własnych spodni. Szło mu niesporo, bo miał tylko jedną rękę wolną – drugą musiał blokować ręce Soni, przyciśnięte do jej pleców. Nagle na schodach załomotały czyjeś buty. Nad szamoczącą się parą stanęła jedna z podstarzałych prostytutek.

– Ty się zabawiasz z młódką, Socha, a przed karczmą tłum Żydów robi awanturę – powiedziała, biorąc się pod boki. – Wypłoszą nam klientów.

– Gównu mnie obchodzą te parchy – warknął karczmarz. – I jakich klientów miałyby wypłoszyć nam z samego rana? Głupia jesteś czy co? Idź do diabła!

Murwa posłusznie znikła, a w powstałym zamieszaniu Soni udało się uwolnić jedną rękę. Sięgnęła nią do pompadurki na brzuchu i wydobyła zeń klucz od domowej komody. Zamarła ze zgrozy, czując dotyk penisa na pośladku, a potem wierzgnęła z całych sił, podpierając się ręką. Udało się jej obrócić na plecy. Machnęła na oślep, dzierżąc w zaciśniętej pięści żelazny klucz. Trafiła nim w twarz mężczyzny i rozorała mu policzek. Socha wrzasnął z bólu. Natychmiast wymierzył jej cios pięścią w twarz.

Nie zważała na ból i oszołomienie. Podkulili kolana, po czym wyprostowała równocześnie obie nogi. Kopnięty oberżysta poleciał w tył jak wystrzelony z procy i grzmotnął plecami w ścianę. Sonia poderwała się na czworaki i rzuciła do rozpaczliwej ucieczki, ale zaplątana w podwiniętą sukienkę, stoczyła się z łomotem ze schodów. Wpadła do głównej sali karczmy. Jedna z prostitutek próbowała ją złapać, ale Żydówka wymknęła się jej i wskoczyła na stół. Dwie stare dziwki odcięły jej drogę do drzwi. Rozłożyły szeroko ręce, jakby zaganiały niesforną kurę do kurnika.

Socha, wyjąc z wściekłości i bólu, zbiegł ze schodów. Rzucił się do kuchni, porwał ze stołu długi nóż i z rykiem zaatakował Sonię.

– Zabiję kurwę! Porznię ją na plasterki!

Appenszlakowa w panice skoczyła ze stołu wprost między murwy, rozepchnęła je impetem uderzenia, dopadła drzwi. Szarpnęła je mocno, czekając na pchnięcie nożem w

plecy. To nie nastąpiło. Wybiegła na zewnątrz. Zatoczyła się na śliskim błocie. Socha był tuż za nią. Nóż świstał, tnąc powietrze.

XXXII

Dziadek odwrócił się od jednocześnie wściekłego i przerażonego Tenenbauma, by wymierzyć pistolet w stronę drzwi karczmy. Przed sekundą wypadła przez nie Sonia, pobladła, z rozwianymi włosami i w poszarpanym, rozchełstany ubraniu. Za nią sadził susy chudy drań z gębą zalaną krwią, wrzeszcząc i wymachując nożem. Abram nie wahał się ani chwili.

Zmrużył jedno oko. Wyprostował się, walcząc z bólem pleców. Chwycił rękojeść broni oburącz. Próbował zapanować nad chybotaniem się lufy. A potem zamknął oczy i pociągnął za spust.

Gruchnął strzał. Sonię ogarnęła chmura dymu, w policzki zakłuły ziarenka płonącego prochu, kula świsnęła koło ucha. Trafiła Sochę prosto w prawe oko, wbiła się w mózg i ugrzęzła w nim na zawsze. Karczmarzowi głowa odskoczyła w tył. Kolana ugięły się pod nim i martwy stręczyciel runął w błoto.

– Piękny strzał – mruknął syndyk Tenenbaum.

Dziadek dmuchnął w dymiącą lufę.

XXXIII

Klasztor benonitów stał na niewielkim wzniesieniu i górował nad otaczającymi go chałupami niczym średniowieczne zamczysko nad drewnianym grodem. Otaczał go niski drewniany płotek z furką, za którym na szczyt pagórka wiodła ścieżka prowadząca do zwartych zabudowań zgromadzenia. W okolicy kręciło się kilkunastu żebraków, cierpliwie oczekujących na żywność rozdawaną ubogim przez mnichów. Mimo że zakon odwiedzany był przez rzeszę biednych warszawiaków, nikogo nie zdziwił przechodzący przez furkę Gliński, ubrany w elegancki cywilny mundur.

Energiczna działalność, jaką prowadzili braciszczowie, przyciągała przedstawicieli wszystkich stanów. Tłumy ciągnące do benonitów i ich rosnące wpływy wśród ludu coraz bardziej kłuły w oczy katolicką oligarchię, niepokoiły również Radę Stanu, bo większość zakonników była Niemcami, przede wszystkim Prusakami. Obawiano się, że braciszczowie sięją wśród warszawiaków antyfrancuską propagandę i mogą doprowadzić do rozruchów. Ostatnio doszło nawet do ostrej wymiany słów między przedstawicielami władzy Księstwa a przeorem klasztoru, który nie palił się do współpracy. Gliński zdawał sobie sprawę z napiętej sytuacji. Wiedział, że na terenie zgromadzenia nie powinien prowadzić zbyt gwałtownych działań, by nie dopuścić do zaognienia sytuacji. Kilka razy powtórzył więc Szai, że pod żadnym pozorem nie wolno mu użyć przemocy wobec podejrzanego księdza Jakuba. Tego jeszcze brakowało, by Żyd poturbował klechę na terenie benonitów. Konsekwencje byłyby trudne do przewidzenia.

– Musimy go sprowokować do opuszczenia posiadłości zakonników i aresztować dopiero za murami. To samo tyczy się pani Leopoldowskiej – powiedział Glina trzem swoim policjantom, gdy stanęli przed klasztorną kaplicą, w której akurat zakończyła się msza. – Żadnej szarpaniny ani krzyków. Chyba najlepiej będzie, jeśli Szaja wycofa się z terenu zgromadzenia. Lepiej nie drażnić ludzi widokiem Żyda, który ma jakieś pretensje do księdza.

– Ale, szefie, mnie tak bardzo zależy! Nie wiadomo, co z Sonią, ja muszę...

– To rozkaz, Szaja – ostro rzekł pan Augustyn. – Wracaj do powozu i tam na nas poczekaj. Roch pójdzie z tobą i cię przypilnuje. Do pomocy wystarczy mi doktor Ritter.

Gogiel szturchnął Appenszlaka w bok i pociągnął na dół, do furty. Tymczasem kaplicę zaczęli opuszczać wierni, czujnie obserwowani przez pozostałych dwóch policjantów. Rzeczywiście wśród wychodzących najwięcej było biedoty, ale trafiło się kilka

eleganckich sukni i cylindrów. Z ludźmi zmieszani byli benonici, rozmawiający ze wszystkimi z serdecznością i z uwagą pochylający się nad każdym rozmówcą.

– Są aż nazbyt uprzejmi i pomocni – mruknął lekarz. – Jako dawny tajny policjant muszę przyznać, że już na pierwszy rzut oka wygląda to podejrzenie.

– A mnie ciekawi, co wśród zakonników robi sekretarz księdza Staszica? – rzekł szef wydziału, wskazując na młodego duchownego, który jako ostatni wyszedł ze świątyni, w dodatku w towarzystwie pani Leopoldowskiej. – A niech mnie! Przecież on ma na imię Jakub! Czyli mamy szukanego księdza Jakuba. Już wiemy, gdzie mógł poznać Woydę. Na zebraniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na których asystował Staszicowi!

Pan Augustyn bez zwłoki przeszedł przez tłum, zastępując drogę duchownemu i wdowie. Uchylił przed nimi kapelusza, ciesząc się w duchu z oszołomienia i strachu malujących się na twarzy kobiety. Jakub natomiast nie okazał najmniejszego zmieszania.

– Co za spotkanie – rzekł tylko. – Pan sekretarz na mszy u benonitów, to wręcz niebywałe.

– Po prawdzie przybyłem tu w innej sprawie – z uśmiechem odparł Glina. – Mam do państwa kilka pytań. To kwestia niecierpiąca zwłoki, stąd moja tu obecność. Zapraszam do powozu, pojedziemy w dogodne do tego typu rozmów miejsce. Myślę, że Prochownia będzie odpowiednia.

Pani Leopoldowska pobladła ze strachu. Prochownia, dawny młyn prochowy i magazyn amunicji, od czasów stanisławowskich pełniła funkcję ciężkiego więzienia i aresztu śledczego. Wszyscy wiedzieli, że przesłuchiowano tam w sposób bezwzględny, nie żałując bata i nie wahając się przed przyłaniem rozżarzonym żelazem. Wystarczyła sroga mina policjanta i groźba aresztu w Prochowni, by wdowa po wekslarzu w jednej chwili się załamała. Przyłapana w towarzystwie księdza, domyśliła się, że dalsze matactwa mogą skończyć się dla niej torturami i szubienicą.

– Wasza ekscelencjo, litości! Niczego złego nie zrobiłam! – wybuchła, padając przed sekretarzem generalnym na kolana.

Wokół zaczęli zatrzymywać się zarówno wierni, jak i zakonnicy. Wkrótce zawodzącą kobietę i policjanta otoczył zbity tłum. Doktor Ritter cofnął się i zniknął w ciżbie, nie spuszczał jednak spojrzenia z księdza Jakuba. Ten również pozwolił się wchłonąć gapiom, cofając się dyskretnie. Glina, objęty za nogi przez histeryzującą Leopoldowską, próbował się oswobodzić.

– Niech pan posłucha, jestem niewinna. Chciałam tylko stać się kimś, wyjść z cienia męża! Marzyło mi się, by zostać szanowaną mieszczańką, podziwianą i docenianą. Nie chciałam reszty życia spędzić w chałupie, zakutana w chusty i czarne kiecki, odmierzając czas od szabasu do szabasu. Postanowiłam przyjąć chrzest i uciec, zacząć nowe życie. – Słowa wylewały się z ust kobiety nieprzerwanym strumieniem. – Spotkałam księdza

Jakuba u misjonarzy, a on mnie omotał. Wmówił mi, że mogę uwolnić się w inny sposób, nie tracąc majątku ani pozycji. Nie wiedziałam, że chcą go zabić! Powiedział, że tylko go nastraszą. Kazał pozbyć się służby i samej zniknąć z domu. A potem zabili Leopolda! O ja nieszczęsna, co miałam zrobić? Musiałam udawać, choć serce pękało mi z żalu i przerażenia. Nie mogłam nikomu powiedzieć! Nikt by nie uwierzył!

Ksiądz Jakub znikł z oczu pana Glińskiego, który z każdą chwilą robił się coraz bardziej zdenerwowany. Wierzył, że Żydówka stała się tylko narzędziem w rękach młodego klechy. Obawiał się też, że niepozorny sekretarz Staszica jest kimś naprawdę bardzo groźnym. Nie można było pozwolić mu uciec.

Tłum zafalował, rozległy się krzyki, wybuchła szarpanina i zamieszanie. Glina wreszcie odepchnął kobietę i skoczył w serce harmidru. Już po kilku krokach natknął się na klęczącego w błocie Rittersa, trzymającego się za rozkwaszony nos.

– Tam pobiegł! – rzucił medyk, ocierając płynącą obficie krew. – Zwinny drań, niech szef uważa!

– Zajmij się Leopoldowską! – rzucił generalny sekretarz przez ramię. – Przymknij ją w areście ratusza!

Szef śledczych rozepchnął ludzi i wymachując laską, pognał we wskazanym kierunku. Dostrzegł kleryka, kiedy ten przesadzał płotek. Ścigany pomknął potem między stłoczonymi chałupami. Kierował się w stronę Nowego Świata, gdzie z łatwością mógł zniknąć w bocznych uliczkach. Pan Augustyn dobiegł do płotka i przesadził go jednym susem, ale kilka kroków dalej przystanął, zdyszany i zasapany, z trudem łapiąc oddech. Odzwyczał się od podobnych galopad, wszak nieprzystojących osobie z jego pozycją. Wsadził dwa palce do ust i gwizdnął przeciągle. Po chwili pojawili się przy nim Szaja z Rochem.

– Widzieliście go? – wydyszał. – Wysoki młody klecha. Trzeba go dopaść za wszelką cenę. Lećcie!

Tropiciel wystrzelił we wskazanym kierunku, zostawiając daleko za sobą potężnego Gogiela. Olbrzym szybko się zmęczył, grzęznąc w błocie, wreszcie przystanął i ze złością machnął ręką za oddalającym się Żydem. Szaja pędził uliczkami prowadzącymi w kierunku centrum miasta. Przystawał tylko czasem na rogach i w zaułkach, by zapytać przycupniętego proszalnego dziada, grzebiącą w śmieciach żydowską kościarkę, bawiące się dzieciaki czy handlarke z naręczem marchewek i cebul o poruszającego się w pośpiechu młodego księdza. Wszyscy spotkani Izraelici chętnie pomagali zdyszanemu, spoconemu pobratymcowi, który sprawiał wrażenie zdesperowanego i rozgorączkowanego. Dzięki temu Appenszlak nawet na chwilę nie stracił tropu, co więcej, z każdym krokiem zbliżał się do duchownego.

Dogonił go dopiero na Krakowskim Przedmieściu, przed wejściem do kościoła Świętego Krzyża, w którym klecha zamierzał się chyba schronić. Poruszający się truchtem mężczyzna w sutannie nie mógł być nikim innym, wystarczyło dopaść go paroma susami i powalić na ziemię. Jakub dostrzegł biegnącego Żyda o twarzy wykrzywionej gniewem i błyszczących wściekłością oczach, gdy dzieliło ich kilkanaście kroków. Wrzasnął na całe gardło o pomoc i rzucił się plackiem pod nogi dwóch polskich huzarów w biało-czerwonych dolmanach, przechodzących akurat w towarzystwie dam.

– Rodacy, ratujcie przed szalonym Żydem! – krzyczał.

Szaja, nie zważając na nic, skoczył mu na plecy i złapał za włosy, wykręcając mu głowę w tył.

– Gdzie jest moja żona, skurwysynu?! – ryknął złapanemu do ucha.

Widok Żyda w chałacie bijącego księdza był tak obrazoburczy, że huzarzy, tak jak inni liczni przechodnie, zdębieli, ale już po chwili obaj oficerowie ruszyli na pomoc duchownemu. Appenzlak oberwał pięścią w twarz, ktoś chwycił go za kark i pociągnął w tył. Oderwano śledczego od pojmanego i ciśnięto na ziemię.

– Nie żałujcie szabel, w imię boże! – domagał się klecha. – Żydowski krwiopijca sprofanował hostię i próbował mnie zamordować, złożyć w ofierze swemu pogańskiemu bogu! Tak jak pili krew Chrystusa, tak planują zabić wszystkich księży w Warszawie! Plugawe parchy okazały wreszcie swe prawdziwe oblicze! Rozsieczcie go szablami, panowie oficerowie, nie żałujcie razów przekłębemu Żydowi!

Szaja próbował coś powiedzieć, ale jakiś przechodzień, podburzony wygłoszoną tyradą duchownego, kopnął śledczego w twarz. Wokół zebrali się ludzie mruczący gniewnie, szczerknęły pierwsze wściekłe przekleństwa, żądania śmierci dla żydowskiego bluźniercy. Wyciągnęły się do niego ręce, unieruchomiły go, przygwoździły do bruku. Policjant ze zgrozą zrozumiał, że zaraz zginie, że huzarzy rozrąbią go szablami.

– Chronicie swojego kapłana, zabijcie Żyda! – grzmiał ksiądz Jakub, który stał nad powalonym tropicielem i wskazywał go palcem. – Zniszczcie przekłębego parcha, który swym istnieniem plugawi to miasto, jak wszyscy przekłęci Żydzi!

Starszy z huzarów, postawny jegomość z bokobrodami i potężnymi wąsikami skierowanymi w dół, zmarszczył groźnie czoło, ale nie dobył szabli. Chrząknął za to znacząco, a potem położył dłoń na ramieniu duchownego.

– Uważajcie na słowa, księżo – rzekł z mocą. – Obrażacie nimi nie tylko tego człowieka...

– A kogo jeszcze, u licha? – syknął sekretarz Staszica.

– Choćby mnie. Jestem pułkownik Berek Joselewicz – odparł kawalerzysta.

Tłum umilkł. Szaja poczuł, że trzymające go ręce zwalniają uścisk, że może się poruszyć. Nic dziwnego, nazwisko pułkownika na każdym robiło wrażenie. Joselewicz

słynął w całej Polsce jako najwaleczniejszy z Żydów, a do tego dzielny patriota. Jeszcze w czasie insurekcji zorganizował pierwszy żydowski pułk jazdy, potem walczył w legionach u boku generała Dąbrowskiego, a teraz służył pod księciem Poniatowskim. Był nie tylko bohaterem dla starozakonnych, ale i jednym z najbardziej poważanych oficerów w polskiej armii.

– Kim jesteś? – spytał Appenszlaka. – Dlaczego zaatakowałeś księdza?

– Jestem śledczym policji warszawskiej – wychrypiął dygoczący z emocji tropiciel. – Próbowałem aresztować tego człowieka. Jest podejrzany o morderstwo i uprowadzenie.

Jakub nie czekał na reakcję pułkownika, rzucił się w bok, próbował wbić się w tłum i zniknąć. Trafił wprost na drugiego z huzarów, który chwycił go za ramię i zatrzymał w miejscu bez większego wysiłku. Joselewicz podał rękę Szai i pomógł mu wstać. Policjant ukłonił mu się ze łzami w oczach.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

XXXIV

Potęźnie zbudowany mężczyzna w jarmułce i z krzaczastą, gęstą brodą o jaskraworudym kolorze maszerował dziarsko ciasnymi uliczkami Starego Miasta. Pod pachą trzymał okazałe zawiniątko, a w lewym ręku uniesioną latarenkę z niemrawo pełgającym światłem. Mrok już ogarnął warszawskie ulice, pogrążając zaułki w całkowitych ciemnościach. Wielki Żyd czasem przystawał na skrzyżowaniach, jakby szukając drogi, by po chwili namysłu ruszyć w dalszą drogę. Wreszcie stanął przed bramą starej kamienicy o popękanej fasadzie, z której okien biła świetlista poświata. Zawahał się, wszak trwała piątkowa wieczera szabasowa i nie wypadało niepokoić wiernych Żydów. Mimo to zajrzał w jedno z okien na parterze i z ukontentowaniem pokiwał głową. Wszedł w korytarz prowadzący do mieszkań i zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do obserwowanego przed chwilą domostwa. Postawił na ziemi latarnię i zastukał energicznie.

Niedługo drzwi się uchylily i pojawiła się w nich młoda kobieta trzymająca zapaloną świeczkę. Przybysz zauważył, że ma podbite oko. Ukłonił się jej i pozdrowił w jidysz, a następnie przeprosił za najście. Próbował wręczyć gospodyni pakunek przeznaczony dla jej męża, ale kobieta nie przyjęła go, a tylko otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła gościa do środka. Z wnętrza mieszkania dobiegały śmiechy dzieci, biło domowe ciepło i snuł się zapach świątecznych potraw.

Niespodziewanie w przedpokoju pojawił się młody Żyd o zaciętej twarzy. Własną piersią zasłonił żonę.

– Pan do mnie? – spytał Szaja, wyteżając wzrok, by dostrzec szczegóły mrocznej, zwalistej sylwetki. – Z kim mam przyjemność, jeśli łaska?

– Abraham Stern, mości panie policjancie. Owszem, ja do pana – odparł mistrz zegarmistrzostwa i mechaniki precyzyjnej. – Chciałem podziękować za wybawienie z kłopotów i zwrot cennych planów mojej maszyny oraz jej prototypu.

Appenzlak zamarł na sekundę, zaskoczony odwiedzinami tak szacownej osoby, już drugiej tego wieczoru. Jąkając się i mruczając coś nieskładnie, skłonił się i wskazał przybyszowi drogę do środka. Sonia wykazała więcej przytomności umysłu. Poprosiła gościa o dołączenie do wieczery. Stern wszedł do środka, wręczył gospodyni pakunek i zdjął ciężki chałat.

Gdy wszedł do głównego pokoju, jego oczom ukazał się ciekawy obraz. W jedynym fotelu, na honorowym miejscu przy piecu, siedział elegancki jegomość, w którym rozpoznał sekretarza generalnego policji Augustyna Glińskiego. Sama obecność oficjalisty w tej nędznej żydowskiej norze była niecodzienna, a co dopiero, jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż jego ekscelencja siedział w niedbalej pozie i z wyraźnie zadowoloną miną, a kolanach trzymał dwójkę żydowskich brzdąców. Jeszcze jedno dziecko, nieco starsze, siedziało u jego stóp. Wyglądało to tak, jakby do domostwa Appenszlaków przybył na kolację ulubiony wujaszek.

Naprzeciw Gliny stał mocno już wstawiony dziadek Abram, z niebywałą wprawą zonglujący czterema pomarańczami. Dzieciaki śmiały się i klaskały, aż do momentu gdy stary cyrkowiec spostrzegł gościa i upuścił owoce. Wyraźnie się zmieszał, rozpoznając w przybyłym mistrza Sterna, którego niedawno okradł z tajnej dokumentacji.

Sonia, z wprawą pełniąc obowiązki pani domu, zaprosiła wszystkich do stołu, na którym królowały dwa tłuste karpie w migdałach i przyniesione przez pana Augustyna owoce, w tym egzotyczne pomarańcze. Okazało się, że i węzełek rzemieślnika zawierał przysmaki: makowiec, słodką chałkę, słoje z maleńkimi jabłuszkami krymskimi w syropie oraz kolorowe głowy cukru dla dzieciaków.

– Czemu zawdzięczamy pańskie przybycie, łaskawy panie? – spytał Szaja, podając gościowi talerz z porcją ryby.

– Pragnąłem osobiście podziękować funkcjonariuszowi, którego sprawność i odwaga pozwoliły mi spokojnie pracować. Widziałem się dziś z szacownym panem Glińskim – Stern skinął szefowi wydziału – i dowiedziałem się, że przestępcy próbowali zrzucić na mnie winę za zabójstwo mego przyjaciela Leopolda Ataliasa. Przez tę pożałowania godną intrygę ucierpiała pańska rodzina, panie Appenszlak. Niewiele brakowało, a bandyci uszliby sprawiedliwości, a pańscy bliscy zapłaciliby wysoką cenę. Bardzo mi przykro, że mój wynalazek przysporzył wam tylu problemów. Chciałbym jakoś wynagrodzić wam niedogodności, nie wiem tylko w jaki sposób...

– Myślę, że solidny trzosik pełen brzęczącego złota byłby jak najbardziej na miejscu – odezwał się Abram.

– Dziadku! Co dziadek! – huknął Szaja.

– Cichaj, mamałygo! Nigdy nie umiałeś upomnieć się o swoje, a to żaden wstyd! – Starzec wyprostował się i uniośł wyprostowany palec. – Ja też brałem udział w tej awanturze, ryzykowałem w niej życie, zabezpieczyłem dokumenty pana Sterna, by nie wpadły w niepowołane ręce, a potem ubiłem groźnego bandytę. Wydaje mi się, że należy mi się jakowaś nagroda, i nie próbuj mnie uciszać!

– Oczywiście, nie zapomnę o panu. – Wynalazca uśmiechnął się, rozbawiony bezczelnością wiekowego Żyda. – Przy okazji wyjaśnijcie mi, proszę, dlaczego właściwie

zostałem zaatakowany? Pan Gliński mówił, że mordercą Leopolda był matematyk Włodzimierz Woyda. Ponoć nie odpowiadała mu sama idea maszyny liczącej, która mogłaby posłużyć do mechanicznego zgłębienia zagadnień matematycznych. Ale co miał z tym wspólnego jakiś ksiądz?

Sekretarz generalny westchnął ciężko. Dziś rano obiecał ministrowi Potockiemu, że szczegóły sprawy pozostaną tajemnicą. Dla dobra Księstwa Warszawskiego, z powodów politycznych cała afera miała nie przeniknąć do publicznej wiadomości. Glina wiedział jednak, że tym razem nie uda mu się zbyć ogólnikami ciekawości Izraelitów.

– Czy w ostatnich czasach nie odwiedzali pana obywatele pochodzenia niemieckiego, w szczególności Austriacy? – spytał pana Abrahama.

– Ciągle ktoś mnie odwiedza. Różni przychodzą i zawracają głowę, dlatego właśnie ksiądz Staszic postawił u mnie wartę z członków Towarzystwa – przyznał rzemieślnik. – Był jednak przypadek, gdy pewien jegomość proponował mi wyjazd do Wiednia. Obiecywał, że zostaną mi tam stworzone naprawdę godne warunki do życia i pracy. Mamił wizją złotych gór, ale nie dla mnie podobne bajki. Ja jestem prosty polski Żyd. Nie potrzebuję nie wiadomo czego, poza tym wolę pracować dla ojczyzny.

– Otóż to, sam zatem pan widzi, że pańskie sukcesy nie umknęły uwadze licznych agentów wrogich mocarstw, od których niestety aż się roi w Warszawie – powiedział pan Augustyn. – Dostrzeżono, że maszyna licząca może być początkiem wielkiej rewolucji, urządzeniem przyszłości, które zapewni przewagę naukową mocarstwu, które ją posiadzie. Skoro nie udało im się pana kupić, postanowiono zatrzymać postęp pana prac lub ukraść wynalazek.

– Czyżby ksiądz Jakub był austriackim szpiegiem? – zdumiał się Szaja.

– Trafieś w samo sedno, przyjacielu – z ociąganiem przyznał Glina. – Jakub, wywodzący się z niemieckiego zakonu benonitów, od młodości szkolony był na agenta wywiadu. Udało mu się przeniknąć w otoczenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, by inwigilować środowisko myślicieli i badaczy, którzy przy okazji piastują również wysokie stanowiska w rządzie i w wojsku. Gdy dostał polecenie zniszczenia lub przejęcia badań pana Sterna, ale w sposób niewskazujący na działanie sił obcego mocarstwa, zaplanował skomplikowaną operację. Omotał i podporządkował sobie panią Leopoldową, jednocześnie omamił członka Towarzystwa, sfrustrowanego matematyka Włodzimierza Woydę, i wmówił mu, że należy nie tylko zniszczyć osobę mistrza fizycznie, ale i całkiem jego postać zdyskredytować. Najlepszym ku temu sposobem miało być skierowanie na niego podejrzeń o popełnienie zbrodni, a w efekcie spowodowanie skazania go i uwięzienia. Przy okazji zamieszania wynikłego przy aresztowaniu pana Sterna Woyda miał przejąć dokumentację maszyny liczącej. Matematyk chciał ją

zniszczyć, ale nie wiedział, że według planu księdza Jakuba razem z prototypem miała zostać wysłana do Wiednia.

– Sprytne dranie te Austriaki – przyznał dziadek Abram. – Nic by się nie wydało. Najwyżej wpadliby Woyda i Leopoldowa.

– Nic by nikomu nie powiedzieli. Oboje mieli zginąć po przejęciu planów. Wdowa znalazła się o krok od śmierci. W chwili aresztowania znaleźliśmy przy duchownym ampułkę z trucizną. Pani Leopoldowska została zamordowana po mszy, pewnie w jakimś ustronnym miejscu. Niewiele brakowało. Woyda miał mniej szczęścia.

Przy stole zapadła cisza, zakłócana jedynie przez marudzenie najmłodszego synka Szai. Dziecku smakowały tylko migdały, a nie chciało jeść ryby. Sonia wzięła brzdąca na kolana i sama zaczęła go karmić.

– Co stanie się z Leopoldową? – spytała.

– Dyrektor policji, pan Moszyński, chciał ją postawić przed sądem za udział w zbrodni, ale po wspólnych rozmowach z ministrem Potockim ustaliliśmy, że przekazemy ją kahalnemu wymiarowi sprawiedliwości. Niech osądzi ją żydowska rada starszych – odparł Gliński. – Co prawda pani Atalia przyjęła chrzest, ale udzielił jej go ksiądz Jakub, o którym nie wiadomo, czy w ogóle przyjął święcenia kapłańskie.

– Biedaczka – mruknął Abram. – Lepiej jej było zgnić w wieży niż dostać się w łapy tych wrednych dziadów z rady kahału.

Szaja podrapał się po głowie blaszanym widelcem i spojrzał na szefa.

– Ciekawi mnie jeszcze, co rząd zrobi z benonitami. Chyba nie zamierza dalej tolerować ich działalności?

– Już wkrótce wszyscy się o tym przekonamy – rzekł pan Augustyn. – Decyzje zostaną podjęte, gdy skończą się przesłuchania księdza Jakuba. Biedaczysko właśnie odbywa spowiedź przed katami z Prochowni. Do rana pewnie wszystko wyśpiewa i wtedy będziemy wiedzieli, jaki był udział zakonników w tej aferze. Dla nas najważniejsze jest, że udało się powstrzymać szpiega, a dokumentacja wróciła do mistrza Sterna. Ku chwale naszego miasta i całej ojczyzny!

Wielki Żyd ukłonił się z powagą Glińskiemu, a potem sięgnął po kieliszek napełniony przez Abrama swojską siwuchą.

– Wypijmy, proszę, za pomyślność warszawskich Żydów, którzy znów pokazali, że są godni nazywać się Polakami, a miasto zawsze może na nich polegać – powiedział.

Sekretarz generalny jako pierwszy wznosił kieliszek i wychylił go jednym haustem.

XXXV

Niewiele dni później policjant Szaja Appenzlak stał na skarpie nad Wisłą i przyglądał się tłumnemu pochodowi towarzyszącemu opuszczającym miasto benonitom. Rząd podjął uchwałę o likwidacji zakonu i usunięciu wszystkich mnichów z terenu Księstwa. Nie podano przyczyny. Warszawiacy żegnali troskliwych braciszków ze łzami w oczach, nikt jednak nie kwestionował postanowień władz.

U boku tropiciela stały dwa młode wilczury, podarowane mu przez pana Glińskiego razem z premią w złocie i rozkazem podwyższającym uposażenie. Śledczemu towarzyszył również dziadek Abram, ubrany w nowiutki chałat z ciężkim wilczym kołnierzem i w błyszczące buciory, prezenty od mistrza Sterna. W tych szatach i z wyczesaną brodą stary rozrabiaka wyglądał niczym bogobojny rabin. W kieszeni trzymał glejt nominujący go na stanowisko pomocnika policyjnego przy Wydziale Śledczym.

– Braciszkanie mają szczęście, że ułożono już most łyżkowy – powiedział starzec. – Inaczej musieliby przeprowadzać się wpław.

– No cóż, ich miejsce nie jest w Warszawie. To miasto jest naszym domem i nie pozwolimy robić w nim bałaganu – dodał Szaja.

– Naszym domem, powiadasz? – mruknął dziadek. – Oby było nim przez długie wieki.

Pierwszy Glina

Copyright © Andrzej W. Sawicki

Copyright © Wydawnictwo Literate

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover by Grzegorz Araszewski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-345-5

epub ISBN 978-83-7995-346-2

mobi ISBN 978-83-7995-347-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Artur Szejter

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Grzegorz Araszewski

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@literate.pl

www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl